

ABC

„W” jak
MORDERSTWO

Katarzyna Gacek

Oficynka

„W” jak
MORDERSTWO
Katarzyna Gacek

Oficynka

Copyright © Oficynka & Katarzyna Gacek, Gdańsk 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2018

Opracowanie redakcyjne: zespół

Projekt okładki: Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce: © andreiu88/fotolia.com, creativefamily/fotolia.com

ISBN 978-83-66613-08-9



Oficynka

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

Spis treści:

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Wstęp](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

*Moim najważniejszym Magdom,
mamie i córce*

WSTĘP

Confessio est regina probationum^[1]

Każdy ma w życiu takie chwile, które chciałby cofnąć. Wymazać. Wykasować. Przewinąć na szybkim podglądzie z powrotem do napisów początkowych. Ja akurat mam ich sporo. Gdybym na przykład mogła cofnąć czas, to jadąc do Warszawy w zeszłym tygodniu nie zignorowałabym świecącej już od jakiegoś czasu kontrolki paliwa i nie ominęłabym w roztargnieniu stacji benzynowej, tylko zatankowała do pełna. Oszczędziłoby mi to dwudziestu minut upokorzeń, kiedy mój samochód zdechł na pasie dla lewoskrętów w jednym z najruchliwszych miejsc Warszawy, w samym szczycie popołudniowego szczytu. Każdy, naprawdę każdy kierowca, któremu jakimś cudem udało się przebić na sąsiedni pas i mnie wyminąć, unosił znacząco w górę środkowy palec. Bardzo wtedy żałowałam, że nie mogę cofnąć czasu.

Żałuję tego również za każdym razem, kiedy wyjmujęz pralki koszule męża, godzinę wcześniej śnieżnobiałe, terazszarawe, a na końcu wygrzebuję z bębna samotną czarną skarpetkę. Żałuję momentów zamyślenia, które pieczołowicie przygotowywane dania zamieniły w zwęgloną breję. Ale tamtej majowej, sobotniej nocy, kiedy w parku miejskim w Podkowie Leśnej znalazłam zwłoki, pod żadnym pozorem cofnąć bym nie chciała.

[1] Przyznanie się jest królową dowodów.

ROZDZIAŁ 1

Był ciepły, majowy sobotni wieczór. Dzieci od dawna leżały już w łóżkach, a Tomasz zamknął się w swoim gabinecie, żeby pracować.

Gabinet Tomka był najważniejszym punktem naszego domu. Centrum. Czy raczej epicentrum, tak, to jest to słowo. Po pierwsze za pieniądze, które włożyliśmy w te piętnaście metrów kwadratowych, można by było urządzić spore mieszkanie, po drugie – Tomasz rozciągał wokół swojego gabinetu aurę wyjątkowości. Kiedy zaszywał się w swojej samotni (ściegiem krzyżkowym), pozostali domownicy musieli wyciszać komórki, poruszać się po domu na palcach, najlepiej w ogóle nie oddychać. Z punktu widzenia mojego męża – to i tak niewielka cena za obcowanie z wielkością. Z mojego punktu widzenia wszystko, co pozwalało uniknąć jego irytacji, warte było wysiłku. I tyle.

Ponieważ na niedzielny obiad Tomasz zażyczył sobie karkówkę, przystąpiłam do przygotowań. Wyjęłam mięso z lodówki, pocięłam na plastry, ułożyłam w garnku i zalałam olejem wymieszanym z przyprawami. Potem odstawiłam garnek do lodówki, dokładnie wytarłam blat, poprawiłam wiszącą krzywo ściereczkę, sprawdziłam, czy pies ma wodę w misce, i ruszyłam na górę.

Zmęczona po całym dniu trochę straciłam czujność, co natychmiast wykorzystała Kobyła.

Z Kobyłą trzeba uważać. Jest stara i tak wielka, że nie udało jej się umieścić w żadnym sensownym pomieszczeniu w domu, wylądowała więc w holu na piętrze, gdzie się natychmiast zaczęła rozpychać i panoszyć. Właściwie nie sposób przejść obok niej, żeby o nią nie zawadzić albo przynajmniej się o nią nie otrzeć. Nie lubię jej. Nikt jej nie lubi. Ale ponieważ dostaliśmy ją w spadku po ciotecznej babce mojego męża, nie mogliśmy tak po prostu wywalić jej na śmietnik. Zresztą który śmietnik zniósłby Kobyłę?

Zamieszkała więc z nami ta ogromna, przedwojenna trzydrzwiowa szafa o bardzo niemiłych cechach charakteru. Jest narowista i złośliwa. Atakuje znieścacka, celnie i boleśnie. Ma prostą, ale skuteczną taktykę – kiedy ktoś z domowników się zbliża, jej środkowe drzwi, te z lustrem, nagle się otwierają i nie ma szans, żeby się z nimi nie zderzyć.

Wydawałoby się, że nic prostszego, jak zamykać owe drzwi na klucz. Niestety Kobyła przewidziała to i klucze gubi. Średnio raz na miesiąc okazuje się, że klucza nie ma, i nawet najszerzej zakrojone poszukiwania nie dają efektu. Dzieci twierdzą, że szafa te klucze połyka, a ja, po sześciu latach regularnego odwiedzania sklepu z artykułami metalowymi w celu dokupowania kolejnych egzemplarzy, jestem skłonna przyznać im rację.

Tym razem drzwi Kobyły uchyliły się na tyle wolno, że udało mi się w ostatniej chwili uniknąć zderzenia. Znalazłam się jednak naprzeciwko lustra, co nie poprawiło mi humoru. Czy to możliwe, że ta nijaka, trzydziestopięcioletnia kobieta z lekką nadwagą i włosami o nieokreślonym kolorze ściągniętymi w końskiogon to ja? Niestety, wszystko na to wskazywało. Gwałtownym ruchem zamknęłam więc szafę i omijając starannie wzrokiem swoje odbicie, poszłam „ucałować dzieci na dobranoc”. Użycie cudzysłowu zrozumiecie za chwilę.

Pokój po prawej – królestwo mojej córki.

Ostrożnie nacisnęłam klamkę i zajrzałam do środka. Kaja, dziewięciolatka o aparycji aniołka, leżała w łóżku z książką na kolanach. W ciepłym świetle nocnej lampki, ubrana w różową piżamkę wyglądała tak słodko i niewinnie, że każdy dałby się nabrać. Każdy, z wyjątkiem mnie.

Ominęłam rozłożoną na dywanie kolekcję Barbie i podeszłam do łóżka.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz? – spytałam.

Dziecko posłało mi niewinne spojrzenie i zatrzepotało rzęsami.

– Bo sobie czytam, mamciu.

Nawet gdyby nie użyła tego ostatniego, przesłodzonego zwrotu, i tak bym się

zorientowała, że kłamie – bardzo trudno jest czytać do góry nogami. Uśmiechnęłam się więc, trochę krzywo, i szybkim ruchem podniosłam książkę. Spod starego wydania *Mary Poppins w parku* wyłonił się tablet, na którego ekranie angry birds szykowały się właśnie do kolejnego ataku.

Skonfiskowałam go bez słowa.

– Mamo – jęknęła Kaja. – Bym miała rekord.

Trudno się było w jej postawie dopatrzeć skruchy.

– Jutro szlaban na telewizję. Trzeci raz w tym tygodniu. I już masz rekord!

– A Kuba to może grać!

– Bo jest starszy! – wiedziałam doskonale, że mała nienawidzi tego argumentu. Trzyletnia różnica wieku była dla niej przepaścią nie do przeskoczenia.

– To niesprawiedliwe! – pisnęła.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, jaką przyjąć strategię, po czym zanurkowała pod koc. Przecież wiadomo, że kiedy kogoś nie ma, jego problemy nie istnieją.

– Jutro porozmawiamy. Dobranoc. – Pocałowałam koc w miejscu, w którym zapewne znajdował się czubek głowy córki, i ruszyłam kontynuować obchód.

Pokój po lewej – królestwo mojego syna.

Kuba oczywiście również nie spał. Zgarbiony, z dłonią na komputerowej myszce, rozwalął kolejnego wirtualnego przeciwnika w grze, w której dyplomacja i metody pokojowe z pewnością nie były wysoko punktowane. Położyłam obok niego na biurku zabrany małej tablet.

– Kaja znowu grała, zamiast czytać. Prosiłam cię, żebyś jej nie dawał.

Kuba, nie odrywając wzroku od ekranu, mruknął pod nosem coś, co równie dobrze mogło oznaczać: mamu, przesadzasz, jak: mamu, przeszkadzasz.

– Słucham?!

– Sama sobie bierze.

– To nie możesz lepiej schować? Usiądź prosto! – dodałam, czując, że brnę

w ślepią uliczkę.

– A ty nie możesz jej zabronić? – syn posłał mi spojrzenie pełne irytacji, a jego plecy nie drgnęły ani o milimetr. – Tylko tak wiesz, skutecznie.

Poczucie wychowawczej klęski, które nie opuszczało mnie, odkąd pierwszy raz próbowałam nakarmić piersią głodnego noworodka, gwałtownie przybrało na sile.

– Jutro porozmawiamy – powiedziałam stanowczym tonem. – A teraz proszę spać. I poszłam sobie.

Nie uważam, żeby macierzyństwo było moim powołaniem. Jasne, że jak większość kobiet chciałam założyć rodzinę. Marzyłam o pięknym domu w wielkim ogrodzie, przystojnym, kochającym mężu, dwojce uroczych dzieci i psie. Nie wiem właściwie, skąd się takie marzenia biorą, ale z pewnością nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Przede wszystkim nie istnieje pojęcie „dwójka uroczych dzieci”. Jedno dziecko tak, jedno dziecko ma szansę bywać urocze, choć też nie dłużej niż przez kwadrans dziennie. Ale pojęcie „dwoje uroczych dzieci” jest wewnętrznie sprzeczne. Dwoje dzieci to ciągłe kłótnie, podszczypywanie, wyrywanie sobie zabawek, wkładanie palców w oko i skarżenie. Dwoje dzieci to również dwa razy większe możliwości zgubienia się w supermarkecie i pewność, że jeżeli nie jedno, to drugie w samym środku zakupów będzie chciało siku. Dwoje dzieci to dwa razy więcej prania, prasowania oraz odmienne gusta kulinarne. Idę o zakład, że każda kobieta, która zdecydowała się na drugie dziecko, żeby mieć uroczą parkę, prędzej czy później poczuje się nabita w butelkę. Tak jak ja.

Koc, pomyślałam. Muszę się schować pod kocem.

I pewnie by mi się to udało, gdyby nie fakt, że na mojej drodze do sypialni po raz kolejny stanęła Kobyła. Tym razem nie udało mi się odskoczyć i dostałam lustrem w prawą skroń. Bolesnie.

– Ty mało wredna! – warknęłam, choć obrzucanie szafy inwektywami to zajęcie bez sensu. – Zobaczysz, jeszcze kiedyś pożałujesz!

Nacisnęłam ramieniem na drzwi, próbując je domknąć, coś jednak stawiało opór.

Tym czymś okazał się rękaw beżowego garnituru Tomasza. I nagle cała złość i irytacja na Kobylę przeszły mi, jak ręką odjął, a ich miejsce zajęła panika.

– Cholera jasna.

Garnitur był Tomka ulubionym. Niestety, kilka dni temu paskudnie poplamił go kawą, po czym wręczył mi, podkreślając, że chce go mieć z powrotem na poniedziałek.

Była wtedy jakaś siódma wieczór, a o tej porze nasza lokalna pralnia jest już zamknięta, więc postanowiłam oddać garnitur do czyszczenia następnego dnia, po czym schowałam go do szafy, a jak mi coś niknie z oczu, to mogiła. Tak więc „następnego dnia” o nim zapomniałam, jeszcze następnego również, w efekcie mieliśmy sobotę wieczór, a garnitur wciąż wisiał brudny w szafie.

Wizja poniedziałkowego poranka i konfrontacji z mężem na chwilę mnie sparaliżowała. Odruchowo skuliłam się w sobie i przygryzłam wargę. Sprawa nie wyglądała dobrze. Pralnia w Podkowie jest w weekendy zamknięta, a walka z plamami metodą chałupniczą nie wchodziła w grę. Na szczęście po panice przyszła mobilizacja. Zaczęłam gorączkowo szukać w głowie rozwiązania, i nagle wyświetlił mi się wielki, zielony neon „Janki”. Oczywiście! Tylko tam! Zwłaszcza że na jutrzejsze popołudnie Tomasz zaplanował kino z dziećmi. Przed seansem wrzucę garnitur do pralni, po seansie odbiorę, błogosławione usługi ekspresowe. Błogosławione i podwójnie płatne, ale trudno. Jakoś to może udźwignę. I oczywiście nie miałam na myśli finansów, tylko uszczypliwe uwagi Tomka na temat mojego zapominalstwa i rozrzutności.

W poczuciu, że otarłam się o katastrofę, wyjęłam garnitur z szafy i zaczęłam odruchowo przeszukiwać kieszenie. Zapewne w przypadku prania chemicznego to, czy są one pełne, czy puste, nie ma dla jakości procesu większego znaczenia, jednak wieloletni nawyk sprawdzania ciuchów przed włożeniem do pralki zrobił swoje. Wiadomo, nic tak nie potrafi popsuć humoru pani domu jak chusteczka higieniczna uprana z czarnymi dżinsami.

Najpierw wsunęłam dłoń w lewą kieszeń, potem w prawą.

Pod palcami zaszeleścił mi papier o charakterystycznej strukturze sklepowego

kwitka. Wyjęłam go – zwykły paragon z Empiku – i już miałam zmiąć w kulkę i wyrzucić do kosza, kiedy mój wzrok przykuły cyferki widniejące na samym dole: 375 zł.

Gdyby to był kwitek z jakiegoś sklepu z ciuchami, kwota nie zwróciłaby mojej uwagi. Tomasz często kupował sobie ubrania, właściwie miał ich dużo więcej niż ja. Ale Empik? Przecież ostatnio w domu nie pojawiły się ani nowe filmy, ani płyty, ani książki, których za 375 złotych musiałyby być przynajmniej kilka. Z ciekawości przebiegłam więc wzrokiem rachunek w poszukiwaniu nazwy towaru.

Chanel Allure woda perfumowana nie brzmiało jak tytuł filmu. Ani tytuł książki, niestety.

Zdziwienie, że w Empiku sprzedają perfumy, natychmiast ustąpiło miejsca kolejnemu: Tomek kupił perfumy za prawie cztery stówy?! Ale dla kogo?

Bo przecież nie dla mnie. Ja przez trzynaście lat małżeństwa nie dostałam od niego żadnych perfum.

Kupował mi oczywiście prezenty pod choinkę, a nawet czasami na urodziny, ale należały one zawsze do kategorii „praktyczne”, a maksymalny pułap cenowy wynosił sto złotych. Na przykład na gwiazdkę rok temu dostałam od niego elegancką, drewnianą deskę do krojenia. Tyle w temacie.

Zatem jeżeli nie kupił tych perfum dla mnie...

Poczułam, że robi mi się słabo.

Madziu, spokojnie, pomyślałam, oddychając głęboko. Przecież to nie oznacza jeszcze, że ma kochankę. Może kupił te perfumy w pożegnalnym prezencie dla kogoś, kto właśnie odchodził z firmy? Albo czekając do kasy w Empiku wziął z blatu odruchowo wydruk, zostawiony przez poprzedniego klienta? Obecność tego świstka można wytłumaczyć na wiele sposobów.

Gówno prawda, zreflektowałam się natychmiast. Od kupowania pożegnalnych prezentów Tomasz ma sekretarkę. A chowanie po kieszeniach cudzych kwitków to absurd. Rusz się, zrób mu awanturę, wydrap oczy, na co czekasz?!

Wzięłam kilka głębokich oddechów, żeby się nie rozryczeć, i trzymając papierek w dwóch palcach, jak najdalej od siebie, ruszyłam z powrotem na dół.

W holu u stóp schodów leżał nasz pies, Alf, włochate ciele, którego nie zauważyłam, bo jego brązowe futro idealnie zlewało się z kolorem klepki. Niestety, on również mnie nie zauważył, choć moje futro nie zlewało się z niczym. W efekcie o mało się o niego nie zabiłam. Zahaczony nogą przeciągnął się leniwie, rysując pazurami po podłodze, a lakier superstrong, taki, jakiego używa się na boiskach do koszykówki, aż jęknął. A potem spojrzał na mnie jednoznacznie. Pies, nie lakier.

– Nie! – rzuciłam histerycznie, rozpoznając bez pudła charakter tego spojrzenia. – Nigdzie nie idziemy! Leżeć!

Podeszłam do drzwi gabinetu i chociaż serce łomotało mi jak szalone, nacisnęłam kławkę.

Tomasz siedział za biurkiem – wielkim nowoczesnym meblem, na którego blacie panował zawsze przygnębiający porządek – i pisał coś na komputerze. Moje nagłe pojawienie się sprawiło, że przestał uderzać w klawisze, wyprostował się i przeniósł wzrok z ekranu na mnie. Nabrałam więc powietrza i zaatakowałam.

– Tomek?

Dziwne. Mój głos wcale nie zabrzmiał mocno i oskarżycielsko, a zamiast wykrzyknika na końcu wszedł mi znak zapytania.

– Pracuję. Coś ważnego?

– Chciałam się spytać. To znaczy, chciałam powiedzieć. – Zacisnęłam palce na kwitku.

– No słucham! – w głosie mojego męża pojawiło się zniecierpliwienie.

– Wychodzę z psem! – odwróciłam się na pięcie i wybiegłam z pokoju.

Jaka ja jestem żałosna, jaka żałosna. Zamiast rzucić się facetowi z pazurami do oczu, zamiast zrobić karczemną awanturę, zamiast mu wystawić walizki za drzwi, potrafiłam się tylko poryczeć. Trzęsła mi się broda, trzęsły ręce, co w połączeniu ze łzami napływającymi do oczu praktycznie uniemożliwiało przypięcie smyczy do obroży psa.

W końcu po kolejnej próbie poddałam się i wypuściłam go na ulicę luzem. Alf

popędził radośnie do najbliższej latarni, a ja za pomocą ostatniej chusteczki higienicznej, którą przez przypadek znalazłam w kieszeni, spróbowałam doprowadzić twarz do porządku. Z mizernym skutkiem.

Akacyjowa, przy której mieszkamy, łączy dwie Podkowy, Wschodnią i Główną. Po chwili wahania ruszyłam w prawo, w kierunku Wschodniej. Tam o tej porze nikt nie powinien się kręcić, a ja nie chciałam, żeby ktokolwiek zobaczył mnie zasmarkaną. Bo daję głowę, że gdyby tak się stało, następnego dnia pół miasta zastanawiałoby się nad powodem mojej rozpacz.

Niestety zapomniałam, że kiedy mi na czymś bardzo zależy, dzieje się dokładnie odwrotnie. Nie zdążyłam przejść nawet pięciu metrów, kiedy naprzeciwko mnie pojawiła się kobieta. Wysoka, szczupła, w białym, rozpiętym prochowcu, którego poły trzepotały wokół jej nóg jak skrzydła łabędzia, zmierzała w moją stronę energicznym krokiem, stukając szpilkami asfalt.

– Alf! – wrzasnęłam odruchowo. Naprawdę lepiej, żeby się z nią nie spoufalał. A zwłaszcza żeby się nie spoufalał z jej jasnym płaszczem.

Psi głupek wypadł z krzaków po drugiej stronie ulicy zziębnięty, z wywieszonym językiem i kawałkami zeschłej trawy w sierści.

– Do mnie! – klepnęłam otwartą dłońią w udo. Była to jedna z niewielu komend, na które reagował. Czasami.

Na szczęście tym razem podbiegł i zatrzymał się przede mną, patrząc wyczekująco. Zanim się zorientował, że nie mam dla niego ani piłeczki, ani nawet marnego patyka, chwyciłam go za obrozę i zaczęłam uspokajająco klepać po karku. Skupiona na psie nagle zarejestrowałam, że stukot obcasów się urwał, a powietrze wokół mnie wypełnił intensywny zapach perfum.

– Przepraszam.

Podniosłam wzrok. Kobieta, która stała teraz o pół metra ode mnie, mogła mieć trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Zwróciłam uwagę na jej nienaganną figurę, odważny dekolt obcisłej sukienki i błękitny wisiołek, w którym odbijało się światło najbliższej latarni.

W mojej głowie na moment pojawiło się skojarzenie, dalekie, nieuchwytnie. Może

gdybym była w lepszej formie, spróbowałabym to skojarzenie odnaleźć, wydostać z pamięci. Ale nie byłam w lepszej formie. Byłam w formie fatalnej. Jedyne, na czym potrafiłam się teraz skupić, to mechaniczne poklepywanie psa.

– Szukam stacji kolejki.

Coś dziwnego było w tym głosie i nagle zdałam sobie sprawę, że kobieta, tak jak ja, musiała przed chwilą płakać.

– Prosto, na końcu ulicy w prawo, po lewej stronie zobaczy pani przystanek.

Alf zaczął przestępować z łapy na łapę i wachlować ogonem. Kobieta odsunęła się i nerwowym ruchem odrzuciła do tyłu długie, jasne włosy, odsłaniając twarz. W żółtym świetle latarni zauważyłam ciemne smugi tuszu, rozmazanego na policzkach i opuchnięte od łez powieki. W odruchu współczucia chciałam nawet zaproponować chusteczkę, ale przypomniałam sobie, że jedyna, jaką dysponuję, nie nadaje się raczej do tego, żeby się nią dzielić.

Zresztą i tak było za późno. Kobieta bez słowa podziękowania ruszyła w kierunku, który jej wskazałam. Szła szybko, prawie biegła, poprawiając jednocześnie zsuwający się z ramienia pasek maleńkiej, czarnej torebki z charakterystycznym zapięciem w kształcie połączonych liter C. Mogłam się założyć o całkiem spore pieniądze, że ona również płacze przez faceta.

Patrzyłam za nią jeszcze przez chwilę, a potem puściłam psa i skręciłam w prawo, w Topolową. Jakoś mi się nie spieszyło do domu.

ROZDZIAŁ 2

Znam kobiety żyjące w ciągłej obsesji zdrady. Kontrolujące mężów, sprawdzające ich komórki, grzebiące w mejlach i obwąchujące za każdym razem, kiedy później wracają z pracy. Ja do nich nie należałam. Ufałam Tomkowi, ufałam ślepo.

Zaczęłam analizować ostatnie dni i tygodnie. Nie, nie wracał z pracy później niż zwykle. Nie, nie wyjeżdżał służbowo. Nie, nie wspominał o żadnej nowej kobiecie w firmie. Nie, nie wysiadywał do późna w nocy przy komputerze.

Nagle poczułam, że jeżeli natychmiast z kimś o tym nie porozmawiam, zwariuję. Elżbieta odebrała po trzecim sygnale.

– Nie możesz spać? – spytała zamiast powitania.

– Też byś nie mogła, gdybyś się dowiedziała, że twój mąż ma kochankę – wyjaśniłam. Ostatnie słowo, pierwszy raz tego wieczoru głośno wypowiedziane, zawisło w powietrzu jak szykujący się do ataku szerszeń.

– Co ma mój mąż? – zainteresowała się Elka.

– Nie twój, tylko mój! Kochankę ma!

Spodziewałam się współczucia, uzalania się, wsparcia. A usłyszałam śmiech. Perlisty, szczery i wkurzający.

– Uwielbiam twoje poczucie humoru – oświadczyła beztrąsko moja najlepsza przyjaciółka. – A tak w ogóle to czemu dzwonisz tak późno? Coś się stało?

Jęknęłam.

– No przecież mówię! Tomasz kupił perfumy za czterysta złotych. Ma kogoś!

Po drugiej stronie słuchawki na chwilę zapadła cisza.

– Wiesz, że nie należę do fanklubu twojego męża – zaczęła Elka ostrożnie – ale kochanka jest ostatnią rzeczą, jakiej bym się po nim spodziewała.

– Kochanka nie jest rzeczą – mój głos zadrżał niepokojąco. – Kochanka jest kobietą. Śliczną, młodą i pachnącą drogimi perfumami. Na samą myśl normalnie mnie

mdli.

Elżbieta westchnęła.

– Jesteś w domu?

– Nie. Na spacerze z Alfem.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że psa jednak od dłuższej chwili nie widzę.

– To chodź do nas. Opowiesz mi wszystko na spokojnie.

– Moment. Alf! – krzyknęłam, ale pies się nie pojawił. – Gdzieś polazł, muszę go znaleźć. Zadzwońię za chwilę. – I rozłączyłam się.

Na komórce była dokładnie dwudziesta trzecia czterdzieści dziewięć.

Ruszyłam Modrzewiową w kierunku Kościelnej, co chwila gwizdząc i nawołując głupka, za każdym razem do imienia dodając inny przymiotnik o znaczeniu pejoratywnym.

Bez skutku.

Na wysokości dawnego „Milimoi”, kultowej kawiarni, zamkniętej kilka lat temu, drugą stroną ulicy minął mnie jakiś mężczyzna, ale ponieważ kompletnie nie przypominał Alfa, nie zwróciłam na niego uwagi.

Na skrzyżowaniu z Kościelną zatrzymałam się i zaczęłam nasłuchiwać, próbując namierzyć uciekiniera po dziamaniu innych psów, uwięzionych na swoich posesjach i obszczekujących z nienawiścią wszystko, co w sposób nieskrępowany poruszało się po ulicy. Niestety tym razem w okolicy nie było słyhać ani pół szczeknięcia. Niedobrze, pomyślałam, cisza wróży źle.

I natychmiast tej myśli pożałowałam. Bo nagle od strony miejskiego skweru doleciało przejmujące, mrożące krew w żyłach wycie. Tak mógłby wyć pies Baskerville’ów, gdyby naprawdę chciał kogoś nastraszyć. Ale ja nie poszłam na spacer z psem Baskerville’ów, tylko z Alfem, psem łagodnym i kompletnie pozbawionym morderczych instynktów, którego mózg miał kształt i wymiary piłki tenisowej. Okoliczności, w których ten baranek wydałby z siebie taki dźwięk, musiały być ekstremalne.

Puściłam się biegiem w kierunku linii drzew, za którymi rozpościerał się skwer –

dwa elegancko przystrzyżone trawniki i kilka żwirowych alejek, zbiegających się przy kamiennej tablicy ku czci bohaterów walk z hitlerowskim najeźdźcą. I właśnie tam zobaczyłam Alfa. Z uniesionym do góry łbem, schowanym pod siebie ogonem i zjeżoną sierścią przypominał wyjącego do księżycy wilka.

– Cicho! – krzyknęłam, a miejsce niepokoju zajęła irytacja.

Pies zamilkł. A potem cofnął się, odsłaniając ciało.

Kobieta wyglądała tak, jakby położyła się na chwilę, żeby odpocząć. Złożone razem, lekko ugięte w kolanach nogi, jedna ręka wyciągnięta wzdłuż ciała, druga uniesiona w górę, jakby chciała poprawić rozsypane dookoła głowy jasne włosy. Jednak krew wypływająca z rany na piersi, znacząca ciemną plamą czerwoną wizytową sukienkę i wsiąkająca powoli w połę jasnego prochowca oraz szeroko otwarte, nieruchome oczy świadczyły o tym, że odpoczynek nie wchodził tutaj w grę. No, chyba że wieczny.

Tuż obok ciała, tak blisko, że przygniatał sobą fragment płaszcza leżał długi, żelazny pręt z drewnianą rączką, zakończony podwójnym szpikulcem. Słabe światło księżycy odbijało się w ostrzach i ciemnej, gęstej cieczy, w której były zanurzone.

Kiedy uświadomiłam sobie, na co patrzę, zaczęłam krzyczeć.

Siedziałam na drewnianej ławeczce na placu zabaw. Ktoś okrył mnie troskliwie polarowym kocem, ktoś inny wcisnął mi w dłoń plastikowy kubeczek gorącej herbaty, ale mimo to cały czas się trzęsłam. Mój dziadek mówił: drży jak osika, i właśnie tak sobie teraz drżałam, z jednym wyjątkiem: osiki nie mają zębów, którymi mogą szczekać. Ja jeszcze miałam, więc dzwoniłam nimi, zapewne z katastrofalnym skutkiem dla szkliwa. Co za dzień, co za parszywy dzień!

Parking przed urzędem miasta był pełen ludzi i samochodów. Położone kilkadziesiąt metrów dalej miejsce zbrodni oświetlono reflektorami i otoczono białoczerwoną taśmą, przy której pomimo późnej pory zdążył się już zebrać całkiem spory tłumek ciekawskich. Wyglądali, jakby żalowali, że to nie oni znaleźli zwłoki. Ja

również tego żałowałam.

Coś wilgotnego dotknęło mojej nogi. Spojrzałam w dół. To Alf przesunął pysk i jego wielki, mokry nos znalazł się centralnie na mojej stopie. Podrapałam go za uszami, nie zareagował. Zastygł w dziwnym stuporze, nieszczęśliwy i zdezorientowany.

Na wysokości mojego wzroku pojawiły się męskie nogi w dzinsach i adidasach.

– Jak się czujesz?

To był Jacek Sikora, mąż Elki. Zналиśmy się od dziecka, był mi bliski jak brat, ale teraz nie przyszedł tutaj, żeby mnie pocieszać. Jako szef dochodzeniówki Komendy Powiatowej w Grodzisku miał trochę inne zadanie.

– Nieźle – skłamałam.

– Czy on mógłby się przesunąć? – dotknął butem łapy Alfa.

Z pewnym trudem przeciągnęłam psa na drugą stronę i Jacek opadł na ławkę obok mnie.

– Gdzie Tomek?

Mogłam się spodziewać takiego pytania. W końcu mój dom znajdował się jakieś pięćset metrów dalej, przy tej samej ulicy. Cóż prostszego zadzwonić do męża i poprosić, żeby przyszedł, przytulił, wsparł i pocieszył? Nic, poza faktem, że Tomek był ostatnią osobą, którą chciałam w tym momencie oglądać na oczy. Tyle tylko, że Jackowi nie mogłam tego powiedzieć.

– W domu. Nie chciałam, żeby dzieci zostały same. Napisałam mu esemesa, że wpadłam do was na wino i niedługo wrócę.

Gdybym spróbowała tę historię wcisnąć Elce, natychmiast by się zorientowała, że to kit. Ale Jacek, pomimo licznych zalet, był facetem. Faceci nie chwytają niuansów. Faceci kupują wszystko jak leci.

– Nie wiem, czy tak niedługo, bo jeszcze cię musimy przesłuchać. Dasz radę?

– Dam – odpowiedziałam szybko.

To idiotyczne, ale zrobiłabym wszystko, żeby spotkanie z Tomkiem odsunąć od siebie, ile tylko się da.

– Zaraz ci tu kogoś przyślę – wstał energicznie. – Ja muszę iść. Prokurator czeka.

No i przysłał.

Sierżant Pastuszko musiał mieć koło trzydziestki, ale wyglądał najwyżej na lat osiemnaście. Niezbyt poważną powierzchowność rekompensował wysokim wzrostem, toteż kiedy usiadł obok mnie na niskiej ławeczce, kolana podjechały mu prawie pod brodę. Zdecydowanie nie była to pozycja, w której mógłby zapisywać cokolwiek. Pokręcił się chwilę, w końcu jakimś cudem udało mu się ulokować notatnik na wąskim, drewnianym oparciu ławki. Pstryknął długopisem, jakby repetował broń, i odchrząknął. Potem znowu pstryknął długopisem. I znowu odchrząknął.

– Proszę pytać – zachęciłam go.

Sierżant Pastuszko odchrząknął po raz trzeci.

– To moje pierwsze – wyznał cicho.

– Pierwsze co? – zdziwiłam się.

– Pierwsze morderstwo – wyjaśnił. – Bo potrącenie ze skutkiem śmiertelnym raczej się nie liczy.

Pokiwałam głową ze współczuciem.

– Moje też – pocieszyłam go. – I, mam nadzieję, ostatnie.

Och, jakże grubo się myliłam.

Przesłuchanie trwało czterdzieści minut, z czego większość czasu zajęło notowanie moich słów przez złożonego w paragraf Pastuszkę. Wypytał mnie dokładnie o wszystko, od momentu wyjścia z domu aż do chwili znalezienia denatki. Na koniec poprosił o moje dane i numer telefonu, a potem wstał, rozprostował swoje dwa metry i sobie poszedł.

Poczekalam chwilę, mając nadzieję, że może coś się jeszcze komuś przypomni, ale się nie przypomniało. Nikomu nie byłam potrzebna, nikogo już nie interesowałam. Nie pozostało mi więc nic innego, jak wracać do domu.

Mieszkaliśmy w dużej, piętrowej, otynkowanej na biało willi. Została zbudowana na początku lat osiemdziesiątych, dlatego roilo się w niej od skosów, łuków, półpięter i balustrad, a stromiznami dachu dałoby się obdzielić kilka baczek. Wcześniej należała do moich rodziców i od razu uprzedzę pytanie: nie, nie dostaliśmy jej w spadku. Rodzice żyli i każde z osobna cieszyło się całkiem dobrym zdrowiem, niestety razem nie cieszyli się już niczym. Jakieś osiem lat temu mama nakryła bowiem ojca uprawiającego seks z recepcjonistką, dziewczyną o imponującym biuście i dużo mniej imponującym intelekcie. Pikanterii całej historii dodaje fakt, że działo się to na fotelu dentystycznym w gabinecie ojca, właściciela prywatnej praktyki stomatologicznej. Matka natychmiast kazała mu się pakować i wynosić z domu, a po przeprowadzeniu bardzo korzystnego dla siebie rozvodu postanowiła zacząć nowe życie.

– Nigdy nie lubiłam tego miejsca – wyznała szczerze, oddając mi klucze do willi.
– Ale wam na pewno będzie tutaj bosko. – Po czym wyprowadziła się do Warszawy, zostawiając nam dwieście dwadzieścia metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej i dwa tysiące metrów działki. Bardzo miło. Jakoś mi wtedy nie przyszło do głowy, że historia lubi się powtarzać.

Na parterze było już ciemno, światło świeciło się tylko w oknie naszej sypialni. Weszłam do domu najciszej, jak się dało, a psu, który pchał się za mną, zamknęłam drzwi przed nosem. Jego beztraskiej i hałaśliwej obecności raczej nie dałoby się ukryć, a ja za żadne skarby nie chciałam, żeby Tomek zorientował się, że wróciłam. Pozbywszy się w sionce butów, na bosaka przemknęłam przez ciemny przedpokój i wślizgnęłam się do kuchni. Tu było względnie bezpiecznie. Przysiadłam na jednym z krzeseł i przez chwilę tkwiłam bez ruchu, nasłuchując, ale w całym domu panowała cisza zmacona tylko swojskim i uspokajającym buczeniem lodówki.

Nie wiem, dlaczego akurat w tym momencie doszła do głosu ta część mojej osobowości, którą nazywam pieszczotliwie „mały masochista”, i kazała mi sięgnąć do tylnej kieszeni dzinsów i wyjąć z niej pechowy rachunek z Empiku. Mały masochista, wyjątkowo skuteczna cholera, oczywiście bez problemu osiągnął zamierzony efekt, bo

zabolało. Zabolało potężnie. I nic poza tym. Nie spłynęło na mnie żadne olśnienie, nie pojawiła się mobilizacja ani żadna nadludzka odwaga, która popchnęłaby mnie do konfrontacji z mężem. Za to poczułam głód. Wilczy.

Wiem, wiem, otwieranie lodówki po północy powinno być karane sędownie, ale naprawdę nie miałam innego wyjścia, bo za chwilę burczenie z mojego brzucha postawiłoby na nogi cały dom. Zrobiłam więc sobie kanapkę z żółtym serem i wróciłam do stołu, żeby dalej smutno kontemplować dowód zdrady Tomka.

– Magda?

Nie wiem, jak to się stało, że nie usłyszałam jego kroków. No, ale nie usłyszałam. Zamarłam z kanapką w ręku i ze świadomością, że tuż za mną stoi mój mąż i za sekundę zauważy leżący na środku stołu rachunek. A ponieważ ciągle nie byłam przygotowana na konfrontację, upuściłam kanapkę. Upadła dokładnie na kwitek, co dało mi jakieś pięć sekund, bo kanapka na środku stołu to nie było coś, co mój mąż mógłby tolerować dłużej.

– Przepraszam – bąknęłam, podnosząc kanapkę razem z rachunkiem. Sprytna ja. Tylko co mam dalej zrobić z tym cholernym świstkiem?

Ratunek przyszedł w postaci *Jadłonomii*, którą przeglądałam po południu w poszukiwaniu jakiegoś przepisu, zostawiłam otwartą i zapomniałam schować. Poderwałam się więc z krzesła i zasłaniając sobą blat, wsunęłam papierek między strony książki. Tak, to była najlepsza kryjówka pod słońcem. Kto jak kto, ale Tomek do książek kucharskich nie zaglądał nigdy. Potem, już spokojna, odwróciłam się do mojego męża, który patrzył na mnie z coraz większym zdziwieniem.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał karcąco, i w tym momencie zauważył moje zapuchnięte od płaczu oczy i czerwony nos. – Coś się stało?

A ja, zamiast: „Wiem, że mnie zdradzasz”, odpowiedziałam:

– Na skwerze przed urzędem zamordowano kobietę. Znalazłam zwłoki.

ROZDZIAŁ 3

Noc spędziłam skulona na swojej połowie łóżka, wpatrując się w majaczącą przede mną w ciemnościach ścianę. Nie, żeby była jakąś wyjątkowo interesującą ścianą, po prostu nie byłam w stanie robić nic innego. W każdym razie na pewno nie byłam w stanie spać, ponieważ każde zamknięcie oczu uruchamiało wyobraźnię. A wyobraźnia usłużnie podsuwała mi wizję Tomasza w łóżku z jakąś cizią. Co rzecz jasna nie wpływało dobrze na moją rozklekotaną psychikę. Leżałam więc owinięta kołdrą, modląc się, żeby mój mąż nie podejmował już więcej prób pocieszania mnie.

Jedną podjął w kuchni, kiedy powiedziałam mu o zbrodni. Widocznie uznał, że naprawdę mam prawo być roztrzęsiona, bo zaproponował, że zrobi mi herbatę, co nie zdarzało mu się zbyt często, i przebiegła mi nawet przez głowę złośliwa myśl, że przynajmniej do czegoś się ten trup przydał.

Tak więc zrobił mi tę herbatę i próbował nawet przytulić, w sensie mnie, nie kubek, ale się odsunęłam. Przy czym to „odsunięcie” miało energię panicznego odskoku, bo dotknięcia Tomka po prostu bym nie zniosła. Na szczęście mój mąż złożył to nerwowe zachowanie na karb stresu, szoku i w ogóle wszystkiego, z czym miałam przez ostatnie dwie godziny do czynienia.

– Chcesz o tym porozmawiać? – rzucił klasycznym cytatem z amerykańskiego filmu obyczajowego i z wyraźną ulgą przyjął moją wyjątkowo stanowczą odpowiedź:

– Nie!

Potem zamknęłam się w łazience na dobre pół godziny, a kiedy w końcu stamtąd wyszłam, już spał.

Wślizgując się pod kołdrę, miałam wielką nadzieję, że kiedy się obudzę następnego dnia, dzisiejszy wieczór okaże się koszmarnym snem, złudzeniem, wytworem wyobraźni. Niestety moment przebudzenia nie został mi dany, bo przez

całą noc nie zmrużyłam oczu. Druga, trzecia, czwarta. Ciemność powoli przeszła w szarówkę, szarówka w świt. Wśród drzew zaczęły rozbrzmiewać pojedyncze głosy ptaków, które po jakimś czasie zlały się w jeden głośny, trochę chaotyczny chór. Z zaspanym stukotem przejechała pierwsza kolejka w stronę Warszawy, a w okno sypialni zajrzało słońce. Kiedy jeden ze złotych promieni odnalazł szparę w zasłonach, prześlizgnął się przez nią i przeciął na pół łóżko, dzieląc świetlistą linią demarkacyjną nasze ciała, uznałam, że czas wstawać. Była szósta dwanaście.

Najostrożniej jak umiałam wysunęłam się z łóżka i poszłam do kuchni zrobić sobie kawę. Dom wyglądał zupełnie zwyczajnie, jak każdego innego poranka. Otworzyłam drzwi tarasowe, wpuszczając do domu obrażonego psa, zrzuciłam klapki i bosy wyszłam na wilgotną od rosy trawę. Powietrze było rześkie, pachniało świeżą zielenią młodych liści i zbliżającym się latem, ale ja zamiast radości poczułam wzbierający w gardle płacz. Nieszczęścia nie powinny przydarzać się w maju. Listopad, proszę bardzo. Ewentualnie październik. Ale maj? Jak można schrzanić komuś najpiękniejszy miesiąc roku?

Wróciłam do kuchni i zdążyłam wstawić kawę, kiedy moja komórka dźwięknęła sygnałem esemesa. Otworzyłam wiadomość. Była od Jacka Sikory. „Wpuścisz mnie?”

Jacek najwyraźniej tej nocy również nie spał. Był nieogolony, miał podkrążone oczy, a na sobie tę samą koszulę, w której widziałam go poprzedniego wieczoru. No i śmierdział papierosami, a Elka nie pozwalała mu palić w domu. Właściwie, prawdę mówiąc, w ogóle nie pozwalała mu palić.

– Nie wyglądasz dobrze – zauważyłam.

– Ty też nie.

– Kawy?

Opadł na krzesło jak worek kartofli.

– Całą noc piłem kawę. Mam w żyłach kofeinę zamiast krwi. Zrób mi herbaty.

Zalałam mu wrzątkiem torebkę Earl Greya i postawiłam kubek na stole. Jacek przysunął go do siebie i przez chwilę wpatrywał w unoszącą się nad powierzchnią

parę.

– Czy poznałabyś tego człowieka, którego wczoraj widziałaś na Modrzewiowej? – zapytał w końcu.

Wyobraziłam sobie siebie przed weneckim lustrem, dokonującą identyfikacji. Przez plecy przebiegł mi dreszczyk emocji. Niestety natychmiast uświadomiłam sobie, że na taką atrakcję nie mam co liczyć.

– Nie, na pewno nie. Nie widziałam jego twarzy.

A ponieważ poczułam coś na kształt wyrzutów sumienia, że nie mogę pomóc, odruchowo dodałam:

– Przepraszam.

– Przepraszasz? A za co? – Jacek jakby się lekko rozbudził.

– Że mu się lepiej nie przyjrzałam.

– Rzeczywiście, błąd. W ogóle się dziwię, że mu nie zrobiłaś zdjęcia. Albo że go od razu nie zatrzymałaś. Teraz mamy przez ciebie kupę roboty.

– Nie nabijaj się ze mnie!

– To nie pieprz głupot – powiedział łagodnie. – Wiesz, że nie znoszę tego twojego wiecznego przepraszania. Wszystkich. Za wszystko.

Ja w sumie też tego nie znosiłam. Bo nie jest łatwo żyć, kiedy przeprasza się nawet sklepowy stojak z gazetami, który się przez nieuwagę potrąciło.

– A wracając do tego gościa na Modrzewiowej. Nic ci się nie rzuciło w oczy? Nic charakterystycznego? W sylwetce, w ubraniu? Przypomnij sobie.

Pokręciłam gwałtownie głową.

– Wszystko powiedziałam Pastuszce.

– Zgubił notes.

– Słucham?

– Żartowałem. – Jacek upił łyk herbaty, parząc sobie wargi. – Po prostu potrzebuję więcej szczegółów. Postaraj się, to ważne.

Miał rację. To było ważne. Zaczęłam mozolnie grzebać w pamięci.

– Śmierdział alkoholem.

Jacek parsknął.

– Świetnie! Zaraz wyślę patrol na miasto, niech obwąchują mieszkańców.

– Jesteś wredny.

– Nie wredny, tylko zmęczony. Wysił się trochę.

Zamknęłam oczy i spróbowałam się skupić. I nagle rzeczywiście coś mi się przypomniało.

– Nie jestem pewna – zaczęłam ostrożnie – ale wydaje mi się, że utykał.

Jacek aż się wyprostował.

– No, to już jest jakiś konkret. Na którą nogę?

– Nie wiem.

– Skup się! Na którą?

– Chyba na lewą. Tak, na pewno na lewą.

Zanim skończyłam mówić, Jacek już miał w ręku komórkę i przekazywał informację Pastuszce, któremu najwyraźniej sen tej nocy również nie był dany.

– Myślisz, że to on ją zamordował? – spytałam, kiedy odłożył telefon.

– Na tym etapie śledztwa nie myślę, tylko ustalam fakty. A fakty są takie, że spotkałaś gościa dwieście metrów od miejsca zbrodni. Nawet jeżeli nie zabił, to mógł coś widzieć albo słyszeć. Musimy go znaleźć. To wszystko.

Przed oczami stanął mi widok sprzed kilku zaledwie godzin – leżąca na plecach kobieta, rozrzucone na ziemi poły jasnego płaszcza i ten dziwny metalowy przedmiot, którym została zamordowana, zanurzony w kałuży krwi. Wzdrygnęłam się.

– To straszne – powiedziałam cicho. – A wiecie już, kim ona była? Ta ofiara, znaczy?

– Jeszcze nie. Nie miała przy sobie dokumentów, a jak na razie nie wpłynęło żadne zgłoszenie o zaginięciu, z którym można by ją było połączyć. Za wcześnie.

– Kiedy ją widziałam, miała przy sobie torebkę.

– Wiem, czytałem twoje zeznania. Nie znaleźliśmy torebki. Nie miała też żadnej biżuterii, dlatego podejrzewamy, że to zabójstwo na tle rabunkowym.

– Tyle że mordercy często pozorują rabunek, żeby odsunąć podejrzenia od

prawdziwego motywu – uświadomiłam mojemu przyjacielowi, oficerowi policji.

Sikora wzniosł oczy w górę.

– Ktoś tu się naczytał kryminałów.

– A co w tym złego?

– Kryminały to jedna wielka ściema.

– Czy dlatego, że policjanci są w nich przystojni, inteligentni i skuteczni?

Sikora odsunął krzesło od stołu i wyprostował nogi.

– Dobra, nie twierdzę, że tak się nie zdarza. Ale akurat w tym wypadku motyw rabunkowy jest bardzo prawdopodobny. Wiele faktów do niego pasuje, nawet ten twój, pozał się Boże, rysopis. Załóżmy, że jakiś menel potrzebował gotówki na flaszkę, więc ruszył w miasto. Namierzył ogród bez psów i monitoringu, dostał się do środka, ale nie znalazł tam nic, co dałoby się ukraść, żadnej kosiarki, żadnych rowerów, tylko ten szpikulec. Zabrał go więc, żeby opchnąć na skupie złomu.

– A co to w ogóle jest? Pogrzebacz?

– Nie. Pręt do pieczenia kiełbasek. Tutaj ludzie mają duże ogrody, więc robią sobie często specjalne miejsce na ognisko. I żeby nie latać po okolicy w poszukiwaniu patyków, zamawiają takie cuda – metalowe, solidne. I ciężkie. Na skupie zawsze parę złotych za to dostaniesz. Potem nasz sprawca spotkał na ulicy elegancko ubraną kobietę. Może ją poprosił o parę złotych, a ona nie chciała mu dać, zaczęli się szarpać. Albo od razu zaatakował. To oczywiście tylko teoria, ale dość prawdopodobna.

– Dlaczego ukradł tylko jedną sztukę? – spytałam. – Jeżeli, tak jak mówisz, ten sprzęt służy do pieczenia kiełbasek, to musiało być tego więcej. Sześć, osiem. Dlaczego ukradł tylko jeden?

– Magda, a skąd ja mam wiedzieć? – zirytował się. – Może wziął wszystkie, ale mu wypadły, gdy przechodził przez płot? Najważniejsze, żeby tego gościa znaleźć i porównać odciski palców.

Zastrzygłam uchem.

– Macie odciski palców mordercy?!

Jacek odchrząknął.

– Hm... Pamiętaj, że oficjalnie nie mogę przekazywać żadnych informacji na temat

śledztwa.

– Och, przestań. Przecież jestem świadkiem, który znalazł zwłoki, nie dziennikarską hieną. Były na narzędziu zbrodni?

– Owszem – podniósł się. – Muszę iść. Pozdrów Tomka.

– A ty Elkę.

– Nie sądzę, żebym się z nią dzisiaj zobaczył.

I wyszedł. A ja, żeby nie eksplodować, zabrałam się za pieczenie biszkoptu z truskawkami.

ROZDZIAŁ 4

Ogłoszenia duszpasterskie. Dawno nie powitałam z taką ulgą tych dwóch słów, wypowiedzianych beznamiętnym tonem przez odprawiającego niedzielą liturgię księdza. Oznaczały one bowiem, że msza święta dobiega końca, a dzisiaj wyjątkowo trudno było mi na niej wytrzymać. Gdyby nie to, że odruchowo usiadłam w jednej z pierwszych ławek, uciekłabym z kościoła po kwadransie. Ale przeciskanie się między ludźmi z pewnością wzbudziłoby zainteresowanie, więc zacisnęłam zęby i wytrwałam.

Prawda jest taka, że nie należę do osób specjalnie uduchowionych. Owszem, czasami udaje mi się na tyle skupić, żeby dotknąć modlitwy, a nie rytuału, ale dziś w ogóle nie było o tym mowy. Zajmowałam się wyłącznie odganianiem uporczywych myśli i trzymaniem fasonu.

– Związek małżeński zamierzają zawrzeć...

Jak zwykle podczas zapowiedzi pomyślałam o Tomku, ale po raz pierwszy naprawdę się ucieszyłam, że go ze mną nie ma. Jego obojętne nastawienie do spraw wiary kiedyś bardzo mnie uwierało. Miałam głęboko zakodowane, że do kościoła chodzi się całą rodziną, ale każda próba wyciągnięcia Tomka razem z nami na mszę kończyła się porażką. Oraz spaprana jego fochami niedzielą. Więc odpuściłam i dzięki temu dzisiaj mogłam dziękować Bogu, że mój mąż nie siedzi obok mnie w ławce. Tego z pewnością bym nie zniosła.

– Na koniec czuję się w obowiązku poinformować was, moi kochani, o strasznej tragedii, która miała miejsce wczoraj w nocy.

Zamarłam.

– Zaledwie kilkaset metrów od naszej świątyni dokonano brutalnego morderstwa, którego sprawców szuka teraz policja. Pomódlmy się w intencji ofiary – młodej, niewinnej kobiety, której życie zostało tak bezwzględnie przerwane. Wieczny

odpoczynek racz jej dać Panie.

Właściwie mogłam się tego spodziewać. W małym miasteczku, jakim jest Podkowa, informacje rozchodzą się przecież lotem błyskawicy. O tym, kto znalazł zwłoki, też już zapewne wszyscy wiedzą. Aż mi ciarki przeszły po plecach na myśl, że będę musiała odpowiadać na pytania żądnych sensacji sąsiadów. Kiedy więc tylko organista zaczął zawodzić pieśń na wyjście, przeżegnałam się szybko i popchnęłam dzieci w kierunku bocznych drzwi. Boczne drzwi dawały nadzieję, że wymknę się niezauważona.

Wyszliśmy z kościoła jako jedni z pierwszych. Wyjęłam z torebki ciemne okulary i wsunęłam na nos, a potem ruszyłam szybko skrajem kościelnego dziedzińca w kierunku najbliższej furtki w nadziei, że nikt mnie nie zatrzyma. Nagle do moich uszu dobiegło ciche, choć wyraźne:

– Magdziu!

Och, błagam, tylko nie Bieleccy!

Ale oczywiście, to byli oni. Nikt poza panią Bielecką nie mówił już do mnie Magdziu. Stali pod pergolą jakieś pięć metrów od nas.

– Och, dzień dobry państwu! – entuzjazm w moim głosie nie był niestety szczery.

Podeszli do nas powoli: wysoki, szczupły mężczyzna o pooranej zmarszczkami twarzy i kobieta o błękitnych, bardzo smutnych oczach. Byli dokładnie w wieku moich rodziców, ale tragedia, która ich dotknęła, sprawiła, że wyglądali o dziesięć lat starzej.

– Magdusia. – Bielecka próbowała uśmiechnąć się na mój widok. Bez powodzenia. – Miło cię widzieć, kochanie.

Kaja i Kuba przywitali się grzecznie. Pani Bielecka powiedziała coś na temat tego, jak szybko rosną dzieci, a potem staliśmy dłuższą chwilę naprzeciwko siebie bez słowa, nie bardzo wiedząc, o czym tak naprawdę moglibyśmy rozmawiać. W końcu pan Bielecki odchrząknął i odezwał się szorstko, prawie niechętnie:

– Co tam u ciebie?

– Wszystko w porządku, dziękuję.

– Rodzice zdrowi?

– Zdrowi.

– Mamy dawno tu nie widziałem.

– To już osiem lat, odkąd się rozwiedli – przypomniałam mu.

Bielecki pokiwał głową.

– Ale ten czas szybko leci.

Niestety zdanie o upływie czasu natychmiast przywołało inne wspomnienia. Choć tak naprawdę nie przywołało – to, co stało się siedemnaście lat temu, było obecne między nami przez cały czas.

– Wpadłabyś do nas kiedyś na herbatę – zaproponowała pani Bielecka. Jak zawsze, kiedy się spotykaliśmy. Na co ja, również jak zawsze, odpowiedziałam:

– Wpadnę. Na pewno wpadnę.

Oczywiście kłamałam, a oni doskonale o tym wiedzieli. Od tamtego lata nigdy u nich nie byłam. Przypadkowe spotkania, rzadkie i bezpiecznie krótkie, i tak wiele nas wszystkich kosztowały.

– Tylko zadzwoń wcześniej – pouczył pan Bielecki. – Czasami wyjeżdżamy do syna, do Otwocka.

– Zadzwonię.

Bielecka pogłaskała mnie po policzku szczupłą, bladą dłonią, poprzecinaną błękitnymi nitkami żyłek.

– Do widzenia, kochanie, do widzenia.

Powoli odeszli. Wiedziałam, że nie mają się do czego spieszyć. A ponieważ ja też nie miałam, zabrałam dzieci i zamiast w stronę domu, ruszyliśmy w kierunku ulicy Lotniczej, przy której mieszkali Elżbieta i Jacek.

– Espresso?

– Podwójne. Albo lepiej potrójne.

– Jasne. I erka.

– Szpital? To by mnie nawet urządzało.

Siedziałam przy kuchennym stole u Sikorów i obserwowałam, jak Elka uruchamia ekspres do kawy. Wysoka, szczupła, o długich prawie do pasa gęstych ciemnych włosach, ubrana w kolorową sukienkę i bosa skojarzyła mi się nagle z Pocahontas, bo odkąd do kina chodziłam głównie z dziećmi, właśnie tacy bohaterowie wypełniali moją wyobraźnię.

– Fajnie, że wzięłaś młodych. Natałka uwielbia, gdy przychodzą – powiedziała, odstawiając puszkę z kawą do szafki.

Przez wychodzące na ogród okno widać było trzy podskakujące na trampolinie dziecięce postaci. Natałka, córka Eli i Jacka była rezolutną czwartoklasistką i świetnie dogadywała się zarówno z Kają, jak i z Kubą. Bezcenna, niedana mi umiejętność. Czasami, kiedy rodzeństwo przeżywało kryzys, wypożyczałam ją, żeby odegrała rolę negocjatora. Albo buforu, jak kto woli.

Promienie słońca, załamujące się w wiszącym w oknie kryształach, tańczyły po podłodze tęczowymi smugami, na jednym z krzeseł spał zwinięty w kłębek kot. Ekspres wydał z siebie ciche syknięcie, a powietrze wypełnił intensywny aromat świeżo parzonej kawy. Skupiłam wzrok na kapiącym do filiżanki płynie. Przez chwilę ten widok działał na mnie uspokajająco, ale kiedy spłynęły ostatnie krople, natychmiast mi się przypomniało, że mój świat to teraz popioły i zgliszcza.

– Fatalnie się czuję – oznajmiłam.

Elżbieta postawiła przede mną filiżankę, a potem objęła mnie mocno i przytuliła.

– Naprawdę mi przykro. To musiał być dla ciebie straszny wstrząs.

– Chyba najgorsze, że się tak kompletnie tego nie spodziewałam. Żyjesz sobie spokojnie, normalnie, bezpiecznie, a tu nagle... – głos zaczął mi niebezpiecznie drżeć, więc zabrałam się za słodzenie kawy.

– Kochanie, nikt wychodząc na spacer z psem nie zakłada, że znajdzie zwłoki – przerwała mi Elka miękko. – Mam ciasto. Chcesz?

I nie czekając na odpowiedź, otworzyła piekarnik.

– Chcę. Ale ja nie mówię o zwłokach. Mówię o Tomku!

Elka wyprostowała się gwałtownie, odstawiła blachę na kuchenkę i odwróciła się

do mnie, a w jej oczach zobaczyłam bezbrzeżne zdziwienie.

– To ty serio z tą kochanką?

– Oczywiście, że serio.

Moja najlepsza przyjaciółka patrzyła na mnie tak, jakbym była ostatnim żywym egzemplarzem ptaka dodo, odnalezionym w dżungli Mauritiusu.

– Uważam, że musimy poważnie porozmawiać – oznajmiła, sięgając po nóż. – Brzeg czy środek?

– Wszystko jedno.

Elżbieta wbiła ostrze w ciasto.

– Cienkie mi jakieś wyszło – stwierdziła mimochodem. – Jak ty to robisz, że tobie zawsze wyrasta?

– Jestem kurą domową – wzruszyłam ramionami. – Mnie musi.

I po chwili dodałam:

– Myślisz, że ona dobrze gotuje?

Elżbieta jęknęła.

– Węglowodany. Potrzebuję węglowodanów.

Nałożyła sobie ogromny kawał ciasta i zaczęła systematycznie pochłaniać. Patrzyłam na to z zazdrością. Elka była chuda jak patyk i nigdy w życiu nie stosowała żadnej diety. Mogła jeść od rana do wieczora, a przyśpieszona przemiana materii, którą została obdarowana przez naturę, radziła sobie z każdą ilością kalorii. W ogóle Elka miała wszystko przyśpieszone. Każdą czynność, która mnie zajęłaby kwadrans, Elka wykonywała w minutę. Może dlatego ilość aktywności w jej życiu znacząco przewyższała to, co działo się w moim. Elżbieta była dyrektorką miejskiej biblioteki, wychowywała dziecko i uprawiała kilka sportów naraz. W ogóle kipiała energią. Ciągłe coś wymyślała, upiększała, tworzyła. Potrafiła sama uszyć sobie kieckę i sama odmalować starą szafkę, sama też produkowała zaproszenia na biblioteczne eventy. Była ciepła, radosna i wszechstronnie uzdolniona. Reasumując: jej ciasta naprawdę nie musiały wychodzić.

– Opowiadaj – zażądała, przełykając ostatni kęs. – Po kolei. Wszystko.

No to opowiedziałam. Łaskawie mi nie przerywała, choć widziałam, że bardzo ją

korci.

– I w ten sposób całe moje życie legło w gruzach – zakończyłam patetycznie. – Co ty byś zrobiła na moim miejscu?

– Nie jestem na twoim miejscu – rzeczowo stwierdziła moja najlepsza przyjaciółka. – Ale gdybym to ja znalazła coś podejrzanego w rzeczach Jacka, po prostu bym go o to zapytała.

Pokręciłam gwałtownie głową.

– Odpada.

– Dlaczego?

– Boję się go. Nie dam rady. Zresztą próbowałam wczoraj. Bez szans.

– OK. W takim razie poradzę ci coś, czego sama bym pewnie nie zrobiła, bo to trochę nieetyczne i tak dalej. Ale w tej sytuacji nie widzę wyjścia. Spróbuj pogrzebać.

– Co masz na myśli? – spytałam ostrożnie.

– Komórka – wyjaśniła Elżbieta. – I poczta elektroniczna. Jeżeli ma kogoś, musiał zostawić ślady.

ROZDZIAŁ 5

Do domu wracaliśmy w fatalnych nastrojach. Ja, ponieważ rozwiązanie podsunęte przez Elkę było co najmniej ryzykowne i wymagało zapewne jeszcze więcej odwagi niż otwarta rozmowa z Tomkiem. Całą drogę wyobrażałam sobie, jak mój mąż nakrywa mnie grzebiącą w swoim komputerze i nie była to wizja optymistyczna. Natomiast zły nastrój moich dzieci wynikał stąd, że musiały zejść z trampoliny. Nie wiem, skąd one biorą tyle siły, gdybym ja skakała na trampolinie czterdzieści minut, umarłabym. W sumie myślę, że umarłabym po kwadransie. Kaja i Kuba natomiast czuli wyłącznie niedosyt, w związku z tym jęczeli i smęcili, i nawet wizja popołudniowego kina, którą starałam się przed nimi roztoczyć w jak najjaśniejszych barwach, niewiele pomogła. Byli obrażeni i już.

Kiedy w końcu dotarliśmy do domu, dzieci powlokły się na górę, dogadując sobie po drodze, a ja stanęłam przy oknie i zaczęłam obserwować męża, który oddawał się jednej ze swoich ulubionych czynności, czyli koszeniu trawy. Myślę, że podporządkowywanie sobie natury, nawet w tak niewielkim wymiarze, musiało mu dawać ogromne poczucie satysfakcji.

Tomasz prowadził właśnie kosiarkę brzegiem trawnika, a zielone drobiny zmielonych źdźbeł przyskały na jasny żwir alejki. W pewnym momencie zatrzymał się i nachylił, żeby obejrzeć skoszony fragment. Po sposobie, w jaki przejechał dłonią po trawie, domyśliłam się, że coś jest nie tak. Zwykle w takich momentach moje serce zamierało, a ja w panice zaczynałam się zastanawiać, czy niezadowolenie mojego męża nie jest czasem spowodowane jakimiś moimi działaniami. Lub ich brakiem. Tym razem na szczęście nie musiałam się niepokoić – od dwóch lat, kiedy Tomasz za ciężkie pieniądze nabył wypasioną spalinową Makitę, nie wolno mi było dotykać kosiarki. Taka profilaktyka.

Nie powiem, żebym jakoś specjalnie z tego powodu cierpiała. Lubię nasz ogród, ale wolę używać narzędzi, których obsługa nie wymaga posiadania doktoratu na

politechnice. Takie narzędzia to według mnie grabie, szpadel, ewentualnie sekator. I nie, nie kryguję się. Po prostu znam siebie. A zakaz używania kosiarki wziął się stąd, że Tomek również mnie zna. Przynajmniej od tej strony.

Nagle tuż przed moim mężem wyrósł Alf i z wrodzonym sobie wdziękiem wypluł mu pod nogi tenisową piłkę. Tomasz tupnął na psa, próbując go przegonić, ale do Alfa to zupełnie nie docierało. Merdając ogonem, biegał dookoła, traktując całe zajście jako dobrą zabawę.

– Głupi pies! – usłyszałam. – Idź sobie!

Niestety, Tomasz za Alfem nie przepadał. Być może jakiś wpływ na tę antypatię miał stan naszego ogrodu, któremu wielki, energiczny pies raczej nie wychodził na zdrowie. Myślę, że mój mąż do dzisiaj przeklina dzień, w którym Alf u nas zamieszkał, zwłaszcza że okoliczności towarzyszące jego pojawieniu się nie były jednoznaczne. Owszem, w wersji oficjalnej dzieci znalazły go pod naszą furtką, jednak ja na miejscu mojego męża z pewnością zadałabym sobie pytanie, jak to możliwe, żeby ośmiotygodniowy, energiczny szczeniak tak sobie siedział spokojnie i czekał, aż ktoś się nim zaopiekuje. Na szczęście Tomasz psów nie lubił i dzięki temu kompletnie się na nich nie znał, dlatego przyjął tę historię za dobrą monetę. Do tego stopnia, że zamiast natychmiast wywieźć psa do schroniska, ugiał się i zgodził, żeby szczeniak został na jedną noc. A potem nie dało się go już odebrać dzieciom i było pozamiatane. Poza tym skąd mój mąż miał wiedzieć, że z małej, stosunkowo nieszkodliwej kulki wyrośnie kudłate ciele? Ciele, które wnosi na futrze do domu liście, śnieg i błoto, które rysuje potężnymi pazurami podłogę, depcze trawnik, wyciera brudny pysk w kanapę i zostawia smugi śliny na świeżo umytych drzwiach tarasowych? Nie. Na przyjaźń między nimi zdecydowanie nie było tu miejsca.

A jednak teraz, namawiany przez psa do zabawy, schylił się w końcu i podniósł piłkę. Nawet stąd widziałam, jak krzywi się z obrzydzeniem, biorąc w dwa palce pokrytą brudną śliną zabawkę. Alf wpadł w euforię i zaczął skakać dookoła Tomka, ujadając ze szczęścia. Mój mąż rozejrzał się, wziął zamach i piłka poleciała w sam środek żywopłotu, który oddzielał naszą działkę od sąsiedniej. Tomasz odczekał, aż włochaty szajbus zniknie w krzakach, a potem wytarł dłoń o trawę, sięgnął do

kieszeni, wyjął z niej telefon komórkowy i zaczął pisać esemes.

Ciekawe, do kogo.

ROZDZIAŁ 6

Janki to najbliższe położone od Podkowy centrum handlowe z prawdziwego zdarzenia, bo Galerii Podkowa ani Galerii Brwinów nikt tak naprawdę nie traktuje serio.

Ja mam do Janek taki sam stosunek jak do wszystkich tego typu miejsc – toleruję je w dni powszednie w godzinach przedpołudniowych, a w weekendy staram się unikać jak ognia. Oczywiście, nie zawsze się to udaje.

Parking był zapchany aż po horyzont, ale Tomkowi jakimś cudem udało się znaleźć miejsce na wysokości Cinema City. Wysiedliśmy z samochodu w dość różnych nastrojach: ja wykończona dwudziestoma minutami w zamkniętej przestrzeni auta z facetem, który mnie zdradza, dzieci podekscytowane perspektywą kina, a Tomasz, jak to on, generalnie zde gustowany. Ponieważ do seansu było jeszcze czterdzieści minut, najpierw poszliśmy odebrać zamówione bilety, a następnie – oddać garnitur do pralni. Żeby się do niej dostać, musieliśmy się przebić przez część restauracyjną. Chyba każdy, kto choć raz odwiedził jakiegokolwiek centrum handlowe w niedzielne popołudnie, wie, o czym mówię.

W momencie, w którym próbowaliśmy ominąć gigantyczną, kilkuczęlonową kolejkę przed KFC, przez szum rozmówi nachalną muzykę przebił się niski, donośny głos:

– Pani Magdo!

Od stojącego kilka metrów dalej stolika podniósł się wysoki, szpakowaty mężczyzna i pomachał w naszą stronę.

Rudnicki?

Rudnicki był lekarzem weterynarii i właścicielem jednej z dwóch podkowieńskich lecznic dla zwierząt. Cieszył się świetną opinią, a do jego gabinetu ustawiały się długie kolejki. Wiem coś na ten temat, bo sama często musiałam w nich swoje

odczekać. Alf uwielbiał pana doktora, ja uwielbiałam pana doktora, moje dzieci również go uwielbiały, tylko mój mąż za nim nie przepadał. Jak za wszystkim, co kojarzyło się ze zwierzętami.

Rudnicki podszedł do nas i na powitanie szarmancko pocałował mnie w rękę.

– Witam panią, pani Magdo.

Ze swoją przystojną, grubo ciosaną twarzą o silnie zaznaczonym podbródku, szerokimi barami i dwoma metrami wyglądał trochę jak wilk morski, który bezpiecznie przeprowadzi każdy statek przez największy sztorm.

– Witam pana – odwrócił się do Tomasza. – Widzę, że państwo rodzinie.

– Idziemy do kina – odpowiedział Tomasz oficjalnym tonem. – I chcemy jeszcze przed seansem coś załatwić.

– Rozumiem, oczywiście. – Rudnicki uśmiechnął się przepraszająco. – Ale gdyby pani doktor mogła mi poświęcić minutę.

Zarumieniłam się, słysząc, jak się do mnie zwraca.

– To może ty pójdziesz z dziećmi do pralni, a ja tu z panem chwilę zostanę? – Podjęłam nieśmiałą próbę uwolnienia się od męża, która rzecz jasna zakończyła się niepowodzeniem.

– Przecież pan doktor mówi, że to nie potrwa długo – odpowiedział Tomek. – Chętnie uczestniczę.

Tak, mój mąż zdecydowanie lubił trzymać rękę na pulsie. Zwłaszcza na moim.

Rudnicki odchrząknął.

– W takim razie postaram się streszczać. Jeden z moich lekarzy został potrącony przez samochód. Czeka go teraz szpital, a potem rehabilitacja. Wróci do pracy dopiero w grudniu, a my we dwóch z Walczakiem nie dajemy rady. I pomyślałem o pani, pani Magdo. Co by pani powiedziała na pół etatu u mnie w przychodni?

Nie wierzyłam własnym uszom. Najlepszy weterynarz w okolicy składa mi propozycję pracy? Mnie, roztargnionej kurze domowej, która od lat nie miała do czynienia z zawodem? To brzmiało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. A jednak Rudnicki nie wyglądał na kogoś, kto żartuje. Poczułam radosne podekscytowanie.

O pracy ze zwierzętami marzyłam od zawsze. Kiedy w pierwszej klasie szkoły podstawowej pani kazała dzieciom narysować, kim chciałyby zostać, kiedy dorosną, na moim obrazku znalazła się kobieta w szpilkach, stojąca między klatką z lwem a klatką z żyrafą.

– To kim ty byś chciała być, Madziu? – spytała nauczycielka.

– Dyrektorem ZOO.

Kochałam zwierzęta miłością opiekuńczą, a zarazem zachłanną. Przez całe dzieciństwo hodowałam wszystko, co się hodować dało, począwszy od patyczaków przez rybki, chomikii świnki morskie po papużki faliste. Jakby tego było mało, sprowadzałam do domu bezpańskie psy i koty z całej okolicy, kompletnie nie przejmując się protestami rodziców. W liceum wylądowałam, co oczywiste, w klasie biologiczno-chemicznej, a potem z marszu zdałam na samych piątkach na weterynarię. I choć szybko się okazało, że moje wymarzone studia nie są ani łatwe, ani przyjemne, zwłaszcza dla kobiet, to ukończyłam je z najlepszym wynikiem na roku. Mimo że nie zostałam dyrektorem ZOO, praca w przychodni dawała mi ogromne poczucie satysfakcji oraz – choć brzmi to cokolwiek patetycznie – misji. Ale potem moje życie przestało być tylko moim życiem, a zaczęło być – naszym. I kiedy urodził się Kuba, mój mąż kategorycznie zabronił mi pracować. Oczywiście nie dyskutowałam, zwłaszcza że później na świecie pojawiła się Kaja. Ale dzieci rosły i stawały się coraz bardziej samodzielne, więc od jakiegoś czasu zaczęłam nieśmiało wracać do tematu. W odpowiedzi Tomasz wygłaszał wykłady na temat wartości rodzinnych oraz chorób przenoszonych przez zwierzęta. Myślę, że dla niego moja obecność w domu naprawdę była ważna. Co prawda teoria Elżbiety głosi, że mój mąż po prostu lubi domowe obiady, ale to chyba nie jest do końca sprawiedliwy osąd.

Już otwierałam usta, żeby powiedzieć Rudnickiemu „tak”, właściwie to „tak” wykrzyzczyć, kiedy głos zabrał Tomek.

– Niestety musimy panu odmówić – powiedział takim tonem, jakby odsyłał od furtki nachalnego domokrażcę. – Ustaliliśmy, że dopóki dzieci są małe, żona nie będzie pracować.

Rudnicki wyglądał na lekko zbitego z tropu. Popatrzył najpierw na Kubę, który

czas oczekiwania skracał sobie grą na telefonie komórkowym, potem na wystrojoną w najlepsze ciuchy Kaję. Nie, żadne z nich nie nosiło pieluch, nie ssało smoczka ani nie siedziało w wózku. Wyglądały dokładnie na to, czym były – na zaradnego dwunastolatka i rezolutną dziewięciolatkę. W tym kontekście określenie „małe” mogło wywołać dysonans poznawczy.

– Rozumiem. Ale to są tylko cztery godziny dziennie. Grafik możemy ustalić tak, żeby pani Magdzie było najwygodniej.

Tomasz uśmiechnął się chłodno.

– To bardzo miłe z pana strony, ale odpowiedź brzmi: nie.

Ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

– Musimy już iść.

Skinął Rudnickiemu głową na pożegnanie i ruszył w kierunku pralni.

– Przepraszam, panie doktorze – bąknęłam, zawstydzona zachowaniem męża.

– Nie ma sprawy. Rozumiem. *Concordia domi, foris pax*^[2] – odpowiedział Rudnicki, zbijając mnie z tropu jeszcze bardziej. A potem szybkim, ukradkowym ruchem umieścił w mojej dłoni wizytówkę.

– Tu ma pani mój prywatny numer. Tak na wszelki wypadek. Do zobaczenia.

I odszedł. A ja, zamiast tę wizytówkę natychmiast wyrzucić, spalić, ewentualnie pociąć nożyczkami i spuścić w toalecie, wrzuciłam ją do torebki, nie mając pojęcia, jak daleko idące będą konsekwencje tej decyzji.

[2] *Concordia domi, foris pax* (łac.) – zgoda w domu, pokój na zewnątrz.

ROZDZIAŁ 7

Z Janek wróciliśmy późnym popołudniem. Tomasz, który od spotkania z Rudnickim prawie się do mnie nie odzywał, chwycił ze stojaka z gazetami kilka tygodników i poszedł czytać na taras. Rozciągnięty na rattanowej leżance, przerzucał od niechcenia strony „Polityki” i wyglądał na całkiem zrelaksowanego.

Ale mnie nie interesowało, jak się czuje. Mnie interesowała jego komórka. Elka powiedziała przecież wyraźnie: jeżeli ma kochankę, musi zostawiać ślady. Więc najwyższy czas ich poszukać.

Obserwowałam go dyskretnie. Odebrał jedną rozmowę i jednego esemesa. Za każdym razem, kiedy kończył, natychmiast chował komórkę do kieszeni dżinsów. Uświadomiłam sobie, że aby zajrzeć do telefonu męża, będę potrzebowała dużo szczęścia.

O siódmej zawołałam wszystkich na kolację. Tomasz pojawił się ostatni, usiadł do stołu bez słowa i przez cały posiłek milczał. Dzieci, zmęczone całym dniem atrakcji, zjadły szybko, bez marudzenia i z ulgą pobiegły do swoich pokojów. Tomasz wziął kubek z herbatą i skierował się dla odmiany do salonu, gdzie opadł na kanapę przed telewizorem.

Właśnie kończyłam sprzątać po kolacji, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Otworzysz? – dobiegł z salonu zaspany głos Tomasza.

– Mam mokre ręce – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Otwórz ty.

Widziałam, jak z ociąganiem podnosi się z kanapy i idzie do holu. Po chwili do kuchni zajrzał Witek Cetwiński, sąsiad.

– Cześć. Wypożyczysz mi męża na dziesięć minut? Rozstawiam trampolinę, potrzebuję drugiej osoby do naciągania.

Uśmiechnęłam się do niego znad zlewu. Szkoda że tylko na dziesięć minut, wołałabym dziesięć dni, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– Jasne, weź go sobie.

Chwilę potem usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Wyszli. Zdążyłam ponownie włożyć ręce w zmywanie, kiedy w salonie rozległ się stukot piłeczki pingpongowej. Ten dźwięk oznaczał przyjście esemesa na komórkę Tomasza. A to z kolei oznaczało, że zapomniał zabrać telefon ze sobą.

Rzuciłam się do salonu. Samsung leżał między poduszkami kanapy – prawdopodobnie wysunął się Tomkowi z kieszeni, kiedy oglądał telewizję. Przez moment wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w niebieską pulsującą diodę, oznaczającą odebraną wiadomość. Trudno, pomyślałam, raz kozie śmierć. I wyciągnęłam rękę po aparat. W tym momencie w otwartych drzwiach tarasowych stanął Tomasz.

– Tyle razy cię prosiłem, żebyś nie ruszała mojej komórki!

– Chciałam zadzwonić do mamy – wydusiłam przez zaciśnięte gardło.

– Nie możesz ze swojej?

– Rozładowała się – odpowiedziałam szybko.

Tomasz zmierzył mnie czujnym spojrzeniem.

– Musisz mieć coś naprawdę pilnego – stwierdził z przekąsem.

– Chcę ją poprosić, żeby jutro do nas wpadła – wymyśliłam na poczekaniu. – Taki impuls.

Tomasz westchnął.

– No dobrze. Dzwon. Tylko szybko.

Matka odebrała po trzech sygnałach.

– Coś ważnego? – zapytała bez wstępów. – Bo piszę.

Zofia Sarnecka, autorka poczytnych kryminałów, nie lubiła, kiedy ktoś jej przerywał pracę. A pracowała prawie bez przerwy, zupełnie jakby nadrabiała stracony czas.

Ponieważ mama większość swojego życia zawodowego spędziła, ucząc matematyki w podkowieńskiej podstawówce, wydawało się, że to lubi, jednak kiedy rozstała się z ojcem i wyprowadziła do Warszawy, zrezygnowała z pracy w szkolnictwie i zaczęła robić to, o czym marzyła całe życie – pisać kryminały.

Całkiem nieźle jej to zresztą wychodziło.

– To ja, mamó – zaczęłam niepewnie. – Tak się właśnie zastanawiam, czy byś do nas jutro nie wpadła? Dawno nie widziałaś dzieci.

– Chyba mamy odmienne rozumienie słowa „dawno”. Nie widziałam ich tydzień i nie sędzę, żeby się od tamtej pory jakoś drastycznie zmieniły – wyczułam w głosie matki narastającą irytację. – A jutro nie mogę. Mam spotkanie w wydawnictwie.

– To może we wtorek? – brnęłam dalej, choć wizyta mamy była ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłam. – Co ty na to?

– Zastanowię się. Pa!

I wyłączyła się, zanim zdążyłam cokolwiek dodać.

Znałam ten jej stan. Oznaczał, że ma tak zwane natchnienie, wtedy wszystko, co nie było intrygą kryminalną najnowszej książki, przestawało się liczyć. Nawet, a może przede wszystkim, rodzina.

– Skończyłaś? – upewnił się Tomasz, a kiedy kiwnęłam głową potakująco, bezceremonialnie wyjął mi z dłoni komórkę i schował do kieszeni.

I tyle było mojej działalności szpiegowskiej.

ROZDZIAŁ 8

Poniedziałki nie cieszą się w społeczeństwie jakąś specjalną popularnością, ale mnie osobiście nie przeszkadzają. Właściwie nawet je lubię. Głównie dlatego, że wszystko wraca w utarte koleiny i zaczyna się toczyć według znanych reguł, z których moja ulubiona brzmi: mąż wychodzi do pracy za kwadrans ósma, wraca najwcześniej o osiemnastej. Jeżeli dodać do tego regułę drugą, czyli: dzieci od ósmej do czternastej siedzą w szkole, poniedziałki zaczynają wyglądać całkiem, całkiem.

Niestety, ten poniedziałek niósł ze sobą zbyt wiele problemów, żebym mogła się nim cieszyć.

– Będę po was o wpół do drugiej – przypomniałam dzieciakom, zatrzymując się pod szkołą. – Miłego dnia.

– Ja mam dzisiaj po lekcjach kółko matematyczne. Wrócę sam – przypomniał Kuba i trzasnął od serca drzwiczkami mojego dwudziestoletniego opla corsy, zwanego przez nas pieśczośliwie Chrupkiem. Chrupek aż się zatrzęsł z oburzenia, a ja pomyślałam, że jeszcze kilka takich trzaśnieć i auto złoży się jak domek z kart.

Kaja wygramoliła się z drugiej strony. Ona dla odmiany zamykała drzwi najciszej, jak tylko się dało. W ogóle gdyby mogła, stałaby się niewidzialna, żeby tylko nikt nie zauważył, że wysiada z takiego grata.

Przez chwilę obserwowałam, jak moje dzieci odchodzą w stronę szkoły, ale kiedy przypomniałam sobie, że ich ojciec ma kochankę, ruszyłam z piskiem opon i mocnym postanowieniem, że muszę wymyślić sobie natychmiast jakieś zajęcie. Inaczej zwariuję.

Pierwsze, co mi przyszło do głowy, były zakupy. Może dlatego, że ich nienawidzę. Zaparkowałam więc pod sklepem i następnie przez pół godziny snułam się między półkami, wrzucając do wózka takie ilości towaru, jakbym robiła zapasy na wojnę.

– Dwieście pięćdziesiąt siedem złotych, dwadzieścia groszy – oświadczyła

beznamiętnym tonem kasjerka.

– Płacę kartą.

Wyciągnęłam z portfela kartę, zbliżyłam ją do terminala i wbiłam pin.

– Transakcja odrzucona.

Poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła.

– Może pani spróbować jeszcze raz? – poprosiłam piskliwie.

Powtórzyłyśmy całą operację.

– O, przeszło – ucieszyła się ekspedientka. – Wydrukować potwierdzenie?

Wyszłam ze sklepu na miękkich nogach. Gdybym paliła, natychmiast sięgnęłabym po papierosa. Ten incydent, w sumie niewinny, uświadomił mi, w jak fatalnej sytuacji się znalazłam. Mój mąż ma kochankę, może nas w każdej chwili zostawić, a ja jestem od niego całkowicie uzależniona finansowo. Całkowicie.

Wrzuciłam zakupy do bagażnika, wsiadłam do auta i zaczęłam grzebać w torbie. W końcu gdzieś na samym dnie, między starymi kuponami na punkty z BP namacałam niewielki kartonik i wyciągnęłam go na światło dzienne. Tak, to było to, czego szukałam.

Przez chwilę obracałam wizytówkę w palcach, zbierając się na odwagę, w końcu sięgnęłam po komórkę i wbiłam podany na niej numer.

Jeden długi sygnał, drugi, trzeci.

– Rudnicki, słucham?

– Dzień dobry, tu Magda. Borowska – wybąkałam. – Ja... Ja zdecydowałam się przyjąć pana ofertę. Tylko mam prośbę. Czy mógłby pan nic nie mówić mojemu mężowi?

Naprawdę nie wiem, co sobie myślałam, przyjmując pracę w klinice i wierząc, że uda się to utrzymać w tajemnicy. Najbardziej prawdopodobne, że nie myślałam w ogóle. W takiej miejscowości jak Podkowa wszystkie lokalne informacje rozchodzą się

przecież lotem błyskawicy i za dwa do trzech dni wszyscy naokoło będą wiedzieli, że pracuję u Rudnickiego. Dlaczego akurat Tomek miałby pozostać w błogiej nieświadomości, nie wiem. Wiem tylko, że nie stać mnie było na rozmowę z nim na ten temat. Unikanie konfrontacji. W tym się specjalizowałam.

Teraz na przykład szłam z Alfem na szkolenie, o którym mój mąż nie miał zielonego pojęcia. Powód, dla którego ukrywałam przed nim ten fakt? Bardzo prozaiczny. Pieniądze. Tomasz nie zniósłby, że wydajemy na psa dodatkową, niemałą niestety kwotę. Już i tak jęczał za każdym razem, kiedy przywoził z hurtowni zoologicznej wielgachny wór żarcia. Więc zamiast błagać mojego męża, żeby się zgodził, wołałam przez trzy miesiące odkładać codziennie po kilka złotych i zapisać Alfa na zajęcia, które odbywały się w poniedziałki przed południem, kiedy to mój mąż przebywał w pracy. Nie było szans, żeby się zorientował, że na nie chodzimy.

– Noga! – szarpnęłam smyczą.

Alf niechętnie przerwał obwąchiwanie słupa od latarni i zrównał się ze mną. Chodzenie przy nodze – tyle na razie nauczyliśmy się na zajęciach. I nie zapowiadało się, żebyśmy wynieśli dużo więcej.

Na pierwszej lekcji Alf był prymusem: chodził przy nodze, siadał na rozkaz i budził zachwyty swoją interesującą urodą rozczochanego mopa. Niestety lekcja druga przyniosła naukę komendy „zostań”, co natychmiast zepchnęło nas na sam koniec stawki. Alf kochał mnie bowiem miłością tak głęboką i nieokiełznaną, że dobrowolne rozstanie z panią nie mieściło się w jego wielkim kudłatym łbie. Mógł mi pozwolić odejść na metr, ewentualnie dwa. Większa odległość absolutnie nie wchodziła w grę. Wszystkie psy na kursie nauczyły się komendy „zostań” w ciągu godziny, Alf po trzech nie był w stanie usiedzieć na miejscu, kiedy się oddalałam. Treserka użyła już chyba wszystkich metod, z przytrzymywaniem go za obrozę włącznie, i widziałam, że powoli zaczyna tracić cierpliwość. Na szczęście zanim wyszła z siebie, zajęcia się skończyły. Było wielce prawdopodobne, że dzisiaj nastąpi kompromitacji ciąg dalszy.

Kurs odbywał się w dość dziwnym miejscu – po drugiej stronie szosy, właściwie już w Brwinowie, na łąkach otaczających wielki, stary dom z czerwonej cegły, Warkusówkę. Podobno pierwszy właściciel budynku, Warkus, przegrał go przed

wojną w karty do miejscowego proboszcza. Nie wiem, jakie były dalsze losy domu, ale chyba niezbyt szczęśliwe, bo stał teraz zrujnowany i opuszczony, a z jego okien zwisał smętnie wyblakły baner z napisem „na sprzedaż”.

Przywitałam się z pozostałymi uczestnikami szkolenia, czyli właścicielami labradora, owczarka niemieckiego, pitbula i berneńczyka, Alf przywitał się również i rozpoczęliśmy zajęcia.

Tak jak myślałam, na pierwszy ogień poszło: „zostań”. Nie wiem, czy atmosfera była bardziej sprzyjająca nauce, czy może jednak na poprzedniej lekcji utworzyły się jakieś połączenia nerwowe w mózgu mojego psa, ale tym razem nam się udało. Alf siedział, a ja stałam pięć metrów od niego. Szok.

Starając się nie patrzeć na psa, żeby i jego, i siebie nie stresować, przeniosłam wzrok na Warkusówkę. W tym momencie w jednym z okien na piętrze coś się poruszyło.

Zmrużyłam oczy. Dziwne. Ostatni lokatorzy wyprowadzili się przed wielu laty, a budynek został zamknięty i zabezpieczony, żeby uniemożliwić dewastację. Mimo to widziałam wyraźnie – za szybą ktoś stał. Jakiś mężczyzna. I patrzył prosto na mnie.

Wrażenie było tak nieprzyjemne, że aż się wzdrygnęłam. Niestety, ten prawie niedostrzegalny ruch mojego ciała został zarejestrowany przez wpatrującego się we mnie psa, który potraktował go jak wezwanie i zanim zdążyłam krzyknąć „stój”, uderzyło we mnie z impetem rozpędzone czterdzieści cztery kilo żywej wagi. To zrozumiałe, że twarz w oknie natychmiast wyleciała mi z pamięci.

Przypomniałam sobie o niej dwie godziny później, kiedy wracaliśmy z Alfem z tresury, oboje wściekli. Ja z tego, że mój pies regularnie wystawia mnie publicznie na pośmiewisko, w nosie mając moje komendy, Alf – ponieważ w cichym akcie zemsty prowadziłam go na krótkiej smyczy, nie pozwalając obwąchiwać płotów i latarni. To były nasze ostatnie zajęcia, tak postanowiłam. Kolejne próby nie miały sensu. Wyrzucone pieniądze i niepotrzebne nerwy.

Przekroczyliśmy szosę warszawską i ruszyliśmy skrótem przez niewielki lasek w stronę ulicy Głównej. Ścieżka była na tyle wąska, że gałęzie uderzały mnie po twarzy, schyliłam więc głowę i szłam, nie rozglądając się. Gdzieś z tyłu zaszeleściło

poszycie, jednak nie zwróciłam na to uwagi. Być może innego dnia byłabym bardziej czujna. Ale było tak błogo. Słońce przebijało się przez liście ostrymi igłami światła, śpiewały ptaki, a od strony szosy dochodził monotony, prawie kojący szum przejeżdżających aut. W taki spokojny, wiosenny dzień strach trzyma się z daleka. Więc dopiero kiedy trzask złamanej gałązki rozległ się całkiem blisko, a Alf zatrzymał się gwałtownie i zaczął nasłuchiwać, obejrzałam się.

Lasek był w tym miejscu dość gęsty, mimo to kilkadziesiąt metrów za mną, między drzewami, zobaczyłam poruszający się cień, przypominający męską sylwetkę. Zrobiło mi się dziwnie, a po plecach przebiegł mi znowu dreszcz, tak jak wcześniej pod Warkusówką. I być może właśnie dzięki temu w mojej głowie obie te sytuacje się połączyły. Czy to możliwe, żeby ten ktoś, który mnie teraz śledzi, wcześniej obserwował mnie z okna zrujnowanego budynku? O ile oczywiście ten cień między drzewami nie był tylko grą światła i mojego zmęczonego umysłu.

Zdenerwowana, ruszyłam przed siebie szybkim krokiem, a potem zaczęłam biec. Nie jestem dobra w sprincie, właściwie w żadnej dziedzinie sportu nie jestem, ale adrenalina dodała mi skrzydeł, i gdyby komuś chciało się zmierzyć mi czas, pobiłabym pewnie jakiś rekord.

Alf biegł obok mnie, a jego obecność dodawała mi otuchy. Po kilkuset metrach ścieżka wyprowadziła nas na ulicę Główną. Zdyszana, zatrzymałam się pod płotem najbliższej posesji i obejrzałam za siebie, jednak nikogo nie zobaczyłam. Ani na ścieżce, ani między drzewami. Odetchnęłam z ulgą, a potem sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Sikory.

Odezwał się po trzech sygnałach.

– Masz szczęście. Właśnie sobie robię kawę. Inaczej bym nie odebrał. Młyn tu mamy straszny.

Zabrzmiało to interesująco.

– Zidentyfikowaliście ofiarę?

– Nie – westchnął. – Stoimy w miejscu. Brak dokumentów, brak znamion, blizn, tatuaży. Dopiero po sekcji będzie wiadomo, czy nie chorowała na jakąś rzadką chorobę. Oczywiście pobiorą fragmenty tkanek do oznaczenia DNA i zrobią opis

użębienia, ale to wszystko długa droga. Prawdę mówiąc najbardziej liczę na zgłoszenie o zaginięciu. Za to mamy coś o tym twoim kulawym żulu. Gość tu się kręci od jakiegoś czasu. Śpi, gdzie popadnie, sporo pije. Ma ksywkę Komandos. Podobno służył kiedyś w Afganistanie i oberwał w nogę odłamkiem. A ty dzwonisz, żeby mnie pociągnąć za język, czy masz jakiś konkret? – zreflektował się nagle.

– Chyba mam konkret – przyznałam. – Właśnie à propos tego Komandosa.

– No mów! – pogonił mnie Jacek.

– Przed chwilą ktoś za mną szedł – bąknęłam. – Tak jakby mnie śledził.

Po drugiej stronie słuchawki na moment zapadła cisza. Myślę, że Sikora próbował wybrać jedną z dwóch opcji: histeryczka czy świadek w niebezpieczeństwie.

– Kulał? – zapytał w końcu.

– Nie wiem, chował się między drzewami.

– Czyli nawet go nie widziałaś?

– Trochę widziałam, ale niewyraźnie.

– Hm. – Czułam, że zaczyna się skłaniać w stronę histeryczki. – Sporo przeszłaś przez ostatnie dni.

– Wiem, wiem. Ale to raczej nie było złudzenie. Wydaje mi się.

– Chyba, raczej, wydaje mi się. Jak mam ciebie poważnie potraktować, skoro niczego nie jesteś pewna?

– A jeżeli to naprawdę był ten Komandos?

– Mało prawdopodobne. Przetrzepujemy całą Podkowie i Brwinów, wszędzie pełno funkcjonariuszy, byłby idiotą, gdyby teraz biegał po mieście.

– Ale to nie było w mieście. Szłam przez zagajnik przy szosie.

– A co tam robiłaś? – zdziwił się.

Policjanci tak mają. Lubią dopytać.

– Och, poszłam z psem na spacer, czy to ważne?

– Z psem chodzisz albo blisko domu, albo do lasu. Ale jak chcesz mi ściemniać, to ściemniaj.

– Przerwałeś mi i teraz nie wiem. Aha. No więc wcześniej przechodziłam obok

Warkusówki i widziałam tam w środku jakiegoś mężczyznę. Stał przy oknie i się na mnie gapił. I myślę, że to właśnie on potem za mną szedł.

– A zdjęcie mu zrobiłaś? – zapytał Sikora złośliwie.

Miałam ochotę go udusić.

– Dlaczego mi nie wierzysz?

– Wierzę, że coś ci mignęło w oknie. Tylko tyle. Moi ludzie sprawdzali Warkusówkę i nikogo tam nie było. Zresztą poczekaj chwilę.

Usłyszałam, jak coś przełącza.

– Pastuszko? Byliście w Warkusówce, prawda?

Odpowiedzi Pastuszki nie usłyszałam, ale Sikora nagle się zagotował.

– Jak to nie weszliście do środka?! Drzwi zabite deskami?! Ty sobie robisz jaja? Macie tam natychmiast jechać! Natychmiast!

– Muszę kończyć. – To było do mnie. – Odezwę się.

Schowałam telefon do kieszeni. Ciekawe, jak to się wszystko dalej potoczy, pomyślałam. A potem jeszcze raz spojrzałam w stronę ścieżki i, uspokojona, pociągnęłam Alfa w kierunku domu.

ROZDZIAŁ 9

Druga dwadzieścia dziewięć zaparkowałam pod szkolną bramą. Druga trzydzieści dwie zadzwoniła moja komórka. Szkoła, przeczytałam na wyświetlaczu. W takim momencie każda matka truchleje, a przed oczami zaczynają jej przelatywać obrazy typu: karetka pogotowia, szpitalne łóżko czy ręka w gipsie. Mnie to również nie ominęło. Kiedy odbierałam połączenie, zauważyłam, że dłoń lekko mi drży ze zdenerwowania.

– Borowska, słucham – powiedziałam w miarę spokojnym tonem, co trochę mnie kosztowało, ale nie chciałam po raz kolejny dzisiejszego dnia wychodzić na histeryczkę.

– Mamuś? Pani w sekretariacie pozwoliła mi zadzwonić.

– Co się stało?!

– Nic, nic. Tylko zapomniałam ci powiedzieć, że mamy dziś po lekcjach próbę. Więc kończę za godzinkę. Pa!

Poczułam wielką ulgę, naprawdę, i dopiero po chwili do mnie dotarło, że mam w związku z tym wolną godzinę, którą powinnam jakoś zagospodarować.

Weranda była jedynym sensownym punktem gastronomicznym w naszym mieście. Położona w samym centrum, między stacją kolejki a kościołem, kusiła gości niezłym, domowym jedzeniem i absolutnie genialnymi wypiekami. Na co dzień Werandę omijałam szerokim łukiem, gdyż wizyty w niej zdecydowanie nie sprzyjały utrzymaniu linii. No, chyba że opływowej. Ale skoro pojawiła się wolna godzinka, potraktowałam ją jako pretekst.

Jasne wnętrze kawiarni wypełniały wiklinowe, lakierowane na biało meble, świeże kwiaty oraz zapach bezowych blatów, pieczonych właśnie w ustawionym za ladą piecu. Kelnerka, młoda dziewczyna w skromnej białej bluzce i czarnych dżinsach, przewiązana w pasie białym fartuchem, pojawiła się znikąd, położyła na moim stoliku

kartę i znikła. Personel Werandy znikanie miał opracowane do perfekcji, o czym przekonałam się wiele razy, czekając na realizację zamówienia. Im więcej było gości, tym bardziej wydłużał się czas od złożenia zamówienia do momentu, kiedy talerz pojawiał się na stole. Na szczęście tego dnia oprócz mnie zauważyłam jeszcze tylko dwie klientki, eleganckie kobiety pod sześćdziesiątkę, które piły kawę i rozmawiały, nachylając się do siebie i co jakiś czas wybuchając śmiechem jak nastolatki.

Kiedy przeglądałam menu, drzwi knajpki gwałtownie się otworzyły i do środka weszła, energicznie stukając obcasami, Zuza.

Zuza była żoną Sylwka, którego z Tomaszem łączyły jakieś bliżej niesprecyzowane więzy zawodowe, a ponieważ mieszkaliśmy w tej samej miejscowości, doszły do tego również powiązania prywatne. Dzięki temu, a właściwie przez to, dość często się widywaliśmy, i nie była to moja ulubiona forma spędzania wolnego czasu.

Zuza potrafiła przykuć uwagę, bez dwóch zdań. Zwłaszcza uwagę płci męskiej. Była ładna dość pospolitą urodą bujnej blondynki, którą podkreślała przesadnym makijażem i podobnej klasy dekoltem. Na temat jej ust mogę powiedzieć tylko tyle, że ich objętość na pewno nie była naturalna, podobnie jak objętość biustu. Do tego dziewczyna wydawała kosmiczne pieniądze na ciuchy, i rzeczywiście było to widać. Ten typ nawet po rzodkiewki, przepraszam, po awokado do warzywniaka biegnie w klapkach Gucci, a przy torbie z rzeczami na siłownię wiąże apaszkę Hermesa. Na tej płaszczyźnie zdecydowanie nie było nam po drodze, na innych zresztą też nie. Najbardziej denerwowała mnie jej niewiarygodna wręcz pewność siebie. W narracji Zuzy na przykład każda aktywność, którą podejmowała, musiała skończyć się sukcesem. Samochód prowadziła tak dobrze, że mogłaby zostać kierowcą rajdowym. Zagrała w reklamie proszków przeciwbólowych i natychmiast posypały się dziesiątki ofert dużo poważniejszych ról, które zresztą odrzuciła, bo coś tam. Dla relaksu zaczęła grać w tenisa i teraz zdobywała puchar za pucharem. A zawrotnej kariery w jeździectwie nie zrobiła tylko dlatego, że kontuzja na dłuższy czas wyłączyła ją z treningów. O tym wszystkim opowiadała entuzjastycznie przy każdej okazji, nie dopuszczając nikogo do głosu, dopóki nie ochrypla. Była intensywna jak barwnik spożywczy i ciężkostrawna w każdym stężeniu.

Nic więc dziwnego, że na jej widok odruchowo skuliłam się i zasłoniłam twarz menu. Gdyby nie to, że stół był niski i niewielki, pewnie próbowałabym się pod niego zsunąć. Nie zniosłabym teraz kontaktu z nią. No, nie zniosłabym.

– Latte orzechowe na sojowym – usłyszałam jej wysoki, stanowczy głos. – Na wynos. Tylko szybciej, kochana.

Może nie spojrzysz w moją stronę, pocieszałam się. Może nie spojrzysz.

– Magda?

Niechętnie odłożyłam menu. Zuza rozjaśniła się w uśmiechu i ruszyła w kierunku mojego stołu.

– Nie wstawaj, nie wstawaj. Tylko buziaczka daj – nachyliła się i cmoknęła powietrze kilka centymetrów od mojego policzka, a jej biust przy tej operacji o mało nie wyrwał się na wolność. – Pędzę, bo mam jeszcze tyle rzeczy do załatwienia przed wieczorem. To o której się widzimy?

Poczułam nagłą suchość w gardle.

– Widzimy się?

– To Tomek ci jeszcze nie powiedział? Przychodzimy dziś do was na grilla!

Musiałam mieć idiotyczny wyraz twarzy, bo Zuza roześmiała się perliście.

– Och, w ogóle się nie przejmuj! Przyniesiemy piwo.

Tak jakby piwo można było wrzucić na grilla.

– Latte gotowe! – uratowała mnie kelnerka.

Zuzka zrobiła minę pod tytułem: wybacz, wzywają mnie sprawy wagi państwowej, i na odchodnym rzuciła rozbijającą:

– Będziemy koło siódmej!

A mnie się nagle zupełnie wszystkiego odechciało. Zebrałam swoje rzeczy, wyjaśniłam mętnie kelnerce, że coś mi się przypomniało, sorry, muszę lecieć, i wyszłam wyjściem od strony placu zabaw. Tak na wszelki wypadek, gdyby Zuza gdzieś się jeszcze kręciła. Potem wsiadłam do samochodu zaparkowanego na Modrzewiowej, przejechałam znowu pod szkołę i stamtąd zadzwoniłam do Tomka.

– Słuchaj, przed chwilą spotkałam Zużę.

– A to świetnie! Czyli już wiesz.

– Możesz mi to wyjaśnić?

– Co tu jest do wyjaśniania? Zadzwoił Sylwek, rozmawialiśmy, powstał pomysł grilla i tyle.

– Grill w poniedziałek? – jęknęłam.

– A co jest złego w poniedziałku?

– Nieważne. Ale przecież trzeba coś przygotować, a ja nie mam ani siły, ani czasu. W ogóle nie mam ochoty się dzisiaj z nikim spotykać. A już zwłaszcza z Zuzką.

– Daj spokój, co ci Zuzka przeszkadza?

Tomek westchnął, wyraźnie zirytowany przebiegiem rozmowy.

– Ja za niektórymi twoimi przyjaciółmi też nie przepadam, a przecież się spotykamy. – Ciekawe, kogo miał na myśli. – Zresztą nie miałem wyjścia. Sylwek się wprosił, bardzo mu zależało, bo chcą nam coś pokazać.

– Jak znam Zuzkę, to nie pokazać, tylko się pochwalić. Odwołaj ich, proszę.

– Dlaczego ty od razu dramatyzujesz?

– Nie dramatyzuję, tylko...

– Zgodziłem się głównie ze względu na ciebie – uświadomił mi. – Powinnaś się trochę rozerwać po tym wszystkim. I nic nie musisz szykować. Kup tylko kiełbasę i pieczywo, i sałatę ewentualnie. A gdyby były piersi kurze, to też weź, szybko się machnie szaszłyki. Aha, ten twój czerwony ryż z curry fajnie by do tego pasował. Muszę kończyć. Pa.

Wyłączył się.

Siedziałam przez chwilę, gapiąc się na szkolny płot.

– Szybko się machnie szaszłyki – powtórzyłam cicho.

– Co się machnie?

Dopiero teraz zobaczyłam we wstecznym lusterku jasną grzywkę Kai, która swoim zwyczajem wślizgnęła się bezszelestnie na tylne siedzenie.

– Szaszłyki. Wieczorem będą goście na grilla – poinformowałam ją.

– Super! – ucieszyło się dziecko. – A zrobisz karkóweczkę?

ROZDZIAŁ 10

Kuba wrócił do domu tuż po nas, więc za jednym zamachem nakarmiłam oboje zupą jarzynową i spaghetti, a potem po raz enty tego dnia wsiadłam do auta i pojechałam dokupić to i owo. Stałam właśnie w kolejce do mięsnego, zastanawiając się, ile potrzebuję karkówki, a ile kurzych biustów, kiedy zadzwonił Sikora.

– Masz chwilę? – zapytał bez wstępu.

– Jasne. Mów.

– To nie jest na telefon. Mogłabyś podjechać do Warkusówki?

– Kiedy?

– Teraz.

Popatrzyłam z niepokojem na bardzo piękny, ale niewątpliwie ostatni kawałek karkówki, leżący za szybą lady chłodniczej. Trudno, pomyślałam. Kichać grilla. Najwyżej wracając, kupię kaszanke.

– Będę za pięć minut – powiedziałam, odstawiając koszyk.

A swoją drogą powinniśmy chyba przejść na wegetarianizm.

Opuszczony budynek Warkusówki był dwupiętrową, zwartą bryłą, przykrytą wielospadowym dachem, najeżonym chudymi kominami, przez co wyglądał trochę jak stary, angielski dwór. Widok jeźdźca na koniu, galopującego przez otaczające dom łąki, ubranego w pelerynę i cylinder, w ogóle by mnie nie zdziwił. Ale tym razem atmosfera *Rozważnej i romantycznej* została zaburzona przez trzy radiowozy, stojące na podwórzu za domem. Zaparkowałam obok nich i ruszyłam na poszukiwania Sikory.

Nie musiałam szukać długo. Jacek stał przy frontowym wejściu i palił, zaciągając się głęboko.

Na mój widok wyrzucił papierosa, jakby go sparzył. Potem szybko przydeptał niedopałek, podniósł go z ziemi i wrzucił do niewielkiej plastikowej torebki, którą wyjął z kieszeni dżinsów.

– No co, nie patrz tak – fuknął. – Jeżeli myślisz, że w tej robocie można ot tak sobie rzucić palenie.

– Nie martw się, nie powiem Elce – uspokoiliam go. – Te pety chowasz na pamiątkę?

– Taa, jasne. Pomyśl, zanim spytasz.

Pomyślałam. A wnioski, do jakich doszłam, wcale mi się nie spodobały.

– Nie chcesz, żeby ktoś je pozbiarał i włączył do dowodów – powiedziałam powoli. – A dowody zbiera się na miejscu popełnienia przestępstwa. To może oznaczać, że znaleźliście tego gościa.

– Dobrze kombinujesz.

– ...i on nie żyje.

– Bingo.

Popatrzyłam w górę, na popękany ceglany mur, zabite dyktą okna i zwisającą z krawędzi dachu dziurawą rynnę. Może to było dobre miejsce, żeby się ukrywać, ale na pewno nie najlepsze, żeby w nim umrzeć. Wzdrygnęłam się.

– Nie zidentyfikuję zwłok – uprzedziłam Sikorę. – Mówiłam ci, że wtedy w nocy szedł pochylony, nie widziałam twarzy.

– Nie o zwłoki mi chodzi.

Zajrzał na klatkę schodową.

– Pastuszko! – krzyknął.

Na starych, drewnianych schodach załomotały kroki i po chwili w drzwiach pojawił się chudy sierżant. W ręku coś trzymał.

– Rozpoznajesz to?

Sikora podsunął mi pod nos otuloną folią czarną, wizytową torebkę z charakterystycznym zapięciem w kształcie dwóch liter C. Przypomniałam sobie gest napotkanej tamtej nocy kobiety, która nerwowo poprawiała zsuwającą się z ramienia torebkę. Zrobiło mi się strasznie smutno.

– Tak – powiedziałam cicho. – To ta. Na pewno.

– Była tutaj. Pusta. Pewnie zdążył wszystko spieniężyć, stąd miał na alkohol.

– Więc miałaś rację. Zbrodnia na tle rabunkowym.

– Wszystko na to wskazuje. Pobierzemy odciski palców i porównamy z tymi z narzędzia zbrodni, ale daję głowę, że są identyczne. W ten sposób zamkniemy jedną sprawę i zajmiemy się następną.

– Czyli?

– Komandos. Ze wstępnych oględzin wynika, że przyczyną śmierci był uraz głowy. Teraz pytanie, czy przyczyniły się do niego osoby trzecie.

Na schodach rozległy się szybkie kroki i w drzwiach stanął chłopak wyglądający na jeszcze młodszego niż Pastuszko.

– Szefie, takie coś technicy znaleźli.

Młody podał Sikorze kolejną torebkę na dowody, tym razem niewielkich rozmiarów. W środku znajdowała się czarna plastikowa karta z napisem „Go sport”, której gładką powierzchnię pokrywały dziwne, jasnobrązowe smugi.

– Gdzie to było?

– W puszcze po pasztecie. Zdaje się, że używał tego do smarowania chleba.

– Czyli jednak coś mamy! – w Sikorę wstąpiła nowa energia. – Zróbcie fotki, zdejmijcie odciski, a potem niech się ktoś z tym przejedzie do tego sklepu, powinni mieć w komputerze dane właściciela karty.

Odwrócił się do mnie. Oczy mu błyszczały.

– Dzięki, że wpadłaś.

W ten delikatny sposób chciał mi powiedzieć: fajnie, mała, że poświęciłaś mi godzinę, ale powinnaś już sobie iść.

Odwróciłam się więc i poszłam do samochodu. Kiedy przekreśliłam kluczyk, na elektronicznym zegarze wyświetliła się szesnasta zero osiem. Za niecałe trzy godziny przychodzą goście, a ja byłam w lesie. Zapowiadał się najgorszy grill ever.

ROZDZIAŁ 11

Irzeczywiście taki był. Właśnie skończyłam kroić chleb, kiedy przed naszą bramą zaparkował żółty sportowy samochód męża Zuzy, Sylwka. Odruchowo spojrzałam na kuchenny zegar. Za dziesięć siódma. Nieprawdopodobne, pomyślałam, rzucając ze złością nóż na blat. Jak można wpraszać się do kogoś na kolację w poniedziałek, a potem jeszcze przychodzić za wcześnie?

Patrzyłam, jak wysiadają z auta: Zuza w lekkich klapkach i sukience bez ramiączek, jej mąż w dzinsach i idealnie białej koszulce polo, z pewnością wybranej na tę okazję przez żonę. Tomek, zajęty w ogrodzie rozpalaniem grilla, musiał usłyszeć, jak podjeżdżają, bo właśnie wyszedł z domu i podszedł do furtki, żeby się przywitać. Pocałował Zużę w policzek, uściśnął dłoń Sylwkowi i wziął od niego dwa czteropaki piwa. Zuza zaczęła coś mówić, pokazując biały, prostokątny przedmiot, trzymany w ręku, a ja po chwili zorientowałam się, że to tablet. O nie, westchnęłam, sięgając po drewnianą miskę na pieczywo. Znowu będzie pstrykać!

Bo Zuza uwielbiała fotografować. Kiedyś nosiła wszędzie ze sobą aparat cyfrowy, potem przerzuciła się na iPhone'a, teraz najwyraźniej wypróbowała kolejny sprzęt. Jej zdjęcia nie były może technicznie wysokich lotów, ale jako dokumentacja różnych towarzyskich sytuacji sprawdzały się znakomicie. Niestety, ostatnią rzeczą, o jakiej dzisiaj marzyłam – właściwie o jakiej marzyłabym kiedykolwiek – było uśmiechanie się do obiektywu. Niektórzy mają tę cudowną pewność siebie, która sprawia, że wychodzą na fotografiach dużo lepiej niż w naturze, mnie niestety obecność aparatu krępuje i usztywnia. Miałam ochotę schować się w lodówce i tam odczekać, aż sobie pójda.

Zamiast tego przełożyłam pieczywo do miski, odwiesiłam deskę i wilgotną gąbką przetałam blat, opóźniając w ten sposób o jakieś dwie minuty moment wyjścia z kuchni. Dwie minuty to nie było dużo. Ale zawsze coś.

Kiedy w końcu do nich dołączyłam, okazało się, że moje przecucia co do celu wizyty idealnie się sprawdziły. Zuzka i Sylwek przyjechali się pochwalić.

– Byliśmy na przyjęciu u Szeligi! – oznajmiła dumnie Zuzka, zajmując miejsce za ogrodowym stołem. Nie zareagowałam, więc przeniosła wzrok na Tomasza.

– Wow! – powiedział niepewnie.

– Prawda, że wow? – ucieszyła się Zuzka. – Wszyscy tam byli, mówię wam! Cała Warszawa, no wszyscy!

I zaczęła wymieniać nazwiska aktorów, piosenkarzy i celebrytów obecnych na przyjęciu. Jej snobizm był równie wybujały jak ego.

A potem włączyła tablet i nagle zrozumiałam, że tym razem nie zamierza robić zdjęć, tylko je pokazywać.

– Wyobraźcie sobie, i my między nimi! To takie miłe ze strony Szeligi, że nas zaprosił! On jest fantastyczny, mówię wam!

Podkowa jest miejscowością niewielką, ale modną. Położona trzydzieści kilometrów od Warszawy, przy linii kolejki WKD, od kilkudziesięciu lat przyciąga twórców, biznesmenów, polityków i innych zamożnych ludzi, bo za luksus mieszkania wśród starych sosen trzeba słono płacić. Jednak nawet na tym elitarnym tle niektóre postaci wybijały się ponad poziom, i jedną z nich był Brunon Szeliga. Twórca ekskluzywnej marki mebli, współwłaściciel prywatnej uczelni w Warszawie, wielbiciel sztuki, kolekcjoner, humanista, od kilku lat pojawiał się w zestawieniach najbogatszych Polaków, na aktualnej liście zajmując miejsce w pierwszej dwudziestce. Dla części sąsiadów był to powód do dumy, dla innych – do zazdrości, z pewnością jednak nikt wobec niego nie pozostawał obojętny.

W lokalnej społeczności Szeliga dał się poznać jako filantrop, wspierający projekty artystyczne i fundujący stypendia dla zdolnej młodzieży. Budził zachwyt swoją „normalnością”, ponieważ częściej można go było zobaczyć na rowerze, z nieodłącznym czarnym psem biegnącym obok, niż za kierownicą samochodu. O jego położonej pod lasem posiadłości krążyły fantastyczne historie pochodzące z ust nielicznych, którzy dostąpili zaszczytu goszczenia w niej.

Szeliga co roku wydawał wielkie przyjęcie, które było wydarzeniem sezonu, a obecność na nim – rodzajem towarzyskiej nobilitacji. Prawdopodobnie Zuzka będzie teraz dzielić swoje życie na „przed” i „po”. „To było mniej więcej tydzień przed imprezą u Szeligi”. Albo: „Kupiliśmy ten samochód w tym samym roku, w którym byliśmy u Brunona na przyjęciu”.

Ale na razie włączyła tablet, otworzyła pierwsze zdjęcie i natychmiast się zdenerwowała.

– Nic kompletnie przy tym świetle nie widać – powiedziała z wyrzutem, tak jakby to była nasza wina. – Chodźmy do środka.

Przenieśliśmy się więc do salonu, gdzie Zuzka ulokowała się na kanapie między mną a Tomaszem i rozpoczęła pokaz.

– Poznajecie?

Ze zdjęcia uśmiechał się młody, brodaty mężczyzna w rozpiętej pod szyją koszuli i kolorowych spodniach w etniczny wzór.

– To jest chyba ten, no... – zmarszczyłam brwi, udając, że szukam w pamięci, choć tak naprawdę jego twarz nie kojarzyła mi się z niczym.

– Przystojny, co? A na żywo, mówię wam, jest po prostu powalający – westchnęła. – I ma taki totalnie seksowny głos. Mój Sylwuś to normalnie zazdrosny był. No, no? – próbowała wyciągnąć z nas odpowiedź. W końcu nie wytrzymała.

– Bartek Sawicki przecież, wy gapy!

Nazwisko nie powiedziało mi kompletnie nic.

– A możesz mi przypomnieć, w jakim filmie ostatnio grał? – próbowałam jakoś zlokalizować człowieka.

Zuzka spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Żartujesz? Przecież on jest wokalistą, nie aktorem. Ma teraz taki przebój, wszędzie leci – zanuciła fragment melodii i rzeczywiście musiałam przyznać, że kojarzę. – O, a tutaj Sylwek nas cyknął razem.

I następne zdjęcie. I następne.

Te cholerne wynalazki, pomyślałam. Kiedyś film do aparatu miał trzydzieści sześć klatek, więc ludzie nie pstrykali zdjęć jak wariaci. Teraz pamięć w cyfrówce mogła

pomieścić spokojnie tysiąc fotografii i sądząc z podekscytowania Zuzki, zrobiła ich na imprezie u Szeligi niewiele mniej. Co oznaczało, że przed północą nie skończymy. Ta perspektywa mnie przeraziła.

– Przepraszam na chwilę, muszę...

Próbowałam wstać, ale Zuza była szybsza. Chwyciła mnie za rękaw i pociągnęła z powrotem na kanapę.

– Magdusia, nigdzie nie idziesz. Dopiero zaczęliśmy.

I otworzyła następne zdjęcie. Jakieś roześmiane towarzystwo pozowało przy barze. Poza imponującą baterią butelek nie było tu nic ciekawego. Nieuważnie przebiegłam wzrokiem po obcych twarzach. Zuzka przesunęła palcem po tablecie, zmieniając fotografię na kolejną, a ja nagle zdałam sobie sprawę, że jednak nie wszystkie twarze były obce.

– Możesz cofnąć? – poprosiłam.

Na ekranie tableta znowu pojawił się bar, a przy nim pięć osób – dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Dwie z nich stały bokiem, za to trzecia patrzyła prosto w obiektyw. Światło flesza wydobyło z jej rysów dziwną ostrość, ale mimo to wyglądała znajomo. Gdzie ja ją widziałam. próbowałam sobie przypomnieć.

– Znacie ją? – spytałam, dotykając lekko palcem twarzy na zdjęciu.

Zuza zastanawiała się przez chwilę.

– Nie, nazwiska nie kojarzę. Ale pamiętam, ta jej sukienka była naprawdę fantastyczna. Czerwona jak szminka Chanel.

I w tym momencie przypomniało mi się, skąd ją znam. Poczułam, że zaczyna mi brakować powietrza.

– Przepraszam. Ja naprawdę muszę...

Poderwałam się z kanapy i nie zważając na pełne oburzenia protesty Zuzy, wybiegłam z pokoju.

W kuchni nalałam sobie szklankę wody i wypiałam łąpczywie. Zimno rozchodziło się powoli po moim ciele. Miałam wrażenie, że dociera do mózgu, chłodzi go i uspokaja. Poczekalam, aż serce przestanie mi skakać w piersi jak wyrzucona na brzeg ryba, a potem sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Sikory.

Odebrał, ale jego: „Tak?” nie zabrzmiało zachęcająco.

– Jacek, wiem, co ta kobieta robiła w Podkowie.

– Nie „ta kobieta”, tylko Maj.

– No tak, mamy maj, ale co z tego?

– Maj Joanna. Tak się nazywała.

Czyli już ją zidentyfikowali. Zrobiło mi się strasznie smutno. Nazwanie zamordowanej kobiety imieniem i nazwiskiem zmieniało wszystko. Przystawała być anonimową ofiarą, zamieniała się w konkretną osobę mającą rodzinę, znajomych, swoje zwyczaje, ulubione miejsca i smaki.

– Ta karta z „Go sport”, tam były jej dane, prawda?

– Tak. A co ty mówiłaś wcześniej? Że wiesz, co robiła w Podkowie?

– Tamtego dnia Szeliga organizował przyjęcie i ona na nim była!

– Skąd wiesz?

– Znajomi przynieśli zdjęcia z imprezy, jest na jednym z nich.

Sikora milczał przez chwilę.

– Masz coś jeszcze? – zapytał w końcu.

– Myślałam, że ta informacja zrobi na tobie większe wrażenie.

Sikora wydał z siebie dziwny odgłos, który przypominał parsknięcie śmiechem.

– Doceniam, ale nie przeceniam. Mamy nazwisko, mamy mordercę, więc to, co ofiara robiła przed śmiercią, nie jest już teraz aż tak istotne. Ale gratuluję refleksu. Przegraj te fotki i mi wyślij, na pewno warto rzucić okiem. Tylko błagam, nie mów nikomu, że ta kobieta tam była.

– Jasne.

Gdybym powiedziała Zuzie, że ma na fotografii ofiarę morderstwa, za godzinę wiedziałoby o tym całe miasto.

– Muszę kończyć – oświadczył zmęczonym głosem Sikora. – Właśnie podjechaliśmy pod jej mieszkanie.

– Ale jesteście szybcy – powiedziałam bez krzty ironii. – Pa!

Nacisnęłam czerwoną słuchawkę na ekranie komórki i wsunęłam telefon do

kieszeni dzinsów.

No proszę, pomyślałam. I wszystko się samo rozwiązało.

A potem poszłam poprosić Zużę, żeby mi te wszystkie zdjęcia wrzuciła na mejla, bo chciałabym sobie je kiedyś sama w spokoju obejrzeć.

ROZDZIAŁ 12

Przychodnia weterynaryjna mieściła się przy ulicy Jodłowej, w suterynie przedwojennej, modernistycznej willi. Na parapetach okien czerwieniły się posadzone w długich donicach niecierpki, najpopularniejsze, bo ceniolubne, kwiaty w Podkowie – na zalesionych działkach znalezienie słonecznej ekspozycji graniczyło z cudem. Pod ścianą domu stała drewniana ławka dla tych, którzy woleli czekać na zewnątrz, a nad drzwiami prowadzącymi do lecznicy umieszczono drewnianą tablicę z wypalonym napisem: „Przychodnia dla zwierząt. Lek. wet. Piotr Rudnicki”. Poziom profesjonalizmu wykonania czy raczej jego brak wskazywał na to, że została zrobiona w podziękowaniu przez wdzięcznego, choć mało artystycznie uzdolnionego pacjenta. Przepraszam – właściciela pacjenta.

Na tablicy właśnie przysiadła sójka i zaczęła czyścić sobie skrzydła. Słońce przeświecało przez gałęzie sosen, ptaki śpiewały, było spokojnie i leniwie, tylko ja, czekając w zaparkowanym na ulicy samochodzie, nerwowo stukałam dłonią o kierownicę i co chwilę przeglądałam się we wstecznym lusterku. Tak jakby mój wygląd mógł mi w jakimkolwiek stopniu pomóc. No, ale wolałam się zająć poprawianiem włosów niż zastanawianiem się, czy dam radę rozpoznać ropomacicze, wysterylizować kotkę albo zaszyć ranę. Choć z drugiej strony lepiej denerwować się pójściem do pracy niż rozmyślać o swoim życiu, małżeństwie i kochance męża. No dobrze, potencjalnej kochance męża.

Obok mnie na rowerze przejechała jakaś kobieta w średnim wieku, wioząc w koszyku umocowanym do kierownicy całą górę zakupów. Wyglądała bardzo stylowo, miała spodnie rurki, koszulową bluzkę w kratkę zawiązaną na wysokości pępka i oczywiście ciemne okulary. Typowa podkowieńska housewife, która latem zamieniała land rovera na holenderkę. Jej widok uświadomił mi, że gdyby nie propozycja pracy w lecznicy, dzisiejszy dzień spędziłabym, przygotowując obiad, wstawiając pranie i wycierając kurze w salonie. I po co mi to było?, pomyślałam po

raz dziesiąty. Odpowiedzi, że ten spokojny, monotony rytm zaczyna mnie powoli nużyć, starałam się nie dopuszczać do świadomości.

A to właśnie rytmu i monotonii tak zażarcie bronił Tomasz, twierdząc, że matka powinna opiekować się dziećmi, a nie spełniać zawodowo. Jasne, w jakimś sensie nie mogłam się z nim nie zgodzić – stałość jest dla dzieci bardzo ważna. Dlatego postanowiłam, że zrobię wszystko, żeby mój powrót do pracy jak najmniej dotknął Kaję i Kubę. Dasz radę, jesteś zdolna, dzielna. – kołczowałam się bez przekonania. Nie mazgaj się, nie martw. Wszystko będzie dobrze. Przecież tyle kobiet daje radę!

No właśnie. Część moich koleżanek bez większych problemów godziła pracę zawodową z prowadzeniem domu. Może były bardziej zmęczone niż ja, ale jakoś im się udawało. Dlaczego mnie miałyby się nie udać?

Bo nikt cię w tym nie wesprze, podpowiedział złośliwie diabełek na moim ramieniu. Miałam ochotę przywalić mu w pysk, ale oczywiście miał rację. Tomek, nawet gdyby wiedział, że poszłam do pracy, i tak nie kiwnąłby palcem, żeby mi cokolwiek ułatwić. Natomiast moja mama...

Nagle coś mi się przypomniało.

– Cholera! – jęknęłam i zaczęłam w panice szukać telefonu.

Kiedy już go wygrzebałam z torebki i wybrałam numer matki, okazało się, że nie odbiera. Zadzwoiłam drugi raz, to samo. A gdy za trzecim razem również nie odebrała, zignorowałam pocztę głosową i napisałam rozpaczliwego esemesa: „Nie przyjeżdżaj dzisiaj! Coś mi tutaj wpadło. Przepraszam! Odezwę się!”.

Moja mama mieszkała w Warszawie, na Mokotowie, w pięknym mieszkaniu przy Narbutta, i trudno ją było zakwalifikować do klasycznego typu babć. Miała swoją pracę, swoje przyjaciółki i swoje rytuały, i bardzo nie lubiła, kiedy ją od nich odrywano. Poza tym wyznawała teorię, że w życiu każdy powinien radzić sobie sam, i starała się jej konsekwentnie przestrzegać. Do nas do Podkowy wpadała rzadko, a terminy jej wizyt zbiegały się najczęściej z piękną pogodą i miały dość przewidywalny przebieg. Babcia Zofia spędzała bowiem większość czasu na leżaku w ogródku, czytając lub drzemiąc, potem zjadała obiad, wypowiadając się dość krytycznie na temat moich kulinarnych umiejętności, zasypywała wnuki pytaniami

z zakresu szkoły średniej, na które siłą rzeczy nie potrafiły odpowiedzieć, i wyjeżdżała rozczarowana poziomem ich wykształcenia, pozostawiając po sobie intensywny zapach Opium oraz uczucie ulgi u większości domowników. No, może z wyjątkiem Alfa, bo pomimo moich gwałtownych protestów to, co jej nie smakowało, podawała psu pod stołem. Tak, Alf jej wizyty uwielbiał.

Wszyscy, którzy znali moją mamę, patrzyli na jej zachowanie przez palce, uważając, że fantastycznie mieć taką oryginalną babcie. Ale w momentach, w których naprawdę potrzebowałam pomocy, cała ta oryginalność kompletnie się nie sprawdzała.

Spojrzałam na zegarek. Ósma zero jeden. Dokładnie w tym momencie drzwi do prywatnej części willi otworzyły się i najpierw wystrzelił przez nie niewielki, jazgoczący czarny terier, a zaraz za nim wyszedł Rudnicki.

Zaczyna się jazda, pomyślałam, wysiadając z auta.

Gdybym wiedziała, jak będzie ostra i bez trzymanki, być może w ogóle nie otworzyłabym drzwiczek.

– Poczekalnia jak poczekalnia – Rudnicki zakreślił ręką młynka, zawierając w tym ruchu wszystkie niezbędne informacje dotyczące tego pomieszczenia. – Zapraszam dalej.

Weszliśmy do jednego z dwóch gabinetów. Na środku stał stół zabiegowy ze stali nierdzewnej, ze specjalnymi uchwytami do przywiązywania zwierząt i lampą chirurgiczną. Jeden z rogów pomieszczenia zajmowała waga, drugi – zlew i stalowa wanna. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono szafki na lekarstwa i drobny sprzęt medyczny, przy drugiej – biurko z komputerem i telefonami.

– Tutaj są karmy, do trzech kilo i puszki – lekarz wskazał na regał pełen kolorowych opakowań. – Duże worki trzymamy w magazynie. Doktor Walczak pilnuje zamówień, więc gdyby pojawiły się jakieś braki, proszę mu zgłaszać. Pani już miała przyjemność z doktorem Walczakiem?

Pokręciłam przecząco głową.

– Mam nadzieję, że się polubicie – uśmiechnął się Rudnicki. – Dzisiaj zaprosiłem panią specjalnie tak rano, żeby miała się pani czas rozejrzeć, jutro też może pani przyjść wcześniej, ale normalnie przyjęcia zaczynamy od dziewiątej. Ponieważ ja jestem na miejscu, przychodzę wcześniej i zostaję dłużej, obsługuję też wezwania nocne. Na wezwania jeździmy na zmianę z doktorem Walczakiem. Mamy dwa gabinety, więc kiedy jest więcej pacjentów, pracujemy równolegle – odchrząknął.

– Panie doktorze, mam prośbę. Po takiej przerwie w zawodzie nie czuję się zbyt pewnie. I wolałabym, żeby mnie pan na razie nie zostawiał samej.

– Oczywiście, będzie się pani musiała wdrożyć. Ale proszę się nie obawiać, to jest dokładnie tak jak z jazdą na rowerze. Albo na łyżwach. Tego się nie zapomina.

– Mam wrażenie, że nic nie pamiętam. Dosłownie nic.

Poczułam na ramieniu ciężar jego dłoni. Poklepał mnie przyjaźnie i uśmiechnął się.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani. Proszę się nie martwić na zapas.

Martwienie na zapas. O tak, w tym byłam naprawdę dobra.

Za kwadrans dziesiąta, kiedy kończyłam właśnie przeglądać szuflady z lekarstwami, na dworze rozległ się drapieżny dźwięk motocyklowego silnika na wysokich obrotach. Rudnicki, który siedział przy biurku i sprawdzał coś w komputerze, wychylił się zza ekranu.

– Straszne, co? – krzyknął. – Wszystkie ptaki mi płoszy.

Hałas osiągnął swoje apogeum gdzieś bardzo blisko i nagle ucichł.

– Trzeba to koniecznie zgłosić do straży miejskiej! – nawet nie próbowałam ukrywać oburzenia. Na motocyklistów mam bowiem alergię. Uważam ich za wysokiej klasy idiotów, narażających bez sensu życie, niestety nie tylko swoje. – To jest miasto ogród, a nie tor wyścigowy. Muszą być na to odpowiednie paragrafy!

W ciszy, która wydała się nagle przejmująca, każde moje słowo brzmiało dźwięcznie i wyraźnie.

– Obawiam się, że właściciel motocykla nigdy by mi nie wybaczył – westchnął

Rudnicki, ale te słowa nic mi nie dały do myślenia.

– Takie zachowania trzeba piętnować – czułam, że nakręcam się coraz bardziej. – Tu nie chodzi tylko o hałas. Zagrożenia, jakie powodują na drogach motocykliści. Brawura i totalny brak wyobraźni, niestety.

– Zgadzam się z panią. Absolutnie się z panią zgadzam.

Trzasnęły drzwi do poczekalni.

– Najgorsze jest to, że w takich wypadkach giną niewinni ludzie. Jeśli sami są tak głupi i chcą się zabić, to bardzo proszę. Osobiście nie mam nic przeciwko temu.

Rudnicki uniósł rękę, próbując mi przerwać.

– Każdy motocyklista to potencjalny dawca – kontynuowałam. – Przynajmniej po śmierci się na coś przydadzą.

– Pani Magdo.

– Nie, nie, Piotrze, nie przerywaj pani. Bardzo interesujący wywód – rozległ się męski głos tuż za mną. – Chętnie posłucham.

Odwróciłam się, zaskoczona. W otwartych drzwiach gabinetu stał mężczyzna w czarnym, skórzanym ubraniu motocyklisty i ze srebrzystym kaskiem pod pachą. Był wysoki, barczysty i ciemnowłosy, miał trochę asymetryczną, ale przystojną twarz pokrytą kilkudniowym zarostem i chłodne, ironiczne spojrzenie. Pierwszy klient? – przebiegło mi przez myśl. Tylko jakie zwierzę można przywieźć ze sobą na motocyklu?

Rudnicki wydał z siebie odgłos, który równie dobrze mógł być westchnieniem albo chichotem.

– Poznajcie się. Doktor Damian Walczak, doktor Magdalena Borowska. Pani doktor będzie od dzisiaj z nami pracować.

Pierwsze godziny przebiegły wyjątkowo spokojnie. Pacjentów było mało, przypadki nieskomplikowane. Walczak, w zielonym lekarskim fartuchu i białych chodakach nie prezentował się już tak mrocznie i nieprzyjaźnie, ale mimo to czułam się w jego obecności trochę nieswojo. Z jednej strony byłam oczywiście na siebie zła, że

niepotrzebnie się wychyliłam, nazywając rzeczy po imieniu, z drugiej – nie zamierzałam go przeproszać, nawet gdyby to miało oznaczać otwarty konflikt. Inna sprawa, że w dziedzinie otwartych konfliktów doświadczenie miałam niewielkie.

Na razie postanowiłam po prostu go omijać. Dopóki w gabinecie przebywał też Rudnicki, nie było problemu, bo poświęcał mi każdą wolną chwilę między pacjentami. Wydawał proste polecenia i mówił głośno, co robi, przypominając procedury, nazwy leków, omawiając wnioski z badania. Jednak koło dwunastej odebrał telefon.

– Przychodnia, słucham. Tak. Tak. Od której? Zaraz ktoś do pani podjedzie. – Słuchał jeszcze przez chwilę. – Dobrze, dobrze, będę osobiście.

Odłożył słuchawkę.

– Dożyca z Żółwina, kojarzysz? – zwrócił się do Walczaka.

– Ta w pierwszej ciąży?

– Tak. Rano zaczęła rodzić. Już jest sześć małych i akcja ustała, ale właścicielka twierdzi, że na pewno ma coś jeszcze w brzuchu. Prosi, żebym przyjechał.

– Hm, może ma na ciebie chrapkę? – zasugerował Walczak, co zapewne miało być żartem, ale w moich uszach tak nie zabrzmiało.

– A może uważa, że jestem bardziej doświadczony? – zgasił go Rudnicki. – Do której może pani zostać? – zwrócił się do mnie.

– Do pierwszej.

– W takim razie widzimy się jutro.

I wyszedł.

W gabinecie zapanowała niezręczna cisza. Nie odezwę się pierwsza, postanowiłam.

– Jaka sytuacja w poczekalni? – zapytał obojętnie Walczak.

Wyjrzałam na korytarz.

– Pusto.

– To się bardzo dobrze składa – stwierdził, sięgając po wiszące na haczyku nad biurkiem klucze. – Bo mam dla pani zadanie. Trudne i odpowiedzialne, ale wierzę, że da pani radę. Proszę za mną.

Poczułam strach i ekscytację. Wszystko, co działo się od rana w klinice, było właśnie takie: przerażające i ekscytujące zarazem. Nastawiałam złamaną łapę, robiłam pierwsze zastrzyki, zmieniałam opatrunki, czując jednocześnie radość, że znowu wykonuję mój ukochany zawód, i strach, że coś pójdzie nie tak. I choć z każdą minutą i każdą kolejną czynnością działałam pewniej i spokojniej, ten strach miał mi towarzyszyć jeszcze długo.

Przeszliśmy z gabinetu wąskim korytarzykiem do dalszej części lecznicy. Próbowałam wyobrazić sobie skalę zadania, które przeznaczył dla mnie Walczak. Może przygotowanie jakichś preparatów? Albo konsultacja wyników pacjenta? A może podłączenie któregoś psa ze szpitala do kroplówki? Pomyślałam, że w sumie ten facet nie jest chyba taki zły, na jakiego pozuje, i w sumie moglibyśmy nawet zacząć sobie mówić po imieniu.

Z coraz większym napięciem obserwowałam, jak Walczak otwiera jedne drzwi, potem kolejne. W końcu znaleźliśmy się w niewielkim pomieszczeniu bez okien, które było czymś w rodzaju magazynu. Większość przestrzeni zajmowały metalowe kojce i klatki dla zwierząt. Obok ustawiono plastikowe transportery dla kotów, na ścianie wisały smycze i kagańce różnej wielkości. Walczak podszedł do regału pełnego misek, psich zabawek, obróżek i innych gadżetów. Na dolnej półce leżały plastikowe kołnierze, zakładane psom na szyje po to, by po operacjach lub drobniejszych zabiegach nie wylizywały sobie ran. Przejrzał je szybko i kilka z nich odłożył na podłogę.

– Gdyby pani mogła... – wskazał mi przygotowany stosik.

Rozejrzałam się niepewnie.

– Ale nie widzę.

– Czego?

– Tych psów, którym mam je założyć.

Walczak uśmiechnął się ironicznie.

– Ależ ich nie trzeba nikomu zakładać. Je trzeba, pani Magdo, umyć.

O pierwszej, ledwo żywa fizycznie i psychicznie oraz głęboko przekonana, że do Walczaka nigdy w życiu nie odezwę się na ty, zabrałam swoją torebkę, rzuciłam oschłe:

– Żegnam.

I wyszłam z gabinetu, bardzo się pilnując, żeby nie trzasnąć drzwiami.

Wsiadłam do auta i pojechałam pod szkołę. Do dzwonka na przerwę zostało jeszcze całe dziesięć minut, dlatego odruchowo wyciągnęłam telefon, żeby sprawdzić, czy moja matka odpisała.

Nie odpisała, więc znowu próbowałam się z nią połączyć, i znowu usłyszałam w słuchawce pocztę głosową. Pewnie pisze i wyłączyła komórkę, zbagatelizowałam sprawę. Niepotrzebnie.

Kilka minut później nadbiegła Kaja, w wyjątkowo dobrym humorku.

– Pani mnie dzisiaj pochwaliła, pochwaliła. – Nuciała do jakiejś nieznannej mi melodii. – Śpiewałam najładniej w klasie, najładniej w klasie.

Ale ekscytacja przeszła jej natychmiast, kiedy zatrzaskała za sobą drzwiczki samochodu.

– Co tu tak śmierdzi? – spytała, marszcząc nos.

A po chwili namysłu dodała.

– Zupełnie jak u tego lekarza, gdzie byliśmy szczepić Alfa!

No cóż, ukrywanie tego, że pracuję w przychodni, mogło być dużo bardziej skomplikowane, niż zakładałam.

ROZDZIAŁ 13

Zamiast wprowadzać samochód do garażu, zostawiłam go na ulicy przed domem. Trudno. Byłam tak wypluta, że żadna dodatkowa czynność typu siłowanie się z popsutą bramą garażową nie wchodziło w grę. Powitało nas radosne szczekanie i kiedy tylko otworzyłam furtkę, Alf zaczął na nas skakać. Krzyknęłam na niego ostro i o dziwo, nawet się uspokoił, a ja poczułam, że coś jest nie tak. Dałabym głowę, że wychodząc, zostawiłam go w domu. Dokładnie pamiętałam swój proces myślowy: nie będzie mnie sześć godzin, pies w ogródku może narobić niezłych szkód, pies w domu będzie spał. Prosty wybór. Skąd teraz to zwierzę wzięło się na dworze? Kto je wypuścił?

Poczułam, że robi mi się zimno. Bo jedyna odpowiedź, jaka przyszła mi do głowy, była następująca: złodziej.

- Kaja, poczekaj tutaj – powiedziałam, starając się zachować spokój.
- Dlaczego?
- Dlatego. Nie ruszaj się stąd, dopóki cię nie zawołam.
- Coś się stało?
- Nic się nie stało. Czy nie możesz po prostu chwilę tutaj postać? Minutę?
- Minutę mogę – zgodziła się. – Włączysz mi stoper?

Z westchnieniem podałam jej swoją komórkę.

- Włącz sobie sama.

Kaja natychmiast zaczęła grzebać w telefonie. Było mi obojętne, co robi, byle tylko udało się ją utrzymać z dala od domu.

Podeszłam do drzwi i przyjrzałam im się uważnie. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest w porządku, na drugi w sumie też, więc włożyłam klucz do zamka i przekręciłam go. Usłyszałam cichy trzask zasuwki, taki sam jak zwykle. Odczekałam chwilę, a potem nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Sionka

wyglądała identycznie jak rano, kiedy z niej wychodziłam, no ale pokażcie mi włamywacza, który wybebesza półkę z butami. Więc, wcale nie uspokożona, ruszyłam dalej.

Hol na dole również sprawiał wrażenie nietkniętego niczyją obcą ręką. W kuchni panował co prawda pewien nieład, ale był to naturalny nieład poranny, a nie demolka zafundowana przez złodzieja.

Uspokożona, przeszłam do salonu. Tutaj wszystko właściwie też wydawało się w porządku, z wyjątkiem szeroko otwartych drzwi tarasowych. Teraz było jasne, skąd Alf wziął się na dworze.

– Brawo, Madziu – pogratulowałam sobie. – Znowu zapomniałaś zamknąć taras.

Zostawianie otwartych drzwi na taras nie było rozsądne, ale co jakiś czas mi się przydarzało. Gdyby Tomek się dowiedział... No, ale się nie dowie, pocieszyłam się i podeszłam, żeby je zamknąć, tak jakby teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Kiedy byłam tuż przy nich, z leżaka na tarasie ktoś wstał. Na sekundę mnie zatkało, a potem zaczęłam wrzeszczeć, rozglądając się jednocześnie za jakąś bronią. Jedyne, co się nadawało do obrony, to stojąca lampa, chwyciłam więc ją w obie dłonie, wyrwałam z kontaktu i już miałam zacząć kręcić nią młynka, jak Arya Stark, kiedy usłyszałam zdziwiony głos mojej matki:

– Madzia? Co ty wyrabiasz, dziecko?

Nie wiem, ile spałam. Pewnie długo, bo kiedy się kładłam, było wczesne popołudnie, a teraz w okna zaglądał mrok. Leżałam przez chwilę z otwartymi oczami, próbując dojść do siebie i zrozumieć, jak to się stało, że poszłam spać w ciągu dnia. Powoli wszystko wracało. Gabinet, praca, powrót do domu, kilka koszmarnych minut, kiedy myślałam, że padliśmy ofiarą włamywacza, i wreszcie moja matka, opalająca się na tarasie. Jak na jeden dzień atrakcji całkiem sporo.

Matka w ogóle nie wiedziała, o co mi chodzi, kiedy tłumaczyłam się z mojej, w jej mniemaniu przesadnej i histerycznej reakcji.

– Jesteś przewrażliwiona – zarzuciła mi. – Skąd nagle u ciebie takie dramatyczne

skojarzenia?

W ustach autorki kryminałów zabrzmiało to naprawdę zabawnie. Po chwili namysłu opowiedziałam jej o morderstwie w parku. Słuchała, zafascynowana, a kiedy skończyłam, podsumowała całe zdarzenie jednym słowem:

– Fantastyczne!

I poprosiła mnie o numer do Sikory. Nie mogła przepuścić takiej gratki. Coś czułam, że podobna zbrodnia wydarzy się w jej kolejnej książce.

A potem się okazało, że zamieszanie z włamywaczem w jakimś sensie mnie uratowało. Gdyby nie to, dostałabym nieźle po uszach. Bo kiedy już doszłam do siebie, matka palnęła mi następujące kazanie:

– Następnym razem kiedy mnie zaprosisz, nie wychodź z domu, z łaski swojej. Na szczęście coś mnie tknęło i wzięłam swój klucz. Chyba sobie nie wyobrażasz, że tkwiłabym pod furką tyle godzin?

– Dzwoniłam – próbowałam się usprawiedliwić. – I napisałam esemes.

– Ale za późno, moja droga, zdecydowanie za późno.

– Może gdybyś odebrała – broniłam się dalej.

– Chyba się nie spodziewasz, że będę odbierać za każdym razem, kiedy do mnie dzwonisz? A poza tym zostawiłam telefon w domu.

– Zostawiłaś telefon w domu?!

– Moja droga, kiedyś w ogóle nie było komórek, tylko stacjonarne, i jakoś ludzie sobie radzili. Nawet całkiem nieźle. Tyle tylko, że wymagało to odrobiny wysiłku, sumienności i obowiązkowości.

Byłam tak wykończona, że machnęłam ręką na prawdę historyczną i poszłam do kuchni, zastanawiając się, jak podzielić na pięć cztery wątle kurczacze udka.

Potem pamiętałam już tylko tyle, że położyłam się na kanapie w salonie z myślą, że muszę choć sekundę odpocząć. I natychmiast zasnęłam. Jeżeli moje życie miało teraz tak wyglądać, to chyba powinnam się mocno zastanowić, czy powrót do pracy był rozsądną decyzją.

A teraz był już wieczór. Wstałam i powlokłam się do kuchni. Nie zastałam tam nikogo, ale brudne miseczki w zlewie świadczyły o tym, że Tomek dał dzieciom na kolację mleko z płatkami. Gryziona wyrzutami sumienia, ruszyłam na górę. Kaja, która właśnie wychodziła z łazienki, podbiegła do mnie i przytuliła się z całej siły. Pachniała mydłem i pastą do zębów, i jeszcze czymś, co zidentyfikowałam jako mój dezodorant.

– Ale długo spałaś, mamo!

– Przepraszam. – Pocałowałam córkę w czubek głowy. – Lekcje odrobione?

– Tak. Z tatą.

– To do łóżeczka.

– Dobranoc, mamo.

Patrzyłam, jak moja córka idzie korytarzem, przeczesując włosy szczotką. Już niedługo to dziecko zmieni się w nastolatkę, pomyślałam z przerażeniem. I wszystko stanie się jeszcze bardziej skomplikowane.

W sypialni paliło się światło, więc zajrzałam do środka. Tomasz leżał na łóżku, w ubraniu, z laptopem na kolanach. Na mój widok uśmiechnął się i odstawił komputer.

– Wyspałaś się? – zapytał z troską.

Jego reakcja była tak miła, a przez to tak nienaturalna, że poczułam się jak w filmie. Moja bohaterka powinna teraz rzucić: „Przepraszam, pomyliłam pokoje”. Albo: „Kto mi podmienił męża?”. Tylko że to nie był film. Stałam więc dalej bez słowa, przyglądając się Tomkowi z niedowierzaniem.

– Tak, dziękuję – odpowiedziałam ostrożnie. – Byłam strasznie zmęczona.

– To na pewno przez te koszmarne przeżycia z soboty – usprawiedliwił mnie, choć prawdę mówiąc w ogóle już dzisiaj nie myślałam o morderstwie w parku.

On sobie ze mnie żartuje, przeleciało mi przez głowę. Taka zabawa kota z myszą. Normalną reakcją mojego męża byłyby wyrzuty, że tak długo spałam, a przez ten czas tyle można było zrobić.

Ale to nie był koniec zaskoczeń.

– Chodź tu. Wymasuję ci plecy.

Nie powinnam była tego robić, bo odkąd odkryłam rachunek za perfumy, jego dotyk budził we mnie wyłącznie wstręt, ale nie chciałam też budzić podejrzeń. Dlatego posłusznie usiadłam obok niego na łóżku. Po chwili poczułam na ramionach mocne dłonie męża. Trudno, jakoś wytrzymam, pomyślałam, zaciskając zęby.

– Ale masz napięte mięśnie – zauważył, uciskając mi palcami kark. – Biedactwo. Rozluźnij się, zrelaksuj i opowiedz mi, jak ci minął dzień.

Musiałam zeszywnieć jeszcze bardziej.

– Pomogłeś Kai w lekcjach? – to pytanie miało odciągnąć uwagę mojego męża od tego, co dzisiaj robiłam.

Palce Tomasza wbiły się tak mocno w moje plecy, że aż syknęłam.

– Auć! To boli!

– Przepraszam – przesunął ręce niżej. – Tak, pomogłem. Swoją drogą uważam, że to skandal, żeby dzieci w trzeciej klasie miały tyle prac domowych.

Dłonie Tomasza poruszały się po moich plecach z dużą wprawą. Nagle zdałam sobie sprawę, że masaż przestaje być masażem, a zaczyna być pieszczotą. Tego nie byłam już w stanie znieść. Odsunęłam się zdecydowanym ruchem.

– Zostaw, proszę.

Wstałam z łóżka.

– Zawsze lubiłaś, jak cię masowałem – powiedział z wyrzutem.

– Nie najlepiej się czuję, przepraszam.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie, nie! – zaprotestowałam gwałtownie. – Masz rację, ta sytuacja z soboty zupełnie mnie rozwaliła. Nie mogę się pozbierać.

I uciekłam z sypialni.

ROZDZIAŁ 14

Ty tchórzliwa idiotko, pomyślałam o sobie ciepło. Nic nie potrafisz z nim załatwić. Ani zapytać o rachunek, ani przyznać się do tego, że pracujesz. Żenujące.

Naprawdę byłam sobą zdegustowana. Moje poczucie własnej wartości spadło na łeb na szyję, osiągając wartości poniżej zera. A że na pochyłe drzewo każda koza skacze, przechodząc obok Kobyły dostałam od niej drzwiami w bok.

– Porąbię cię i spalę – zagroziłam jej, a potem, rozcierając bolące miejsce, zaczęłam się zastanawiać, co ze sobą zrobić. Tomasz jeszcze nie był w piżamie, istniało więc pewne prawdopodobieństwo, że będzie się kręcił po parterze. A naprawdę nie chciałam już go dzisiaj oglądać. Więc zamiast zejść do kuchni i zająć się przygotowaniem obiadu na jutro, wślizgnęłam się do pokoju Kuby.

Mój syn spał na wznak, rozkopany, i posapywał przez nos. Przykryłam go i usiadłam przy biurku. Gdybym próbowała wykonać tę czynność u Kai, musiałabym wcześniej odnaleźć krzesło, usunąć z niego sterty ciuchów, a potem, gdyby mi na przykład przyszło do głowy oprzeć łokcie na blacie, musiałabym najpierwusunąć z niego grubą warstwę bałaganu. U Kuby na krześle nie leżało nic. Ani na podłodze. Biurko zaś zajęte było wyłącznie przez klawiaturę komputera i kilka podręczników, ułożonych w schludny stosik. Zawsze widząc tę gigantyczną różnicę w podejściu moich dzieci do porządku, nie mogłam się nadziwić, że dwie jednostki, posiadające tak bardzo podobne wyposażenie genowe, mogą mieć tak zupełnie odmienne cechy charakteru.

I nagle, właśnie pod wpływem widoku klawiatury, coś sobie przypomniałam.

– O, cholera! – zakląłam szczerze. – Zdjęcia dla Sikory!

Znając siebie, powinnam to zrobić natychmiast, inaczej istniało prawdopodobieństwo, że zapomnę znowu. Otworzyłam więc szybką komputer Kuby,

włączyłam pocztę i zalogowałam się.

Masz czterdzieści sześć nowych wiadomości – przeczytałam. Przeleciałam wzrokiem wyboldowane adresy nadawców, z czego przeważającą większość stanowił spam. Mejl od Zuzy przyszedł o wpół do pierwszej w nocy, czyli musiała go wysłać od razu po powrocie do domu. Bo siedzieli u nas, tak jak przewidywałam, do dwunastej. I gdyby nie stanowcza postawa mojego męża, który następnego dnia miał kilka ważnych spotkań i chciał się wyspać, prawdopodobnie zostaliby do dzisiaj do obiadu.

W pierwszym odruchu otworzyłam list i wybrałam opcję „prześlij dalej”, ale zaraz uświadomiłam sobie, że stawianie przemęczonego Sikory przed koniecznością wybrania jednej fotografii z tysiąca może być dla niego odrobinę kłopotliwe. Zatem, choć bez entuzjazmu, otworzyłam folder i zaczęłam przeglądać zdjęcia.

To, którego szukałam, było szóste z kolei. Zapisałam je w pamięci komputera i załączyłam do listu. Kliknęłam „wyślij”, a potem sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Jacka.

– Skąd wiedziałaś, że już śpię?

Rzeczywiście, miał zmęczony i senny głos. Co mnie jednak nie zniechęciło. Sikora był jedną z najbardziej asertywnych osób na świecie i gdyby naprawdę nie miał siły gadać, nie odebrałby.

– Wysłałam ci to zdjęcie od Zuzy – zakomunikowałam ściszym głosem, żeby nie obudzić Kuby. A potem nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spytać: – Co słychać?

– Jakoś się turlamy do przodu.

– Oj weź.

– A co chcesz wiedzieć?

To było pytanie z gatunku podchwytliwych. Im bardziej ogólnie zapytam, tym mniej szczegółowe informacje uzyskam. Spróbowałam stanąć na wysokości zadania.

– Byliście u niej w mieszkaniu?

– Byliśmy. – W jego głosie wyłapałam pewien namysł, który mi się nie spodobał.

– Mógłbyś rozwinąć? – syknęłam, zirytowana.

– Pod adresem, który podała w Go sporcie ostatnio rzadko bywa. Przeprowadziła się do swojego faceta. Na szczęście zostawiła sąsiadce nowy adres. Pojechaliśmy tam dzisiaj. Przejrzeliśmy jej rzeczy, zabezpieczyliśmy komputer.

– A facet? Co z facetem?

Sikora westchnął.

– Madziu, może mi umknęło, ale czy ty bierzesz udział w śledztwie?

– Nie, ale znalazłam zwłoki. I przyjaźnimy się od podstawówki. – Stara śpiewka.

– Gość wydaje się w porządku. Kochał tę Joannę, miał się jej oświadczyć w przyszłym miesiącu w Paryżu, nawet już bilety wykupił. Na przyjęcie przyszli razem, był zaproszony, bo jego firma zaczęła współpracę z Szeligą.

– Super. Tylko jeżeli tak ją kochał, to dlaczego pozwolił, żeby wyszła sama z przyjęcia?

– Dobre pytanie – przyznał Jacek. – Też mu je zadałem. Ale raczej nic poważnego się za tym nie kryje. Twierdzi, że trochę się poprzytykali, Joanna się obraziła i wyszła wcześniej. Oboje wiemy, że tak czasami bywa.

O, tak. Tylko że w moim małżeństwie to nie ja byłam stroną, która się obraża.

– No i druga rzecz. Dlaczego nie zgłosił zaginięcia?

– Bo myślał, że nocuje w swoim mieszkaniu. Tak czasami robiła.

– I nic mu się nie wydało podejrzanego? Że nie dzwoni, nie pisze na messengerze?

– Ani trochę. Zdaje się, że taki miała styl. Wolała czekać, aż facet się pokaja. Twierdzi, że czasami nie odzywała się nawet przez kilka dni. Teraz oczywiście strasznie mu głupio.

– Wydaje się szczerzy – zauważyłam.

– Szczerzy i pomocny. Zidentyfikował zwłoki. Rodzicom prawdę mówiąc nie miałem odwagi tego zaproponować.

– A sekcja?

To było to jedno pytanie za dużo.

– Była. Mam raport w komputerze, może ci przesłać? Albo po prostu udostępnię na fejsie, to sobie lukniesz.

Zrozumiałam.

– Dobrze, już dobrze. Śpij dalej.

– Jaka ty dzisiaj łaskawa – skwitował. – Dobranoc.

I się rozłączył.

Chciałam zamknąć komputer, ale ekran zajęty był przez powiększone zdjęcie Joanny Maj z sobotniej imprezy. Z ciekawością zaczęłam przyglądać się kobiecie, która kilka godzin po zrobieniu tej fotografii już nie żyła.

Na dużym ekranie komputera jej twarz była jeszcze wyraźniejsza, jeszcze bliższa niż na tablecie. Przez chwilę wpatrywałam się w ciemne oczy kobiety, jeszcze wtedy roześmiane i błyszczące, a potem przesunęłam wzrok w dół i zamarłam.

Na jej szyi, na cienkim rzemyku wisiał wisiorek w kształcie litery W.

Patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana. Jego widok zaszokował mnie tak bardzo, że dopiero po kilkudziesięciu sekundach zacisnęłam drżące palce na myszce i kliknęłam „powiększ”.

Obraz na ekranie przybliżył się, teraz widać było wyraźnie, że wisiorek jest błękitny, ceramiczny.

Kliknęłam jeszcze raz. Błękit wypełnił ekran. Zobaczyłam fakturę litery i sieć pokrywających ją drobniutkich pęknięć.

– O Boże – szepnęłam.

Podniosłam się powoli, ale kiedy chciałam zrobić krok, nogi się pode mną ugięły i musiałam chwycić brzeg biurka, żeby nie upaść.

Kilka razy odetchnęłam głęboko i kiedy wreszcie przestało mi się kręcić w głowie, ruszyłam w stronę drzwi.

Uchyliłam je ostrożnie. Cicho, żeby Tomasz mnie nie usłyszał, przemknęłam do schodów i prawie bezszelestnie wspięłam się na najwyższą kondygnację naszego domu – na strych.

Nigdy nie lubiłam tego miejsca. Tak, wiem, normalne dzieci uwielbiają buszować po strychach. Strychy mają w sobie tę cudowną, bajkową atmosferę tajemniczości i obietnicy jednocześnie. Jasne. Ale dla mnie strych mógłby nie istnieć. Tak samo jak

nie istniała dla mnie piwnica. Dlaczego? Z powodu arachnofobii.

Z definicji: arachnofobia to lęk przed pajakami, który objawia się panicznym i jednocześnie paralizującym strachem, poczuciem zagrożenia, a także rosnącym niepokojem, któremu towarzyszy uczucie wstrętu i obrzydzenia. Tak, to wszystko o mnie. Myślę, że gdyby ktoś chciał mnie wykończyć, wystarczyłoby mi wpuścić tarantulę do samochodu. Wskoczyłabym z pędzącego auta na samym środku autostrady, nie ma opcji. I choć trochę wstyd, kiedy na taką fobię cierpi weterynarz, to przecież rzadko się zdarza, żeby ktoś przychodził do gabinetu z ptasznikiem na smyczy.

Teraz stałam przed drzwiami strychu i oddychałam szybko, żeby się uspokoić. Sprawy nie ułatwiało to, że była noc. A nocą, wiadomo, pająki są dużo groźniejsze niż w dzień. Dlaczego? Bo rzucają cień. A pajak plus cień pajaka to zgroza do kwadratu, bo to ścierwo wydaje się wtedy dwa razy większe.

Ale ponieważ powód tej wyprawy był naprawdę ważny, nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Światło słabej żarówki wydobyło z mroku zagracone, pełne pajęczyn wnętrze. Omijając stare, zakurzone meble, dotarłam do komody, która kiedyś stała w moim pokoju, a na strychu wylądowała po tym, jak sprowadziliśmy się na Akacjową z Tomaszem. Komoda była czerwona, obdrapana i oklejona kalkomaniami z czasów mojej szkoły podstawowej. To, czego szukałam, znalazłam w środkowej szufladzie. W tekturowym pudełku po butach leżał gruby zeszyt z tekstami turystycznych piosenek, kilka pamiętników, do których koleżanki wpisywały mi wierszyki w stylu: Na górze róże, na dole fiołki, my się kochamy jak dwa aniołki, oraz egzemplarz lokalnej gazety sprzed siedemnastu lat z dużym nagłówkiem: „Był festyn”.

Ostrożnie wzięłam gazetę do ręki i zaczęłam kartkować. Zdjęcie, o które mi chodziło, znajdowało się wśród wielu innych w fotoreportażu z festynu. Było fatalnej jakości, mimo to kiedy na nie patrzyłam, nie mogłam powstrzymać wzruszenia. Zaczęłam płakać, a łzy kapały na fotografię ślicznej, uśmiechniętej dziewczyny, która stała oparta o rower, a na jej szyi widać było porcelanowy wisiołek w kształcie litery W.

Wisiołek bardzo podobny do tego, który nosiła w dniu śmierci zamordowana w parku kobieta.

Wspomnienia sprzed siedemnastu lat powróciły tak gwałtowną i intensywną falą, że ciało zaczęło mnie boleć, jakby rozpadało się na atomy w jakimś dziwnym, błyskawicznym procesie gnicia.

– Weronika – szepnęłam.

ROZDZIAŁ 15

Siedemnaście lat wcześniej

Tamną niedzielę pamiętam, jakby to było wczoraj. Z moją przyjaciółką, Weroniką, wybrałyśmy się na rowerach do Otrębus, niewielkiej miejscowości położonej trzy kilometry od Podkowy. Jechałyśmy najpierw wzdłuż lasu suchą, piaszczystą drogą, która na wysokości Karolina przechodziła w asfalt, potem szosą obok sklepu spożywczego, aż do parku, w którym odbywał się lokalny festyn. Ja chciałam zobaczyć pokaz szkolenia psów policyjnych, Weronika szykowała się na loterię, w której główną nagrodą był plecak ze stelażem dobrej zachodniej firmy, nowoczesny, lekki, w sklepach prawie nie do dostania.

– Jest fantastyczny! – stwierdziła tydzień wcześniej, kiedy stałyśmy przed słupem ogłoszeniowym w Podkowie i przyglądałyśmy się zdjęciu plecaka na plakacie informującym o festynie. – Właśnie takiego potrzebuję na wyjazd do Londynu. – I po chwili dodała: – Zobaczysz, będzie mój.

Popatrzyłam na nią ze zdziwieniem.

– To loteria – przypomniałam jej. – Skąd możesz wiedzieć, że wygrasz?

– Och, przecież ja zawsze mam szczęście – roześmiała się.

Nie mogłam się z nią nie zgodzić. Tak, Weronika miała szczęście. Była śliczna i zdolna, miała fantastyczną figurę, a sukcesy przychodziły jej jakby mimochodem. Świetnie się uczyła, świetnie zdała maturę i bez problemu dostała się na anglistykę. Chłopcy zakochiwali się w niej na zabój, a ona bawiła się nimi, zmieniając jak rękawiczki.

Tamtego dnia miała na sobie dżinsowe szorty i białą, płócienną haftowaną bluzkę, z dekoltem wykończonym gumką. Wyglądała bosko, jak zawsze. A ja patrzyłam na nią bez cienia zazdrości, tylko z zachwytem i dumą. Wtedy nie mogłam zrozumieć,

jak to możliwe, że lokalna gwiazda, która mogła przyjaźnić się z każdą, dosłownie każdą dziewczyną ze szkoły, wybrała właśnie mnie – młodszą od siebie o dwa lata, z lekką nadwagą i ksywą „Meduza”, która naprawdę mówiła wszystko. Dzisiaj już wiem, że tak to właśnie działa. Że gwiazdzie potrzebne jest tło, im bardziej kontrastowe, tym lepsze. A ja jako tło sprawdzałam się idealnie.

Park, w którym odbywał się festyn, znajdował się przy Toeplitzówce – starej willi z wieżyczką i tarasem, stojącej nad płytkim, zarośniętym trzcina stawem. Budynek, który lata świetności miał dawno za sobą, należał do gminy. Wnętrze zajmowały biblioteka, ośrodek zdrowia i poczta, a teren wokół willi wykorzystywano czasami na imprezy plenerowe dla mieszkańców.

Przypięliśmy rowery do przerdzewiałego stojaka. Weronika przejrzała się w rowerowym lusterku, poprawiła włosy i szybkim ruchem powiększyła dekolt bluzki, ściągając gumkę w dół i odsłaniając opalone ramiona.

– Widać ci stanik – zwróciłam jej uwagę.

– Nie nudź, babciu – roześmiała się i obciągnęła bluzkę jeszcze mocniej. –
Idziemy?

Zanurkowaliśmy w kolorowy tłum, który przelewał się między rozstawionymi w parku straganami. Weronika szła trochę z przodu, nie oglądając się na mnie, za to za nią oglądali się prawie wszyscy mijani mężczyźni. To chyba właśnie wtedy uświadomiłam sobie, jak bardzo się od siebie ostatnio oddaliłyśmy. Ja wciąż siedziałam w ławce w liceum, wkuwając wzory z fizyki i daty z historii, a Weronika od roku była na studiach i żyła dorosłym, prawdziwym życiem. Czasy wspólnych wakacyjnych wyjazdów, zrywania wiśni, kąpeli w gliniankach i wypadów na lody do Komorowa minęły bezpowrotnie, a Weronika, która kiedyś opowiadała mi o sobie prawie wszystko, nagle przestała się zwierzać. Tęskniłam za nią bardzo, dlatego ten dzisiejszy wspólny wyjazd tak wiele dla mnie znaczył.

Przechodziłyśmy od stoiska do stoiska, oglądając tandetną biżuterię, plastikowe zabawki i dzieła sztuki miejscowych artystów, wystawione na sprzedaż, aż w końcu

dotarliśmy do punktu sprzedaży losów na loterię, który znajdował się po drugiej stronie willi.

Przy kamiennych schodach prowadzących na taras ustawiono dwa stoliki, zapewne pożyczone z sąsiedniego przedszkola, a na nich – przeźroczysty szklany wazon w kształcie kuli pełen losów. Dookoła, na drewnianych paletach wyeksponowano fanty – pluszowe zabawki, ramki na zdjęcia, kredki, flamastry, szampony i odżywki do włosów, a nawet rośliny doniczkowe, wszystko to przekazane przez sponsorów festynu. Centralne miejsce wśród całej tej przedziwnej zbieraniny zajmował czarno-czerwony plecak, TEN plecak, a do klapy miał przyczepioną kartkę z numerem jeden.

Za stolikiem siedziała odrobinę zbyt tęga kobieta o siwych włosach ułożonych tak misternie, jakby przed kwadransem wyszła od fryzjera. Uśmiechnęła się do nas zachęcająco.

– Co, dziewczynki? Skusicie się? Każdy los wygrywa!

Weronika wyjęła portmonetkę z kieszeni džinsów.

– Poproszę jeden.

Kobieta wrzuciła pieniądze do puszek po herbacie.

– Dochód z loterii jest przeznaczony na potrzeby lokalnej prasy – wyrecytowała formułkę i podsunęła Weronice szklaną kulę. – Może się uda trafić szampon. Albo odżywkę – puściła do nas oko. – Dostaliśmy dwa kartony od L’Oréala. Towar deficytowy.

Patrzyłam, jak Wera wsuwa szczupłą, opaloną dłoń w otwór wazonu i wybiera los. Przez chwilę obracała go w palcach, jakby obawiając się otworzyć, aż w końcu go rozerwała. Na kartoniku widniał numer dwadzieścia dziewięć. Pokazała go kobiecie obsługującej loterię.

– No proszę, a jednak macie szczęście! – ucieszyła się siwa. – Szampon z odżywką, dwa w jednym! Proszę bardzo.

Podawała Weronice kolorową butelkę. Wera schowała ją do maleńkiego, czarnego plecaczka, który służył jej jako torebka, i wyjęła z portmonetki kolejne monety.

– Jeszcze jeden poproszę.

Tym razem wylosowała numer pięćdziesiąt dziewięć.

– Zestaw długopisów – oznajmiła kobieta.

– Nie chcę żadnych głupich długopisów, chcę plecak – Weronika była coraz bardziej zirytowana.

Zajrzała do portmonetki.

– To co, do trzech razy sztuka? – zachęciła ją siwa kobieta.

Weronika skinęła głową, a siwa wróżka podsunęła jej kulę.

Patrzyłam, jak Wera drżącymi palcami rozdziera karteczkę, sprawdza numer i rzuca los na ziemię.

– Chodźmy stąd!

Chyba naprawdę wierzyła, że wygra.

Zabrałyśmy się za penetrowanie drugiej części parku. Znajdowało się tu mniej straganów, za to więcej miejsc, w których można było coś zjeść lub wypić. Na grillach skwierczały karkówki, kiełbasy i kaszanki, z beczek lało się piwo, a przed przenośnymi zamrażarkami pełnymi lodów na patyku ustawiały się kolejki dzieci.

Całkiem spora grupka ludzi zebrała się też wokół jednego z niewielu stoisk po tej stronie stawu, więc podeszłyśmy zobaczyć, co ciekawego tam sprzedają. Na trzech turystycznych stolikach ustawiono kolorowe ceramiczne figurki, miski, popielniczki i wazoniki o ładnych, miękkich liniach. Przy ekspozycji kręciło się dwoje młodych ludzi o lekko ekscentrycznym wyglądzie – szczupły brodaty mężczyzna w czarnym T-shircie i dżinsach nie pierwszej świeżości i blondynka w ogrodniczkach w kwiatki i czerwonych kaloszach.

Przepchnęłyśmy się do przodu, żeby z bliska obejrzeć ceramiczne cudenka.

– Patrz, jakie śmieszne!

Wera pokazała mi przypięte na korkowej tablicy wisioriki w kształcie literek. Wszystkie były błękitne, błyszczące, rzeczywiście ładne.

– Po ile te literki? – zapytała jakaś dziewczyna, stojąca obok nas i obracająca w palcach wisiołek w kształcie litery Z.

- Dwadzieścia. Z rzemykiem dwadzieścia pięć.
- To poproszę. A za rzemyk dziękuję, mam w domu.

Kobieta w ogrodniczkach wybrała literkę, włożyła do papierowej torebki i podała dziewczynie.

- Prześliczne – powiedziała rozmarzonym głosem Weronika.
- Kup sobie! – zachęciłam ją. – Będziesz miała pamiątkę.

Wera zajrzała do portmonetki.

- Zaszalałam z loterią. Prawie nic mi nie zostało.
- Pożyczyć ci?
- Nie, przestań. Nie podobają mi się AŻ TAK.

W tym momencie od strony willi dobiegły wysokie, drażniące ucho dźwięki – to jeden z organizatorów, elegancki, siwy mężczyzna w sztruksowej marynarce, włączył ustawiony na tarasie mikrofon. Wyglądało na to, że zaraz zacznie się oficjalna część imprezy.

– Panie i panowie, szanowni mieszkańcy i drodzy sąsiedzi – usłyszeliśmy. – Pozwolicie, że przedstawię wam osoby, bez których ten festyn nie mógłby się odbyć – naszych sponsorów!

Ludzie zebrani wokół tarasu zaczęli klaskać.

– Dziękujemy firmie Drewnobud z Nowej Wsi. Zapraszam tu do nas!

Na taras wspiął się niski, barczysty mężczyzna w spodniach od garnituru i adidasach. Ukłonił się zgromadzonym i dostał gromkie brawa.

– Dziękujemy właścicielowi naszej nowej restauracji Esmeralda, której otwarcie odbędzie się już niedługo, panu Januszowi Czerwińskiemu.

Czerwińskiego znałam z widzenia, mieszkał w Podkowie i miał taką sobie opinię. Krążyły plotki, że gdyby nie pieniądze żony, nie otworzyłby ani swojej pierwszej restauracji w Warszawie, ani Esmeraldy, ani nawet budki z piwem. Był przystojny i zawsze bardzo dobrze ubrany, jeździł kabrioletem i podobno lubił nim podwozić dziewczyny w moim wieku. Do tego nosił długie do ramion włosy, które związywał w kitkę. W tamtych czasach był to absolutny szczyt ekstrawagancji, zwłaszcza u czterdziestolatka.

Czerwiński wbiegł po schodach, przeskakując po dwa schodki, i uniósł ręce w geście zwycięstwa. Otrzymał zdecydowanie głośniejsze brawa niż poprzednik.

– Słyszałaś, że biega maraton? – szepnęłam Weronice do ucha.

Wera wzruszyła ramionami.

– Kolejne podziękowania dla pana Brunona Szeligi, który nie tylko dorzucił sporą kwotę do festynowej puli, ale też sfinansował druk majowego numeru naszej gazety! Oklaski proszę!

Szeliga był zdecydowanie z wyższej półki niż poprzedni sponsorzy. Nienaganny garnitur, nienaganne maniery, nienaganna opinia. Jego firma odnosiła z roku na rok coraz większe sukcesy, a w okolicy krążyły plotki, że w swojej posiadłości pod lasem ma lądowisko dla helikopterów. Nic więc dziwnego, że oklaski na jego cześć trwały najdłużej.

– Pełna lista osób i firm, które nas wsparły, znajduje się na plakatach – oznajmił prowadzący. – A teraz mam przyjemność zaprosić państwa na pokaz tresury psów policyjnych, który odbędzie się na parkingu od frontu.

– Wera, idziesz? – spytałam dla porządku, choć wiedziałam, że Weronika nie przepada za takimi atrakcjami.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, to nie dla mnie. Pokręcę się tutaj i poczekam na ciebie.

Na pokaz tresury poszłam zatem sama, a kiedy po pół godziny wróciłam, Weronika siedziała przy rowerach, z czarno-czerwonym plecakiem na ramieniu i wisiorkiem w kształcie literki W na szyi.

– Skąd to wszystko? – zapytałam z niedowierzaniem. – Przecież mówiłaś, że już nie masz kasy?

Weronika wzruszyła ramionami.

– Meduzko, czy to ważne? – roześmiała się. – Ja zawsze mam szczęście.

– Halo, tutaj, dziewczyny! Chcecie być w gazecie?

Obok nas zatrzymał się wysoki, brodaty chłopak z aparatem.

– Jasne! – Wera odrzuciła włosy do tyłu filmowym gestem.

Na szczęście zanim brodacz zdążył przyłożyć aparat do oka, udało mi się umknąć

z pola widzenia obiektywu. Nienawidziłam, kiedy ktoś robił mi zdjęcia. Za to Wera pozowała jak zawodowa modelka.

– Super, dzięki!

Fotograf poszedł dalej, a my wsiadłyśmy na rowery i ruszyłyśmy w stronę Podkowy. Na szyi Weroniki bujał się błękitny ceramiczny wisiołek.

Trzy miesiące później Weronika zniknęła.

ROZDZIAŁ 16

Tej nocy znowu prawie wcale nie spałam. Straty są częścią naszego życia, to jasne. Na niektóre potrafimy się przygotować, bo są w jakimś sensie przewidywalne. Ale tego, że stracę Weronikę, przewidzieć nie mogłam. Długo nie potrafiłam się z tym pogodzić, właściwie myślę, że nie pogodziłam się do dzisiaj. Oprócz smutku, tęsknoty i pretensji do losu, który pozbawił mnie kogoś, kogo naprawdę kochałam, cały czas drzemało we mnie poczucie winy. Może gdybym była uważniejsza, bardziej dociekliwa i spostrzegawcza, zauważyłabym symptomy zbliżającego się nieszczęścia?

W głowie, zamiast snów, kotłowały mi się wspomnienia, których w żaden sposób nie potrafiłam opanować, tak bardzo byłam osłabiona i rozbita tym wszystkim, co ostatnio się działo. Jakie to okrutne ze strony losu, że podstawił mi nogę akurat teraz, kiedy byłam w tak kiepskim stanie. W normalnych okolicznościach widok ceramicznej literki tak bardzo podobnej do tej, którą nosiła Weronika, otworzyłby ranę. Dzisiaj czułam się tak, jakby rana nie tylko została otwarta, aledodatkowo posypana solą. Bolało tak bardzo, że nie wiedziałam, co ze sobą zrobić.

Usnęłam dopiero nad ranem. Śnił mi się pająk tkający sieć.

Następnego dnia zawiozłam dzieci do szkoły, a kiedy tylko wysypały się z Chrupka, sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić do Sikory. Czułam, że muszę mu jak najszybciej powiedzieć o wisiorze, inaczej eksploduję. Już miałam nacisnąć wybieranie numeru, kiedy tuż za mną rozległ się gwałtowny klakson. Jakiś rodzic uświadamiał mi w ten subtelny sposób, że toruję przejazd, tworząc korek – o tej porze w tym miejscu zjawisko właściwie normalne, choć niezmiennie wkurzające. Więc odrzuciłam komórkę na sąsiednie siedzenie i ruszyłam, migając przepraszająco światłami awaryjnymi.

Kusiło mnie oczywiście, żeby zadzwonić do Sikory w czasie drogi, ale to chyba jednak zbyt perwersja łamać prawo, rozmawiając z policjantem. Dopiero kiedy zaparkowałam grzecznie pod kliniką, sięgnęłam znowu po telefon.

– Słuchaj, mamy tu armagedon – w jego głosie słychać było lekką zadyszkę, więc prawdopodobnie wchodził po schodach. A schodów w powiatowej mieli pod dostatkiem. – Mów szybko.

– Dlaczego armagedon? – zainteresowałam się odruchowo. – Przecież już wiecie, kto zabił?

Przez chwilę słyszałam w słuchawce tylko ciężki oddech.

– A co ty taka wścibska? – wydusił z siebie w końcu. – Mów, z czym dzwonicz, bo zaraz się muszę wyłączyć.

Opowiedziałam mu więc o wisiorcu, który miała na szyi zamordowana w parku kobieta.

Jacek, mój najbliższy przyjaciel, kompletnie zbagatelizował sprawę.

– Czym ty mi głowę zawracasz? – jęknął. – Dajże spokój.

– Ale...

– Żadne ale. Takie zbiegi okoliczności się zdarzają. Idziesz dajmy na to do H&M, kupujesz bluzkę i za chwilę widzisz identyczną na koleżance. Albo co gorsza na koledze.

Jacek parsknął śmiechem ze swojego dowcipu, ale mnie on akurat nie rozbawił.

– Ten wisiołek nie był z H&M – przypomniałam mu.

– No i co z tego? Takiej biżuterii jest na pęczki.

– Nie o to chodzi. Po prostu nie wiesz, jak mnie zabolalo, kiedy to zobaczyłam – próbowałam zmusić go, żeby mi okazał współczucie. Ale nawet gdyby Sikora chciał to zrobić, i tak nie mógł – gdzieś w tle usłyszałam zbliżające się głosy.

– No dobra, dobra. Wiem, że ci może być smutno i tak dalej, ale to do niczego nie prowadzi. Weź się w garść. Muszę kończyć.

I rozłączył się.

Nie powiem, żeby mi pomógł.

Na szczęście na samochodowym zegarze wyskoczyła godzina ósma zero zero, nie

dając mi czasu na rozklejenie się. Wytarłam nos, zabrałam swoje rzeczy i wysiadłam z auta.

Może gdybym wiedziała, jakie upokorzenie czeka na mnie w klinice, zawróciłabym i pojechała prosto do domu.

Na stole zabiegowym stał maleńki york i cały dygotał. Jego właścicielka, elegancka sześćdziesięciolatka, kunsztownie uczesana i pachnąca drogimi perfumami, była prawie tak samo roztrzęsiona jak jej pies. I jak ja. Ponieważ, przypomnę, nie byłam u szczytu formy.

– Panie doktorze, o tutaj, przy samym oczku.

Walczak pochylił się nad psem i rozsunął palcami sierść we wskazanym miejscu.

– Niestety, kleszcz.

Kobieta zbladła i chwyciła się za serce. Pomyślałam, że za chwilę to ją trzeba będzie ratować.

– Nie rozumiem! Przecież ma obrózkę! Najlepszej firmy!

– Szanowna pani, skuteczność takich środków wynosi mniej więcej osiemdziesiąt pięć procent. Czyli na sto kleszczy osiemdziesiąt pięć się nie przyczepi. Dlatego my zawsze doradzamy, żeby równolegle z obrozą stosować krople. Dopiero wtedy zwierzę jest w pełni chronione – mówiąc to, szybkimi ruchami dłoni badał, czy na niewielkim ciałku nie zadomowił się jeszcze jakiś niepożądany lokator.

– Mój Neronek najdroższy. – Kobieta przytuliła pieska do obfitego biustu. – Co teraz, panie doktorze? – chwyciła Walczaka za rękę.

– Wszystko będzie dobrze, proszę się nie denerwować. – Dla mnie szorstki i ironiczny, przy właścicielach zwierząt, a zwłaszcza przy właścicielkach, Walczak stawał się najdelikatniejszym i najcierpliwszym lekarzem pod słońcem. – Teraz usuniemy kleszcza, pobierzemy krew i sprawdzimy, czy nie ma zmian świadczących o chorobie. Proszę pamiętać, że ugryzienie wcale nie musi oznaczać zakażenia.

Odwrócił się do mnie. Siedziałam przy komputerze i wprowadzałam dane poprzedniego pacjenta.

– Czy mogę panią prosić?

Zamknęłam komputer i wstałam od biurka. Właścicielka yorka obrzuciła mnie szybkim, nieuważnym spojrzeniem, jakbym była elementem wyposażenia wnętrza, czymś w rodzaju ruchomego stojaka na kroplówkę.

– Pani doktor, przekazuję pani pacjenta. Trzeba usunąć kleszcza i pobrać krew na rozmaz.

Właścicielce psa pomysł oddania pupilka w obce, w dodatku kobiece ręce raczej się nie spodobał.

– Panie doktorze, wolałabym, żeby to pan się nim zajął – powiedziała, z naciskiem na słowo „pan”.

Walczak objął delikatnie kobietę ramieniem, a na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech z rodzaju tych, które potrafią zmiękczyć najbardziej zatwardziałe kobiece serce.

– Droga pani, doktor Borowska na pewno świetnie sobie poradzi! Poza tym ostatnio wszyscy, którzy do nas przychodzą z małymi zwierzętami, wręcz proszą, żeby to doktor Borowska je badała – kłamał jak z nut.

Przełknęłam ślinę. Pobranie krwi. Badanie preparatu. Poradzę sobie, pomyślałam. Muszę sobie poradzić.

– Czy może go pani potrzymać? – poprosiłam, starając się użyć jak najbardziej zdecydowanego tonu z mojego, dość wąskiego, repertuaru.

Najpierw za pomocą specjalnego chwytaka usunęłam kleszcza, potem sięgnęłam po brzytwę i ogoliłam psu fragment prawej, przedniej łapki, starając się nie zwracać uwagi na obserwującego mnie uważnie Walczaka, który z pewnością tylko czekał, żebym się potknęła. Zaczęłam w skupieniu oglądać skórę, szukając najdogodniejszego miejsca na wkłucie. A kiedy je w końcu znalazłam, zdezynfekowałam, zawiązałam gumkę recepturkę, żeby zablokować żyłę i wbiłam igłę, okazało się, że nie trafiłam. Spróbowałam jeszcze raz. Znowu nic. A kiedy, coraz bardziej zdenerwowana, wbiłam igłę po raz trzeci, piesek zapłakał. Nie, nie pisnął, nie jęknął, nawet nie warknął – zapłakał, wydając z siebie tak bolesny spazm, że strzykawka prawie wypadła mi z ręki.

Właścicielka psa chwyciła go na ręce i zaczęła całować w pokłutą łapkę. Walczak popatrzył na mnie karcąco.

– Chyba jednak ja będę musiał to zrobić – odsunął najpierw mnie, potem właścicielkę i jednym wprawnym ruchem wbił igłę w cieniutką żyłkę. Krew zaczęła kapać do probówki.

– No i widzisz, już po wszystkim – pogłaskał psa po małej główce. – Już dobrze.

W tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się z rozmachem i wszedł Rudnicki.

– A kogo my tu mamy? – zagrzmiął. – Neronek? Nasz dzielny rycerzyk?

Podrapał psiaka za uchem, przywitał się z właścicielką i odstawił torbę lekarską na biurko.

– O, rozmaz na babeszjozę? – zauważył krew na szkiełku. – To ja sobie odpocznę przy mikroskopie, a ty, chłopie, weź tego goldena z poczekalni do drugiego gabinetu na kroplówkę. – Widząc wahanie Walczaka, dodał: – Idź, idź. Pani Magda mi pomoże.

Przez następne minuty Rudnicki bez słowa wpatrywał się w preparat, co jakiś czas dopasowując ostrość. W końcu właścicielka Nerona nie wytrzymała.

– Czy jest chory? Panie doktorze, proszę powiedzieć! Ja wszystko zniosę.

Rudnicki podniósł na nią wzrok.

– Proszę pani, szukam krwinek zaatakowanych przez wirusa. Im jest ich więcej, tym łatwiej je zauważyć. Reasumując: im dłużej nie mogę ich znaleźć, tym lepiej dla pacjenta.

Po kolejnych pięciu minutach podniósł się od biurka.

– W tym momencie czysto. Ale może być też tak, że wirus jeszcze nie zaczął się namnażać. Proszę obserwować zwierzę. Jeżeli zauważy pani w ciągu kilku najbliższych dni coś niepokojącego, zapraszam do nas.

Kiedy Neron w ramionach swojej pani opuścił gabinet, Rudnicki przyjrzał mi się uważnie.

– Nie wygląda pani kwitnąco.

Chciałam coś powiedzieć, ale nagle poczułam, że po policzkach zaczynają mi

płynąć łzy. Zawstydzające, płakać w obecności przełożonego. Rudnicki bez słowa podał mi paczkę chusteczek.

– Co się stało?

– Nie potrafiłam się wbić w żyłę – powiedziałam cicho.

– U Nerona?

– Tak.

Rudnicki westchnął.

– Pani Magdo, u niego nawet ja, przy całym moim wieloletnim doświadczeniu, miewam trudności. Przecież on ma żyłki jak niteczki! Pani, po takiej przerwie, powinna zaczynać wkłucia na labradorach. Co w ogóle pani przyszło do głowy, żeby się brać za yorka? – Zauważył moje szybkie spojrzenie w stronę drzwi.

– Aha, czyli to jego robota. Rozumiem. I mam prośbę. Jeżeli doktor Walczak jeszcze raz każe pani robić coś bez sensu, proszę się nie zgadzać! Chyba pani potrafi się nie zgodzić?

Wytarłam głośno nos.

– Aha, nie potrafi pani. To niedobrze.

– Przepraszam. Boję się, że nie dam rady. To była taka nagła decyzja z tą pracą. Jeszcze mam do tego trochę prywatnych problemów, może to nie jest dobry czas, już sama nie wiem.

Rudnicki położył mi rękę na ramieniu.

– Głowa do góry, pani doktor! Nie można się od razu poddawać. Jutro będzie lepiej, sama pani zobaczy. A z tym – Rudnicki wskazał głową Walczaka, który właśnie wszedł do gabinetu – to ja sobie zaraz porozmawiam.

ROZDZIAŁ 17

Pomimo upału na zewnątrz, w bibliotece było chłodno – zasługa grubych murów przedwojennej willi oraz cienia, rzucanego przez kępy rosnących w ogrodzie sosen. Uwielbiałam wypełniający to miejsce zapach książek i skrzypienie starej podłogi, kiedy przechodziło się między regałami. Skrzypiały również drewniane schody, po których weszłam na pierwsze piętro, do gabinetu Elżbiety. Bo nie przyszłam tutaj po książki, tylko po doraźną pomoc. Elka była jedyną osobą, oprócz Jacka, która wiedziała, ile dla mnie znaczyła Weronika. I tylko ona mogła wysłuchać mojej lekko paranoicznej, wzburzonej opowieści, nie wysyłając mnie na badania psychiatryczne. Dlatego kiedy tylko skończyłam pracę w przychodni, wskoczyłam do Chrupka i przyjechałam prosto tutaj.

Tak bardzo byłam spragniona rozmowy, że zapukałam i weszłam, nie czekając na zaproszenie. Niestety, Ela nie była sama. Na fotelu po drugiej stronie niskiego stolika siedziała Iza Doniec, młoda, energiczna osoba, odpowiedzialna w urzędzie miasta za kulturę.

– Magda? – Elżbieta zdziwiła się na mój widok.

– Przepraszam – jęknęłam. – Mam dzisiaj zły dzień. Już znikam.

Zaczęłam się wycofywać, ale chyba naprawdę nie wyglądałam zbyt dobrze, bo Elżbieta mnie zatrzymała.

– Nie, zostań! My już kończymy.

Przycupnęłam w wygodnym, wiklinowym fotelu w rogu pokoju. Gabinet był urządzone bardzo nieformalnie i przypominał raczej mieszkanie Sikorów niż biuro. Tutaj też w oknach wisały kryształ, na podłodze leżał dywan w ciepłych kolorach, a zamiast krzesel i biurka stało kilka wiklinowych foteli oraz okrągły, szklany stolik nakryty serwetką. Dałabym głowę, że haftowaną przez Elkę.

– Reasumując – odezwała się Iza – pan burmistrz jest zachwycony pomysłem

literackiego koncertu, ale wszystko rozbija się o koszty.

– To przecież nie są duże pieniądze.

– Nieduże, ale niezaplanowane – rozłożyła ręce Iza. – Nie bardzo mamy możliwość przesuwania środków w budżecie.

– Ale błogosławieństwo urzędu miasta mamy? – upewniła się Elżbieta.

– Tak, tylko z tego nie zapłacisz za wynajęcie sprzętu nagłaśniającego.

– A od czego są sponsorzy? Spróbuję dopiąć finansowanie, wtedy wrócę z tematem.

Spotkanie dobiegło końca. Iza pożegnała się i wyszła.

– No dobrze. Najważniejsze, żeby będzie patronat burmistrza – podsumowała Elka. – Pieniądze to nie problem. To znaczy problem, ale wszystko jest do zrobienia. Napijesz się czegoś?

Pokręciłam przecząco głową.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęłam cicho.

– No właśnie widzę, że coś się dzieje. – zmartwiła się Elka. – Masz jakąś złą energię. Coś poważnego?

W tym momencie jej komórka odezwała się muzyką z czołówki Ghostbusters. Kiedy Ela zobaczyła, kto dzwoni, na jej twarzy pojawiło się bezbrzeżne zdziwienie. Bez słowa odwróciła telefon w moim kierunku.

– Tomasz? – ja też się zdziwiłam. – On ma w ogóle twój numer?

Tomek nie przepadał za Elką, jak zresztą za większością moich przyjaciół. Uważał, że jest za bardzo żywiołowa, nieobliczalna i przede wszystkim za szczerą. Rzeczywiście, nieraz wygarnęła mu prosto z mostu, co myśli o niektórych jego zachowaniach. A tego Tomasz nie zapominał. Kiedy już się spotykali, co miało miejsce raczej rzadko, ich rozmowy ograniczały się do wymiany uwag o pogodzie, systemie edukacji oraz książkach. Mój mąż nie cierpiał literatury popularnej, lubił za to brylować w towarzystwie, do czego znajomość aktualnych bestsellerów bardzo mu się przydawała. Wyciągał więc z Elki na ten temat, ile się dało, a potem sprzedawał dalej – nieraz słyszałam na służbowych imprezach, jak używa słowo w słowo jej opinii i sformułowań.

Gorączkowo próbowałam wymyślić powód tego telefonu.

– Odebrać? – Ela ściszyła głos, tak jakby Tomek mógł nas usłyszeć.

– Jasne.

– Tak? – odezwała się oficjalnym tonem do słuchawki.

Przez kilka minut tylko słuchała, a jej oczy rozszerzały się ze zdziwienia.

– Tak – odezwała się w końcu. – Nie ma sprawy. Cześć.

Odłożyła telefon i przez chwilę patrzyła na wyświetlacz, jakby chciała się upewnić, że osoba, z którą odbyła przed chwilą rozmowę, to był naprawdę Tomasz.

– Czego chciał? – spytałam, trochę mało elegancko.

– Nie mogę powiedzieć – pokręciła głową gwałtownie.

– Jak to nie możesz?

– Zabronił mi. I w ogóle strasznie cię przepraszam, ale za kwadrans przychodzi księgowa i muszę przygotować dla niej dokumenty. Pogadamy jutro, wytrzymasz?

– No pewnie – odpowiedziałam dzielnie, choć płacz miałam na końcu nosa.

Ten dzień zdecydowanie nie należał do udanych, a przecież się jeszcze nie skończył.

Przez całe popołudnie chciałam wyłączyć sobie mózg. Przekręcić jakąś gałkę, żeby choć na chwilę przestał pracować na najwyższych obrotach. Bo to, co miałam w głowie, przypominało jakiś szalony rollercoaster, ze śmigającymi w górę i w dół wagonikami i ludźmi krzyczącymi ze strachu tak głośno, że od tego hałasu o mało nie pękła mi czaszka.

Myślałam o Tomku i o tym, że mija kolejny dzień od znalezienia rachunku za perfumy, a ja nic z tym nie robię. Że wolę żyć w zawieszeniu i niepewności, niż zebrać się na odwagę i jakoś się z tym problemem skonfrontować.

Jednocześnie nie mogłam przestać myśleć o śmierci kobiety w parku, o śledztwie, ale przede wszystkim o wisiorcu, który miała na szyi. Ten dziwny zbieg okoliczności kompletnie mnie wewnętrznie rozstroił, a bolesne wspomnienia przytłoczyły. Zupełnie nie wiedziałam, jak sobie z nimi radzić.

Kiepski stan mojego umysłu i jeszcze gorszy – emocji miał niestety konkretne przełożenie na rzeczywistość. Dzieciom podałam na obiad przypalone ziemniaki z prawie surowymi kotletami i rozgotowaną marchewką, zestaw, który nawet bez wymienionych usterek, miał dla nich zerową atrakcyjność, więc ledwo zjadły. Stłukłam też ulubiony kubek Kai z niebieskim misiem, co wywołało na tyle poważny kryzys, że musiałam ją zabrać na lody do Pruszkowa. Choć Kubie nie stłukłam niczego, wpakował się do auta razem z nami i zażądał trzech gałek, nie słuchając moich ostrzeżeń, że w Quatro Si kulki są gigantyczne. W efekcie zanim skończył jeść, cały samochód miałam w czekoladowych plamach. Nie, żeby Chrupek się o to obraził, ale plamy z siedzeń chętnie przenoszą się na ubrania, a stamtąd już za nic nie da się ich ruszyć. W narastającym poczuciu bezsilności mogłam tylko obserwować we wstecznym lusterku, jak jasne dzinsy Kuby powoli zaczynają przypominać robocze drelichy.

Do domu wróciłam jako strzép człowieka. Kazałam dzieciom natychmiast udać się na górę do swoich pokoi i przez najbliższą godzinę nie wyściubiać stamtąd nosa, a sama zrobiłam sobie kawy i padłam na kanapę przed telewizorem. Czułam, że tylko odcinek *Przyjaciół* może mnie uratować.

Sięgnęłam po pilota i w tym momencie usłyszałam dzwonek do drzwi. Przez chwilę przeraziłam się nawet, że to Tomek (nie wiem, czy znacie to koszarne poczucie winy, kiedy mąż wraca po całym dniu ciężkiej pracy do domu, a wy leżycie sobie wygodnie z kawką na kanapie). No ale on przecież miał klucze. Nie dzwoniłby.

Rzeczywiście, osoba, która czekała pod drzwiami, to nie był Tomek.

– Elka? – szczerze się zdziwiłam. – Co ty tu robisz?

– Oooo, Madzia. Twój mąż już jest? – ona też wyglądała na zaskoczoną.

Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem jak dwóch rewolwerowców przed pojedynkiem.

– Ty do Tomka?

– Tak jakby.

Gdyby powiedziała, że przyszła do Kai na ploteczki, chyba mniej bym się zdziwiła. Nagle zreflektowałam się, że ciągle stoimy w otwartych drzwiach.

– Powinien być niedługo. Wejdz.

– Nie, nie, dziękuję, tutaj na niego poczekam. – Elka naprawdę wyglądała na spłoszoną.

– Nic nie rozumiem, ale to nieistotne. Czy to ma jakiś związek z tym jego telefonem do ciebie?

Elka skinęła głową. Miałam wielką ochotę pociągnąć ją jeszcze trochę za język, kiedy w drzwiach pojawił się Tomasz z gigantycznym bukietem czerwonych róż, takim jaki można podziwiać tylko w filmach.

– Kochanie – powiedział, zaglądając mi w oczy. – Chciałem cię przeprosić.

Natychmiast wyobraziłam sobie, że przeprosza mnie za to, że ma kochankę, więc zbladłam jak kreda i przez chwilę nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa.

– Przepraszam, że ostatnio nie miałem czasu dla ciebie, dla rodziny. Że nie okazuję ci wdzięczności, że ci nie pomagam. Że przeze mnie oddaliśmy się od siebie. Zachowuję się okropnie, a ty masz do mnie tyle cierpliwości. Jesteś kochana i taka dobra. Dziękuję ci za wszystko, co robisz dla nas.

Nigdy jeszcze nie usłyszałam od mojego męża słowa: „przepraszam”. „Dziękuję” padło co prawda z jego ust kilka razy, ale również nie należało do popularnych. Być może to spowodowało, że cała ta przemowa wydała mi się sztuczna i nieprawdziwa. Wkręca mnie, przeleciało mi przez głowę i nawet zaczęłam się rozglądać za jakąś ukrytą kamerą, choć nie mam pojęcia, komu chciałoby się kręcić akurat moją reakcją.

– Najpiękniejsze róże w Warszawie – oświadczył, podając mi bukiet, choć znając go, podejrzewałabym raczej, że najtańsze. – Sto – dodał z dumą.

Aż się ugięłam pod ich ciężarem.

– Tak, piękne – wydusiłam z siebie.

– Może troszkę więcej entuzjazmu? – szepnęła mi do ucha Elżbieta, która stała tuż za mną i o której istnieniu, prawdę mówiąc, zapomniałam.

Ale jak miałam okazać entuzjazm, skoro zupełnie go nie czułam? Czułam za to zażenowanie z powodu całego tego cyrku. I chęć ucieczki. Jak on może być tak obłudny? – myślałam. Jak może tak bezczelnie kłamać? I po co gra na dwa fronty?

– A teraz ubierz się w coś ładnego i jedziemy – zarządził Tomek.

- Dokąd? – dzisiaj dobrze wychodziły mi jedynie krótkie wypowiedzi.
- Porywam cię na kolację. Ela posiedzi z dziećmi.

ROZDZIAŁ 18

Restauracja hotelu „Esmeralda” była najelegantszą knajpą w naszej okolicy. Zaprojektowana, tak jak cały hotel, w stylu klasycystycznym, otoczona idealnie wypielęgowanym, francuskim ogrodem, oferowała kuchnię europejską na dość wysokim poziomie.

Byłam tu do tej pory tylko raz, zaproszona przez Elżbietę na jej urodzinowy lunch. Od tamtego czasu zawsze, gdy z Tomaszem mijaliśmy to miejsce, opowiadałam mu z zachwytem o jedzeniu, fantastycznej obsłudze oraz o wyjątkowo korzystnej relacji cen do jakości potraw, jednak mój mąż udawał, że nie rozumie tych naprawdę mało subtelnych aluzji. Po prostu nie lubił chodzić po knajpach, uznając, że za pieniądze wydane w dobrej restauracji możemy się w domu żywić przez tydzień. Co nie zmieniało faktu, że sam służbowe lunche i kolacje odbywał bez przerwy.

A teraz nagle siedzieliśmy przy najlepszym stoliku, niedaleko fortepianu, na którym jakiś młody człowiek ze zblazowaną miną brzdąkał standardy jazzowe, i sączyliśmy francuskiego rieslinga, sześćdziesiąt złotych za butelkę. Naprawdę nie mogłam zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Przez cały czas Tomek przyglądał mi się z uwagą i dziwnym jak na niego skupieniem.

- Jesteś smutna – stwierdził nagle, a ja o mało nie zakrztusiłam się winem.
- Nie, skąd, dlaczego! – zaprotestowałam gwałtownie.
- Przecież widzę. Co się dzieje?

Zaczęłam gorączkowo szukać w głowie jakiegoś neutralnego i bezpiecznego wytłumaczenia, kiedy nagle mój mąż dotknął delikatnie mojego policzka i powiedział głosem filmowego amanta:

- Nie musisz mówić. Ja wiem.

Zabrakło mi tchu. O czym wie? O pracy w klinice? Czy o tym, że ja wiem, że on

ma kochankę?

– Jesteś smutna przeze mnie.

Ja chyba śnię, pomyślałam, patrząc, jak Tomasz sięga do kieszeni marynarki, wyjmując stamtąd elegancko zapakowaną paczuszkę i stawia przede mną na stole.

– Już od jakiegoś czasu chciałem ci to wręczyć, ale ciągle nie było okazji.

Drżącymi palcami rozdarłam papier i wyłuskałam z niego skromne, beżowe pudełko.

Otworzyłam je. W środku, na tekturowej podstawie spoczywała prostokątna buteleczka ze złotą zakrętką i napisem Allure Chanel. Patrzyłam na nie, nie wierząc własnym oczom.

A więc te perfumy nie były dla kochanki!

Były dla mnie!

Poczułam, że się rumienię. Z radości, no i trochę ze wstydu. Bo trzeba naprawdę mieć nie po kolei w głowie, żeby na podstawie jednego kwitka wyprodukować sobie w głowie tak chorą i wyniszczającą narrację.

Miałam ochotę rzucić mu się na szyję z przeprosinami za swoje idiotyczne podejrzenia, ale widok przyglądających się nam dyskretnie gości przy sąsiednich stolikach skutecznie mnie zablokował.

– Nie podoba ci się prezent, kochanie? – zapytał Tomasz z troską.

– Ależ oczywiście, że mi się podoba. Po prostu mnie zaskoczyłeś.

Na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech zadowolonego kota. Nachylił się i szepnął mi do ucha:

– A teraz zaskoczę cię jeszcze bardziej.

Położył dłoń przy moim nakryciu, a kiedy ją cofnął, zobaczyłam leżący na obrusie klucz. Przez moment myślałam, że do perfum dorzuca mi w promocji nowy samochód, kiedy dotarło do mnie, że to nie klucz do auta, tylko do...

– Nareszcie będziemy sami. – Tomek pogładził moją dłoń, potem uniósł ją do ust i delikatnie pocałował. – Chcesz jeść tutaj czy zamówimy kolację do pokoju?

– Niesamowite. Haftowana pościel – powiedziałam, gładząc palcami wypukłe białe różyczki na prześcieradle.

– W końcu to apartament dla nowożeńców – Tomasz przesunął wargami po moim nagim ramieniu.

Leżeliśmy w ogromnym, lekko kiczowatym łóżku z baldachimem. To był nasz pierwszy seks od wielu tygodni i musiałam przyznać, że godzenie się miało swój urok. Choć właściwie nawet trudno to było nazwać godzeniem, bo nie byliśmy pokłóceni. Wszystko, co działo się przez ostatnie dni, było efektem pracy mojej wybujałej wyobraźni.

Przyłgnęłam do Tomasza całą długością ciała, oparłam policzek na jego ramieniu i patrzyłam, jak jego klatka piersiowa porusza się w rytmie oddechu. Musnęłam wargami jego szyję, tuż nad obojczykiem. Uśmiechnął się, a ja odpowiedziałam uśmiechem. Niewiele było takich chwil w naszym małżeństwie, kiedy wracała bliskość i namiętność sprzed lat, z czasów, kiedy nie zdążyły się jeszcze między nimi nawarstwić wzajemne pretensje i problemy, kiedy wszystko było proste, spontaniczne i naturalne. I nagle pomyślałam, że to idealny moment, żeby o wszystkim Tomkowi opowiedzieć. O tym, że byłam pewna, że ma kochankę, i o tym, że podjęłam pracę w klinice.

– Muszę ci coś... – zaczęłam i w tym momencie zadzwoniła moja komórka.

Dźwięk był stłumiony i dochodził z torebki, którą zostawiłam na fotelu przy drzwiach. Chciałam wstać, ale Tomasz mnie powstrzymał.

– Zostaw – zamruczał. – Na pewno nic ważnego.

– A jeżeli to Elżbieta?

– To zadzwoni jeszcze raz.

Telefon umilkł. Leżeliśmy, wsłuchując się w ciszę. Sekundę później na szafce nocnej rozległo się buczenie komórki Tomasza. Sięgnął po nią i spojrzał na wyświetlacz.

– Elka – powiedział, podając mi telefon.

Cudowny nastrój wieczoru zaczynał odchodzić w zapomnienie. Odebrałam połączenie.

– Ktoś się kręci po waszym ogrodzie – usłyszałam zdenerwowany głos mojej przyjaciółki. – Wracajcie.

Elżbieta nie należała do osób strachliwych, dlatego napięcie w jej głosie oznaczało, że sprawa jest poważna. Nie wiem, ile dokładnie czasu zajęło nam opuszczenie pokoju hotelowego i przejechanie ośmiu kilometrów, które dzieliły nas od domu, ale myślę, że gdyby ktoś kiedyś urządzał zawody na tym dystansie, uplasowalibyśmy się w pierwszej trójce.

Kiedy dotarliśmy w końcu na Akacjową, nie czekałam, aż Krzysztof wprowadzi auto do garażu, tylko wyskoczyłam z samochodu jeszcze przed bramą i pobiegałam do domu.

Cały parter był pogrążony w ciemnościach, więc odruchowo przekręciłam kontakt w holu.

– Zgaś to! – syknęła Elka wściekle.

Posłusznie zgasiłam światło i po omacku ruszyłam w kierunku, z którego dobiegał głos mojej przyjaciółki.

Elka stała przy drzwiach tarasowych, trzymając oburącz tłuczek do mięsa.

– To my mamy widzieć jego, nie on nas – wyjaśniła szeptem.

– Co z dziećmi?

– Śpią. A on jest tam, popatrz. Obserwuję go od piętnastu minut.

Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegłam jakiś cień w rogu działki, obok szopy na narzędzia. Ciemna plama po chwili przybrała nieco rozmazany kształt męskiej sylwetki. Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz strachu.

– Dzwonię do Jacka! – szepnęłam, sięgając po komórkę.

– Już dzwoniłam – odpowiedziała zirytowana Elżbieta. – Nie odbiera. Jaka ta policja wkurzająca.

Od strony szopy dobiegło skrzypnięcie drzwi, potem jakiś hałas. Nagle uświadomiłam sobie, że oprócz ogrodowego sprzętu trzymamy tam również rowery, i jeżeli dalej będziemy tylko tak stać i się przyglądać, złodziej za chwilę z nimi

zniknie.

W takich momentach adrenalina potrafi wyczyniać z człowiekiem dziwne rzeczy. Bez zastanowienia szarpnęłam za klamkę, otwierając drzwi tarasowe na oścież.

– Stać! Nie ruszać się! Jest pan aresztowany! – krzyknęłam mocnym głosem.

Potem najszybciej, jak mogłam zamknęłam z powrotem taras, namacałam na ścianie rząd kontaktów i włączyłam je wszystkie po kolei. Ogród zalało światło ledowych lamp, wydobywając z ciemności trawnik, szopę na narzędzia oraz wysokiego, ubranego na czarno mężczyznę, który zamiast uciekać, ruszył w kierunku domu.

Stałyśmy z Elką jak sparaliżowane, obserwując jak przecina trawnik, pokonuje schody na taras i powoli, nieuchronnie zmierza w naszą stronę. W końcu zatrzymał się przed szklanymi drzwiami, podniósł rękę i uderzył w nie kilka razy pięścią, a potem przyłożył twarz do szyby, próbując zajrzeć do środka.

Znałam tę twarz. Znałam aż za dobrze.

– Nie, no po prostu nie mam słów! – gdybym mogła, rzuciłabym się na ojca z pięściami. – Czy ty wiesz, co Elżbieta przeżyła?! Co myśmy wszyscy przeżyli?! Ty myślisz, tato, czasami?!

Mój tata, Zbigniew Sarnecki, przystojny, opalony sześćdziesięciolatek w czarnych dżinsach i czarnej koszuli patrzył na mnie ze szczerym zdziwieniem w oczach.

– Ale o co ta cała afera, Dziunia?

– Co ci przyszło do głowy, żeby nas nachodzić o tej godzinie?

– Konieczność, moje dziecko. Wyższa konieczność. Zapytaj swojego męża.

– A ty nie możesz mi odpowiedzieć?!

– Mogę, oczywiście. W końcu to nie moja wina, że Tomasz nigdy nie oddaje tego, co pożycza.

Opadłam na krzesło.

– Tyle razy cię prosiłam, żebyś zostawił Tomka w spokoju.

– A czy ja się go czepiam? Jutro rano ma przyjść Ukrainiec robić mi ogród.

Wracamy z moją panią z kina, późno już, ale myślę sobie: sprawdzę, czy jest wszystko, czego będzie potrzebował. I co? I dupa! Nie ma akceleratora. A dlaczego nie ma? Bo twój szanowny małżonek pożyczył go ode mnie dwa tygodnie temu na jeden dzień i zapomniał oddać. A ja, zamiast robić aferę, zamiast dzwonić do niego i kazać mu odwozić sprzęt, myślę sobie: trudno, może by to i było wychowawcze, ale przez wzgląd na moją córkę...

– Tato!

– Właśnie przez wzgląd na nią sam się pofatyguję, na szczęście mam klucze od tylnej furtki, to sobie wejdę po cichu i wezmę, co moje. A tu – wszyscy na mnie! Huzia na Józia! I nawet mi nikt herbaty nie zaproponuje.

Beztroska. To było słowo, które najlepiej charakteryzowało mojego ojca. Czasami miałam wrażenie, że funkcji myślenia używa wybiórczo, w zależności od tego, co dla niego będzie wygodne. Nie wiem, jak to się stało, że moja mama wytrzymała z nim tyle lat. Dla takich jak on, wiecznych chłopców, wszystko musiało być zabawą, inaczej nudził się, obrażał i zmieniał piaskownicę. Potrafił być uroczy i zabawny, wszyscy go uwielbiali, a pacjenci walili do jego gabinetu drzwiami i oknami, ale odpowiedzialności nie miał za grosz. Na przykład bardzo szybko musiałam się nauczyć, że pod żadnym pozorem nie wolno zostawiać mu pod opieką wnuków. Przy jego fantazji, rozmachu i kompletnym braku wyobraźni rozbite kolano Kuby czy rozcięta warga Kai wydawały się i tak dość niskimi kosztami, a dzisiejsza akcja stanowiła kolejny dowód na to, że refleksja nie była jego najmocniejszą stroną.

Oddawałam się tym rozmyśleniom, siedząc przy stole w kuchni z ojcem i Elżbietą. Tomasz, który za teściem nie przepadał, wykreślił się zmęczeniem i poszedł na górę, wcześniej żegnając się ze mną pocałunkiem w usta, co nie umknęło uwadze Elki. Wiedziałam, że kiedy tylko zostaniemy same, zacznie mnie wypytywać, skąd taka nagła zmiana w naszych małżeńskich relacjach. I prawdę mówiąc chętnie jej wszystko opowiem, bo choć od wyjścia czy raczej wybiegnięcia z hotelu nie minęła nawet godzina, wszystko, co się tam stało, wydawało mi się teraz już tylko snem.

– Earl Grey czy zielona? – zapytałam, wstawiając wodę na herbatę.

Ojciec, pomimo wieku, nie był tradycjonalistą.

– Zielona oczywiście. Odchudza i oczyszcza.

– No ty się chyba nie musisz odchudzać, tato.

Ojciec był szczupły i wysportowany. Miał fantastyczną jak na swój wiek sylwetkę i przy swojej kolejnej, zdaje się trzydziestoletniej kobiecie, której imienia nawet nie starałam się zapamiętać, wcale nie wyglądał na dwa razy starszego od niej. Przynajmniej z daleka.

– Oczywiście, że nie. Ale organizm oczyszczony z toksyn wolniej się starzeje.

Upływ czasu i przemijanie, pięta achillesowa tatusia. Jego półki w łazience uginały się od kremów, serum, balsamów i odżywek, a ostatnio odniosłam też wrażenie, że jego czoło przestało współpracować z resztą twarzy, co sugerowałoby lekki botoks. Pewnie korzysta z tego samego gabinetu medycyny estetycznej co jego cizia.

I nagle, chyba pod wpływem tego, co ojciec powiedział o starzeniu się, przed moimi oczami pojawiła się twarz Weroniki. Jak ona wyglądałaby teraz? W internecie stykałam się czasami z wirtualnymi modelami twarzy, które konstruowano na podstawie ostatnich zdjęć osób zaginionych. Czy ktoś pomyślał o tym, żeby przygotować taką symulację dla Weroniki?

– Posmutniałaś. – Elżbieta była naprawdę niebezpieczna z tą swoją empatią. – Co się stało?

– Zastanawiam się, czy gdybym dzisiaj spotkała na ulicy Weronikę, to czy bym ją poznała.

– Ech, ta Weronika – w ustach mojego ojca jej imię zabrzmiało dziwnie szorstko, choć wiem, że bardzo ją lubił. – Wycięła niezły numer. Pamiętam, trochę jej nawet zazdrościłem odwagi. Tak po prostu rzucić wszystko i zniknąć. Z jednej strony zaskakujące, z drugiej do przewidzenia.

– Do przewidzenia? – zdziwiłam się. – Przecież dla wszystkich to był szok.

– Może dla was, młodych. My dorośli widzieliśmy, że w tej rodzinie wszystko się w szwach rozłazi. Ojciec Weroniki z tą swoją religijną obsesją. Z tymi wykładami na

temat moralności i zamykaniem jej na klucz w pokoju, żeby nie mogła iść na dyskotekę. Nie pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętałam. Ale nie przywiązywałam do tego aż takiej wagi. Wszyscy rodzice wydawali nam się wtedy okropni. Każdy na swój sposób.

– Nie da się utrzymać w klatce ptaka, który chce odlecieć. To się musiało tak skończyć.

Czułam, że ojciec może mieć rację.

– Często o niej myślisz, prawda? – łagodny, śpiewny ton Elżbiety miał w sobie terapeutyczne działanie.

– Tak. A odkąd zobaczyłam ten wisiołek, właściwie myślę o niej cały czas.

– Jaki wisiołek? – zapytali niemal równocześnie.

Z pewną ulgą opowiedziałam im o ceramicznej literce, którą Weronika kupiła na festynie, i o tym, że identyczną miała naszyi zamordowana w parku kobieta.

– A wiesz, że ja pamiętam ten wisiołek? – ucieszył się ojciec. – Ona go ciągle nosiła. Taki niebieski, prawda?

– Prawda.

– Ha! To chyba znaczy, że z moją głową jeszcze nie jest tak źle.

– Tatku, masz pamięć jak słoń, nie martw się Alzheimerem.

– Dziękuję, dziecko. O czym to ja mówiłem?

Choć atmosfera była gęsta, wybuchliśmy śmiechem.

– Jaki ten świat mały – stwierdziła Ela sentencjonalnie, kiedy w końcu przestaliśmy się śmiać.

– Nie bardzo rozumiem, co ma wielkość świata do wisiora – zapytałam ostrożnie.

– Jak to co? Spotykasz na ulicy obcą kobietę, która ma na szyi podobny wisiołek, co twoja zaginiona przyjaciółka. Musisz przyznać, że to niezwykle zbieg okoliczności.

Miała rację. Niezwykły.

– Ciekawe, skąd go miała – powiedziałam powoli.

– Pewnie kupiła w jakiejś galerii w Warszawie – podsunęła Elżbieta. – Albo bezpośrednio od producenta.

– Ten „producent” mieszka dwa kroki stąd – wtrącił się ojciec.

Popatrzyłam na niego, zaskoczona.

– Skąd wiesz?

– Och, Dziunia, takie rzeczy po prostu się wie. To Dominika Wróblewska. Jest moją pacjentką od dwudziestu lat. Mieszka na Sosnowej, w takim charakterystycznym domu z kaflami. Prowadziła z mężem pracownię ceramiczną, ale on zmarł jakiś czas temu na raka.

Kiedy w końcu Ela i mój ojciec wyszli, pogasiłam światła na parterze i poszłam na górę. Zatrzymałam się na korytarzu i po chwili wahania zamiast do sypialni, weszłam do pokoju Kuby.

Mój syn spał smacznie, zwinięty w kłębek pod cienkim kocem. Teraz nawet salwy armatnie nad głową by go nie obudziły, więc usiadłam sobie przy jego biurku, włączyłam komputer i już po chwili na ekranie pokazał się portal Wirtualna Polska. Weszłam w pocztę, ponownie otworzyłam mejla od Zuzy i zaczęłam przeglądać zdjęcia. W końcu trafiłam na właściwe. Otworzyłam je na pełnym ekranie i powiększyłam – miałam teraz przed sobą szczupłą kobiecą szyję, na której lśniła, odbijając promienie lampy błyskowej, ceramiczna litera W. Przyglądałam jej się, zafascynowana. I nagle w mojej głowie pojawił się pewien dość karkołomny pomysł.

ROZDZIAŁ 19

Następnego dnia wstałam w dużo lepszej formie. Po pierwsze – obudziłam się w ramionach Tomka, rzecz od dawna niespotykana, więc tym bardziej miła. Po drugie – pogoda była fantastyczna. Po trzecie: do pracy miałam dopiero na dziewiątą. A wczorajszy pomysł, jak wykorzystać czas między odwiezieniem dzieci do szkoły a pracą, w świetle dziennym nadal wydawał się interesujący.

Była godzina ósma dwanaście, kiedy zaparkowałam przed domem na Sosnowej.

Przy furtce nie znalazłam dzwonka, ale kiedy ją lekko popchnęłam, okazało się, że jest otwarta. Uchyliła się z przenikliwym skrzypieniem nienaoliwionych zawiasów i wpuściła mnie do zarośniętego ogrodu, pełnego od dawna nieprzycinanych, bezkształtnych iglaków i wysokiej trawy, poprzerastanej wybujałymi chwastami.

Dom był rozłożysty, parterowy. W stronę ulicy wysuwał się z niego szeroki taras, otoczony rozpadającą się balustradą, a identyczna balustrada biegła na górze, wokół dachu. I byłby zwykłym, raczej nieciekawym domem, gdyby nie błękitne, opalizujące jak łuska jaszczurki kafle, pokrywające jedną ze ścian.

Podeszłam do drzwi, które również przyciągały uwagę, bo pomalowano je na turkusowo.

Zebrałam się na odwagę i zapukałam. Przez dłuższą chwilę ze środka nie dobiegał żaden dźwięk, ale kiedy podniosłam rękę, żeby zapukać ponownie, drzwi nagle się otworzyły. Kobieta, która w nich stała, mogła mieć równie dobrze czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Miała kruczoczarne włosy, zebrane w kok, szerokie brwi i wąski nos, z którego zsuwały się okulary lenonki w srebrnych oprawkach. Na koszulę nocną narzuciła żółty, jedwabny szlafrok, który wyglądałby całkiem szykownie, gdyby nie to, że cały był poplamiony farbami. Kobieta trzymała w dłoni filiżankę kawy i wyglądała na zirytowaną. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, że choć dla mnie ósma

godzina była prawie środkiem dnia, dla innych mogła być środkiem nocy.

Poczułam się niezręcznie. Zwłaszcza że nie miałam żadnego sensownego usprawiedliwienia dla tego najścia. Pomyśl, żeby przyjść tutaj z samego rana tylko po to, żeby się upewnić, czy wisiołek na szyi zmarłej pochodzi z tej samej pracowni, co wisiołek Weroniki, wydał mi się nagle kompletnie bezsensowny. No, ale skoro już tu byłam...

– Dzień dobry. Nazywam się Magdalena Borowska, mieszkam niedaleko.

– Znowu coś zmalował? – zaatakowała kobieta ostrym tonem.

– Przepraszam, nie rozumiem?

– Bilbo. Co ukradł tym razem?

Poczułam się lekko skołowana.

– Kto to jest Bilbo?

Kobieta westchnęła.

– No tak, on się nie przedstawia. To mój kot.

– Och, nie! – zaprotestowałam gwałtownie. – Ja nie w sprawie kota!

Kobiecie wyraźnie ulżyło.

– A to przepraszam. Ostatnio co chwila ktoś przychodzi z pretensjami, że Bilbo kradnie. Nie dalej jak wczoraj był tutaj człowiek z Modrzewiowej i wciskał mi, że Bilbo mu zabrał z parapetu połówkę wędzonego kurczaka. Co za bzdura! Po pierwsze, kto trzyma kurczaka na parapecie, a po drugie: jak mój słodki, maleńki koteczek mógł ukraść taki wielki kawał mięsa? Rozumiem plasterek szynki, ale to? Niektórzy ludzie nie mogą żyć, żeby się nie poawanturować – westchnęła. – No dobrze. Jeśli pani nie w sprawie kota, to w jakiej?

Przełożyła kubek do drugiej ręki. Być może chciała mi dać do zrozumienia, że kawa jej stygnie i wolałaby ją wypić w spokoju niż tracić czas na rozmowę ze mną.

– Trochę dziwnej – odpowiedziałam szczerze. – Ale dla mnie ogromnie ważnej. Czy może mi pani poświęcić pięć minut?

– No cóż – westchnęła właścicielka domu. – Dziwnych spraw lepiej nie omawiać w progu. – Otworzyła szerzej drzwi. – Zapraszam.

Przez zabałaganione, mroczne wnętrze przeprowadziła mnie na taras.

– Proszę siadać – wskazała pokrytą poduszkami ławkę z fantazyjnie powyginanych, metalowych prętów. – Słucham.

– Chciałabym pani coś pokazać.

Wyjęłam z torby tablet, nie ukrywam, podprowadzony Kubie. Otworzyłam na nim zdjęcie z przyjęcia u Szeligi i rozsunęłam palcami obraz tak, że wisiołek na szyi kobiety wypełnił prawie cały ekran.

– Poznaje pani?

– Wygląda znajomo – w głosie kobiety słyhać było autentyczne zdziwienie. – Bardzo znajomo.

Gospodyni wzięła ode mnie tablet i mrużąc oczy z bliska, przyjrzała się zdjęciu.

– Ależ oczywiście! To nasza praca! Właściwie moja. Robiłam te litery na zamówienie, ale już nie pamiętam dla kogo. To było bardzo dawno – głos kobiety złagodniał. – Dziesięć, może nawet piętnaście lat temu.

– Dokładnie siedemnaście – podałam jej egzemplarz gazety, otwarty na fotoreportażu z festynu.

– No tak, oczywiście! Przypominam sobie! Festyn w Otrębusach! Zadzwonił do nas ktoś z organizatorów i zaproponował stoisko. Mieliśmy trochę wazonów, doniczek, ramek na zdjęcia. No i te literki. Mój mąż je wymyślił. Powiedział, że takie drobiazgi będą się dobrze sprzedawać. I miał rację.

Kobieta uśmiechnęła się do wspomnień.

– Czyli jest pani pewna, że ten wisiołek na zdjęciu pochodzi z pani pracowni?

– Jestem pewna. Dlaczego to panią interesuje? – zainteresowała się.

– Moja przyjaciółka kupiła wtedy u państwa taką literkę. A potem... Nieważne. Kilka dni temu zobaczyłam ten wisiołek u pewnej kobiety i wyglądał identycznie. Po prostu chciałam się upewnić – tłumaczyłam mętnie.

Na balustradzie tarasu, nie wiadomo skąd, pojawił się kot. Był bury, długowłosey i gigantyczny. Obrzucił mnie obojętnym wzrokiem, a potem usiadł i zaczął się myć starannie, po kociemu. Pomyślałam, że przy swoich gabarytach mógłby ukraść nie pół, ale całego kurczaka.

– Zastanawiałam się też, gdzie ta kobieta kupiła swój wisiołek. Może wstawiali je

państwo do jakiejś galerii czy sklepu z pamiątkami?

Gospodyni zmarszczyła brwi.

– Do galerii? Nie rozumiem.

– Interesuje mnie, gdzie sprzedawaliście państwo te wisiorki – wytłumaczyłam. – Oprócz festynu oczywiście.

Na twarzy kobiety pojawił się błysk zrozumienia.

– Ach, o to pani chodzi. Nigdzie. Już pani mówiłam, że przygotowaliśmy je specjalnie na taką okazję. Nigdy wcześniej i nigdy później ich nie robiliśmy. Co prawda wtedy poszły wszystkie, ale sprzedawały się powoli, szalu nie było. Dwadzieścia wisiorków na cały dzień to nie jest rewelacyjny wynik.

Poczułam niepokój. Padły słowa, które coś znaczyły, ale przez chwilę nie rozumiałam co. Miałam tylko dziwne wrażenie, że w mojej głowie pojawił się jakiś element układanki i krąży po orbicie, próbując wskoczyć na swoje miejsce.

Ale ponieważ nie mogłam nic z tym zrobić, wstałam z ławki, podziękowałam za poświęcony mi czas i ruszyłam w stronę drzwi wyjściowych.

A kiedy już stałam w progu, nagle mnie olśniło, zupełnie jakby na moją głowę spadła piłeczka pomysłowego Dobromira.

– Dwadzieścia wisiorków – powiedziałam przez zaciśnięte gardło. – Czy to znaczy, że każdą literę zrobili państwo w jednym egzemplarzu?

– Tak, mówiłam pani, że to była duperelna, ręczna robota.

Poczułam, że kręci mi się w głowie, a w ustach gwałtownie zbiera się ślina, klasyczne objawy, które zwiastowały nadciągającego pawia.

– Ależ pani zbladła – zauważyła kobieta. – Coś się stało? Może wody?

– Nie, nie – szepnęłam słabo. – Zaraz mi przejdzie. Do widzenia.

Wypadłam na zewnątrz, zgięłam się w pół i wzięłam kilka głębokich haustów powietrza. Pomogło. Zawroty głowy ustały, a zawartość żołądka wróciła na swoje miejsce. Wyprostowałam się i ruszyłam w kierunku furtki, czując na plecach zaciekawione spojrzenie gospodyni. Na szczęście było mi wszystko jedno, co sobie o mnie pomyśli.

W samochodzie drżącymi rękami wygrzebałam telefon z torebki i wykręciłam

numer Sikory. Nie miałam przesadnej nadziei, że po naszej wczorajszej rozmowie odbierze, a jednak po kilku sygnałach usłyszałam w słuchawce zachęcające:

– Znowu ty?!

– Ta kobieta miała literkę Weroniki! Nie podobną, nie taką samą tylko TĘ SAMĄ! Ona miała na szyi jej wisiorek! – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

– Przecież to niemożliwe – odezwał się w końcu.

– Jacek, sprawdziłam! U kobiety, która wyprodukowała te wisiorki! Pamięta wszystko bardzo dokładnie. Zrobili po jednej literze alfabetu. Drugiego W nie było. Ten wisiorek musiał należeć do Wery! Może to jakiś ślad? Może ta zamordowana знаła Weronikę? Może wiedziała, gdzie ona teraz jest? Jacek!

Sikora westchnął, tak jakbym wrzuciła mu na plecy kilkutonowy ciężar.

– Nie mogę teraz gadać – powiedział. – Oddzwonię. Trzymaj się.

Bezmyślnie wpatrywałam się w ekran telefonu, dopóki nie zgasł. Potem przez jakiś czas próbowałam znaleźć kluczyki, których dwie minuty wcześniej używałam, otwierając samochód. W końcu się poddałam. Postanowiłam porzucić auto i przejść na piechotę do domu, gdzie powinien się znajdować zapasowy komplet, ale kiedy wysiadłam z Chrupka, odkryłam zgubę na siedzeniu. Musiałam wrzucić je do samochodu, a następnie na nich usiąść. To, że tego nie poczułam, wiele mówiło o stanie mojego rozedrganego umysłu oraz o warstwie tłuszczu pokrywającej moją pupę. Załamka.

Na szczęście nie miałam teraz czasu, żeby się tym martwić. Musiałam jakoś poradzić sobie ze świadomością, że być może Joanna Maj znała Weronikę i mogłaby pomóc ją odnaleźć.

Tyle że Joanna Maj nie żyła.

I o nic nie można jej już było zapytać.

Sikora oddzwonił chwilę później, nie zdążyłam nawet dojechać do kliniki. Zatrzymałam się na poboczu i odebrałam.

– Mam chwilę. Mów o wisiorcu – zarządził.

Opowiedziałam mu o zdjęciu z imprezy u Szeligi i o wizycie na Sosnowej. Słuchał uważnie, nie przerywając. Kiedy skończyłam, westchnął.

– Przedziwny zbieg okoliczności.

– Jesteś gliną – przypomniałam mu. – I to świetnym gliną. Dla ciebie takie pojęcie jak zbieg okoliczności nie powinno istnieć. Być może dzięki temu wisiorcowi można by było odnaleźć Weronikę.

– Przestań! – wściekł się, według mnie bez powodu. Przecież przed chwilą usłyszał komplement. – Co ty się nagle taka sprytna zrobiłaś?! Myślisz, że ja mam teraz czas na takie sentymentalne bzdury?

– Zaginięcie Weroniki nazywasz sentymentalną bzdurą!? – Ja też zaczęłam się gotować.

– W porównaniu z realnym szukaniem mordercy, który kilka dni temu zabił kobietę w centrum miasta? Tak!

Brzmiał, jakby miał się zaraz rozłączyć, ale nie zrobił tego.

– Magda, ja naprawdę nie mam przestrzeni, żeby się teraz zajmować jakimś głupim wisiorciem. Nawet jeżeli należał kiedyś do Weroniki. Sorry. Porozmawiamy, jak aresztuję mordercę tej kobiety, nie wcześniej.

– Moment, przecież zamknęliście sprawę. Morderca nie żyje – zdziwiłam się.

– Komandos nie żyje, zgoda. Ale on jej nie zabił.

Przekreśliłam kluczyk, żeby sprawdzić godzinę na samochodowym zegarze. Była ósma czterdzieści pięć.

– Przecież mówiłeś, że to zabójstwo na tle rabunkowym. Miał jej rzeczy i w ogóle.

– Jego odciski palców nie pasują do odcisków znalezionych na narzędziu zbrodni. Jakoś to może by się jeszcze dało wytłumaczyć, ale właśnie przyszły wyniki sekcji. Gość miał cukrzycę w zaawansowanym stadium. Po pierwsze dlatego umarł, bo dostał zapaści, przewrócił się i uderzył w głowę, a po drugie choroba spowodowała u niego przykurcz dłoni. Nie mógłby zadać tak precyzyjnego i mocnego uderzenia. Patolog to wykluczył.

– Kiepsko.

– Kiepsko? – Sikora zaśmiał się gorzko. – Raczej chujowo. Mam na głowie prokuratora i stołeczną, cisną mnie tak, że mi za chwilę mózg eksploduje. Wszystko trzeba zaczynać od początku.

Na zegarze migała ósma pięćdziesiąt pięć.

– Jacek, muszę kończyć – tym razem to mnie szybciej wyczerpał się limit czasu. – Jeszcze tylko jedna rzecz. Czy mógłbyś podpytać faceta Joanny o ten wisiołek? Proszę, proszę. Może wie, skąd go miała? Może coś wie o Weronice? Zapytaj, błagam.

Sikora westchnął.

– Jesteś uparta jak muł. Zapytam. Ale masz mi dać święty spokój.

ROZDZIAŁ 20

Przejechanie dwóch przecznic, które dzieliły mnie od kliniki, zajęło mi dokładnie trzy minuty i punktualnie o dziewiętej zaparkowałam przed bramą. Harleya Walczaka nigdzie nie było widać, więc odetchnęłam z ulgą.

– Dobrze, że pani jest, pani Magdo – ucieszył się Rudnicki. – Proszę się nie przebierać, od razu pojedzie pani do pacjenta.

Poczułam w żołądku skurcz strachu. Klinikę miałam już, można powiedzieć, opanowaną, przynajmniej mniej więcej wiedziałam, czego się spodziewać. Poza tym obecność szefa, a nawet od biedy Walczaka dawała mi asekurację, dzięki której czułam się bezpiecznie. Samotny wyjazd w obce miejsce oznaczał, że na nikim nie będę się mogła oprzeć, nikogo poprosić o radę, moje decyzje będą ostateczne. W dodatku takie wezwanie najczęściej oznaczało, że pacjentem będzie zwierzę gospodarskie. I choć w samej Podkowie krów ani świń raczej się nie spodziewałam, to mieliśmy na terenie kilka stajni. A z końmi na razie wolałabym nie mieć do czynienia.

– Nie wiem, czy dam radę z dużym zwierzęciem – zaczęłam ostrożnie, ale Rudnicki już się zdążył na moje marudzenie uodpornić.

– Oczywiście, że pani da. To tylko pies, choć rzeczywiście spory. Ma nawracające zapalenia uszu. Proszę sobie sprawdzić w komputerze historię choroby.

Usiadłam do klawiatury.

– Jak się wabi? – Kartę zwierzęcia można było odnaleźć wpisując jego imię, ewentualnie nazwisko właściciela.

– Nie pamiętam. Niech pani poszuka pod Szeliga.

Zatrzymałam się przed solidną, kutą bramą, za którą wznosił się dom Szeligi.

Nie wiem, dlaczego wszyscy w Podkowie mówili na niego „ranczo”, bo architekt,

który go zaprojektował, nie inspirował się raczej domkiem na prerii. Dwupiętrowy, otynkowany na żółto budynek z kolumnami przy wejściu i mansardowymi oknami powstał jakieś dwadzieścia lat temu i wyraźnie nawiązywał napuszoną stylistyką do *Dynastii*. Kolejne remonty miały prawdopodobnie unowocześnić i uszlachetnić bryłę, ale przyniosły tylko architektoniczny chaos. Dom niewątpliwie sprawiał imponujące wrażenie, ale moje poczucie estetyki na jego widok cierpiało.

Brama otworzyła się powoli. Ruszyłam eleganckim, zwirowanym podjazdem, do którego mój samochód pasował jak białe skarpetki do sandałów. Objechałam ogromny klomb obsadzony dorodnymi krzakami rododendronów i o mało nie wpakowałam się w kufer czarnego forda mondeo, zaparkowanego przed wejściem.

Niestety, znałam ten samochód. Znałam aż za dobrze. W pierwszym odruchu pomyślałam: uciekaj. Ruszyłam więc ostro do przodu, a spod kół Chrupka sypnęło żwirem. Kamyki uderzyły w bok forda, grzechocząc cicho o lakier. I w tym momencie uświadomiłam sobie, że nie mogę, ot tak, po prostu zwać, bo wtedy mój czwarty dzień pracy w klinice byłby zapewne ostatnim. Na pewno musiałam za to znaleźć takie miejsce, w którym moje auto nie rzuciłoby się w oczy kierowcy forda, kiedy wyjdzie z domu. Ponieważ czarny ford mondeo z lekko wgniecionym tylnym zderzakiem należał do Sikory. A Sikora nie miał pojęcia, że pracuję u Rudnickiego. I wolałabym, żeby pozostawał w tej nieświadomości jak najdłużej.

Na szczęście kawałek dalej odchodziła w bok jakaś alejka, która omijała dom z lewej strony i prowadziła do gospodarczej części posiadłości. Wjechałam w nią i zatrzymałam się w zatoczce przy długim, parterowym budynku, który na pierwszy rzut oka przypominał luksusową stajnię, a na drugi okazał się krytym basenem z ogromnymi oknami, na których naklejono jako ostrzeżenie czarne sylwetki ptaków.

Wysiadłam z auta na miękkich nogach. Świadomość, że właśnie otarłam się o katastrofę, nie polepszyła mi samopoczucia. Ale zanim zdążyłam się zastanowić, co dalej, obok mnie pojawił się mężczyzna.

Tak jak dom mógłby zostać bez charakteryzacji obsadzony w *Dynastii*, tak ten człowiek sprawiał wrażenie, jakby urwał się z planu serialu o finansistach. Był ubrany od stóp do głów w markowe, eleganckie ciuchy, w których idealnie komponowałyby

się w biurze maklerskim, jednak na tle starannie ostrzyżonego trawnika wyglądał, jak dla mnie, zbyt abstrakcyjnie.

– Pani doktor Borowska?

W jego głosie nie było ani krzty oryginalności – był cichy, mdły i nijaki. Prawdopodobnie jedna z ważniejszych cech wymaganych przy naborze na stanowisko, które pełnił – przeźroczystość. Nie tyle wyglądu, co charakteru.

– Tak, przyjechałam do psa.

– Lewandowski. Asystent pana Szeligi.

Choć nie zrobił w moją stronę żadnego gestu, ja odruchowo wyciągnęłam rękę na powitanie. Uścisnął mi dłoń, lekko zdziwiony, tak jakbym niechcący naruszyła protokół. Miał nieprzyjemną w dotyku, miękką i wilgotną skórę.

– Gdzie pacjent? – spytałam, próbując opanować odruch wytarcia dłoni o spodnie.

– W kojcu. Niestety, będzie pani musiała chwilę poczekać. Pan Szeliga ma niespodziewanych gości. Będzie do pani dyspozycji za kwadrans, może pół godziny.

Niespodziewanych gości. Eufemistyczne określenie na wizytę policji. Ale bez względu na dobór słów chciałam jak najszybciej załatwić kwestię psa i zniknąć. Sikora nie mógł mnie tu zobaczyć. Absolutnie nie.

– Może mogłabym sama?

Badanie bez właściciela było pomysłem desperackim, ponieważ zapalenie uszu to bardzo bolesne schorzenie, a pies, co wyczytałam w karcie, nie był ani jamnikiem, ani beaglem, ani nawet labradorem, tylko mastifem tybetańskim. A mastif to kawał psa. Ma konkretną masę oraz, co dla weterynarza chyba jeszcze ważniejsze, konkretny charakter. Twardy i nieustępliwy. Nie wiem, co mi przyszło do głowy proponować, że zbadam psa sama.

– Pan Szeliga chciałby być przy badaniu.

Na moje szczęście sekretarz wykazał się dużo większym rozsądkiem niż ja. Albo inaczej – posłuszeństwem.

– Wie pan, mam jeszcze dzisiaj kilka wizyt, więc... – brnęłam dalej.

Na twarzy mężczyzny pojawiła się irytacja. Przecież nie przyszedł tutaj, żeby się ze mną użerać, tylko przekazać mi konkretną wiadomość.

– Pan Szeliga MUSI być przy badaniu – zamknął temat. – Proszę poczekać w ogrodzie. Szef wyjdzie do pani, kiedy skończy.

I odszedł, choć może raczej powinienam powiedzieć „oddalił się”, wyprostowany i elegancki, pozostawiając za sobą charakterystyczny zapach perfum molekularnych.

Dom od tyłu robił dużo lepsze wrażenie niż od frontu. Brak kolumn i regularny układ okien uspokajały optycznie całą bryłę, a francuskie drzwi wychodzące na taras dodawały budynkowi lekkości. Wieczorem, oświetlony od środka, musiał wyglądać urzekająco. Ale nie miałam się teraz zachwycać domem, tylko znaleźć miejsce, w którym mogłabym poczekać, nie narażając się na to, że zostanę zauważona przez Sikorę. Przy idealnie symetrycznych alejkach przecinających idealnie przystrzyżone trawniki stało kilka ozdobnych żeliwnych ławek, były jednak, jak dla mnie, za bardzo wyeksponowane. Za to wzdłuż ściany domu biegł szeroki gzyms, który od biedy mógł służyć za ławeczkę. Twardy i niewygodny, miał jedną niewątpliwą zaletę – żeby zobaczyć kogoś, kto na nim siedzi, trzeba by wychylić się porządnie z okna i spojrzeć w dół. Pod latarnią najciemniej, upewniłam sama siebie w decyzji i usiadłam na nagrzanym słońcem kamieniu, opierając plecy o ścianę.

Przymknęłam oczy. Przez chwilę poczułam się błogo i bezpiecznie, ale tylko przez chwilę. Bo prawie natychmiast zdałam sobie sprawę, że zza uchylonego okna nade mną dobiegają czyjeś głosy. Jeden z nich znałam, pozostałe dwa należały zapewne do Szeligi i jego żony.

– Co roku od dziesięciu lat organizujemy w maju gardenparty. Z reguły zapraszamy około stu osób. W tym roku wyjątkowo rozesłaliśmy... przepraszam, muszę sprawdzić – sto pięćdziesiąt siedem zaproszeń. – Kobieta mówiła powoli i wyraźnie, starannie akcentując końcówki. Wyobraziłam ją sobie jako elegancką, stanowczą pięćdziesięciolatkę, i jak się później okazało, niewiele się pomyliłam. –

Okazja była wyjątkowa, bo mąż rozpoczyna karierę polityczną. W najbliższych wyborach parlamentarnych będzie kandydował na posła.

– Z ramienia jakiej partii? – zapytał Sikora.

– Czy to istotne? – tym razem odezwał się Szeliga. Jego głos, niski i mocny, w interesujący sposób pasował do głosu żony. – Decyzję podjąłem kilka tygodni temu,

a przyjęcie było świetną okazją, żeby ją ogłosić.

– Zaprosiliśmy kilku polityków, dziennikarzy z liczącymi się tytułami i oczywiście ludzi, którzy będą tworzyć sztab wyborczy męża. To był dla nas bardzo ważny moment, rozumie pan.

– A tę osobę państwo pamiętają? – Sikora prawdopodobnie podał im zdjęcie ofiary, bo w pokoju zapadła cisza.

Przez chwilę słyszałam tylko buczenie trzmieli, unoszących się nad klombem i odległy terkot spalinowej kosiarki do trawy.

Pierwszy odezwał się Szeliga.

– Bardzo mi przykro, nie kojarzę.

– A ja niestety tak – włączyła się jego żona. – Przyszła z tym człowiekiem od studia poligraficznego. Zaraz, jak on się nazywał...

– Cieślak. Rafał Cieślak – podpowiedział Sikora.

– Cieślak? – zdziwił się Szeliga. – Tak, teraz sobie przypominam. Jego firma wygrała konkurs na obsługę poligraficzną mojej kampanii. Zamieniliśmy kilka słów, rzeczywiście ta kobieta z nim była.

– Dlaczego użyła pani słowa „niestety”? – Sikora jakoś wyłapał ten drobiazg.

– Zaszły pewne niezbyt przyjemne okoliczności, o których, wybaczy pan, wolałabym nie mówić.

Sikora westchnął. Znałam to jego westchnienie bardzo dobrze – w ten właśnie sposób wyrażał swoją bezsilność wobec losu.

– Proszę pani. Sprawa wygląda następująco. Na zdjęciu, które państwu pokazałem, jest Joanna Maj, lat trzydzieści osiem, która w sobotę w nocy została zamordowana. Wracała z przyjęcia u państwa. Być może została zaatakowana przez przypadkowego sprawcę, taką mieliśmy teorię, ale równie dobrze morderca mógł wyjść za nią z przyjęcia. Dlatego wszystkie informacje dotyczącego tamtego wieczoru są dla nas ważne. Co to za nieprzyjemne okoliczności, o których pani wspomniała?

– Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy. Słyszeliśmy o morderstwie, ale nie miałam pojęcia, że ofiara była naszym gościem.

– No, ale teraz już pani wie – uciął Sikora. – Zatem słucham, co takiego się stało

wtedy, w sobotę?

– Mów, kochanie – to był głos Szeligi. – Sam jestem ciekaw.

Znowu na chwilę zapadła cisza, tak jakby Szeligowa zastanawiała się, od czego zacząć.

– Pokłócili się – powiedziała w końcu. – Ona i ten jej mąż czy partner. Bardzo ostro. Myślę, że gdybym go nie uspokoiła, doszłoby do rękoczynów. Wyglądał, jakby ją miał zaatakować.

– Wie pani, o co poszło?

– Był o nią zazdrosny. Zarzucał jej zdradę, wyzywał od dziwek, krzyczał, awanturował się. Bulwersujące. Wielki, wielki wstyd przed gośćmi. Na szczęście udało mi się dość szybko to przerwać. Poprosiłam go, żeby się uspokoił, a kiedy przestał krzyczeć, zaproponowałam wszystkim kąpiel w basenie. Zrobiło się, wie pan, takie lekkie zamieszanie, Cieślak poszedł z innymi do szatni, a ta kobieta gdzieś znikła. Później już ich nie widziałam.

– Dlaczego ja się dopiero teraz o tym dowiaduję? – głos Szeligi stał się twardy i nieprzyjemny.

– Kochanie, może to teraz zabrzmiało dramatycznie, ale w sumie nie stało się nic poważnego. Po co miałabym cię denerwować? Zresztą chyba akurat w tym czasie udzielałeś wywiadu w gabinecie. A potem sprawa ucichła.

– Czy padły jakieś konkrety? – kontynuował Sikora.

– Co ma pan na myśli?

– O kogo był zazdrosny? Taki wybuch musiał być czymś spowodowany. Może z kimś rozmawiała, zniknęła z jakimś mężczyzną na dłużej, nie wiem, może on wykrzyczał nazwisko tego mężczyzny?

– Nie, raczej nie. W każdym razie ja nie zwróciłam uwagi.

– Czy byli jeszcze jacyś świadkowie tej kłótni?

– Kilkanaście osób. To było takie żenujące.

– Jak do nich dotrę?

– Hm, panie komisarzu – wtrącił się Szeliga. – Czy to konieczne?

– Słucham?

– Przesłuchiwanie moich gości. To wpływowi ludzie. Bardzo by to było niezręczne, rozumie pan.

W głosie Szeligi pojawił się ledwo wyczuwalny, protekcyjny ton.

– Rozumiem – odpowiedział Sikora. – Co nie zmienia faktu, że te informacje będą mi potrzebne. Poproszę o przesłanie listy wszystkich gości i zaznaczenie na niej tych osób, które były świadkami kłótni. Jeżeli mają też państwo jakiś materiał fotograficzny z przyjęcia, proszę dołączyć. Tutaj jest mój numer telefonu i adres mejlowy. – Prawdopodobnie w tym momencie wręczył im wizytówkę: „Komisarz Jacek Sikora”, sama miałam taką w portfelu. Swoją drogą brzydszych kart wizytowych niż te policyjne ze świecą szukać. – Gdyby cokolwiek się państwu przypomniało, proszę dzwonić.

A po chwili dodał:

– Mają państwo piękną działkę. Bardzo jasną. Zadziwiające, że tutaj pod lasem jest tyle światła.

Ktoś, kto nie znał Sikory, mógłby pomyśleć, że jego hobby to ogrodnictwo. Ja natomiast w tej uwadze wyczułam zawołaną sugestię, że drzewa, które usunięto, by zrobić miejsce dla budynków i trawników, niekoniecznie zostały wycięte legalnie.

Nie wiem, czy Szeliga też tak to odebrał, ale z pewnością nie dał tego po sobie poznać.

– Piękne miejsce, zgadzam się z panem. Może zechce pan rzucić okiem? Zapraszam.

W tym momencie do mnie dotarło, że Szeliga prowadzi Sikorę na taras, z którego roztaczał się rzeczywiście imponujący widok na ogród, ścianę drzew pobliskiego lasu oraz – na mnie, podsłuchującą sobie pod oknem. Natychmiast zerwałam się z miejsca i, potykając się w pośpiechu o własne nogi, pobiegłam w kierunku basenu. Żwirek, którym została wysypana alejka, nie sprzyjał rozwijaniu zawrotnych szybkości, bo fatalnie ślizgały się w nim nogi, ale jakoś udało mi się schronić za węglem budynku, zanim Szeliga, jego żona i Sikora wyszli na zewnątrz. Oparłam się plecami o chłodną ścianę i przez chwilę uspokajałam oddech.

Od strony tarasu dochodził wciąż monotony głos Szeligi, który zapewne

opowiadał Sikorze o posiadłości, a ja, przytulona do budynku basenu, czułam się z sekundy na sekundę coraz bardziej głupio. Nie wiem, co by sobie pomyślał pan sekretarz, gdyby mnie tutaj zobaczył, ukrytą za ścianą niczym bawiąca się w chowanego siedmiolatka. Dlatego kiedy lęk przed Sikorą ustąpił miejsca lękowi przed zbliżeniem się, oderwałam się od budynku i zaczęłam udawać zainteresowanie wszystkim dookoła. Najpierw podeszłam do wiaty na rowery, gdzie stało ich ze dwadzieścia, prawie jak w profesjonalnej wypożyczalni, a potem ruszyłam w głąb ogrodu.

Kawałek dalej w ziemi znajdowała się niecka wylana poczerniałym betonem, dookoła której ustawiono drewniane, proste ławki. Przez chwilę nie wiedziałam, do czego ta infrastruktura może służyć, ale kiedy podeszłam bliżej, zrozumiałam, że jest to po prostu profesjonalnie przygotowane miejsce na ognisko. Jakie to w sumie przytłaczające, pomyślałam, patrząc na przygotowane do spalenia sągi drewna, które wyglądały tak, jakby układała je pod linijkę perfekcyjna pani domu. Dla mnie urok ogniska polegał przede wszystkim na samodzielnym ściąganiu gałęzi z lasu, łamaniu ich i paleniu bez żadnej gwarancji, czy zajmą się ogniem i jak długo utrzymają żar. Tutaj cały proces wyglądał na zautomatyzowany do maksimum.

Podeszłam bliżej i upewniwszy się, że nikt nie widzi, przesunęłam jedno idealnie przycięte polano, odrobinę zaburzając harmonię. Natychmiast poczułam się lepiej.

I wtedy obok sterty drewna zauważyłam jeszcze coś: ażurowy metalowy kosz, w którym, jak w suszarce do sztućców, umieszczono szpikulce do pieczenia kiełbasek. Zaciekawiona wyjęłam jeden z długich, żelaznych prętów. Miał toczoną, drewnianą rączkę, ozdobne zgrubienie w połowie długości i był zakończony ostrym podwójnym szpikulcem. Stałam tak i patrzyłam, nie wierząc własnym oczom. Już kiedyś widziałam coś takiego. Na ziemi, w kałuży krwi.

Pręt, który trzymałam w ręku, był identyczny jak ten, którym zamordowano Joannę Maj.

W pierwszym odruchu odrzuciłam szpikulce daleko od siebie z takim wstrętem, jakby po dłoni chodził mi pająk. W drugim chciałam biec do Sikory i pokazać mu swoje odkrycie. W trzecim wyjęłam komórkę, sfotografowałam pręt najdokładniej, jak

się dało i odłożyłam go z powrotem do kosza. A kiedy się odwróciłam, chowając telefon do kieszeni, zza basenu wyłonił się Szeliga.

Wysoki i siwy, szedł w moją stronę zamaszystym krokiem, z daleka w niepokojący sposób przypominając mojego ojca. Jednak kiedy podszedł bliżej, wrażenie podobieństwa znikło, ustępując miejsca zdziwieniu, że w ogóle jakiś fragment mojego mózgu mógł zestawić ze sobą te dwie postaci. Nad ojcem unosiła się bowiem aura dobrej zabawy i wiecznej zgrywy, nad Szeligą zaś: autorytetu i pieniądza, choć nie miał na sobie garnitur, tylko dżinsy i granatową koszulkę polo. Poza tym był od mojego taty dużo szczuplejszy, wręcz chudy, miał ostre, przystojne rysy twarzy i spojrzenie, które przeświewało na wylotjak laser.

– Przepraszam, że musiała pani tyle czekać – zaczął głosem, w który wsłuchiwałam się przez ostatnie pół godziny. – Niefortunny zbieg okoliczności. Brunon Szeliga – wyciągnął rękę na powitanie. Uściśnięcie mojej dłoni zajęło mu jakąś jedną lub dwie nanosekundy, po czym nie czekając, aż ja zdążę wydusić z siebie swoje nazwisko, wyminął mnie i poszedł dalej. Poprawiłam więc w dłoni uchwyt torby lekarskiej, która nagle wydała mi się dziwnie ciężka, i ruszyłam za nim.

Zatrzymaliśmy się przed solidnym boksem zbudowanym z grubych, metalowych prętów. Przed budą wielkości domku kempingowego Brda leżał ogromny, czarny pies i patrzył na nas podejrzliwie.

– Piękne zwierzę – powiedziałam z uznaniem.

Rzeczywiście, pupil Szeligi posiadał wyjątkową urodę. Czarna, podpalana rudo sierść, potężna głowa, nos wielkości mojej pięści i wyjątkowo obfity włos, dodatkowo zebrany wokół szyi specjalną obrozą sprawiały, że bardziej przypominał lwa niż psa. Na nasz widok powoli podniósł się i ruszył w naszym kierunku. Jego ciało było napięte, jakby szykował się do skoku. Zatrzymał się tuż przed kratą, a z jego brzucha dobiegło głucho, złowrogie warczenie.

– Heping, Nepal, heping! – rozkazał stanowczo Szeliga. – Heping po chińsku znaczy spokój – wyjaśnił mi. – Sprowadziłem Nepala z hodowli w Pekinie. Dobra,

sprawdzona linia.

Włożył rękę do środka i poklepał zwierzę po szerokim łbie. Pies przestał się gotować. Potrząsnął za to głową w charakterystyczny dla chorych uszu sposób.

– No już, dobry pies. Od wczoraj drapie się w ucho, biedak – w opanowanym i chłodnym głosie Szeligi pojawiła się autentyczna troska. – To samo miał dwa miesiące temu. Wtedy doktor Rudnicki zdiagnozował u niego zapalenie ucha środkowego.

Czekałam, kiedy Szeliga otworzy drzwi boks, ale najwyraźniej się do tego nie kwapił.

– Muszę go zbadać – przypomniałam mu. – Czy mógłby mnie pan wpuścić?

Na twarzy Szeligi dostrzegłam wahanie. Nie wiem, czy wzięło się stąd, że nie chciał narażać na dyskomfort psa, czy mnie.

– A nie może mu pani po prostu wypisać tych samych lekarstw, co pan doktor?

Przełknęłam ślinę. Propozycja była niewątpliwie kusząca.

– Nie. Jeżeli to alergia, jak poprzednio, zastosujemy podobne leczenie. Ale muszę sprawdzić, czy do przewodu słuchowego nie dostało się ciało obce. Wtedy leczenie przebiegałoby zupełnie inaczej.

Szeliga niechętnie odsunął zasuwkę blokującą wejście i otworzył boks. Wszedł pierwszy.

– Siad! – rozkazał psu, unosząc lekko dłoń.

Mastif usiadł posłusznie, choć nie spuszczał ze mnie czujnego wzroku.

Wyjęłam z torby otoskop i podeszłam do psa.

– Nepal, spokojnie, piesku.

Nie wiem, czy jestem dobrym lekarzem weterynarii, ale na pewno mam cechę, która mi w tym zawodzie pomaga – nie boję się psów. Żadnych. Ani wielkich, ciężkich molosów, które jednym kłapnięciem mogłyby mi odgryźć dłoń, ani ujadających pokurczy, które swoim dziamganiem potrafią nieźle napsuć krwi. A ponieważ psy to wyczuwają, bardzo szybko ze ścieżki wojennej przechodzą na przyjacielską.

Tym razem było podobnie. Nepal, choć na początku lekko spięty, dał się

pogłaskać po głowie, podrapać po szyi, i nie zareagował, kiedy zajrzałam mu do ucha, choć musiało być to dla niego bolesne, bo małżowinę i kanał słuchowy miał zaczerwienione i obrzęknięte.

– Tak jak poprzednio, odczyn alergiczny. Czy nie zmienili mu państwo ostatnio karmy?

– Nie. Jest na specjalnej, weterynaryjnej, dla alergików. Według poprzednich zaleceń lekarza. Myśli pani, że na nią też się uczulił?

– Nie. Raczej, że chwycił coś na spacerze. Mógł pan nawet nie zauważyć.

Zastanowił się.

– To prawda. Dużo razem chodzimy, a Nepal często się oddala.

– Podobno mastify tybetańskie to jedyne psy, które samodzielnie podejmują decyzje – przypomniałam sobie fragment opisu rasy z internetu.

Szeliga poklepał Nepala po łopatce.

– Tak, to prawda. Mówi się, że to najlepsze psy stróżujące na świecie. Miałem w życiu wiele ras, owczarki, wyżły, teriery, ale te mastify są wyjątkowe. Mądrzejsze, bardziej empatyczne i lojalne niż niejeden człowiek.

Chciałam coś odpowiedzieć, ale w kieszeni Szeligi odezwał się telefon. Wyjął komórkę z kieszeni i rzucił okiem na wyświetlacz.

– Moment, przepraszam.

Odszedł kilka kroków i odwrócił się tyłem, tak jakby to miało sprawić, że nie usłyszę rozmowy.

– Tak, dzwoniłem. Są potrzebne zdjęcia i nagrania z soboty. Tak, wiem, umawialiśmy się na przyszły tydzień, ale mnie chodzi o materiał przed montażem. Trzeba go przekazać policji. Chodzi o morderstwo. Gdzie jesteś? W Cannes? A kiedy wracasz? No cóż, trudno. Będą musieli poczekać.

Schował telefon i przez chwilę stał, zamyślony. Chrząknęłam. Prawie podskoczył, jakby nagle przypomniało mu się, że istnieję. Odwrócił się do mnie i uśmiechnął przepaszająco.

– To morderstwo, o którym wspomniałem. Tuż przed pani przyjściem odwiedziła nas policja. Podobno w sobotę w Podkowie znaleziono zwłoki kobiety. W samym

centrum miasta. A wydawałoby się, że to taka spokojna miejscowość. Wstrząsające, nie uważa pani?

– Uważam – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Zwłaszcza że to właśnie ja je znalazłam.

ROZDZIAŁ 21

Tomasz wrócił z pracy przed osiemnastą. Zanim wszedł do kuchni, zdążyłam postawić na stole talerz z obiadem. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że szybkość obsługi zamaskuje jakość posiłku.

– Popsuła się zamrażarka? – zainteresował się małżonek, sięgając po widelec.

– Nie, dlaczego? – odpowiedziałam niepewnie, przeczuwając pułapkę.

– Trzeci dzień z rzędu karmisz mnie kupnymi pierogami z mięsem. Zakładam, że musi być jakiś ważny powód.

Nie, nie popsuła się zamrażarka. Po prostu poszłam do pracy i na gotowanie wyszukanych, zbilansowanych i smacznych posiłków nie mam czasu. Tylko że akurat tego powiedzieć nie mogłam.

– Była promocja w delikatesach. – Żenujące usprawiedliwienie, ale na nic lepszego jakoś nie było mnie stać. – Trzy paczki w cenie dwóch.

– Dobrze, że nie siedem w cenie pięciu, bo przez tydzień bym tego nie zniósł.

Patrzyłam, jak je bez apetytu, i pomyślałam, że sprawy nie wyglądają dobrze. Albo powinnam jakoś przemyśleć kwestię żywienia rodziny, albo przyznać się Tomaszowi do wszystkiego. Tylko że ani na jedno, ani na drugie nie miałam na razie siły.

– Będziesz teraz w domu? – spytałam, chowając naczynia do zmywarki.

– Raczej tak. Dlaczego pytasz?

– Chciałam wyskoczyć na chwilę do Elki. – Wiedziałam, że po obiedzie z mrożonki moje akcje nie stoją zbyt wysoko, ale cuda się zdarzają.

– Co to znaczy „na chwilę”?

– Godzina, nie więcej.

– Idź – zgodził się po chwili namysłu. – Zajmę się dziećmi.

Od tamtej kolacji w hotelu naprawdę się starał. W przeciwieństwie do mnie.

Była siódma, kiedy dotarłam do Sikorów. Otworzyła mi Elka. Ubrana w długą, lnianą kiecę i z turbanem na głowie wyglądała jak Tuareg.

– Madzia! Cudownie, że wpadłaś!

– Co to? – puknęłam palcem w zwinięty na jej głowie ręcznik.

– Farbuję włosy. Na rudo. Będzie czad, zobaczysz.

W to akurat nie wątpiłam. Elka miała niebywałą lekkość zmiany wizerunku, i o dziwo każdy do niej pasował. Ja swojego nie zmieniałam od urodzenia, no może poza tym, że powypadały mi mleczaiki.

– Super! Jest Jacek?

– Jest. W średnim kontakcie. Zamknął się w garażu.

– Wyciągniesz go stamtąd?

– Sama go wyciągnij – uśmiechnęła się miło Elżbieta. – A ja otworzę wino.

Zeszłam do piwnicy i wąskim, zagraconym przejściem między kotłownią a pralnią przedostałam się do garażu.

Za każdym razem, kiedy tu wchodziłam, przeżywałam ten sam szok – na co dzień u mnie w kuchni panował dużo większy bałagan. Każda część, każde narzędzie, każda śrubka miały tutaj swoje miejsce. Gdyby podoczepić im ceny, wyglądałyby zupełnie jak na sklepowej ekspozycji. Kiedyś myślałam, że to po prostu taka dekoracja, a Sikora tylko udaje, że coś tutaj robi. Ale ponieważ co jakiś czas opuszczały to miejsce kolejne złożone od zera vespy, musiałam zweryfikować swoje nastawienie. Co ciekawe, obsesyjne porządkowanie przestrzeni przez Sikorę dotyczyło tylko i wyłącznie tego miejsca. Wszędzie indziej bałaganił, ile wlezie, Elka miała nawet taką teorię, że jej mąż odreagowuje obsesyjny porządek w garażu, rozrzucając ubrania w sypialni czy mokre ręczniki w łazience.

Kiedy weszłam, Sikora siedział na metalowym zydelku i starannie polerował metalową rączkę od lusterka.

– O Boże – westchnął niezadowolony. – Co ty tu robisz?

- Musimy pogadać – oświadczyłam.
- A niby o czym?
- O śledztwie – powiedziałam twardo.
- Ani mi się śni. Jestem zmęczony. Jutro.
- Mam informację. Ważną.

Znowu westchnął, tym razem z rezygnacją. Popatrzył na lusterko, potem na mnie i jeszcze raz na lusterko, w końcu odłożył szmatkę i wstał.

- Dobra. Ale jak się okaże, że to fake...

Elka rzeczywiście otworzyła wino. Białe. Prosto z lodówki. Niezaprotekowałam. Nalała do trzech kieliszków, ale Sikora odmówił.

- Jeżeli wypiję, zasnę. Koleżanka – pokazał na mnie – nie byłaby zadowolona. I zamiast wina zrobił sobie herbatę.

Usiedliśmy na tarasie. Powoli zapadał wieczór, cienie się wydłużały, kwiaty pachniały intensywniej. Udało mi się nawet na moment zapomnieć, po co tu przyszłam.

- No, mów. Co to za niezwykle ważna informacja, która nie mogła poczekać do jutra? – sprowadził mnie na ziemię Sikora.

Sięgnęłam do kieszeni dzinsów po telefon, otworzyłam zdjęcie szpikulca i podałam Jackowi. Zmrużył oczy i osłonił dłonią ekran, żeby lepiej widzieć.

- Poznajesz? – zapytałam, starając się opanować podekscytowanie.

Sikora zmarszczył brwi.

- To wygląda podobnie do narzędzia zbrodni.
- To wygląda identycznie jak narzędzie zbrodni! – poprawiłam go.
- Hm – potarł brodę. – Gdzie to zrobiłaś?
- No właśnie, to jest najlepszy numer. U Szeligi.

Sikora popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- U Szeligi? – powtórzył. – Jakim cudem? Co ty wymyślasz?

– Byłam u niego na podwórku. Zauważyłam to coś. Zrobiłam zdjęcie. Nie wystarczy?

Przez chwilę miałam nadzieję, że uda mi się jakoś ominąć temat, skąd się tam wzięłam, ale Sikora był czujny.

– Super. A teraz mi powiedz, co u niego robiłaś.

– Czy to ważne? Masz zdjęcia, możesz sobie porównać. Jeżeli się okaże, a się okaże, że są identyczne, to już wiesz, że zabójca był na imprezie razem z ofiarą. Sprytnie, co?

– Bardzo sprytnie. Oczywiście to zrobię. Ale w dalszym ciągu nie wiem, jak się dostałaś do Szeligi do domu.

Wzruszyłam ramionami.

– Jakoś.

Nieoczekiwanie w sukurs mężowi ruszyła Elka.

– Mów, mów, kochana. Przecież to nie może być nic strasznego.

Nie mogłam już dłużej kręcić, więc opowiedziałam im o Rudnickim, mojej pracy w lecznicy i o wezwaniu do chorego psa.

– Muszę przyznać, że mi zaimponowałaś – powiedział z uznaniem Sikora, podnosząc w górę kubek z herbatą. – Zdrowie, pani doktor!

– Tylko jest jedna rzecz – odchrząknęłam. – Dość ważna. Znaczy... gdybyście mogli nie rozmawiać o tym z Tomkiem. Bo on na razie nic nie wie.

– O tym, że leczysz psa Szeligi? – Sikora nie bardzo mógł pojąć, o co mi chodzi.

– Nie. O tym, że w ogóle leczę. To znaczy, że wróciłam do pracy.

Elka sięgnęła po butelkę i dołała nam wina.

– Mam wrażenie, że na trzeźwo nie chwycę. Nie powiedziałaś Tomkowi?

– No nie.

Oboje patrzyli na mnie w takim osłupieniu, jakby mi nagle wyrosła druga głowa, a potem spytali równocześnie:

– Dlaczego?

Nie chciałam płakać, ale jakoś tak wyszło. Razem ze łzami wypływało ze mnie

poczucie winy i wstyd, że jestem takim beznadziejnym tchórzem.

– Bo on nie chciał, żebym pracowała – chlupałam. – Bo miał kochankę. I bałam się rozwodu. I chciałam mieć własne pieniądze. A teraz się boję przyznać. Boże, jaka ja jestem strasznie głupia.

Dłuższą chwilę zajęło, zanim się uspokoiłam. Sikora przyniósł mi chusteczki, Elka szklankę wody i cierpliwie zaczęli mi tłumaczyć, że nawet jeżeli głupia, to nie strasznie, tylko przeciętnie, że gdybym była tchórzem, to na sto procent nie wróciłabym do pracy, no i że jeżeli Tomek stwarza taką atmosferę w naszym małżeństwie, że boję się przyznać do czegoś, co naprawdę jest raczej powodem do dumy niż do wstydu, to coś jest nie tak nie ze mną, ale z nim. Próbowaliśmy co prawda stanąć w jego obronie, tłumacząc, że ostatnio zachowuje się naprawdę w porządku, ale ani Elka, ani Jacek nie dali się przekonać.

– Masz prawo do swoich decyzji. Powiedz mu i tyle – namawiał Sikora.

Elka знаła mnie lepiej, więc zamiast przekonywać, spróbowała nastraszyć.

– Kotku, jeżeli mu nie powiesz, to on się prędzej czy później dowie. I wtedy dopiero będzie chryja. Pomyśl o tym. Chyba to gorsza opcja, nie sądzisz?

Sądziłam. Dlatego obiecałam, że mu powiem i w ten sposób zakończyliśmy temat. A Sikorze się przypomniało, od czego wyszliśmy.

– Prześlij mi te zdjęcia. Wszystkie – polecił. – Jeżeli narzędzie zbrodni rzeczywiście pochodziło z tego kompletu, to by potwierdzało naszą teorię.

– Że zabił narzeczoną? – nie wytrzymałam.

Sikorę zatkano.

– A skąd ty wiesz?

Kolejna rzecz, do której musiałam się przyznać – podsłuchiwanie. Tym razem poszło mi znacznie łatwiej, widocznie zaczynałam nabierać wprawy.

– Słyszałam twoją rozmowę z Szeligą i jego żoną. Siedziałam pod oknem. To była moja pierwsza myśl, kiedy usłyszałam o kłótni – zazdrosny narzeczoną. Pokłócili się, potem on wziął ten szpikulec, poszedł za nią na stację, zabił i wrócił na przyjęcie. Według mnie dużo na niego wskazuje.

– Dużo, a nawet jeszcze więcej. Tylko akurat to jeszcze do ciebie nie dotarło.

Choć w sumie kto cię tam wie.

– Wiem tylko tyle, ile mi powiesz.

– Albo ile sobie podsłuchasz.

– Mówże!

– Te odciski na narzędziu zbrodni. Należały do narzeczonego.

No, to zabrzmiało poważnie.

– Uf – westchnęłam. – Czyli udało się. Macie mordercę. Gratuluję!

– Powoli, powoli. Pogratulujesz, jak dostanie wyrok.

– Przyznał się?

– Nie. Idzie w zaparte. Według niego ta kłótnia wcale nie była taka poważna, poza tym oni dosyć często podnosili na siebie głos, takie mieli temperamenty po prostu. On akurat nic podejrzanego w tej sytuacji z przyjęcia nie widzi. Oraz twierdzi, że ma alibi, bo kiedy żona Szeligi zaproponowała basen, poszedł popływać i w chwili, kiedy popełniono morderstwo, siedział w wodzie.

– Jak cię znam, żałujesz, że woda nie umie mówić i nie możesz jej w związku z tym przesłuchać.

Sikora parsknął.

– Ty czasami jak coś palniesz, to ręce opadają. Przecież ten basen był pełen ludzi. Ich sobie przesłucham. Jeżeli nikt go sobie nie przypomni, będziemy mieli dodatkową poszlakę.

– A odciski palców? – pytałam dalej. – Tego przecież nie może się wyprzeć.

Sikora roześmiał się gorzko.

– Toteż się nie wypiera. Twierdzi, że tak, miał szpikulec w ręku, tylko nie po to, żeby dziurawić narzeczoną, ale żeby sobie upiec kiełbaskę. Był przy ognisku wcześniej, przed awanturą. Twierdzi, że potem przyniósł ten szpikulec ze sobą na taras i tam odłożył.

Miałam na końcu języka kolejne pytanie, właściwie wiele kolejnych pytań, ale nie było mi dane ich zadać, bo poczułam, że komórka w kieszeni moich dzinsów dygoce natarczywie.

– Miało cię nie być godzinę – oświadczył Tomasz z wyrzutem, kiedy odebrałam.

Już chciałam negocjować dodatkowy kwadrans, kiedy coś mnie tknęło i sprawdziłam czas na wyświetlaczu telefonu. No cóż, dodatkowy kwadrans już wykorzystałam. I to niejeden. Była prawie dziesiąta. Nie miałam pojęcia, że już tak późno.

– Muszę lecieć – poderwałam się od stołu, o mało nie przewracając łokciem kieliszka. – Zdjęcia ci prześlę, gdy znajdę chwilę.

– Spokojnie. – Sikora przytulił mnie po swojemu, mocno i szybko. – Mogą być jutro rano, jak wypuścisz dzieci do szkoły.

– Do jakiej szkoły? – westchnęła Elka. – Jutro sobota. Widzisz, jaki on nakręcony?

– Sobota? – mnie ta informacja też zaskoczyła. – Jacek, czy to TA sobota?

Popatrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem. O śledztwie mógł rozmawiać wyrwany z najgłębszego snu. Wszystko inne kompletnie go nie obchodziło.

– Nie wiem, jaka TA. Co ma niby być w TEJ sobotę?

– Nasze spotkanie klasowe, ciołku!

Skrzywił się.

– Nie, błagam. Nigdzie nie idę. Nie mam czasu. Jakoś mnie usprawiedliwisz.

– Jeszcze czego – prychnęłam. – Nikogo nie zamierzam usprawiedliwiać. Zobaczysz, będzie super. Odprężysz się, zapomnisz na chwilę o pracy. Jutro. Osiemnasta zero zero, Weranda. A jeśli ty nie przyjdiesz do nas, to my przyjdziemy do ciebie. To w końcu jakieś pięć minut wolnym krokiem, więc uważaj.

ROZDZIAŁ 22

Generalnie za weekendami nigdy nie przepadałam, ale to już wiecie. Dzieci i mąż pod jednym dachem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę to nie jest, przynajmniej z mojego punktu widzenia, idealne połączenie. Głównie dlatego, że nie są do siebie przyzwyczajeni. Tomasz przez sobotę i niedzielę puszy pióra, próbując udowodnić, jakim to jest wspaniałym ojcem, co przy jednoczesnym oporze Kai i Kuby daje efekt dwudniowej wojny podjazdowej. Oczywiście, czasami bywa fantastycznie, ale i tak poniedziałek witam z ulgą.

Natomiast tamtego ranka, kiedy się obudziłam i dotarło do mnie, że jest sobota, wpadłam w ekstazę. Wysunęłam się z łóżka ostrożnie, żeby nie budzić Tomka, spłynęłam na dół lekko jak mgiełka, nastawiłam kawę i nucąc pod nosem, zaczęłam przygotowywać sobie śniadanie. Sobie. Tylko sobie. Zmiana, jaka nastąpiła w ciągu ostatnich kilku dni, polegała na tym, że wreszcie MIAŁAM WOLNE. Nie tylko od pracy w klinice, ale przede wszystkim – od stresu, że Tomek w jakiś tajemniczy sposób dowie się, co kombinuję.

Myśl o Tomku przywołała wspomnienie wczorajszego wieczoru i obietnicy, jaką złożyłam Sikorom. Tak, dzisiaj mu powiem. Pozbędę się tego balastu raz na zawsze. Może na początku nie będzie zadowolony, ale kiedy to sobie przemyśli, na pewno zrozumie, jakie to dla mnie ważne. Muszę tylko wybrać odpowiedni moment.

Było południe. Właśnie zaczęłam kroić botwinę na chłodnik, kiedy do kuchni, powłócząc nogami, wszedł Kuba. Rozejrzał się po stole, rozejrzał po blatach, w końcu otworzył zamrażarkę i zaczął w niej grzebać.

- Czego szukasz? – spytałam, choć właściwie wiedziałam, co odpowie.
- Coś bym przekąsił – westchnął.

- Mrożony groszek?
- Wolałbym lody. Dlaczego nie ma żadnych?
- Bo zjedliście.

Poszedł.

Minutę później w kuchni pojawiła się Kaja. Ona przynajmniej nie bawiła się w ściemnianie i poszła prosto do zamrażarki.

– Dlaczego nie ma lodów? – powtórzyła tekst Kuby, ale z dużo większą emocją w głosie.

– Powiedz bratu, który cię przysłał, że jeżeli chce lody, to niech męczy ojca, nie mnie.

Mniej więcej dziesięć minut później pojawił się Tomasz i zajrzał do zamrażarki.

– Nie ma lodów?

Zaraz zwariuję, pomyślałam, a głośno powiedziałam:

– Jedź i kup.

Tomek spojrział na kuchenny zegar.

– A może byśmy się przeszli do Olala?

Kiedy byłam małą, w Podkowie lody kupowało się w cukierni u Koneckiego, tuż obok szkoły. Wyskakiwaliśmy tam na przerwach i ustawiali w długiej, rozchichotanej kolejce po dwa smaki: śmietankowy i truskawkowy. Identyczny asortyment mieli Załęccy w maleńkiej, okrągłej budce tuż przy stacji, tyle że tam kulki wkładało się nie do kubeczków, ale między dwa kwadratowe wafle. Pamiętam, że zjedzenie takiego loda wymagało pewnej wprawy. Trzeba go było lizać naokoło, ale żeby nie wiem jak szybko się to robiło, i tak w końcu po dłoni na rękę spływał słodki, lepki strumyk.

Potem oba punkty zamknięto i przez wiele lat trzeba się było zadowalać lodami z zamrażarek sklepowych. Aż do momentu, kiedy pojawiło się Olala i z miejsca podbiło nasze serca, kubki smakowe i portfele.

Jedynym minusem tego miejsca była jego ograniczona przepustowość. W słoneczne dni od wczesnej wiosny do późnej jesieni przed niewielkim lokalikiem

kłębił się tłum, a teren przed lodziarnią przypominał giełdę rowerową w Słomczynie, bo dziewięćdziesiąt procent klientów przyjeżdżało tu na dwóch kółkach.

Nasz dom od Olala dzieliło w linii prostej jakieś pięćset metrów. Wyszliśmy przed bramę i już mieliśmy ruszyć w lewo, prosto na lody, kiedy poczułam, że nie mam dość siły, żeby razem z rodziną mijać skwer i miejsce, w którym przed tygodniem znalazłam zamordowaną kobietę.

– Przejdźmy się kawałek – zaproponowałam i pociągnęłam całą wycieczkę w prawo, w kierunku Topolowej. Nadkładaliśmy w ten sposób drogi, ale w sumie dlaczego nie?

Dzieci szybko nas zostawiły. Kuba wysforował się do przodu na deskorolce, Kaja została w tyle, zbierając mleczki, z których zapewne na końcu zrobi bukiet i zażąda, żebym go ustawiła na eksponowanym miejscu w salonie. Ptaki śpiewały, a liście drzew zatrzymywały upał, pograżając ulicę w zielonkawym cieniu. Tomek chwycił mnie za rękę, co nie zdarzało się często. Było miło, bardzo miło. I nagle poczułam, że to jest ten moment. Że jeżeli teraz powiem Tomkowi o klinice, przyjmie to spokojnie. A może nawet się ucieszy? Zacisnęłam odrobinę mocniej swoją dłoń na jego dłoni.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęłam cicho.

Chyba za cicho, bo nie dosłyszał.

– Co mówisz? – zapytał.

– Muszę – powtórzyłam i w tym momencie gdzieś niedaleko rozległo się ostre, przenikliwe szczekanie.

Aż podskoczyłam. Od strony Modrzewiowej pędził do nas maleńki, włochaty piesek, zanosząc się wściekłym jazgotem. Jego długa sierść z szelestem zamiatała chodnik, a na głowie kiwała mu się kitka zebrana czerwoną spinką w kształcie kokardki. Zamarłam.

To był Neron, a za nim biegła, falując biustem, jego właścicielka.

Poczułam, że na czoło występują mi kropelki potu. Jeżeli ta kobieta mnie rozpozna...

Na szczęście na razie nie zwracała uwagi na nic poza swoim pupilem.

– Neron! Wracaj! Neronku!

Ale pies nie reagował na wołanie. Zatrzymał się tuż przede mną i zanosząc się ujadaniem, zaczął mnie obskakiwać niczym przerośnięta pchła.

– Cholera, pani go zabierze! – zdenerwował się Tomek, odsuwając Nerona butem.

– Proszę nie kopać mojego psa!

Kobiecie w końcu udało się dopaść yorka. Chwyliła go w objęcia i piesek wreszcie się uspokoił. Właścicielka przytuliła go do obfitej piersi i czule pocałowała w łeppek.

– No już dobrze, wszystko dobrze. Nic się nie stało.

– Nic się nie stało, ale następnym razem niech go pani lepiej pilnuje – Tomek naprawdę był zły. – Mam nadzieję, że jest szczepiony.

– Proszę pana, Neron nigdy się tak nie zachowuje – odpowiedziała z godnością kobieta. – Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło.

No cóż, ja niestety miałam. Kilka bolesnych wkłuć w żyłę i proszę, pies dozgonnie wdzięczny.

– Może jakieś „przepraszam” się należy? Ten pokurcz o mało nie ugryzł mojej żony.

Kobieta zaczęła mi się przyglądać z pewnym zainteresowaniem. Przełknęłam nerwowo ślinę i choć miałam ochotę schować się za najbliższym drzewem, jakoś udało mi się wytrzymać jej spojrzenie.

– Wydaje mi się, że ja skądś panią znam. – Właścicielka Nerona aż zmarszczyła brwi, tak usilnie starała sobie przypomnieć, skąd.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale wyszedł mi jakiś dziwny, krzywy grymas.

– Może ze sklepu? – wydukałam. – Albo z kościoła?

– Nie chodzę do kościoła – poinformowała nas właścicielka Nerona. – Zaraz, moment, wiem!

Zrozumiałam, że to już koniec. Że Tomek zaraz usłyszy od obcej kobiety, że jego żona pracuje jako weterynarz. I zrobiło mi się tak strasznie, strasznie głupio i przykro. Odwróciłam się do Tomka i chwyciłam go za rękę. Jeżeli istniał chociaż cień szansy, żeby uratować sytuację, postanowiłam go wykorzystać.

– Przepraszam! Naprawdę! – głos mi drżał ze wzruszenia. A może ze strachu,

trudno stwierdzić. – Tak idiotycznie wyszło.

Tomasz popatrzył na mnie ze zdziwieniem, ale zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, właścicielka Nerona dokończyła swoją wypowiedź:

– Widziałam panią w tym serialu na TVN-ie. Nie pamiętam tytułu.

Poczułam tak wielką ulgę, że nogi odmówiły mi posłuszeństwa i gdyby nie to, że tuż za mną był płot, usiadłabym na chodniku. Na szczęście w ostatniej chwili oparłam się o siatkę i stałam tak, powoli uspakajając oddech.

– No proszę, nie miałem pojęcia, że robisz karierę. – Tomek puścił do mnie oko. – Moja żona nie grywa w serialach – zwrócił się do kobiety. – Ani w filmach. Ani w ogóle nigdzie. Musiała ją pani z kimś pomylić. Moja żona zajmuje się domem – wypowiedział te słowa z dumą. Poczułam się podle.

– Żegnam – rzucił oschle, objął mnie opiekuńczo ramieniem i pociągnął lekko w stronę Modrzewiowej.

Szliśmy w milczeniu, jednak czułam, że Tomasz jest jeszcze ciągle zirytowany tym, co się wydarzyło.

– Nie rozumiem, po co ludzie trzymają w domu takie coś – odezwał się po chwili z niesmakiem. – Małe, zajadłe, wredne. Wyobrażasz sobie takiego zbadać?

– Można założyć kaganiec – bąknęłam bez przekonania.

– Dziabnąłby cię, zanim byś zdążyła wyjąć kaganiec z szuflady – powiedział Tomek z taką pewnością, jakby większość swojego życia spędzał w gabinecie weterynaryjnym. – Widzisz, jakie to szczęście, że nie pracujesz w zawodzie? – ciągnął. – Przynajmniej nie musisz się na co dzień użerać z tymi zapchlonymi kundlami. I ich właścicielami. Wiem, że już wiele razy o tym rozmawialiśmy, ale nie mogę zrozumieć, jak mogłaś wybrać taki zawód. Kiedy dzieci podrosną, powinnaś się przekwalifikować. Teraz jest mnóstwo różnych kursów. Mogłabyś zostać księgową. Albo couchem.

No tak. To raczej nie był dobry moment na to, żeby mu powiedzieć o moim powrocie do pracy.

Klasowe spotkania po latach to według mnie sport ekstremalny. Najpierw trzeba skojarzyć, kto jest kim, bo upływ czasu dokonuje czasami zmian zaskakujących. Najprzystojniejszy chłopak w klasie okazuje się łysiejącym grubasem, dziewczyna, która miała największe powodzenie, w dalszym ciągu przoduje, tyle że w ilości botoksu w twarzy, a grubaska w okularach chodzi teraz w szklach kontaktowych, ma figurę modelki i mogłaby występować w reklamie bikini. Więc kiedy już ustalimy personalia, wyciągając z otchłani pamięci imiona i łącząc je z twarzami, trzeba się przygotować na kolejny etap. Bo po powitaniu i wymienieniu nieśmiertelnych tekstów: Boże, nic się nie zmieniłeś! Fantastycznie wyglądasz! Ależ ty się trzymasz!, następuje taniec obowiązkowy pod tytułem: Co u ciebie słysząc? A słysząc z reguły świetnie. Komuś kariera korporacyjna rozwija się z prędkością światła, ktoś inny zdobył kolejny stopień naukowy, jedenwłaśnie wrócił z wakacji w Egipcie, a drugi z podróży służbowej do Londynu. Kolejna żona, kolejny mąż, nowy dom, własna firma, uzdolnione dzieci i zdjęcia rasowego psa w komórce, którą wszyscy podają sobie dookoła stołu, kiwając z uznaniem głową. Potem parę pytań o nieobecnych, zadawanych zatroskanym głosem, bo wiadomo, jeżeli nie przyjechał, to znaczy, że coś u niego nie tak, na koniec obowiązkowa wymiana telefonów i mejli, cmok, cmok, obiecaj, że zadzwonisz! Będziemy w kontakcie! Do zobaczenia za rok! I ulga, że wreszcie się skończyło. Naprawdę, trzeba mieć kondycję, żeby wyjść z tego bez szwanku.

– Madziu! Tutaj, tutaj! Trzymam ci miejsce!

Kobieta, która do mnie machała, wyglądała zupełnie tak, jak wiele lat temu mama Doroty, mojej koleżanki z ławki. Siedziała na samym końcu długiego stołu, zarezerwowanego na nasze spotkanie. Zaczęłam się więc do niej przepychać, witając po drodze z resztą klasy, co trochę mi zajęło.

Dorotę, bo to oczywiście była ona, spotkało to samo co większość z nas – po prostu się postarzała. Zresztą zapewne Dorota myślała teraz to samo o mnie. Może dlatego bez problemu udało nam się przejść do porządku dziennego nad zmarszczkami i wiotką skórą wokół oczu, i zaczęłyśmy gadać o życiu. A to już było dużo miłsze

doświadczenie. Okazało się, że ma dwoje dzieci, tak jak ja, i to w podobnym wieku, więc zagłębiłyśmy się w dyskusji na temat edukacji, psychologii i cen rowerów górskich, bo obaj nasi chłopcy powoli wyrastali z poprzednich modeli.

Właśnie zaczęłyśmy omawiać plany na wakacje, kiedy do sali wszedł Sikora. Wyglądał bardzo źle. Miał szarą cerę i fioletowe cienie pod oczami, oraz, co zauważyłam później, przekrwione białka. W dodatku śmierdział papierosami, naprawdę świetna stylówka na klasowe spotkanie rocznicowe.

Znowu zaczęły się uściski i rubaszne klepanie po plecach, ale muszę przyznać, że komplementów typu: wyglądasz młodziej niż dziesięć lat temu, nikt mu nie prawił. W końcu dotarł do nas i klapnął obok mnie na krzesło.

– I jak jest? – zapytał.

– Cudownie. Dorota chce kupić Maćkowi crossa.

– Aha. – Sikora uśmiechnął się do Doroty. – Tylko oznakujcie od razu. Gdyby ukradli, łatwiej będzie znaleźć.

– A propos oznakujcie – przypomniało mi się, że poprzedniego dnia nie skończyliśmy rozmowy. – Miałeś mi opowiedzieć o narzeczonym.

– Ty chyba masz coś z głową. Przecież sama mi tu kazałaś przyjść, odprężyć się, nie myśleć o śledztwie. – stwierdził spokojnie Sikora i przysunął sobie miskę z sałatką z ciecioriki. – Dobrze to?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, nie jadłam.

– Ja jadłam. Dobrze – Dorotka pomachała Sikorze zza moich pleców.

– Jestem bez obiadu – usprawiedliwił się Jacek, przerzucając na swój talerz połowę zawartości salaterki.

– Obiecałeś! – przypomniałam mu, choć przecież tak naprawdę nic mi nie obiecywał.

– Nie powinno się mówić z pełnymi ustami – oświadczył i włożył sobie do ust pół łyżki sałatki.

Poczekaliśmy, aż przełknie, i zaczęłam z innej beczki.

– Żona Szeligi mówiła, że ta awantura na przyjęciu była z powodu zazdrości.

Może warto by było przepytac sąsiadów tego narzeczonego? No wiesz, jak wygladała ich relacja. Bo jezeli wcześniej bywał agresywny...

– Ktoś bije żonę? – zainteresowała się Dorota.

Sikora bez słowa wstał, wziął talerz i szklankę z colą i przez otwarte szeroko drzwi tarasowe wyszedł na zewnątrz, do kawiarnianego ogródka. Wybiegłam za nim.

– Nie możesz mówić takich rzeczy przy ludziach. – Był naprawdę zły. – To nie jest zabawa.

– Przepraszam. Już nie będę.

– Nie obiecuj czegoś, czego nie jesteś w stanie dotrzymać – warknął. – I przestań mi mówić, jak mam prowadzić śledztwo, bo mnie szlag normalnie trafi. Nic nie wiesz, a się mądrzysz.

Poczułam się urażona.

– Ale co źle powiedziałam?

– Jezu!

Myślałam, że rzuci we mnie szklanką. Na szczęście jakoś się opanował. Niedaleko nas właśnie zwolnił się stolik. Sikora opadł ciężko na krzesło i wyciągnął przed siebie nogi. Przycupnęłam naprzeciwko niego.

– Nie wściekaj się – powiedziałam pojednawczo. – Nie powiem ani słowa więcej. Naprawdę.

Machnął ręką lekceważąco.

– Już ci wierzę. Nieważne. Sąsiadów przesłuchaliśmy wczoraj. Twierdzą, że narzeczonego jest gwałtowny i porywczy. Awantury bywały często, i to głównie on krzyczał. Jeśli chodzi o przemoc fizyczną, nikt jednoznacznie nie potrafi potwierdzić. Żona Szeligi twierdzi, że podczas kłótni na przyjęciu wyglądał na wyprowadzonego z równowagi, i on to w sumie potwierdza. Mówi, że zobaczył Joannę, jak wychodzi z domu z obcym facetem. Rozmawiali ze sobą, a tamten ją objął ramieniem. Dla Cieślaka to było jednoznaczne z tym, że się bzykali, więc krew go zalała i rozpętał tę całą aferę.

– A jak się tłumaczy z faktu, że nie zgłosił jej zaginięcia?

– Przecież już ci mówiłem. Miała swoje mieszkanie. Chciała je nawet wynająć, ale

ciągle nie mieli czasu, żeby przenieść rzeczy i jakoś je uporządkować. I czasami, kiedy się między nimi nie układało, chodziła tam nocować. Był pewien, że teraz zrobiła to samo.

– Nie zaniepokoiło go, że nie odbiera telefonu?

– W ogóle do niej nie dzwonił, jak twierdzi. Czekał, żeby to ona się odezwała pierwsza. Taki urażony twardziel, rozumiesz.

Oczywiście, że rozumiałam. Podobny egzemplarz miałam w domu.

– Co zresztą się nie zgadza, bo dwa ostatnie połączenia na komórkę Maj były właśnie z telefonu narzeczonego. Jeden zaraz po kłótni, drugi – kilka minut przed śmiercią.

– No to nie wygląda dla niego za dobrze – przyznałam.

– A jeżeli do tego dowiemy się, że w związku była przemoc fizyczna, będzie po nim. W poniedziałek chcę przepytąć jej koleżanki z pracy. Jeżeli coś zaszło, mogą wiedzieć.

– Gdzie pracowała?

– W salonie fryzjerskim w Jankach.

– To blisko nas.

Przez skojarzenie z okolicą moje myśli pobiegły znowu w kierunku, który był dla mnie tak naprawdę najistotniejszy.

– Czy zapytałeś może tego człowieka o wisiołek?

Sikora podniósł szklankę z colą do ust i opróżnił ją jednym łykiem.

– Zapytałem. Nie wie, skąd go miała. Wcześniej go u niej nie widział. Założyła go na tę imprezę pierwszy raz, on jej nawet zwrócił uwagę, że nie pasuje do sukienki, ale go ofuknęła. Powiedziała podobno, że to ma być niespodzianka. W ogóle była bardzo podekscytowana tym wyjściem. Narzeczoney twierdzi, że ciągle o nim mówiła. Tym bardziej nie mogłem zrozumieć, dlaczego założyła na szyję takie barachło.

Poczułam zawód. Byłam pewna, że pojawienie się wisiora coś znaczy. Coś zmieni. Że nic się nie dzieje bez przyczyny. Czułam się tak, jakby dentysta obiecał, że wyrwie mi bolący ząb, chwycił go obcęgi, poruszył kilka razy w tę i w tamtą, i po namyśle stwierdził, że nie potrafi go usunąć. Teraz bolało dużo bardziej niż przedtem.

– A wy co tak tutaj intymnie? – rozległ się za mną znajomy głos.

Jednocześnie o moje ramiona oparły się szczupłe, opalone dłonie. Na długich paznokciach metalicznie połyskiwał błękitny lakier. To była Iwonka Woźniak, ksywa Pusia, najjaśniej świecąca gwiazda dzisiejszej imprezy. Pusia, w przeciwieństwie do nas, nie postarzała się wcale. Zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że wygląda młodziej niż na maturze. Co prawda usta miała trochę zbyt pełne, czoło nieruchome i w ogóle dziabniętą mimikę, ale na tle całej dość jednak przeciętnej klasy czwartej A prezentowała się zabójczo.

– Jacuś, wracaj do nas – zamruczała. – Podobno prowadzisz śledztwo w sprawie zabójstwa. Musisz nam koniecznie opowiedzieć. Ze wszystkimi pikantnymi szczegółikami – roześmiała się perliście. – Bo przecież wiadomo, że jak morderstwo, to chodzi o seks albo pieniądze. Albo o jedno i drugie.

Sikora patrzył na nią, zafascynowany.

– Iwonka – westchnął. – Jak tak na ciebie patrzę, to wiesz co? Normalnie chciałbym być w twoim wieku.

ROZDZIAŁ 23

Całą niedzielę czułam narastający stres z powodu zbliżającego się poniedziałku. Kolejny dzień w klinice i kolejny dzień oszukiwania Tomka. Przyznaję, coraz bardziej mnie to gryzło. Poprzedniego dnia stanęłam oko w oko z katastrofą a to, że nie nadeszła, oznaczało tylko przełożenie terminu egzekucji, a nie wyrok uniewinniający.

W południe przyszedł esemes od Elki następującej treści: „Masz mu powiedzieć! Natychmiast!”, który zamiast mnie zmobilizować, zestresował jeszcze bardziej.

Rozładowanie sytuacji nastąpiło zupełnie niespodziewanie około szesnastej, kiedy przyszedł kolejny esemes, tym razem od Rudnickiego: „Proszę do mnie zadzwonić o dowolnej porze”. Jak to dobrze, że pamięta o zasadach konspiracji, pomyślałam, biorąc komórkę i idąc z nią w najdalszy kąt ogrodu.

– Panie doktorze, to ja – zameldowałam się. – Prosił pan o telefon.

– Tak, tak, pani Magdaleno, jest taka sprawa. Na jutro zapowiedzieli wyłączenie prądu.

Westchnęłam. Planowe wyłączenia prądu to było dla mnie coś zupełnie niebywałego. Kilka razy w roku na określonym terenie wyłączano elektryczność. Nie, nie na godzinę. Na osiem godzin. Z mojego punktu widzenia oznaczało to tylko brak herbaty i kawy oraz niemożność wykonywania wszystkich tych domowych czynności, które wymagały użycia prądu. Z punktu widzenia kliniki weterynaryjnej sytuacja nabierała wymiaru klęski.

– Bez światła działać nie możemy, więc siłą rzeczy ma pani wolne. Widzimy się we wtorek.

Podziękowałam i rozłączyłam się w poczuciu, że dostałam w prezencie jeden dzień życia. I że warto go jakoś sensownie wykorzystać. Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, dotyczyła sprzątnięcia, druga gotowania obiadów na pięć dni,

a trzecia zresetowała poprzednie, bo sobie uświadomiłam, że jeżeli nie będzie światła w klinice, nie będzie go też na pewno u nas, bo to ten sam rejon energetyczny. Czyli w domu nie zdziałam nic. Jediną rozsądną alternatywą wydały mi się zakupy, więc w poniedziałek rano, po odwiezieniu dzieci do szkoły, postanowiłam wyruszyć do Janek.

Napakowanie wózka po brzegi zajęło mi prawie godzinę. Następnie odstałam swoje w kolejce do kasy, wyłożyłam zakupy na taśmę, zapłaciłam, a potem wszystko znowu umieściłam w wózku. I mimo że nie był to maraton, poczułam się prawie tak zmęczona, jakbym go przebiegła.

Ruszyłam w kierunku wyjścia, z trudem pchając przed sobą wózek i jednocześnie próbując przypomnieć sobie, czego nie kupiłam. Po drodze minęłam optyka, sklep papierniczy, salon fryzjerski... Salon fryzjerski?

Gwałtownie zatrzymałam wózek i cofnęłam się, żeby zajrzeć do środka przez przeszkloną witrynę. Zobaczyłam fotele, lustra, ogromne fotografie fryzur oraz – żadnego klienta.

Z trudem manewrując, zawróciłam i władowałam się downętrza salonu.

Z zaplecza natychmiast wyszła szczupła dziewczyna w czarnym T-shircie i czarnych dżinsach. Do koszulki miała przypiętą plastikową tabliczkę z imieniem Ada. Choć na jej twarzy gościł zachęcający firmowy uśmiech, pod nim wydała mi się jakaś smutna i nieswoja.

– Dzień dobry. Włosy czy paznokcie?

Tym pytaniem odrobinę zbiła mnie z tropu, bo i jedno, i drugie miałam w stanie fatalnym.

– Włosy – zdecydowałam.

– W takim razie zapraszam – wskazała jeden z foteli.

Usiadłam przed obramowanym świetlówkami lustrem i ściągnęłam gumkę z włosów. To, co zobaczyłam, pozostawiało wiele do życzenia – nijaki kolor, nijaka długość. Fryzjerka musiała być podobnego zdania, bo mina, z jaką mi się przyglądała,

nie wyrażała entuzjazmu.

– Co robimy? Strzyżenie? Koloryzacja?

– Strzyżenie.

– Ile skracamy? – zapytała, biorąc w dwa palce kosmyk, opadający mi z boku twarzy.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Jak by mi pani radziła? Ada przyglądała mi się przez dłuższą chwilę.

– Pani włosy są gęste, ale cienkie. Gdyby je odpowiednio wycieniować...

– Czyli?

– Na krótko. Zdecydowanie na krótko – oświadczyła stanowczo. – Będzie pani wyglądać fantastycznie. To co, tniemy?

Posłałam sobie w lustrze spanikowane spojrzenie. Całe życie miałam włosy do ramion i nigdy w żadnym, nawet najdalszym zakątku mojego mózgu nie błysnęła mi myśl o zmianie. Nosłam je albo rozpuszczone, albo ściągnięte w kucyk, i taka różnorodność w zupełności mi wystarczała. Pomysł ścięcia ich na krótko wydał mi się drastyczny i absurdalny, ale jednocześnie szalony, i w tym szaleństwie w jakiś masochistyczny sposób pociągający. Elka nie wahałaby się anichwili.

Więc nabrałam powietrza i wypowiedziałam to słowo:

– Tniemy.

Chwilę później, już z umytą głową wróciłam na fotel. Ada zawinęła mnie w wielki, foliowy śliniak tak mocno, że prawie nie mogłam oddychać, po czym wzięła do ręki nożyczki. Srebrne, wąskie ostrza skrzyżowały się nad moją głową i na podłogę spadł pierwszy pukiel włosów, po chwili drugi i kolejne. Nagle poczułam dziwną lekkość i satysfakcję. Przez chwilę zastanawiałam się, z czym może być związana, i przypomniało mi się, że kiedy zadzwoniłam do Rudnickiego i powiedziałam mu, że chciałabym u niego pracować, przez okamgnienie czułam się podobnie: autonomicznie, silnie, decyzyjnie. Wtedy ta lekkość znikła szybciej, niż się pojawiła, dzisiaj utrzymywała się dłużej i była jakby bardziej uskrzydlająca, a moje samopoczucie skoczyło o kilka punktów w górę, choć przecież nie po to tu przyszedłam.

– Nie planowałam dzisiaj fryzjera – zaczęłam zgodnie z prawdą. – Ale

zobaczyłam, że u państwa pusto, więc pomyślałam, że skorzystam. Najczęściej macie spory tłok.

– Rzeczywiście. Zwłaszcza po południu. Wie pani, kwestia lokalizacji. Klientki wracają z pracy z Warszawy, zaglądają po zakupy i przy okazji do nas.

Zastanawiałam się, jak poprowadzić dalej rozmowę. Mogłam albo uderzyć z grubej rury (słyszałam, że pani koleżanka z pracy została zamordowana), albo trochę delikatniej (tutaj pracowała u państwa taka wysoka, szczupła blondynka. Jakoś jej ostatnio nie widuję). Wybrałam jednak trzecią wersję, najbardziej naokoło.

– Ech, te dojazdy – westchnęłam teatralnie. – Większość moich koleżanek pół dnia traci na stanie w korkach. Ja mam szczęście, że mieszkam w Podkowie i pracuję w Podkowie.

Ada przerwała strzyżenie.

– Pani jest z Podkowy? – zapytała.

– No właśnie. Cudowne miejsce, chociaż ostatnio wydarzyła się straszna tragedia. Zamordowano kobietę. Szok.

Moja wypowiedź była naciągana i bez finezji, a jednak odniosła pożądany skutek.

– Ta kobieta, Joanna... – głos Ady załamał się – pracowała tutaj, w naszym salonie.

– Och. Tak mi przykro. – To akurat zabrzmiało szczerze, bo było szczere. – Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Dziękuję. To była cudowna osoba. I wcale nie dlatego tak mówię, że nie żyje. Wesoła taka. – Nożyczki znowu poszły w ruch, ale fryzjerka nie przestawała mówić. Czułam, że ta tragedia mocno ją dotknęła i mówienie o niej sprawia jej w jakimś sensie ulgę. – Ja tu jestem nowa, pracuję od kwietnia, Joasia się mną zajęła, wprowadzała mnie we wszystko. Bardzo ją polubiłam. Zresztą wszyscy ją lubili, taka osoba, wie pani. Klientki się do niej ustawiały w kolejce.

– Słyszałam, że miała narzeczonego.

– Miała. Ale on to już nie wiem, jak się pozbiera. Kochał ją jak wariat.

Tym stwierdzeniem mnie zaskoczyła.

– Kochał jak wariat? Przecież policja go aresztowała. Jest głównym podejrzanym.

– Rafał? Też pomysł – parsknęła fryzjerka. – Skąd oni takie bzdury biorą? On ją na rękach nosił. Na pewno by jej nie zrobił krzywdy, na pewno.

– Podobno tuż przed morderstwem strasznie się pokłócili.

Wiedziałam, że zdradzam szczegóły śledztwa, ale cel uświęca środki. Na szczęście dziewczyny nie zastanowiło, skąd biorę takie informacje.

– Wie pani, oni to się bez przerwy kłócili. Bez przerwy. Ale zaraz potem godzili się i znowu było jak w bajce. Za tydzień mieli jechać do Paryża. Joasia była pewna, że Rafał ją tam poprosi o rękę. Na wieży Eiffla, wie pani. Takie to smutne.

Ada odłożyła nożyczki i wyjęła z szuflady suszarkę, a ja zastanawiałam się, jak wykonać najważniejszą część planu, czyli zapytać o wisiołek. Niestety, nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Musiałam iść na całość.

– Bardzo smutne – przyznałam. – A wie pani, że byłam ostatnią osobą, która Joannę widziała żywą?

Fryzjerka posłała mi w lustrze zaskoczone spojrzenie.

– Naprawdę?!

– Pytała mnie o drogę na dworzec. Miała na szyi taki niebieski wisiołek w kształcie litery W. Kojarzy pani może?

Widać było, że dziewczyna nad czymś się zastanawia.

– To dziwne – powiedziała powoli. – Wisiołek w kształcie W? Przecież Joanna powinna mieć J.

Zamurowało mnie. Otworzyłam usta, próbując coś powiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

Jak ja mogłam na to nie wpaść? Jak mogłam nie zauważyć najprostszej rzeczy, że Joanna nosiła na szyję literę, która nie jest jej inicjałem? Jednocześnie zdziwienie fryzjerki świadczyło o tym, że nigdy nie przychodziła w tym wisioruku do pracy. A jeżeli narzeczony również go nie kojarzył, musiała włożyć go specjalnie na przyjęcie u Szeligi. Dlaczego?!

W tym momencie drzwi do salonu otworzyły się i weszła młoda kobieta w sportowych sandałach i dżinsowej sukience.

– Cześć Ada, dzień dobry pani – przywitała się i poszła prosto na zaplecze.

Ada włączyła suszarkę i bez słowa zaczęła modelować mi włosy. Nastrój do zwierzeń gdzieś się ulotnił. Przyglądałam się w lustrze, jak moja nowa fryzura nabiera objętości i kształtu.

Dziewczyna, która przed chwilą weszła, wróciła przebrana w identyczny czarny strój, jaki miała na sobie Ada.

– Zamówiłam wiązanekę. Za dwieście – powiedziała, sprawdzając jednocześnie coś w terminarzu leżącym na ladzie recepcji.

– Dzięki! Po ile się składamy?

– Nie wiem. Zobaczymy, ile osób się zrzuci. Cholera, mam na jutro trzy klientki zapisane, nie pojedę – westchnęła. – Ty byś nie mogła?

– Do Lublina? Trochę daleko. O której pogrzeb?

– O dwunastej. Cmentarz na Lipowej, to gdzieś w centrum miasta.

Pogrzeb Joanny. Jakie to smutne wszystko. Przed moimi oczami pojawił się obraz ostatniego pogrzebu, w którym uczestniczyłam. Zmarłym był bardzo daleki kuzyn ojca, z którym prawie nie utrzymywaliśmy kontaktów. Przypomniałam sobie tych wszystkich ubranych na ciemno ludzi i smutne, obce twarze. Wujek nie był zbyt towarzyską osobą, a jednak w kościele zebrało się sporo ludzi – sąsiedzi, krewni, znajomi, współpracownicy. Tak działa ciekawość śmierci. I nagle w mojej głowie pojawiła się mglista myśl, której się przestraszyłam.

– Bez szans – po chwili namysłu odpowiedziała koleżance Ada. – Rano mam wizytę u ortodonta, zakładają mi aparat. Nie mogę tego przełożyć, przykro mi.

– Och, to fatalnie! – zmartwiła się dziewczyna. – Wiolka chora, Mary w ósmym miesiącu przecież tam nie wyślemy, tylko Filip został. Zaraz go sprawdzę.

W tym czasie Ada skończyła suszenie i wzięła do ręki lakier.

– Proszę zamknąć oczy – poleciła, spryskując mnie pachnącą, kleistą chmurą.

– I jak?

Wręczyła mi małe lusterko i obróciła fotel tyłem do dużego lustra tak, żebym mogła zobaczyć tył głowy.

– Niemożliwe – wyrwało mi się.

Krótką, prawie chłopięcą fryzurą wyglądała lekko, ciekawie i atrakcyjnie, jednym

słowem – kompletnie obco. Nawet kolor włosów przy tym ostrzyżeniu wydał mi się głębszy i bardziej intensywny.

– Podoba się?

– Bardzo.

Ciągle zezując na siebie w lustrze, sięgnęłam po torbę i poszłam zapłacić. Podczas gdy Ada wypisywała mi rachunek, druga fryzjerka rozmawiała z kimś cicho przez telefon.

Podaliśmy Adzie kartę.

– Filip też nie może – druga fryzjerka skończyła rozmowę i podeszła do nas. – I co my teraz zrobimy? Mam odwołać wiązanę?

Potrząsnęłam krótkimi włosami. Niesamowite uczucie. A potem powiedziałam:

– Ja się wybieram na pogrzeb. Jeżeli panie chcą, mogę zabrać kwiaty od was.

ROZDZIAŁ 24

Wracalam do domu w przedziwnym stanie jednoczesnego podniecenia i przerazenia. Ada i jej kolezanka moja oferta przewiezienia wiazanki przyjely z entuzjazmem i wdziecznoscia. Poszly ze mna do kwiaciarni w pasazu, gdzie odebrałyśmy wiazanke. Obiecalam, ze tak uloze szarfe, zeby dobrze bylo widać napis, od kogo sa kwiaty. Chialy mi sie dorzucac do benzyny, ale odmowilam. Pozegnaly sie ze mna zyczeniami dobrej drogi i zapewnieniami, ze odtad bede ich najtroskliwiej obslugiwana klientka. I wszystko byloby super, gdyby nie fakt, ze wyprawa do Lublina, ktorej jeszcze dziesiec minut wczesniej nie mialam w planie, odrobinę mnie logistycznie przerastala.

– Co mi strzelilo do glowy? – zaczęłam jęczeć na głos, kiedy tylko wsiadłam do auta. – Co ja sobie wyobrażalam? Co powiem Tomkowi? Co powiem Rudnickiemu? Jak zorganizuję dzieciaki?

Ale choć usilnie starałam się popaść w histerię, jakoś mi się to nie udało. A kiedy zobaczyłam we wstecznym lusterku swoje nowe, krótkie włosy, poczułam nagły przypływ energii i pomyślałam, że przecież nie wyjeżdżam na miesiąc, tylko na jeden dzień i istnieje pewna nadzieja, że uda się to wszystko jakoś opanować.

Wyjeżdżając tyłem z parkingu, o mało nie walnęłam w bok czarnego forda mondeo. TEGO forda. Siedzący za kierownicą Sikora pogroził mi palcem z groźną miną, a ja dopiero po chwili się zorientowałam, że mnie nie poznał. Cofnęłam się, odczekałam, aż odjedzie i ostrożnie wysunęłam się spomiędzy dwóch dostawczych volkswagenów. Na szczęście mój przyjaciel zaparkował spory kawałek dalej, więc nawet gdyby znowu mnie zobaczył, raczej nie powinien się zorientować, że ja to ja. Pomyślałam, że trochę się zdziwi, wysłuchując od koleżanek Joanny pochwalnych peanów na cześć narzeczonego, no ale to już naprawdę nie była moja sprawa.

Zanim wyjechałam na szosę, zadzwoniłam jeszcze do mojej matki.

Jak na nią pora była absolutnie nie rokująca, bo najczęściej od dziewiątej do piętnastej pisze, ale o dziwo, odebrała.

– Co słyhać, kochanie? – zapytała dziwnie szczebiotliwym głosem.

– Mamo, wiem, że byłaś u nas niedawno – zaczęłam ostrożnie, spodziewając się klasycznego zestawu jęków i protestów – ale tak się składa, że jutro muszę na cały dzień wyjechać i chciałam cię prosić, żebyś posiedziała z dziećmi.

– Oczywiście, bardzo chętnie – usłyszałam i z wrażenia o mało nie zjechałam na lewy pas, prosto pod tira. – Wiesz, że zawsze z radością do was wpadam. O której mam być?

– Na drugą. Odbierzesz Kaję i wróćcie na piechotę do domu, Kuba sam sobie poradzi. Zostawię wam jakiś obiad.

– Obiadem sobie głowy nie zawracaj. Przyjadę trochę wcześniej i sama im ugotuję. Wiesz, jak uwielbiam ich karmić.

Boże, co ona wygaduje? Natychmiast przypomniał mi się epizod sprzed kilku tygodni, kiedy musiałam wyjechać do Warszawy coś załatwić, i zostawiłam babcię z dokładną instrukcją kulinarną obsługi dzieci. Kiedy wróciłam, zastałam zjedzone leczo, ale nietknięty ryż, który do tego leczo ugotowałam, choć przecież na kartce było napisane: „daj im z ryżem, ryż na sitku”.

– Zjedli z chlebem? – spytałam podejrzliwie.

– Nie, z kaszą – odpowiedziała spokojnie moja mama. – Była w lodówce.

Owszem, i to bardzo „była”. Stała tam nawet sama nie wiedziałam od kiedy i jej przeznaczenie z obiadowego kilka dni wcześniej zmieniło się na „dla psa”.

Tak właśnie wyglądało karmienie moich dzieci przez babcię.

– Dobrze – zgodziłam się, wchodząc w tę dziwną konwencję. – Ja nie wiem, o której wrócę, ale Tomasz powinien być w domu koło szóstej.

– Nie martw się, gołąbeczko – zaćwierkała. – Wszystkim się zajmę.

Ten dziwny ton oraz użycie jeszcze bardziej dziwaczного słowa nasunęło mi pewne podejrzenie.

– Masz gości? – zapytałam czujnie.

– Pan Władysław wpadł na moment. Pijemy kawę.

No i wszystko jasne. Pan Władysław, szef wydawnictwa, które wydawało jej książki. Bardziej biznesmen niż intelektualista, rozwodnik po sześćdziesiątce z dwójką dorosłych dzieci, domem w Wesołej i łódką na Mazurach. Sympatyczny, choć jak na mój gust trochę za bardzo pretensjonalny. Ale matką zainteresowany na serio.

Nie poruszałyśmy z nią zbyt często tematu rozwodu, choć przecież kiedy się rozstawali z ojcem, nie byłam już dzieckiem i trochę o życiu wiedziałam. Dla wszystkich zainteresowanych, jak również dla tych teoretycznie niezainteresowanych, czyli sąsiadów i znajomych, decyzja matki była słuszna i jedyna. Opinia babiarza, żeby nie powiedzieć gorzej, ciągnęła się bowiem za moim ojcem od lat i wszyscy zastanawiali się, kiedy moja matka wreszcie powie dość. Na szczęście jednoznacznych okoliczności, w których kolejny romans ojca wyszedł na jaw, nie mogła już zlekceważyć. Recepcjonistka została wyrzucona z pracy, ojciec z domu, a moja mama wystąpiła o rozwód. I choć wydawałoby się, że jako zdradzona żona powinna cierpieć i łkać, właściwie wydawała się tą sytuacją zachwycona.

– Powinnam to była zrobić dużo wcześniej – wyznała mi kiedyś. – Ale twój ojciec był na swój sposób uroczy, no i nie chciałam, żebyś miała traumę. Poza tym człowiek jest taki statyczny, boi się zmian, boi się życia. Nie wolno. Trzeba mieć odwagę. Zmiany to nic złego. Pamiętaj o tym.

Niestety chyba się w nią nie wrodziłam w tej kwestii, bo na sam dźwięk słowa „zmiana” reagowałam gęsią skórką. Nawet jeżeli dotyczyła tak przejściowej sytuacji jak obcięcie włosów. Natomiast moja matka była przykładem, jak fantastycznie może układać się życie, jeżeli się go nie unika. Zmieniła mieszkanie, zmieniła zawód, znalazła nowych przyjaciół, ba, nawet nowego mężczyznę.

– Mamo, to ja wam nie przeszkadzam w takim razie – pożegnałam się szybko.

– Pa! Jutro rano się zdzwaniamy! – co zabrzmiało tak naturalnie, jakbyśmy codziennie odbywały długie i radosne pogaduchy przez telefon.

Rozłączyłam się z pewną ulgą, a potem zaczęłam się zastanawiać, co o pomysłe wyjazdu do Lublina powie Tomasz.

– Mamuś! Co ty zrobiłaś?!

Według standardów Kai u kobiety najważniejszą cechą płciową były długie włosy. Moja poprzednia długość co prawda też jej nie satysfakcjonowała, ale przynajmniej dało się je zapleść w warkoczyk. Szok, jaki przeżyła na mój widok, musiał być dla mojego dziecka wyjątkowo bolesny.

– Obcięłam się.

Kaja przez chwilę myślała nad odpowiedzią, w końcu wyrzuciła z siebie dramatyczne:

– Jak mogłaś!

A potem przez całą drogę do domu nie odezwała się już ani słowem.

Za to Kuba na moją nową fryzurę zareagował z entuzjazmem.

– Super mamu wyglądasz! – oświadczył, obchodząc mnie naokoło. – Czy ty nie jesteś krócej ostrzyżona ode mnie?

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w lustrze, w końcu moja mniejsza kopia klepnęła mnie w plecy.

– Zresztą wszystko jedno. Jest czad! Ale się teraz będą wszyscy za tobą oglądać!

Myślę, że Kuba miał na myśli zdziwionych sąsiadów, ale wyszło jak wyszło i nagle dotarło do mnie po raz pierwszy tego dnia, że w krótkich włosach czuję się paradoksalnie dużo bardziej kobieco niż w tym, co miałam na głowie jeszcze sześć godzin temu.

– Dzięki, synu!

Przybiliśmy sobie piątki, a potem poszłam załatwić dwa ważne telefony. Oba miały dość zaskakujący przebieg.

Na pierwszy ogień poszedł Tomasz. Płacząc się i jękając, opowiedziałam mu o pogrzebie Joanny Maj i o tym, że chciałabym pojechać do Lublina i towarzyszyć jej w ostatniej drodze. Tomasz, ku mojemu zdziwieniu, nie tylko nie zaprotestował, ale wręcz okazał coś, co można było nazwać wsparciem.

– Myślę, że to bardzo piękny gest z twojej strony – stwierdził. – Pożegnanie symboliczne, a jednocześnie realne. W końcu byłaś ostatnią osobą, która ją widziała. Jedź koniecznie.

Drugi telefon odbyłam do Rudnickiego, który również nie robił trudności.

– Oczywiście, pani Magdo. Proszę jechać. Pogrzeby bliskich to nasz obowiązek.

Co prawda określenie Joanny bliską mi osobą było odrobinę na wyrost, ale uznałam, że nie będę wprowadzać go w zawilości mojej relacji ze zmarłą.

Tak naprawdę rzeczywiście czułam z nią więź, głęboką i specyficzną. Nasze losy splotły się w sposób dramatyczny i chciałam to uszanować. Uczestnictwo w pogrzebie było tego szacunku najlepszym wyrazem. Jednak ani mój mąż, ani mój szef nie mieli pojęcia, co tak naprawdę stało za decyzją tego wyjazdu.

Za to Sikora, który znał mnie prawie trzydzieści lat, zorientował się natychmiast.

– Magda, czyś ty kompletnie zwariowała?

– Jacuś? Jak miło.

– Skąd ci przyszło do głowy, żeby się pakować do tego całego salonu i wypytywać o Maj?!

– Myślałam, że się nie kapniesz – przyznałam szczerze.

– Musiałbym nie mieć mózgu. Ile jeszcze kobiet w Podkowie Leśnej znalazło zwłoki? Boże, jak ty chlapiesz tym ozorem.

– Nie wiedziałam, że ci powtórzą.

– Daj spokój, to fryzjerki! One są jeszcze mniej dyskretne niż ty, o ile to w ogóle możliwe! Powiedziały mi też, że ta miła pani, która się u nich dzisiaj strzygła, wybiera się na pogrzeb Joanny Maj do Lublina i obiecała zabrać ich wiązanekę.

– Straszne paple.

– Kobieto! – jęknął. – Nie o to mi chodzi, że się dowiedziałem, ale o to, że jedziesz do Lublina! Odbiło ci? Mało masz swoich spraw? Naprawdę chce ci się tłuc przez pół Polski na pogrzeb kogoś, kogo widziałas na oczy raz w życiu?

Zamyśliłam się.

– Tak. Chce mi się – odpowiedziałam po chwili. – W ogóle myślę, że ty też powinieneś pojechać.

Sikora parsknął śmiechem.

– I jeszcze kto? Pastuszko? Wiem! Najlepiej zorganizuję wycieczkę busem dla całej komendy!

– O co ci chodzi?

– O to, że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam czasu na zbyciu. Pracuję, wyobraź sobie.

Ciekawe, mówił do mnie tak, jakbym ja nie pracowała. Ale ten fakt do świadomości Sikory długo jeszcze nie dotrze.

– Na pogrzeb mógłbyś jechać właśnie w ramach obowiązków służbowych – wyjaśniłam mu. – W końcu przestępcy zawsze wracają na miejsce przestępstwa.

– Zgadza się. Toteż wolę posiedzieć na skwerku w Podkowie. Bo to jest miejsce przestępstwa, przypomnę ci, a nie cmentarz w Lublinie.

Zdaje się, użyłam nie tej sentencji, co trzeba.

– Ale na filmach amerykańskich często jest tak, że oficer prowadzący śledztwo przychodzi na pogrzeb i tam też jest morderca, i on go łapie. Albo przynajmniej zaczyna śledzić.

– Absolutnie masz rację. W filmach amerykańskich tak. – Wolałam przyjąć wersję, że się ze mną nareszcie zgadza niż że się ze mnie nabija. – A poza tym nie rozumiesz jednego. Morderca nie może być na pogrzebie, bo siedzi w areszcie w Grodzisku. Cała twoja teoria idzie się bujać. Ja już nie szukam sprawcy, tylko dowodów, że to on.

– No to może powinieneś przesłuchać jej rodziców?

– Zostali już dawno przesłuchani. A poza tym gratuluję pomysłu, żeby przesłuchiwać rodziców ofiary w dniu pogrzebu. Brawo za empatię.

– Dobrze, skoro szukasz pretekstu, żeby się nie ruszyć...

– Magda!

– ...to sobie zostań. Ja jadę.

W słuchawce na dłuższą chwilę zapadła cisza, klasyczny numer Sikory. Ile razy przez te jego namysły się rozłączałam pewna, że to już koniec rozmowy, nie zliczę.

– Tobie wcale nie chodzi o pożegnanie Maj, prawda? – dotarło do niego. – Ty myślisz, że na jej pogrzebie będzie Weronika!

Jego przenikliwość jednak mnie zaskoczyła.

– Muszę to sprawdzić, Jacek. Wiem, ty uważasz, że to tylko zbieg okoliczności,

nieistotny szczegół. Ale dla mnie to punkt zaczepienia. Jedyny od siedemnastu lat. A więc nawet jeżeli ci się wydaje, że oszalałam, trudno. Pojadę tam. Nie możesz mi zabronić.

Po tej przemowie poczułam się nagle silna i dzielna. I jeszcze bardziej przekonana do tego, co planowałam.

– Nie mogę – przyznał. – Martwię się tylko, że się rozczarujesz. Bo jej tam nie będzie.

ROZDZIAŁ 25

GPS wskazał mi trasę przez Grójec i Radom, ale wybrałam inną, przez Garwolin i Ryki. Kiedyś, wiele lat temu, jechaliśmy tędy z Tomkiem do jego znajomych, pod Lublin, i w jakimś sensie miałam do tej drogi sentyment. Była wtedy wczesna jesień, drzewa przy szosie przebarwiały się na żółto i rdzawo, a my, zaraz po ślubie, cieszyliśmy się sobą jak wariaci. Śpiewaliśmy w samochodzie, co teraz wydaje mi się kiczowate i naiwne, całowaliśmy się na każdym światłach i graliśmy w jakieś głupkowate gry, typu kto zobaczy więcej czerwonych osobówek. Teraz, kilkanaście lat później tę samą drogę pokonywałam sama i wcale nie tęskniłam za obecnością męża. Samotna podróż miała w sobie coś ekscytującego. A jeszcze bardziej ekscytujące, choć podszyte niepokojem, było oczekiwanie na to, kogo spotkam na pogrzebie Joanny Maj.

Wyjęłam z samochodu biało-żółtą wiązanekę z szeroką szarfą z napisem „Z wyrazami najgłębszego smutku. Przyjaciele z pracy” i ruszyłam w kierunku kaplicy cmentarnej, w której miała się odbyć msza święta w intencji zmarłej. Przede mną szła ubrana na czarno para, kobieta koło trzydziestki i sporo od niej starszy mężczyzna. Na wieńcu z czerwonych róż w kształcie serca, który nieśli, nie było żadnego napisu. Im bliżej kaplicy, tym więcej widziałam osób spieszących na pogrzeb Joanny. Wyłaniali się z bocznych alejek, wszyscy ciemni, smutni i cisi. Z doświadczenia wiedziałam, że dopiero po pogrzebie zaczną ze sobą rozmawiać i być może nastąpi nawet pewien rodzaj oczyszczenia. Poczują ulgę, że się dokonało. Zostawią w grobie nadzieję, że może to wszystko nieprawda, że przecież to niemożliwe, a zabiorą ze sobą ból, który z czasem powoli zblaknie i zniknie w codzienności.

Do dwunastej zostało jeszcze kilka minut, ale kaplica była już prawie pełna. Przeszłam powoli między dwoma rzędami ławek i położyłam wiązanekę wśród morza

kwiatów, otaczających ustawioną na katafalku trumnę. Trumna miała kolor prześwieconego słońcem miodu, a róże i lilie pachniały tak intensywnie, że zakreśliło mi się w głowie. Tak jak obiecałam, starannie ułożyłam szarfę, a potem pochyliłam głowę z szacunku dla zmarłej i ruszyłam z powrotem przez kaplicę, dyskretnie przyglądając się twarzom zgromadzonych. W żadnej z nich nie rozpoznałam Weroniki. Było tu wiele kobiet w wieku Joanny, kilka starszych osób, zapewne z rodziny, ale też sporo takich, które nie wydawały się pogrążone w żałobie i przyszły raczej przeżyć dreszczyk emocji. Byłam na pogrzebie Maj, wiecie, tej zamordowanej, będą później opowiadać znajomym. Straszna tragedia, słyszeliście na pewno. Znałam ją, oczywiście. Mieszkała na naszym osiedlu, kupowała w naszym sklepie, ciotka mojej żony jest z nią daleko spokrewniona.

Znalazłam miejsce w ostatniej ławce, między chudą nastolatką w czarnej, zbyt krótkiej jak na pogrzeb spódnicy ciężkich, czarnych butach, a starszą kobietą z parasolką, choć żadne prognozy nie wspominały o deszczu. Kolejni żałobnicy mijali nas, zanosząc pod trumnę wieńce i wiązanki, ale wśród nich również nie było Weroniki. Może się pojawi nad grobem, pocieszałam się, nie dopuszczając do siebie myśli, że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach.

Ale ponieważ moje życie nie jest filmem, nie pojawiła się.

Kondukt przeszedł powoli alejkami na sam koniec cmentarza, gdzie czekało przygotowane miejsce. Grabarze w czarnych garniturach i białych rękawiczkach sprawnie i szybko opuścili trumnę do grobu, ksiądz odmówił modlitwę, a jakaś kobieta w szarej garsonce cały czas robiła zdjęcia. Następnie grabarze chwycili za łopaty i czarne grudy ziemi zaczęły pokrywać jasne wieko trumny. W ciszy, która nagle zapadła, słychać było zgrzyt kamieni o metal i nieskrępowany niczym świergot ptaków w starych lipach porastających cmentarz.

Ludzie powoli się rozchodzili, przy grobie została tylko zgięta w pół tęga kobieta, cała w czerni, podtrzymywana przez wątłego mężczyznę. Rodzice nie powinni chować swoich dzieci, pomyślałam.

Przez całe nabożeństwo i teraz, przy grobie, nie potrafiłam się tak naprawdę skupić na śmierci Joanny. Nie mogłam pozbyć się myśli, że ta historia z wisiorkiem

nie może się tak skończyć. Bezsensownie i ostatecznie. Gdybym spotkała teraz nagle złotą rybkę, choć oczywiście na cmentarzu trochę o nią trudno, pierwszym z trzech życzeń byłoby: odnaleźć Weronikę. Pozostałe dwa mnie nie obchodziły.

Ostatni raz popatrzyłam na kolorową górę kwiatów, piętrzących się przed grobem, na drewniany, krzywo osadzony krzyż z tabliczką: *Joanna Maj, żyła 37 lat, spoczywaj w spokoju*. A potem odwróciłam się i ruszyłam powoli w kierunku cmentarnej bramy.

– Proszę pani! – usłyszałam za plecami. – Proszę poczekać!

Kobieta, która mnie zawołała, była podobnej tuszy, co matka Joanny. Była też w podobnym wieku i miała podobne rysy, co sugerowało bliskie pokrewieństwo.

– Pani z Warszawy, prawda? – spytała, lekko zdyszana. Przy jej tuszy szybkie pokonanie nawet kilkudziesięciu metrów musiało być męczące.

– Tak – odpowiedziałam ostrożnie, nie bardzo wiedząc, czego kobieta może chcieć ode mnie.

– Widziałam, jak kładła pani wiązanekę – wyjaśniła. – Joanna bardzo was wszystkich lubiła. Dużo opowiadała o pracy, o koleżankach.

No tak, napis na szarfie. Chciałam wytłumaczyć, że to pomyłka, że nigdy z Joanną nie pracowałam, ale ugryzłam się w język. Za dużo komplikacji.

– Proszę przyjąć najszczerze kondolencje – powiedziałam tylko.

– Och, dziękuję. Joanna była moją siostrzenicą. Kochane dziecko. – Wyciągnęła z torebki chusteczkę i szybko przetrła oczy. – Przepraszam, nie potrafię nie płakać, gdy o niej myślę. Ale to nieważne. Pani przyjechała z Warszawy, pewnie zmęczona, chciałam na stypę zaprosić. Do domu, do siostry.

Kobieta opacznie odczytała mój zdziwiony wyraz twarzy, bo od razu zaczęła się tłumaczyć.

– Wie pani, do końca nie było wiadomo, kiedy oddadzą ciało. Wszystko na ostatnią chwilę, no i lokalu się nie udało zarezerwować żadnego. Dlatego tak domowo. Żadne to wielkie przyjęcie, ale przynajmniej głodna pani nie będzie wracać.

W pierwszym odruchu chciałam odmówić, w końcu nie przyjechałam tutaj, żeby się zaprzyjaźniać z rodziną zmarłej. Ale poczułam zaciekawienie. Właściwie...

– Czemu nie? – uśmiechnęłam się do kobiety. – Będzie mi bardzo miło.

– No to się cieszę. Pani...

Zorientowałam się, że pyta mnie o nazwisko.

– Magdalena Bo...ska – powiedziałam niezbyt wyraźnie, choć przecież niemożliwe, żeby kobieta знаła z imienia i nazwiska wszystkie koleżanki z pracy Joanny.

– Widzi pani, a ja się nie przedstawiłam. Halina Maciejak. Adres siostry pani sobie zapisze: Szczecińska osiem. To na Węglinie.

Rodzice Joanny zajmowali pół bliźniaka. Dom wyglądał na niedawno remontowany: świeży, żółty tynk, nowe okna, podjazd z kostki Bauma. Przed płotem rosły równo przyszczyżone iglaki, a każdy fragment ogródka od frontu był idealnie zagospodarowany i wypielony. W wąskiej uliczce parkowało kilka średniej klasy samochodów z lubelską rejestracją, szeroko otwarta furtka zapraszała do środka.

Pokonałam niskie, betonowe schodki i znalazłam się w sieni wyłożonej boazerią. Z kuchni wychyliła się pani Halina. Przepasana kuchennym fartuchem wyglądała tak, jakby dziś w ogóle nie odchodziła od garnków. Na jej zaczerwienionej twarzy świeciły krople potu.

– Jest już pani, to dobrze. Rosołku?

Dopiero teraz zauważyłam, że trzyma w ręku pełny talerz zupy.

– Chętnie, dziękuję. – Nie przepadam za zupami, ale nie chciałam wyjść na humorzastą pańnię z Warszawy.

Halina zaprowadziła mnie do dużego pokoju, w którym przy długim, nakrytym białym obrusem stole siedziało kilkanaście osób, wśród nich rodzice Joanny.

– O, tam jest miejsce – Halinka pokazała mi wolne krzesło.

Usiadłam, a talerz z rosołem wylądował przede mną.

– Pani je, bo zaraz drugie danie.

Kobieta znikła. Sięgnęłam po łyżkę i znad talerza zaczęłam obserwować zgromadzonych.

Otaczali mnie poczciwi, smutni ludzie, próbujący oswoić się z tym, że właśnie

pochowali kogoś bliskiego. Rozmowy krążyły wokół neutralnych tematów, ktoś próbował rozładować atmosferę żartami, ktoś inny zaczął wspominać wspólne z Joanną dzieciństwo. Słuchałam uważnie, mając nadzieję, że może dowiem się czegoś więcej o tej kobiecie, ale opowieści, które snuto, były tak szczegółowe i hermetyczne, że nie umiałam ich ani z niczym połączyć, ani zinterpretować.

Moją relacją z zamordowaną interesowano się umiarkowanie. Ktoś zapytał, jak długo razem pracowałyśmy, ktoś inny – czy znałam jej narzeczonego, bo podobno to on jest mordercą. Odpowiadałam półsłówkami, licząc na to, że nikt tego, co mówię, i tak nie będzie w stanie zweryfikować.

Kiedy na stole pojawiły się ciasta, poczułam, że nie ma sensu tego przedłużać. Pożegnałam się z siedzącymi najbliżej mnie i poszłam do kuchni, do pani Halinki.

– Muszę się zbierać – powiedziałam. – Bardzo za wszystko dziękuję.

– Już pani jedzie? – zmartwiła się kobieta. – Kawy może jeszcze zrobię?

– Nie, nie, już nie mam siły na nic. Tylko jeszcze jedno: gdzie znajdę łazienkę?

– Jedną ma pani tu, w korytarzu, a jakby co, druga na górze.

Ta bliżej nas okazała się zajęta, więc weszłam wąskimi schodami na piętro. Kiedy stanęłam na podeście, zobaczyłam cztery pary identycznych drzwi. Podeszłam do pierwszych i otworzyłam je. Nie, to z pewnością nie była łazienka. Już miałam się wycofać, kiedy coś mnie tknęło i zamiast wyjść, ostrożnie wsunęłam się do środka.

Pokój, w którym się znalazłam, był typowym pokojem nastolatki. Ale nie nastolatki współczesnej. Plakaty, którymi oklejone były ściany, znałam na pamięć, bo w moim pokoju kilkanaście lat temu wisiały identyczne. Perfect, Johny Depp, Back Street Boys, Roxette, Sinead O'Connor. A przypięte na korkowej tablicy nad biurkiem zdjęcia szczupłej, ładnej dziewczyny z włosami do pasa upewniły mnie, że kiedyś mieszkała tutaj Joanna. W niektórych domach, kiedy dziecko dorasta i wyjeżdża na studia lub do pracy do innego miasta, jego pokój dość szybko zostaje zagospodarowany i wchłonięty przez pozostałych domowników. W innych, tak jak tutaj, pozostaje w stanie nienaruszonym przez lata, czekając i tęskniąc za osobą, która kiedyś w nim mieszkała. Zastanawiałam się przez chwilę, co musiała czuć Joanna, wpadając raz na jakiś czas do domu i wchodząc w dekoracje, z których już dawno

wyrośla. Ale widocznie w jakiś sposób musiało jej to odpowiadać, skoro nie zdarła plakatów, nie odmalowała ścian i nie wyrzuciła przez okno obskurnej meblościanki.

Może czuła się tu fantastycznie, a może wchodząc do swojego starego pokoju, zamykała oczy i modliła się, żeby jak najszybciej usnąć? Może kochała swoje wcześniejsze życie, a może nim gardziła? Tego już teraz nie można było stwierdzić.

Podeszłam do regału ze sklejki. Stało na nim kilka książek, ale ich tytuły nie zbliżyły mnie do Joanny. *Lalka*, *Quo vadis*, Trylogia, czyli zestaw lektur, które można znaleźć na półkach każdego licealisty. Niżej stary kasetowy magnetofon, pudełko po butach pełne kaset i drugie, pomalowane na niebiesko i ozdobione kwiatami wyciętymi z papieru. Ostrożnie uniosłam wieczko, spodziewając się znaleźć w środku jakieś dziewczęce skarby, ale pudełko zawierało tylko listy. Dużo listów. Ściśle ułożone obok siebie koperty, kilkadziesiąt kopert, zaskakujący dowód na to, że kiedyś, w nie tak przecież odległej przeszłości, korespondencja nie odbywała się drogą mejlową.

Zamknęłam pudełko, przesunęłam się w kierunku tablicy ze zdjęciami i zaczęłam się im przyglądać. Z daleka wyglądały jak czarno-białe, ale z bliska przekonałam się, że były kiedyś kolorowe, tylko tak bardzo wypłowywały od słońca, że prawie zupełnie straciły barwy i stały się mdłe, bez kontrastu. Joanna w kostiumie kąpielowym na plaży, Joanna pod Koloseum, Joanna na rowerach z chłopakiem, Joanna na rynku w Krakowie. Mój wzrok ślizgał się po fotografiach, wyławiając znajomą twarz dziewczyny spośród grup znajomych pozujących na wycieczkach i imprezach, i nagle zatrzymał się na jednym ze zdjęć. Przysunęłam się bliżej do tablicy i patrzyłam na nie, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Fotografia została wykonana w jednym z najbardziej popularnych miejsc w Londynie, na Trafalgar Square. Między łapami jednego z wielkich kamiennych lwów, pilnujących kolumny Nelsona, siedziały trzy młode, może dwudziestoletnie kobiety. Na pierwszym planie Joanna – w jasnym T-shircie i dżinsowych krótkich spodenkach, obejmowała ramionami opalone kolana i przekrzywiała zalotnie głowę, a jej długie włosy opadały na czarną łapę lwa. Za nią, trochę po prawej, nieznana mi, ciemnowłosa dziewczyna w skromnej sukience i sandałkach, uśmiechała się nieśmiało

do obiektywu, opierając plecami o pomnik. I ta trzecia, która oparła policzek o ramię Joanny. Dżinsy, koszulowa bluzka, ciemne włosy zebrane w koński ogon i ceramiczny wisiołek na szyi.

Weronika.

Kilka szybkich, głębokich oddechów uratowało mnie przed utratą przytomności. Nie jestem w stanie opisać, co się zaczęło dziać w mojej głowie. Więc miałam rację! Znały się! A zdjęcie świadczyło o tym, że wręcz przyjaźniły. Kiedy zostało zrobione? Kim jest ta trzecia dziewczyna? Skąd Weronika знаła Joannę? I czy Joanna miała jakiś związek z jej zaginięciem?

Poczułam szalone podekscytowanie, lecz jednocześnie strach, że niczego więcej się nie dowiem, że ta cudem odnaleziona fotografia nigdzie dalej mnie już nie zaprowadzi.

Odsunęłam stojące przy biurku krzesło i usiadłam na chwilę, żeby ochłonać. A potem podniosłam się i zrobiłam coś, czego z całą pewnością robić nie powinnam – podważyłam paznokciem pinezkę, którą było przypięte zdjęcie, i zdjęłam fotografię z tablicy.

Papier między palcami był gładki i kruchy. Zaczęłam przyglądać się zdjęciu uważnie, analizując każdy szczegół w nadziei, że odnajdę jakiś ślad, który poprowadzi mnie dalej, aż do Wery. Ale nic nie znalazłam.

Co teraz? Czy rodzice Joanny coś wiedzą? Czy powinnamich zapytać o Weronikę? Czy może odwiesić fotografię na miejsce i zapomnieć, że ją widziałam? Tylko że akurat tego zrobić nie mogłam. Byłam pewna, że obraz Weroniki na Trafalgar Square, roześmianej, szczęśliwej, już ze mną zostanie, że nie uda mi się go zapomnieć. Prawdopodobnie już nigdy. W takim razie co dalej? I kiedy tak zastanawiałam się, co zrobić, fotografia wysunęła się z moich palców i upadła na biurko, a na jej odwrocie zobaczyłam napis: „Wera Dąbrowska, Sylwia Jakobielska, ja. Londyn lato 2001”.

Tamtego lata nie zapomnę nigdy. Po ostatnim zdany egzaminie Weronika spakowała się i wyjechała do Anglii. Planowała zostać tam do końca września i zarobić tyle, żeby

po powrocie wyprowadzić się od rodziców i coś sobie wynająć. W Londynie czekała na nią posada kelnerki i miejsce w kilkusobowym apartamencie, które załatwiła jej jakaś znajoma.

Jednak, z niewiadomych przyczyn, Wera wróciła dużo wcześniej, niż zamierzała, ale nie miałyśmy okazji się spotkać, bo ja byłam wtedy na wakacjach.

A potem Weronika zniknęła.

Wyjęłam z torby telefon, sfotografowałam zdjęcie z obu stron i odwiesiłam je na miejsce. Wiedziałam, że muszę spróbować dowiedzieć się jak najwięcej, jednak rozmowa z rodzicami w dniu pogrzebu ich dziecka mogła być i dla nich, i dla mnie zbyt trudna.

Zeszłam na dół i poszłam prosto do kuchni.

– Myślałam, że już pani pojechała – zdziwiła się na mój widok pani Halinka. I nagle zorientowała się, że mogło to zabrzmieć niezręcznie. – Co ja gadam! – Machnęła ścierką do naczyń, trzymaną w ręce. – Broń Boże, żebym wypraszała! Może da się pani skusić na kawałek ciasta? – I przesunęła się, odsłaniając stojącą za nią na blacie blachę biszkoptu z truskawkami.

– Nie, dziękuję, naprawdę. Czy mogłaby mi pani poświęcić minutę?

– Pewnie, że bym mogła. A o co chodzi?

Pokazałam jej zdjęcie zdjęcia znalezionego na górze.

– Czy zna pani może te dziewczyny?

Halinka zmarszczyła brwi i przysunęła sobie telefon do oczu.

– Oooo, przecież to Asia jest! – zdziwiła się. – Ale z dawna. Skąd to pani ma?

– Wpadło mi w ręce – rzuciłam. W sumie to nawet nie było kłamstwo. – Podobno Joanna się z nimi przyjaźniła. Chciałabym je zawiadomić, że nie żyje, ale nie mam jak. Wie pani może, jak je znaleźć?

– Ja ani jednej, ani drugiej nie kojarzę – powiedziała kobieta, oddając mi telefon.

Zauważyłam, że oczy jej się zaszklily ze wzruszenia. Wzięła do ręki nóż i zaczęła kroić ciasto.

– Jedna miała na imię Weronika, druga Sylwia. Na pewno nic pani nie pamięta?

Ostrze przesuając się po blasze wydało przeszywający uszy pisk.

– Tyle to już lat temu było – szepnęła pani Halinka. – Chociaż ta Sylwia... coś mi się kojarzy. Coś z tym jej wyjazdem do Londynu. Chyba tam razem mieszkały czy coś.

Akurat tego mogłam się sama domyśleć.

– A tu, w Polsce? Utrzymywały ze sobą kontakt?

– Pani kochana, tyle lat minęło, jak ja mam pamiętać takie rzeczy? – pokręciła głową. – Może prędzej matka, ale one też blisko ze sobą nie były. Zresztą ją niech pani lepiej zostawi w spokoju, żalobę trzeba uszanować – pani Halinka westchnęła. – No nic, ciasto pójdę podać. Dobrej drogi. Bóg niech panią błogosławi.

ROZDZIAŁ 26

Próbowałam się dodzwonić do Sikory, ale jego telefon był albo zajęty, albo wyłączony, więc w końcu się poddałam. Jak będzie mógł, to oddzwoni.

Całą drogę powrotną tworzyłam scenariusze możliwych rozwiązań. Łączyłam ze sobą różne fragmenty rzeczywistości, sprawdzając, czy do siebie pasują, a potem rozsypywałam układankę i zaczynałam od nowa. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Niestety, kiedy przyjechałam z powrotem do Podkowy, nie miałam żadnych sensownych wniosków. Poza jednym. Koniecznie musiałam odnaleźć Sylwię Jakobielską. Bez tego nie mogłam ruszyć dalej nawet o krok.

Pewnych rzeczy przewidzieć nie potrafię, ale umiem bez pudła sobie wyobrazić, jak mój dom będzie wyglądał po całodziennej wizycie mojej mamy. Do tego właściwie nie trzeba posiadać zbyt rozbuchanej wyobraźni.

I rzeczywiście, zastałam dokładnie to, czego się spodziewałam – chaos, anarchię i spustoszenie. Na stole w kuchni stało wielkie pudło po pizzy, choć przecież zostawiłam im na obiad zapiekanekę. Moja matka siedziała przy laptopie, prawdopodobnie ciągnąc kolejny wątek powieści, ale równie dobrze mogła układać pasjansa, kto ją tam wie. Kaja na kanapie przed telewizorem oglądała jakiś badziewny rysunkowy serial, a sądząc po stosie papierków po słodyczach, piętrzącym się obok niej, zmłóciła już kilka odcinków. Kuby nigdzie nie było widać, co oznaczało, że siedzi u siebie i w spokoju gra na komputerze. Nigdzie nie było też widać mojego męża.

– No nareszcie – westchnęła matka, zamykając energicznie laptopa. – Następnym razem bardzo cię proszę, takie całodzienne wyjazdy najpierw uzgadniaj ze mną.

– Przecież się zgodziłaś – przypomniałam jej.

– A miałam wyjście? – prychnęła. – I co, warto się było tłuc taki świat drogi?

– Nawet nie wiesz jak warto.

Kaja, która usłyszała, że babcia wychodzi, przybiegła do nas, żeby się pożegnać.

– Pa, babciulinku – zamruczała, wieszając się babci na szyi. – Będę tęsknić.

O, z pewnością. W końcu nieczęsto je się u nas w domu pizzę tak zupełnie bez okazji. A jeszcze rzadziej w rozmiarze mega, czyli zbliżonym gabarytami do młyńskiego koła.

– Zostało jeszcze trochę pizzy, jakbyś chciała – zwróciła mi uwagę mamusia, tak jakby można było nie zauważyć. – Lecę. Pa!

– Tomasz się odzywał? – krzyknęłam za nią. – Mówił, o której wróci?

– Będzie późno, zje na mieście – usłyszałam w odpowiedzi.

I już jej nie było.

Pewnie powinnam teraz zadziałać, odciągnąć Kubę od gry, a Kaję od telewizora, ale prawdę mówiąc nie miałam na to siły. Zrobiłam więc sobie herbatę, jeszcze raz zadzwoniłam do Sikory i jeszcze raz włączyła się sekretarka, a na koniec poszłam na kanapę do Kai, położyłam się obok niej i natychmiast usnęłam.

Koło ósmej obudził mnie telefon od Jacka.

– Wiesz, że jak włączam telefon po naradzie i widzę, że mam dwadzieścia trzy nieodebrane połączenia, z czego dwadzieścia jeden od ciebie, to mnie szlag trafia? – zagał.

– Sorki. Ja tylko próbowałam się przebić – wytłumaczyłam dość mętnie.

– Przebić przez co?

Przez twoją obojętność, taka właśnie melodramatyczna odpowiedź przyszła mi do głowy, na szczęście tam też pozostała.

– Och, daj spokój, po prostu miałam coś arcyważnego i chciałam ci to jak najszybciej powiedzieć.

– Więc mów.

– Joanna... – zawiesiłam na chwilę głos, żeby uzyskać większy efekt – znała

Weronikę!

– Hm. I co?

– Co i co? Nie rozumiesz? To stąd miała jej wisiołek! Nie kupiła go na Allegro ani nie znalazła na ulicy. Znała Weronikę! Były razem w Londynie tamtego lata, kiedy Wera zniknęła! I jeszcze trzecia dziewczyna! Sylwia Jakobielska! Ona może coś wiedzieć. Musisz ją odnaleźć. Koniecznie! Proszę!

– Magda, zwolnij. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Joanny Maj. Mam podejrzanego, jesteśmy w trakcie przygotowywania materiału dowodowego, żeby mu można było postawić zarzuty. To, o czym mówisz, w żaden sposób nie wiąże się z tą sprawą. Ja cię rozumiem, masz emocje i tak dalej, ale na razie nie mogę ci pomóc. Skończę jedno, zacznę drugie, OK?

– Jacuś, błagam. Nie mógłbyś jakimiś swoimi kanałami? To ci nie zajmie dużo czasu.

– Jakiego czasu? Ja nie mam CZASU! W ogóle! Nawet do kibla nie mam kiedy iść!

Rozłączyłam się.

Jeszcze nie zdążyłam ochłonąć po telefonicznej awanturze z Sikorą, kiedy wrócił Tomasz.

– O, jesteś już? – zdziwił się.

– Przecież ci mówiłam, że będę koło szóstej.

– Zapomniałem.

Przyjrzał się moim włosom. Poprzedniego dnia na mój widok przeżył szok i nie do końca był pewny, czy mu się w nowej fryzurze podobam, czy nie.

– Nie mogę się przyzwycząić, że to ty. Ale w sumie może być – stwierdził i poszedł do kuchni. Weszłam tam za nim.

– O, pizza? Świetnie! – ucieszył się na widok pudełka. – Umieram z głodu.

Teraz dla odmiany ja się zdziwiłam.

– Podobno miałeś jeść na mieście?

– Tak mi się wszystko poprzesuwało, że nie zdążyłem.

Biedny, pomyślałam. Tak ciężko dla nas pracuje.

– Daj, podgrzeję ci.

Wyjęłam mu z ręki kawałek pizzy, w który właśnie zamierzał wbić zęby, położyłam na patelni i przykryłam pokrywką.

– Dwie minuty. Wytrzymasz.

I pod wpływem impulsu przytuliłam się do niego. Przez chwilę zachował się tak jak zwykle, czyli napiął ciało, zupełnie jakby chciał się odsunąć. Ale potem objął mnie i delikatnie pocałował.

– Pachniesz moimi perfumami – roześmiałam się.

– Ty też – zażartował, a potem dodał: – W tej marynarce byłem z tobą na kolacji w hotelu, pewnie dlatego. Widzisz, jaki dobry zapach? Tyle dni się utrzymuje.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w kuchni pojawił się też Kuba, sprawdził, ile jeszcze pizzy zostało, i kazał też sobie podgrzać. A kiedy Kaja porzuciła telewizję i przyszła zapytać, czy dla niej również by się nie znalazł kawałek, przeprosiłam wszystkich i pod pretekstem, że jestem zmęczona, udałam się na górę. Ale nie do sypialni, tylko do pokoju syna, żeby wykorzystać wolny przez chwilę komputer.

Bo jeżeli Sikora nie zamierzał mi pomóc w szukaniu Sylwii, musiałam poradzić sobie sama.

Pomysł, który przyszedł mi do głowy, był banalny w swojej prostocie. Ale właśnie dlatego uważałam, że ma spore szanse powodzenia.

Kiedyś, dawno temu, ktoś mnie namówił, żebym założyła sobie profil na Facebooku. Sam proces był szybki i bezbolesny, ale potem okazało się, że żeby korzystać z mediów społecznościowych, trzeba mieć przede wszystkim sporo wolnego czasu, którego ja na co dzień raczej nie miewałam. A jeżeli nawet, to i tak znaleźć moment, w którym komputer Kuby byłby wolny, graniczyło z cudem. Dlatego moje konto leżało odłogiem i porastało chwastami setek zawiadomień, zaproszeń, reklam i transmisji na żywo. Zaglądałam tu raz na kilka tygodni, nie częściej, nie mając z tego w dodatku żadnej frajdy. Ale teraz, no proszę, nadszedł ten wielki dzień, kiedy wreszcie mogłam zrobić ze swojego fejsa użytek.

Zalogowałam się i ignorując czerwone, kłujące w oczy cyferki powiadomień,

w polu „szukaj” wpisałam „Sylwia Jakobielska”. Wyskoczyło mi osiem kont. Z nich tylko trzy miały sensowne zdjęcia profilowe, dzięki którym mogłam wszystkie trzy osoby wyeliminować, bo żadna z nich nie przypominała dziewczyny ze zdjęcia. Z pozostałych pięciu jedna miała na profilowym zdjęciu psa, druga – jakąś nierozpoznaną przeze mnie postać z kreskówki, trzecia wstawiła zdjęcie stopy w sandale, ładnej, ale co z tego, a ostatnie dwa konta zostały oznaczone awatarem.

Zaczęłam się wczytywać w informacje na ścianach. Profil z postacią z kreskówki odrzuciłam, bo jego właścicielka, sądząc z poruszanych tematów i znajomych, których zgromadziła, mogła mieć najwyżej lat piętnaście. Wyeliminowałam też jeden z profili z awatarem, gdyż był zaskakująco prostacki, a dziewczyna z Trafalgar Square na prostaczkę nie wyglądała. Zostały więc tylko trzy. Otworzyłam pierwszy z nich, najpierw kliknęłam: dodaj znajomego, a potem: napisz wiadomość. „Dzień dobry! – zaczęłam. – Poszukuję osoby, która latem roku 2001 przebywała w Londynie z Weroniką Dąbrowską oraz Joanną Maj. Jeżeli to pani, bardzo proszę o kontakt. To dla mnie niezmiernie ważne. Pozdrawiam. Magdalena Borowska”. Skopiovałam tekst wiadomości, wysłałam ją, następnie powtórzyłam proces z zaproszeniem do grona znajomych pozostałych dwóch Sylwii i do nich również wysłałam ten sam tekst. Potem wylogowałam się i zgasiałam komputer. Teraz pozostawało już tylko czekać.

ROZDZIAŁ 27

Od wizyty u fryzjera minęły już dwa dni i zaczynałam się powoli przyzwyczajać do swojego widoku w lustrze. Wszystkie gumki, spinki i opaski powędrowały do szuflady, a ja odkryłam, że kiedy wsuwam palce we włosy i burzę je, wokół mojej głowy tworzy się fantazyjna, lekka i puszysta aura. Zrobiłam tak tuż przed wejściem do przychodni, i warto było, bo Rudnickiemu opadła szczęka.

– Co za zmiana! – zachwycił się. – Pani Magdo, wygląda pani rewelacyjnie!

Natomiast Walczak zareagował w swoim stylu.

– No teraz to się zastanów, Piotrek, co powiesz inspekcji pracy.

– Inspekcji pracy? – powtórzył za nim zaskoczony Rudnicki.

– Przecież wiesz, że nie wolno zatrudniać na umowę nieletnich.

Rudnicki parsknął śmiechem.

– Rzeczywiście, odmłodziła nam pani. Zakładam, że ze strony Damiana to był komplement. Choć może nieoczywisty.

Minęłam Walczaka, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem, i już miałam wejść na zaplecze, żeby włożyć fartuch, kiedy Rudnicki mnie powstrzymał.

– Nie, pani Magdo. Proszę się na razie nie przebierać. Trzeba pojechać na kontrolę do tego mastifa z zapaleniem ucha.

Ponieważ nie musiałam się już przed nikim ukrywać, wjechałam prosto na parking przed głównym budynkiem. Zanim zdążyłam wysiąść, przy aucie był już sekretarz Szeligi, Lewandowski. Jego nieskazitelny wygląd cokolwiek kłócił się ze stanem karoserii Chrupka, obok którego stanął niebezpiecznie blisko. Chciałam nawet krzyknąć: „Niech pan się nie opiera!”, ale powstrzymałam się. W końcu ten pan nie był moim dzieckiem. Dosyć krojenia mięsa na talerzu obcym ludziom.

– O ile dobrze pamiętam, pani do psa, prawda?

Potwierdziłam.

– Niestety, pan Szeliga jest dziś nieobecny – uprzedził.

– W takim razie proszę poprosić jego żonę. Wolałabym, żeby któreś z właścicieli było przy badaniu.

Asystent zawahał się.

– Proszę poczekać – polecił i odszedł w kierunku domu.

Po chwili wrócił.

– Pani Justyna będzie za trzy minuty.

Określenie „za trzy minuty” w ustach mężczyzny w pierwszym momencie wydało mi się zbyt lekkie i niekonkretne, dopóki nie zrozumiałam, że nie oznacza to „mniej więcej za trzy minuty”, tylko „dokładnie za trzy minuty”. Bo właśnie dokładnie po trzech minutach w drzwiach domu pojawiła się Justyna Szeliga.

Spodziewałam się zobaczyć damę, kogoś w stylu Jacqueline Kennedy, bo mniej więcej takie miałam wyobrażenie o kobietach z klasą, a zobaczyłam szczupłą kobietę ubraną w legginsy oraz obcisłą, sportową koszulkę, strój, który fantastycznie eksponował jej umięśnione ciało. Na nogach miała jaskrawożółte reeboki, a na szyi – słuchawki, i z daleka wyglądała na nie więcej niż trzydzieści lat. Sprężystym krokiem zbiegła ze schodów i ruszyła w moim kierunku, jednocześnie sprawdzając coś w ustawieniach swojego smartwacha. Kiedy podeszła bliżej, oceniłam, że musi mieć sporo po pięćdziesiątce. Miała krótko ostrzyżone blond włosy, twarz o regularnych, choć jak dla mnie zbyt surowych rysach, a w całym ciele – czujne napięcie. Mijając klomb, zatrzymała się na pół sekundy i zerwała zwiędły kwiat, który psuł optyczną harmonię całości. Kiedy do nas podeszła, wsypała zbrązowiałe płatki w dłoń sekretarza.

– Wyrzuc to, proszę – poleciła, po czym zwróciła się do mnie: – Mam dziesięć minut. Chodźmy.

Podreptałam posłusznie za nią. Patrząc, jak się porusza, odniosłam wrażenie, że nie lubi niczego, z czym się styka. Nawet kroki stawiała tak, jakby chciała mieć jak najkrótszy kontakt z ziemią.

Jej nastawienie do psa było podobne.

– Nepal! Do mnie! – rozkazała, a kiedy pies posłusznie podszedł do bramki, rzuciła ostre: – Siad!

Weszłam do boksu ze świadomością, że z dziesięciu minut ubyły trzy. Poklepałam mastifa po głowie, zajrzałam mu do uszu i w duchu zakląłam. Od poprzedniej wizyty nie było żadnej poprawy, a wręcz odniosłam wrażenie, że stan psa się pogorszył.

– Czy krople, które zapisałam, są podawane regularnie?

– Nie wiem. To pies Brunona, nie mój. Jego proszę zapytać.

No pięknie. Tylko tego mi brakowało – konfliktu w małżeństwie, którego zakładnikiem staje się zwierzę. Choć w sumie i tak lepiej, że zwierzę, a nie dziecko.

Otworzyłam torbę i zaczęłam przygotowywać pałeczki do pobrania wymazu.

– I jak on się czuje? – zainteresowała się Szeligowa, choć zapewne nie z troski o psa, co raczej o swój rozkład zajęć.

– Będę musiała pobrać wymaz, żeby dobrać odpowiedni antybiotyk.

– A dlaczego nie zrobiła pani tego za pierwszym razem? – to pytanie, choć zadane obojętnym tonem, miało wagę oskarżenia.

– Poprzednie zapalenie ucha u Nepala przebiegało na tle alergicznym. Założyłam, że ta sytuacja jest podobna.

– Czyli pomyliła się pani?

Tak, tego mi teraz było potrzeba. Osoby, która zakwestionuje moje umiejętności, sprowadzając moją samoocenę na samo dno rowu Mariańskiego. Dziesięć tysięcy dziewięćset dziesięć metrów poniżej poziomu morza. Plus minus.

– Nie. Leczenie, które wdrożyłam, powinno działać niezależnie od źródła infekcji. Nie zadziałało, dlatego teraz trzeba będzie uderzyć precyzyjniej.

Szeligowa w odpowiedzi spojrzała na zegarek. Była już tak zniecierpliwiona, że tylko czekałam, aż zacznie trucht w miejscu.

– Czy może go pani potrzymać? – poprosiłam z pewną dozą satysfakcji. – To dość bolesny zabieg.

Zawahała się.

– Wolałabym nie. – A widząc moje zdziwienie, dodała: – Nie przepadamy za sobą.

Panie Marcinie? – zwróciła się do sekretarza, który stał w pewnej odległości od boksu.

– Może pan?

W oczach Lewandowskiego przez moment błysnęła panika. To wystarczyło.

– Zostawmy to. Spróbuję sama.

Podobno najkrótsza definicja inteligencji opisuje ją jako zdolność do uczenia się na podstawie doświadczeń. Tamtego dnia moje doświadczenie nauczyło mnie, że pobierania wymazu z ucha dużemu psu, zwłaszcza z bolącego ucha, nigdy nie należy wykonywać jednoosobowo. Przez pierwsze dwadzieściasiekund wszystko co prawda było OK – Nepal pozwolił się znowu pogłaskać, udało mi się nawet unieść jego ucho, nie wywołując żadnej reakcji, ale w momencie, w którym włożyłam mu do tego ucha szpatułkę, pies oszalał. Najpierw gwałtownie szarpnął łbem, a kiedy chwyciłam go za obrozę, próbując przytrzymać, wyrwał mi się z taką siłą, że poleciałam do przodu i wylądowałam twarzą na ziemi.

– Nepal! – usłyszałam krzyk Szeligowej. – Heping!

Przez chwilę nie widziałam nic poza posypanym piachem betonem przed moimi oczami. Ziarenka piasku dostały mi się do ust, upadając, musiałam też przeciąć wargę, bo poczułam smak krwi. Powoli, żeby nie prowokować psa, podniosłam się najpierw na kolana, potem wstałam i zaczęłam oceniać zakres szkód. Okazało się, że jestem w piasku absolutnie cała: moja twarz, dekolt, ramiona, dłonie, prawdę mówiąc miałam piach nawet we włosach.

Nepal siedział jakiś metr ode mnie, ale nie widać po nim było żadnych oznak agresji. Za to w oczach Szeligowej – owszem.

– Ubrudziła się pani – powiedziała oskarżycielskim tonem.

Miałam ochotę przewrócić ją na ziemię i porządnie wytarzać, tak dla towarzystwa.

– Gdyby pani trzymała psa, nic takiego by się nie stało – wypomniałam.

– Gdyby pani pobrała wymaz na pierwszej wizycie, również nic takiego by się nie stało – przypomniała mi. A potem niechętnie dodała: – Ależ się pani wybrudziła. Proszę za mną.

I ruszyła w kierunku basenu.

Myślę, że Napoleon pod Waterloo czuł się podobnie jak ja teraz. Tyle że on po

przegranej bitwie nie musiał iść do Rudnickiego i przyznać się do błędu. Zanim jednak doszło do konfrontacji z szefem, zostałam zaprowadzona do budynku, w którym mieścił się basen. Szeligowa wręczyła mi ręcznik.

– Prysznice są za tamtymi drzwiami. Rzeczy może pani zostawić tutaj – pokazała rząd szafek. – Ja muszę iść. W razie jakichś problemów proszę wołać pana Lewandowskiego.

I wyszła.

Przez chwilę obserwowałam przez oszklone drzwi, jak biegnie w kierunku bramy, a kiedy zniknęła mi z oczu, włożyłam swoją torbę do jednej z szafek, wyjęłam ze środka leżącą tam czerwoną, plastikową bransoletkę z kluczykiem, zamknęłam szafkę, w końcu spróbowałam założyć kluczyk na nadgarstek. Niestety, bransoletka okazała się tak luźna, że przy najmniejszym ruchu spadała mi z dłoni. Po kilku próbach zmniejszenia obwodu bransoletki poddałam się i schowałam ją do kieszeni dżinsów. A przynajmniej tak mi się wydawało aż do momentu, kiedy po wzięciu szybkiego prysznica wróciłam po swoje rzeczy i sięgnęłam do kieszeni, tej samej, w której prawie na pewno umieściłam wcześniej kluczyk. Niestety, „prawie” robi wielką różnicę, bo w kieszeni bransoletki z kluczykiem nie było. Nie było go również w drugiej kieszeni ani na podłodze, ani w ogóle nigdzie.

Nie miałam innego wyjścia, musiałam poprosić o pomoc Lewandowskiego.

Oczywiście, nawet ta idiotyczna sytuacja miała jakieś plusy. Przede wszystkim Bóg mnie strzegł, że nie zamknęłam w szafce ciuchów. Na myśl, że miałabym teraz szukać asystenta Szeligi, biegając nago po ogrodzie, zadrżałam. Inna sprawa, że ledwo otworzyłam drzwi i wyszłam, żeby go zawołać, natychmiast zmaterializował się tuż obok mnie.

– Panie Marcinie – pozwoliłam sobie na poufałość. – Zgubiłam kluczyk od szafki.

Lewandowski aż zmarszczył brwi z wysiłku, żeby zrozumieć, o czym mówię.

– Zgubiła pani kluczyk od szafki? Gdzie?

– Gdybym wiedziała, gdzie, zapewne bym go znalazła.

Mężczyzna wszedł do pawilonu. Miał dziwny wyraz twarzy.

– Pływała pani? – zapytał.

– Nie, korzystałam tylko z pryszniców.

Pokręcił głową z niedowierzaniem i ruszył na poszukiwania.

Wrócił z niczym.

– Nie wiem, jak to się pani udało, ale rzeczywiście nigdzie go nie ma – powiedział, a w jego głosie zabrzmiało coś na kształt podziwu.

Już miałam zapytać, czy w takim razie moje rzeczy zamknięte w szafce zostaną tam na zawsze, kiedy asystent Szeligi podszedł do wiszącej na ścianie gablotki z matowego szkła, otworzył ją i wyjął stamtąd bransoletkę identyczną jak moja, tylko w kolorze zielonym.

– To klucz uniwersalny – wytłumaczył mi. – Nie jest pani pierwszą osobą, która gubi klucz.

– Numer osiem – odpowiedziałam mu, choć szafka, w której zostały moje rzeczy, była jedyną zamkniętą spośród wszystkich.

Mężczyzna przyłożył znajdujący się na bransoletce kluczyk do zamka, coś lekko pyknęło i szafka stanęła otworem.

– Proszę – powiedział z niechęcią. – Poczekam na zewnątrz.

Nie miałam pojęcia, że dzięki mojemu roztrzepaniu dowiedziałam się właśnie czegoś ważnego.

ROZDZIAŁ 28

Taniec na kruchym lodzie, mający na celu ukrycie mojej pracy w przychodni, wymagał umiejętności prawie akrobatycznych. Co prawda jeszcze niedawno wydawało mi się, że zaczynam nabierać wprawę, ale było to tylko złudzenie, bo wystarczyła jedna niewielka obsuwa w postaci problemów z Nepalem, a cała delikatna równowaga została rozchwiana.

Powrót do gabinetu i przyznanie się, że coś mi nie wyszło, naprawdę sporo mnie kosztował. Oczywiście Rudnicki sprawę zbagatelizował, twierdząc, że to wina nie moja, tylko właściciela psa, ale spojrzenie, które rzucił mi spod oka Walczak, mówiło jasno: zawaliłaś, dziewczyno. W dodatku ktoś musiał mi pomóc pobrać ten wymaz, a Rudnicki nie mógł się ruszyć z przychodni.

– Za pół godziny mam umówioną sterylizację kotki. Damian z panią pojedzie. Prawda, Damian?

Na twarzy Walczaka pojawił się uśmiech łasicy.

– Oczywiście. Ale pod jednym warunkiem. Weźmiemy moją brykę.

W ten sposób wylądowałam na tylnym siedzeniu Harleya, ściskając jedną ręką torbę, a drugą rozpaczliwie próbując trzymać się kierowcy w taki sposób, żeby go nie dotykać. Karkołomne zadanie.

Co oczywiste, podczas jazdy nie rozmawialiśmy. Nie rozmawialiśmy również po jeździe, kiedy Lewandowski prowadził nas do kojca. Na miejscu okazało się, że Walczak ma całkiem niezłe podejście do psów. Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz nie mogłam nie zauważyć, że w ciągu kilku minut nie dość, że pobrał Nepalowi wymaz z ucha, to jeszcze zrobił zastrzyk z antybiotyku. Muszę przyznać, że mi zaimponował.

Wróciliśmy do zaparkowanego przed domem motocykla.

– I co, podobało ci się? – zapytał, bez skrępowania przechodząc ze mną na ty.

– To, jak sobie poradziłeś z Nepalem?

Damian uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie. Jazda na motorze.

– Okropne – aż się wzdrygnęłam. – Nie wiem, co w tym pociągającego, naprawdę. W życiu bym mu się nie przyznała, że mi się podobało.

– Hm... W takim razie nie będę cię narażał na dalszy stres. Stąd do przychodni na piechotę masz dziesięć minut. See you!

Po czym wsiadł na motor i odjechał.

W pierwszym odruchu chciałam rzucić się za nim z krzykiem, na szczęście jednak jakoś udało mi się powstrzymać, dzięki czemu uratowałam resztki godności.

To taki żart. Wróci po ciebie, zobaczysz, za minutę będzie z powrotem – spróbowałam zbagatelizować sprawę, ale kiedy huk silnika ucichł za zakrętem i rozpląnął w popołudniowym powietrzu, wściekła chwyciłam torbę i ruszyłam energicznym krokiem w kierunku bramy. I super, i bardzo dobrze, pomyślałam ze złością. Będę miała bardzo miły spacer. A pan, panie Walczak, ciekawe, jak się wytłumaczy Rudnickiemu.

Nie wiem, czy w ogóle się musiał tłumaczyć, a jeżeli tak, to co powiedział, ale cała ta krępująca sytuacja nie miała żadnych zauważalnych konsekwencji. Kiedy po dziesięciu minutach weszłam do lecznicy, obaj zachowywali się tak, jakby zupełnie nic się nie stało.

– Pani Magdo, wiem, że już późno, ale czy mogłaby pani jeszcze przed wyjściem przygotować preparaty do badań? – poprosił Rudnicki.

W efekcie o pierwszej, o której powinnam skończyć pracę, byłam w trakcie oznaczania próbek i nic nie wskazywało na to, że uda mi się wyjść wcześniej niż za pół godziny. Teoretycznie nie był to dramat, Kaja kończyła lekcje o wpół do drugiej, więc powinnam zdążyć ją odebrać, a Kuba jeszcze później. Ale niestety oprócz teorii życie składa się również z praktyki, która akurat tego dnia postanowiła dojść do głosu.

Dziesięć po pierwszej odezwał się mój telefon. Dzwonił Kuba. Odebrałam

z dziwnym przeczuciem, że nadciągają komplikacje.

– Gdzie jesteś? – w głosie mojego syna brzmiało święte oburzenie.

Ponieważ na to pytanie wolałam nie odpowiadać, odbiłam piłeczkę.

– A ty?

– Przed domem! Z Matim!

– Przecież dzisiaj kończycie o wpół do trzeciej!

– Zwolnili nas z dwóch ostatnich. I zaprosiłem Mateusza na granie, a ciebie nie ma!

Sprawa z punktu widzenia mojego syna musiała naprawdę wyglądać poważnie. W ciągu tylu lat edukacji ani razu się nie zdarzyło, żeby wrócił ze szkoły i pocałował kłankę.

– Synku, będę za piętnaście minut. Poczekaście grzecznie, OK?

Rozłączył się, obrażony.

Zobaczyłam ich już z daleka. Najwyraźniej nasze rozumienie sformułowania „grzecznie” było różne, bo Kuba wraz z przyjacielem walczyli na środku ulicy mieczami sporządzonymi z długich, zdrewniałych pędów leszczyny. Okładali się nimi i dźgali zapamiętale, a ostre czubki przelatowały co chwila niebezpiecznie blisko ich twarzy. Zaparkowałam z piskiem opon tuż obok, ale nie przerwali fechtunku.

– Przestańcie! – krzyknęłam. – Natychmiast!

Niechętnie opuścili patyki.

– Co to za głupia zabawa? – zaatakowałam ostro, chcąc prawdopodobnie zagłuszyć wyrzuty sumienia, bo przecież gdybym była w domu, nie doszłoby do takich ekscesów. – Chcecie sobie powydłubywać oczy?

Chłopcy spojrzeli po sobie, a na ich twarzach pojawił się błogi wyraz. Wyglądało to tak, jakby wizja gałek ocznych rozpływających się na asfalcie bardzo im się spodobała.

– Bijemy się jak w *Grze o tron* – wyjaśnił Kuba.

– A skąd wiesz, jak się tam biją? – spytałam czujnie.

Mój syn zrobił najniewinniejszą minę na świecie. Znałam jeszcze tylko jedno dziecko, które potrafiło tak błyskawicznie zmienić swój image z przestępcy w aniołka, i była to siostra Kuby. Pomyślałam, że przeszedł u niej krótkie szkolenie. Możliwe, że płaćne.

– Widziałem trailer.

I znowu to poczucie kompletnej bezradności wychowawczej.

– Do domu! – rozkazałam. – Natychmiast! – A widząc, że Mateusz rusza w kierunku naszej furtki, dodałam kategorycznie: – Każdy do swojego!

– Musimy porozmawiać.

Kuba siedział przy komputerze, tyłem do mnie, i udawał, że mnie nie słyszy. Weszłam do pokoju, zamknęłam za sobą drzwi i przysiadłam na łóżku.

– Halo!

Synek niechętnie odwrócił się w moją stronę.

– Kochanie, to nie jest serial dla dzieci w twoim wieku – zaczęłam łagodnie. – Pokazują tam rzeczy, których oglądanie może zrobić ci krzywdę.

Kuba prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Chłopaki oglądają i nic im nie jest.

Odchrząknęłam.

– Bo to nie wypala oczu. Rani na zupełnie innym poziomie. Teraz możesz jeszcze tego nie wiedzieć, ale oglądanie takich rzeczy, kiedy jest się jeszcze zbyt młodym, może cię zmienić. A ja nie chcę, żebyś się zmieniał.

– Inne mamy swoim dzieciom pozwalają. – Jakby w ogóle nie słuchał tego, co mówię.

– Mnie nie obchodzą ani inne dzieci, ani inne mamy. Mnie obchodzisz tylko ty – pogłaskałam go po rękę. – W którym jesteś sezonie?

Kuba spuścił wzrok.

– Dopiero zacząłem pierwszy. Wszyscy już są dużo dalej.

Poczułam ulgę.

– Rozumiem. I mam propozycję. Będziemy *Grę...* oglądać razem i rozmawiać o wszystkim, co tam się dzieje. I postaramy się omijać te bardziej drastyczne sceny. Co ty na to?

Kuba zastanowił się.

– Okej. Zaczniemy dzisiaj?

Już chciałam się zgodzić, kiedy przypomniałam sobie, że najpierw koniecznie powinnam się zobaczyć z Jackiem i opowiedzieć mu o wszystkim, co widziałam w Lublinie.

– No, dzisiaj akurat nie. Muszę pójść do Sikorów.

W tym momencie dotarło do mnie, że pierwszy raz od bardzo dawna pojawiło się w moim życiu coś, co stało się ważniejsze od rodziny. To nie była miła refleksja. Wyrzuty sumienia, tak jakby tylko na to czekały, wystrzeliły w górę jak strumień ropy naftowej w świeżym odwiercie – tak samo ciemne, lepkie i toksyczne. Ale ku mojemu zdziwieniu Kuba przeszedł nad moim popołudniowym wyjściem do porządku.

– Czy wujek już złapał tego mordercę?

– Podobno tak.

– Wujek jest super! – w jego głosie zabrzmiało prawdziwe uznanie. – Dowiedz się od niego wszystkiego. – A ponieważ się nie ruszałam, dodał: – No idź.

– Idę. Tylko najpierw musisz mnie na dwie minuty wpuścić do komputera.

Synek niechętnie się odsunął. Zalogowałam się i otworzyłam Facebooka. Na ikonie messenger'a wyświetlała się czerwona jedyńka. Wiadomość była od Sylwii, która zamiast zdjęcia miała awatar, i zawierała tylko trzy słowa, napisane drukowanymi literami: **PRZYKRO MI POMYŁKA.**

Zostały jeszcze dwie osoby.

Weszłam w czaty. Ani jedna, ani druga wiadomość nie została jeszcze odczytana.

Nie pozostawało mi nic innego, tylko czekać.

ROZDZIAŁ 29

Nadszedł wieczór. Ogarnęłam dom tak, żeby jak najmniej obciążać Tomka, po czym poinformowałam go, że wychodzę.

– Do Sikorów? Znowu? – zapytał z wyrzutem.

Znałam ten ton bardzo dobrze.

– Muszę opowiedzieć Jackowi o pogrzebie – zaczęłam się tłumaczyć. Taki odruch.

– To on cię tam wysłał? Może niech cię weźmie na etat!

Czułam, że Tomasz zaczyna się nakręcać. Kiedyś posłusznie odwołałabym spotkanie i zaczęła robić wszystko, żeby udobruchać męża. Dzisiaj natomiast pierwszy raz poczułam, że nie mogę ustąpić. Ze względu na Weronikę, ale też trochę ze względu na siebie.

– Nikt mnie nigdzie nie wysłał – starałam się, żeby mój głos zabrzmiał pewnie i stanowczo. – Pojechałam, bo uważałam, że wypada. Zresztą sam mnie do tego namawiałeś. Ale przez przypadek dowiedziałam się różnych rzeczy, które chcę przekazać Jackowi. Proszę, nie denerwuj się na mnie i nie wściekaj. Dzieci nakarmione, pies nakarmiony, dla ciebie jest sałatka w lodówce. Muszę iść.

I nie czekając, aż się otrząśnie z szoku, wyszłam.

U Sikorów, o dziwo, atmosfera również była napięta. Jacek i Elka właściwie nigdy się nie kłócili. Zupełnie jak my, tyle tylko, że u nas ten mechanizm działał zupełnie inaczej. Mnie kłótnia kojarzyła się z ostateczną katastrofą, dlatego unikałam jej jak ognia, kosztem daleko, naprawdę daleko idących ustępstw. U Sikorów podniesione głosy czasami się zdarzały, ale nikt nigdy na nikogo się nie obrażał, a mocniejsze wymiany zdań kończyły się dopiero wtedy, kiedy uzyskiwali satysfakcjonujący obie strony kompromis. Mój mąż twierdził co prawda, że każdy kompromis jest zgniły, ale

u Sikorów całkiem to nieźle funkcjonowało. Dziś jednak zastałam ich w nastrojach wzajemnie nieszczególnych.

– Nie mam wina – oświadczyła na wstępie Elka. – Bo gdybym miała, urznąłabym się w trupa. Tak, trup to jest to słowo.

Wizja urzynającej się w trupa Elżbiety najpierw mnie nieco rozbawiła, a potem – zaniepokoiła, bo zorientowałam się, że mówi poważnie.

– Coś się stało? – zapytałam ostrożnie.

– Zapytaj swojego kumpla – zasugerowała i poszła do kuchni, zostawiając mnie sam na sam z Jackiem.

– Odkryła, że popalam – wyjaśnił. – Jest wściekła. Nic nie rozumie.

Choć wyglądał jak zbity pies, najwyraźniej tliła się w nim jeszcze wola walki.

– A co mam rozumieć? – dobiegło z głębi mieszkania i sekundę później Elka była z powrotem. – Że jest ci trudno, tak? Że masz stres w pracy? Że nerwy? A pomyślałeś, jaki ja będę miała stres, jak ci będę musiała do szpitala nosić przecierane, kurwa, zupki?

Uuuuu... Grubo.

Jacek aż się skulił, ale Elka dopiero się rozkręcała.

– Może wymyślimy wspólnie napis na nagrobek? „Tu leży świętej pamięci Jacek Sikora. Odszedł od nas po długiej i ciężkiej chorobie, którą sobie zafundował na własne życzenie. Mając w dupie żonę i córkę. Amen”.

– Nie wszyscy palacze umierają na raka! – zaprotestował.

– Nie. Niektórzy giną w wypadkach samochodowych albo na zawał serca. Szczęściarze. Prawda, Madziu?

No to już niestety była jawna manipulacja. A ja nie znosiłam bycia buforem, za często przerabiałam to z moimi rodzicami. Oboje co chwila wymagali ode mnie, żebym opowiedziała się po którejś ze stron, a ja szczerze tego nienawidziłam.

– Wpadnę, jak wam przejdzie, co? – zaproponowałam, ale zdaje się nie potraktowali tego poważnie.

– Może ty, Jacku, też nie dożyjesz choroby? – zastanawiała się Elka. – W końcu masz niebezpieczną pracę. Zastrzelą cię z głowy. Właściwie czym ja się przejmuję? –

Nie dość, że mówiła coraz głośniej, to jeszcze zaczęła zamazywać gestykulować.

Wycofałam się do drzwi i cicho zamknęłam je za sobą. Choć zapewne nawet gdybym nimi trzasnęła z całej siły, i tak by nie zauważyli.

Wieczór dobiegał końca. Gorące powietrze, parujące z nagrzanego w ciągu dnia asfaltu mieszało się z wilgotnym chłodem nocy, na niebie zapalały się gwiazdy, miasto powoli otulała cisza. Ruszyłam w kierunku domu, powtarzając sobie w myślach *Spóźnionego słowika*, wiersz w tych okolicznościach cudownie adekwatny. Mnie również nigdzie się nie spieszyło.

Nie zdążyłam dojść do skrzyżowania z Jana Pawła, kiedy usłyszałam za sobą lekko zdyszane:

– Magda! Poczekaj!

To był Jacek. Dogonił mnie i przez chwilę szliśmy obok siebie bez słowa.

– Myślisz, że ona ma rację? – zapytał w końcu.

– Myślę, że ma – odpowiedziałam ostrożnie. – I ty w gruncie rzeczy doskonale to wiesz.

Westchnął po swoim.

– Naprawdę chciałem rzucić. Ale ta sprawa morderstwa trochę mnie przerosła. Naciski z góry plus niejasność kompetencji, nigdy się wcześniej nie zetknąłem z czymś takim. To znaczy zetknąłem, ale nie na taką skalę.

– Rozumiem. Tyle że Elka ma rację. Musisz skończyć z fajkami. Ona cię kocha i nie chce patrzeć, jak będziesz umierał na raka albo na zawał. Pomyśl o tym.

Niewyraźnym mruknięciem przyznał mi rację. Znowu przez chwilę pomilczeliśmy.

– No dobra, to skąd wiesz, że Maj znała Weronikę? – zmienił temat.

Z ulgą, że mogę wreszcie z kimś o tym porozmawiać, opowiedziałam mu o pogrzebie, stypie i odnalezionym zdjęciu.

Jacek w dalszym ciągu nie podzielał mojego entuzjazmu.

– To nas wcale do niczego nie przybliżyło. Znały się, były razem w Londynie, może

Weronika dała jej ten wisiołek, to wszystko. Co innego, gdyby Wera zaginęła w Anglii. Wtedy tak, ten kontakt mógłby się okazać ważny. Ale ona wróciła do domu, do Podkowy, i dopiero potem zniknęła. To, że jest z tymi dziewczynami na zdjęciu, o niczym nie świadczy. Byłaś jej najlepszą przyjaciółką. Słyszałaś o nich kiedykolwiek?

Pokręciłam przecząco głową. Niestety, wywód Sikory był aż do bólu logiczny i nie miałam już siły się z nim sprzeczać.

– Dobrze, niech ci będzie – poddałam się. – Pewnie masz rację.

Zatrzymaliśmy się przed moją furtką.

– Wejdiesz na chwilę? – zaproponowałam, choć w głębi duszy czułam, że to nie jest dobry pomysł. Tomek za Jackiem nie przepadał, o czym już chyba wspominałam, więc konfrontowanie ich z zaskoczenia, w dodatku na gruncie należącym do mojego męża, mogło się skończyć katastrofą.

Miałam nadzieję, że Sikora z zaproszenia nie skorzysta, ale nie doceniłam jego strachu przed Elką.

– A wiesz, chętnie – ożywił się i najspokojniej w świecie wpakował do ogrodu.

Teraz mogłam się tylko modlić, żeby Tomek już spał. Ale musiałyby to być bardzo żarliwa modlitwa, ponieważ dopiero minęła dwudziesta pierwsza. O tej porze nawet moje dzieci nie miały zwyczaju leżeć w łóżkach.

Istotnie, nie leżały. Kaja podrygiwała przed telewizorem do jakiejś tanecznej aplikacji, a Kuba, o dziwo, zamiast przed komputerem, siedział w kuchni i przygotowywał pracę na plastykę, posypując mokry arkusz papieru mąką. Oboje na pytanie: „Gdzie tata?” nie potrafili udzielić odpowiedzi.

Nieobecność Tomasza najpierw wywołała u mnie ulgę, a dopiero potem zdziwienie, choć umiarkowane. Mógł być w garażu albo w szopie w ogrodzie, ewentualnie u sąsiada. Zadzwoiłam, ale jego numer był zajęty. Trudno, pomyślałam i postanowiłam nie zaprzętać sobie tym głowy.

Pomimo protestów wygoniłam dzieciaki na górę i zajęliśmy z Sikorą kuchnię. Wstawiłam wodę na herbatę, a z szafki wygrzebałam jakieś prastare herbatniki, cudem nie pożarte przez młodych. Potem usiadłam przy stole i bez słowa czekaliśmy, aż

zagotuje się woda. W powietrzu między nami zawisło pytanie, które w końcu odważyłam się zadać.

– Jak śledztwo?

Właściwie byłam pewna, że dostanę po uszach, że znowu wsadzam nos w nie swoje sprawy, ale nie.

– Właściwie w porządku – odpowiedział Sikora normalnym tonem, nie siląc się na uszczypliwość. – Mamy odciski palców na narzędziu zbrodni, mamy dwa połączenia z telefonu podejrzanego, mamy zeznania rodziców Joanny i sąsiadów, którzy twierdzą, że narzeczony był z tych porywczych. Niby wszystko gra, ale...

– Ale?

– Koleżanki z pracy Joanny twierdzą, że to był dobry związek.

– Wiem – przypomniałam mu.

– Są też pewne niejasności jeśli chodzi o sam sposób zabójstwa. Morderca zadał jeden cios. Mocny i precyzyjny. To wyklucza afekt, bo w afekcie sprawca najczęściej dźga bez opamiętania i chaotycznie.

– Oczywiście. – Nawet ja, choć całą moją wiedzę o morderstwach czerpałam z kryminałów i seriali, to wiedziałam.

– Ale jest jeszcze coś. Ostrze zostało wbite w ciało od dołu, pod ostrym kątem. To oznacza, że sprawca stał blisko ofiary. Masz może coś o podobnej długości, co ten szpikulec?

– Nie mam – odpowiedziałam odruchowo, ale prawie natychmiast się poprawiłam: – Mam. Moment!

Wstałam od stołu i poszłam do sionki, gdzie ze stojaka na parasole wyłowiłam różową parasoleczkę, własność Kai, rzecz jasna. Kiedy wróciłam z nią do kuchni i podałam Sikorze, parsknął śmiechem.

– No niezły sprzęt. Ale masz rację, długość podobna.

Oddał mi parasolkę.

– Spróbuj! – zażądał.

– Co spróbuj?

– Spróbuj mi to wbić. O, tutaj – klepnął się w klatę.

Chwyciłam parasolkę za rączkę i przypominając sobie walczących na patyki chłopców, zaczęłam dźgać.

– Auć! – jęknął Sikora. – Uspokój się! Chyba naprawdę mnie nie lubisz.

– Przecież sam mi kazałeś!

– Pamiętasz, co powiedziałem o wynikach sekcji? Ostrze zostało wbite od dołu!

No, to zdecydowanie komplikowało sprawę. Przymierzałam się kilka razy, próbując uzyskać efekt, o jaki chodziło Sikorze. W końcu, po wielu nieudanych próbach, udało mi się. Dźgnęłam Jacka w serce parasolką. Od dołu.

– No właśnie – powiedział w tym momencie Jacek. – Patrz, jak ją trzymasz.

Stałam tuż przy nim, między nami była odległość może dziesięciu, może piętnastu centymetrów. Czubek parasolki wbijał się od dołu pod ostrym kątem w ciało Sikory, ale żeby to było możliwe, musiałam ją chwycić w połowie długości.

Przez chwilę oboje przyglądaliśmy się tępo mojej dłoni zaciśniętej w połowie parasolki.

– Myślisz o tym samym, co ja? – zapytałam.

– A o czym ty myślisz?

– O odciskach palców.

– Oczywiście, że o odciskach. A po co kazałbym ci machać tą parasolką? Morderca zabijając, nie trzymał za rączkę, tylko tak jak ty teraz – w połowie długości. Zatem nie interesują nas odciski palców z rączki, tylko z samego prętu.

– To jakiś problem? – zainteresowałam się.

– Tak. Bo tam ich nie ma – powiedział. – Tam w ogóle nie ma żadnych odcisków. Zdaje się, że pręt od góry do dołu został dokładnie wyczyszczony. Z wyjątkiem rączki.

Usiedliśmy znowu do stołu.

– Oczywiście Cieślak mógł się pomylić i wytrzeć środek, a zapomnieć o rączce, albo nie zdążyć. Ale to mało prawdopodobne.

– Wiesz, co ja myślę? – ożywiłam się. – Że morderca specjalnie użył tego szpikulca, który wcześniej trzymał w ręku Cieślak, żeby zrzucić na niego podejrzenie. Ktoś chce go zrobić, mówię ci!

Sikora w zamyśleniu pokiwał głową.

– Teoretycznie morderca mógł być wśród gości na tarasie. Widział kłótnię, czyli założył, że my założymy, że Cieślak miał motyw. Widział też, że facet trzymał w ręku ten pręt, więc go wykorzystał. Zabił nim, potem wytarł swoje odciski palców, a odciski Cieślaka zostawił. Ale to bardzo naciągane jest. No i co z telefonem? Tuż przed morderstwem były dwa połączenia na komórkę ofiary z numeru narzeczonego. Cieślak zamknął telefon razem z innymi rzeczami w szafce, sam poszedł pływać. Twierdzi, że to nie on dzwonił, ale nikt inny nie miał dostępu do jego komórki, więc...

– Mógł mieć! – przerwałam mu gwałtownie. – Posłuchaj! Oni mają tam coś takiego, co się nazywa klucz uniwersalny! Otwiera każdą szafkę i jest bez problemu dostępny, to znaczy wisi w gablotce przy wejściu. Każdy mógł z niego skorzystać!

– Nie ekscytuj się, nie każdy – zwrócił mi uwagę Jacek. – Tylko ten, kto wiedział, że coś takiego w ogóle istnieje.

– Tym lepiej! To nam zawęży liczbę podejrzanych!

– Madziu, nie nam, tylko mnie. – Sikora wstał, energicznie odsuwając krzesło. – Kiedy wychodziłem z domu, miałem prawie zamknięte śledztwo, a teraz w ciągu kwadransa wszystko się na nowo skomplikowało. Lepiej już pójdę.

– No ale przecież sam widzisz.

– Nic nie widzę, kotek. Poza rozpieruchą.

I wyszedł.

ROZDZIAŁ 30

Tomka ciągle nie było. Zadzwoiłam do niego, ale telefon znowu był zajęty.

Jeszcze niedawno, podczas tej nieszczęsnej afery z kwitkiem, zaczęłabym na pewno podejrzewać, że wyszedł z domu, żeby w spokoju porozmawiać z kochanką. Ale teraz, zamiast histeryzować i wyobrażać sobie przeróżne niestworzone historie, spokojnie zabrałam się za usuwanie śladów pobytu Sikory.

Chwilę później Tomek oddzwonił.

– Jeżeli chcesz zostać dłużej, kochanie, nie ma sprawy.

Przez chwilę nie załapałam, o co chodzi.

– Gdzie dłużej zostać?

Teraz on miał problem z ogarnięciem tego, co powiedziałam.

– U Sikorów.

No tak, miałam być przecież u nich. Trudno było przypuszczać, że wrócę po kwadransie.

– Ale ja już jestem w domu – wyjaśniłam.

Tomek wyraźnie się spieszył.

– A, widzisz, bo ja wyszedłem do ogrodu na moment.

Rozłączył się i chwilę później był w kuchni.

– Dlaczego tak szybko wróciłaś? – zapytał.

Odniosłam wrażenie, że jest lekko zdenerwowany.

– Nie było atmosfery – wyjaśniłam oględnie. – Poza tym to chyba dobrze, że już jestem?

– Jasne, jasne! – zreflektował się i nagle potężnie ziewnął. – Ależ mi się spać zachciało. To chyba to wieczorne powietrze. Idę się położyć.

Niektóre emocje zostawiają tak głęboki ślad, że ciało zapamiętuje je na długo. Nie wiem, czy ton głosu mojego męża, czy jakieś słowo, które wypowiedział,

spowodowało, że nagle poczułam w brzuchu dziwny skurcz niepokoju. Przestań wariatko, skarciłam się natychmiast, ale mimo to nie udało mi się powstrzymać i zadałam pytanie, którego zadać nie powinnam.

– Z kim tak długo gadałeś?

Już w momencie, kiedy skończyłam mówić, poczułam się jak idiotka, zazdrosna, naiwna idiotka. Ale było za późno, żeby się wycofać.

Tomasz zatrzymał się w drzwiach i odwrócił do mnie, zaskoczony.

– Ja? Gadałem? O co ci chodzi?

No właśnie. Syndrom kobiety niedowartościowanej: podejrzliwość. Chorobliwa podejrzliwość.

– Dzwoniłam do ciebie, miałeś zajęte – zaczęłam się tłumaczyć, ale zabrzmiało to żałośnie. W każdym razie w moich uszach. Bo Tomasz, wbrew pozorom, ani mnie nie wyśmiał, ani nie skarcił, tylko powiedział:

– Aaaa, teraz? Do biura dzwoniłem. Wyskoczyły mi jutro dwa spotkania, jedno po drugim, tłumaczyłem Beacie, czego będę potrzebował.

Zabrzmiało to gładko i logicznie, a ja natychmiast poczułam ulgę. Asystentka Tomka, Beata, zwana też Betty, była miłą, mało skomplikowaną, ale w pełni profesjonalną młodą kobietą, a dzięki sporej nadwadze oraz niechęci do makijażu nawet przy najlepszych chęciach trudno ją było uznać za atrakcyjną. Być może właśnie dlatego bardzo ją lubiłam. Sprawiała na mnie wrażenie osoby prostodusznej i lojalnej i myślę, że gdyby kiedykolwiek z Tomkiem zaczęło się dziać coś niepokojącego, o czym powinnam wiedzieć, Beata by mnie o tym poinformowała.

– Masz szczęście z tą Betty – powiedziałam, żeby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie po swoim durnym pytaniu. – Gdyby nie ona...

– Bez przesady – uciął Tomek. – Jest normalną, sprawną asystentką, to wszystko. Idę na górę – rzucił oschłym tonem. – Nie zapomnij o psie, jest na dworze.

Ten, kto by obstawiał, że Tomek zatroszczył się o Alfa, przegrałby. Chodziło tylko i wyłącznie o to, żeby uprzedzić moment, w którym nasz pieseczek zacznie drapać do drzwi. Każda kolejna rysa na framudze była przez Tomka odnotowywana i udokumentowywana fotograficznie. Że też mu się chciało, naprawdę.

Na górę weszłam jakieś dziesięć minut po mężu, ale zamiast do sypialni, swoje kroki skierowałam do pokoju Kuby.

Synek, o dziwo, już spał, posapując i świszcząc przez nos, co mogło oznaczać początek kataru, ale równie dobrze mogło nie oznaczać nic. Odruchowo sprawdziłam dłonią jego czoło, było chłodne i suche, co mnie uspokoiło. A potem otworzyłam komputer.

Logując się na Facebooka, nie spodziewałam się zbyt wiele. Po pierwszym rozczarowaniu zrozumiałam, że ta droga poszukiwań wcale nie musi skończyć się sukcesem, więc starałam się na nic specjalnie nie nastawiać. Dlatego czerwona dwójka oznaczająca dwie nowe wiadomości pozytywnie mnie zaskoczyła. Otworzyłam pierwszy czat.

„Witam. Nie znam żadnej z tych osób i nigdy nie byłam w Londynie. Pozdrawiam. Sylwia”.

Nic z tego nie będzie, pomyślałam. To jak szukanie wiatru w polu.

Dla porządku kliknęłam w ostatnią wiadomość.

Były tu tylko dwa słowa: „To ja” i numer telefonu.

Udało się, pomyślałam z niedowierzaniem. A więc jednak. Udało się!

Reszta wieczoru i pół nocy upłynęły mi na snuciu domysłów, czego dowiem się od Sylwii, a kiedy w końcu usnęłam, śniła mi się Weronika w długiej, balowej sukni, jadąca na rowerze przez las. Suknia była w tym samym intensywnie czerwonym kolorze, co sukienka Joanny Maj, którą miała na sobie tamtego dnia, gdy zginęła. Materiał co chwila zaczepiał o gałęzie drzew i rwał się, pozostawiając wzdłuż ścieżki ślady czerwone niczym krew.

Dźwięk budzika powitałam z ulgą, ale poranek, który po nim nastąpił, nie należał do udanych. Wstałam z łóżka zmęczona i niewyspana, co znalazło swoje odbicie we współpracy z dziećmi. Czy raczej – w braku współpracy, bo rzadko nam się zdarza w ciągu czterdziestu pięciu minut zaliczyć dwie ostre kłótnie i jedną szamotaninę

między młodymi, która skończyła się szlabanem dla Kuby na komputer. W efekcie przyjechaliśmy pod szkołę spóźnieni. Nie jakoś dramatycznie, w sumie raptem pięć minut, ale to wystarczyło, żeby Kaja dostała histerii, a Kuba czkawki ze śmiechu, bo w jego mniemaniu siostra cała we łzach i glutach wyglądała potwornie śmiesznie.

Kiedy tylko drzwi Chrupka trzasnęły na pożegnanie, sięgnęłam drżącą dłonią do torebki po komórkę i wybrałam przepisany wczoraj z czatu numer telefonu Sylwii Jakobielskiej.

Odebrała po czwartym sygnale.

– Słucham? – w głosie kobiety wyczułam lekkie wahanie.

Znałam ten asekuracyjny ton, sama reagowałam identycznie, kiedy na ekranie wyświetlało się „numer nieznany”.

– Dzień dobry. Magda Borowska. Pisałam do pani na Facebooku.

– Och, to pani. Miło mi. W czym mogę pomóc?

Miała łagodny, ciepły głos. Pomyślałam, że musi być bardzo empatyczną osobą.

– Znalazłam panią na zdjęciu sprzed siedemnastu lat, z Londynu. Jest pani na nim razem z moją przyjaciółką, Weroniką Dąbrowską, i jeszcze jedną dziewczyną, Joanną Maj. Nie wiem, czy pani je w ogóle pamięta.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedziała spokojnie. – Bardzo dobrze pamiętam.

Poczułam, jak nagle wszystko wokół mnie zamiera. Liście klonów rosnących wzdłuż drogi, które jeszcze przed chwilą falowały na wietrze, zatrzymały się w pół ruchu, ptaki przestały śpiewać, psy szczekać. Otoczyła mnie bańka ciepłego powietrza, a czas przestał płynąć. Trwało to może pół sekundy, może dwie. A potem wszystko nagle wróciło ze zdwojoną intensywnością.

– Nawet pani nie wie, jak się cieszę – głos mi drżał ze wzruszenia. – Czy mogłybyśmy się spotkać? Bo to raczej nie jest rozmowa na telefon. Pani mieszka w Warszawie?

– Owszem. Ale jutro rano wyjeżdżamy z dziećmi nad morze. Wie pani, póki nie ma sezonu. Proszę mnie łąpać za jakieś trzy tygodnie, dobrze?

– O nie! – jęknęłam. – Nie mogę tyle czekać! To dla mnie bardzo ważne! A dzisiaj

by się nie udało? Błagam. Nie zajmę pani dużo czasu.

Kobieta westchnęła.

– No dobrze. Będę dziś w centrum po południu. Może Starbucks przy Emilii Plater o szesnastej? Pasuje pani?

Miałam ochotę z radości ją wyściskać, ale przez telefon mogłam tylko krzyknąć:

– Tak! Świetnie! Idealnie!

I dopiero kiedy się rozłączyłam, dotarło do mnie, że o żadnym „idealnie” mowy nie ma.

Mój następny telefon w związku z tym brzmiał tak:

– Jak ja nie znoszę tej twojej poczty głosowej, tato. No ale dobrze, pewnie masz pacjentów. Dzwonię z prośbą. Coś mi arcyważnego wypadło i muszę pojechać do Warszawy. Na czwartą. Czy mógłbyś w tym czasie posiedzieć z dziećmi? Wiem, że to według ciebie już duże konie, ale jednak pewniej bym się czuła, gdyby był z nimi ktoś dorosły. Nawet ty. Muszę wyjść z domu przed trzecią, więc bądź proszę koło wpół do.

Możecie sobie wyobrazić, jaki był poziom mojej desperacji, skoro poprosiłam o pomoc najgorszego babysittera ever? Jedyna nadzieja w tym, że moje dzieci nie były już niemowlakami. W przeciwnym wypadku chyba wolałabym je zabrać ze sobą.

ROZDZIAŁ 31

Nie mam pojęcia, jak wygląda życie w miejscowościach, które nie mają kolejki WKD. Zakładam, że jakoś wyglądać musi, ale zapewne lichutko. Połączenie z samym centrum Warszawy, pociągi kursujące co dziesięć minut w szczycie, a co kwadrans poza szczytem, w dodatku punktualnie co do sekundy, no i czas – z Podkowy do stacji Warszawa Śródmieście jedzie się niecałe czterdzieści pięć minut, czyli zdecydowanie krócej niż autem, to wszystko sprawia, że mieszkańcy miejscowości leżących przy linii WKD mogą czuć się wybrani. I dokładnie tak właśnie się czułam za każdym razem, podróżując kolejką do Warszawy i patrząc przez okno na mijane po drodze domy, ulice, zagajniki i łąki.

Jednak dzisiaj byłam za bardzo zdenerwowana, żeby oddawać się tak spokojnym i leniwym rozważaniom. Z równowagi zdążył mnie wyprowadzić mój ojciec, wpadając w ostatniej chwili z radosnym komunikatem, że zabiera Kubę i Kaję do kina, bo skoro jest dziadek, to musi być frajda. Takie drobiazgi jak odrabianie lekcji czy czytanie lektury kompletnie go nie interesowały, stanowiły jedynie atrakcyjne tło dla jego szaleństwa. W każdej innej sytuacji próbowałabym wybić ojcu ten pomysł z głowy, ale dzisiaj byłam na niego skazana, nie pozostało mi więc nic innego, jak zamknąć za nimi drzwi i modlić się, żeby wrócili do domu przed Tomkiem. Mnie akcja „kino w środku tygodnia” mogła się nie podobać, Tomasz byłby po prostu wściekły.

Ale nawet bez tych dodatkowych atrakcji z każdą minutą, która przybliżała mnie do spotkania z Sylwią, czułam narastający lęk, a mój żołądek stopniowo zmieniał się w zaciśniętą pięść. Nie wiedziałam do końca, czego się spodziewać, ale podświadomie czułam, że dotknę spraw i emocji, które zabolą.

I miałam rację.

Wybrałam stolik na dole, naprzeciwko wejścia. Pojawiła się pięć po czwartej i na początku jej nie rozpoznałam, bo nie była sama – razem z nią do kawiarni wpadły bliźniaki, na oko mniej więcej trzyletni identyczni chłopcy, jeden w zielonej, drugi w granatowej koszulce. Dzieci natychmiast zawładnęły przestrzenią, robiąc zamieszanie charakterystyczne dla swojego wieku. Dopiero kiedy odciągnęła jedno z dzieci od lady, a drugie od kosza na śmieci i wyprostowała się, rozglądając po sali, zorientowałam się, że to ona. Miała ciemniejszy kolor włosów i ważyła o jakieś dwadzieścia kilo więcej niż na zdjęciu, ale rysy niewiele jej się zmieniły. Serce zaczęło mi bić mocniej i poczułam podekscytowanie podobne do tego, które ogarnęło mnie na widok fotografii Sylwii, Joanny i Weroniki.

Poczekaliśmy, aż spojrzy w moim kierunku i pomachała do niej. Uśmiechnęła się, jakbym była dawno niewidzianą przyjaciółką, i pociągnęła dzieci w kierunku mojego stolika. Wstałam.

– Dzień dobry. Magda – uśmiechnęłam się.

– Sylwia. Przepraszam, nie miałam ich z kim zostawić.

Uwolniła dłoń z rączki dziecka i wyciągnęła w moim kierunku. Jej uścisk był szybki, nerwowy i odrobinę lepki.

– To Marek i Mirek – przedstawiła synów. – Przywitajcie się ładnie.

Chłopcy bąknęli coś pod nosem, co od biedy można by było uznać za „dzień dobry”.

Sylwia szybko i sprawnie zorganizowała dodatkowe dwa krzesła i posadziła na nich dzieci.

– Napijesz się kawy? – mówienie jej po imieniu przychodziło mi zupełnie naturalnie. – Herbaty? A może oni mają na coś ochotę?

– Ja dziękuję. Ale może rzeczywiście dwa soczki jabłkowe dla nich.

Kiedy wróciłam z soczkami, szklankami i słomkami, chłopcy zdążyli już podrzeć kilka serwetek, rozsypać na stole cukier i wypłoszyć siedzącego przy sąsiednim stoliku młodego człowieka, który usiłował coś wcześniej pisać na komputerze.

Sylwia naląła sok do szklanek i podała dzieciom, które natychmiast zajęły się puszczaniem bąbli przez słomki. Wyglądało na to, że będziemy miały chwilę spokoju.

– Jestem, czy raczej byłam, bliską przyjaciółką Weroniki – zaczęłam.

A potem opowiedziałam jej w skrócie o zaginięciu Wery, o wisiorcu, o tym, jak spotkałam Joannę, o morderstwie i pogrzebie, a w końcu – o zdjęciu, które znalazłam.

– Chciałabym się dowiedzieć wszystkiego, co wiąże się z Weroniką i jej pobyt w Londynie. Nie wiem, czy to pomoże w rozwiązaniu zagadki jej zniknięcia, ale jeżeli nagle, po siedemnastu latach, ta sprawa wróciła, chciałabym przynajmniej spróbować ją wyjaśnić.

Widziałam, że informacja o śmierci Joanny i o tym, co stało się z Wera, zrobiła na Sylwii duże wrażenie.

– Jakie to wszystko przykre – westchnęła. – No cóż. Poznałyśmy się w Londynie. Mieszkałyśmy we trzy w jednym pokoju, żeby było taniej. Ja, Weronika i Asia. Wszystkie przyjechałyśmy, żeby pracować i jak najwięcej zarobić. Ja sprzątałam. W ciągu dnia prywatne domy, wieczorami – biura. Asia zamiatała podłogę i myła włosy klientkom w zakładzie fryzjerskim, a Weronika kelnerowała. To była całkiem porządna restauracja przy Piccadilly Circus, pensja oczywiście niska, ale napiwki sensowne, w efekcie zarabiała z nas najlepiej. Gdzieś po dwóch, trzech tygodniach Weronika zaczęła się nagle źle czuć.

– Zachorowała? – wtrąciłam się.

Sylwia pokręciła głową, zaskoczona.

– Nie, nie zachorowała. Czyli ty nic nie wiesz?

– O czym?

– Że Weronika była w ciąży?

Przed oczami zawirowały mi czarne plamy. Mało brakowało, a zemdlałabym.

Sylwia patrzyła na mnie, zaniepokojona.

– Co ci jest? Strasznie zbladłaś.

– Nie, nie, już w porządku – uspokoiliłam ją. – Mów dalej, proszę.

– My też na początku nie wiedziałyśmy. Wera najpierw myślała, że to jakiś wirus, dopiero po kilku dniach Aśka poradziła jej, żeby zrobiła sobie test ciążowy.

Przerwała na chwilę, żeby wytrzeć serwetką krople soku, które chłopcy wydmuchiwali cały czas ze szklanek.

– No i wynik wyszedł dodatni – kontynuowała. – Weronika strasznie się ucieszyła.

– Ucieszyła? – to wszystko kompletnie nie mieściło mi się w głowie.

– Była szaleńczo zakochana. Kiedy się tylko dowiedziała o tej ciąży, wybiegła z domu do budki telefonicznej jak wariatka, w nocnej koszuli, zadzwonić do niego. Wróciła jak na skrzydłach. Powiedziała, że ten jej facet jest najszczęśliwszy na świecie.

Cała ta opowieść brzmiała jak Harlequin.

– Kazał jej jak najszybciej wracać do Polski, więc rzuciła pracę z dnia na dzień i wyjechała. Ja już później nie miałam z nią kontaktu, ale pamiętam, że napisała do Asi w sprawie wisiorka. Tego, o którym mówiłaś. Niebieskiej literki W.

– Mamo, chcę siku! – miauknął Mirek. A może Marek. W takim momencie!

Sylwia popatrzyła na mnie wzrokiem, w którym rezygnacja mieszała się z rozbawieniem.

– Możesz mi zostawić drugiego – zaproponowałam heroicznie. – Poradzimy sobie.

Sylwia się roześmiała.

– Nie, oni muszą razem. Zaraz wracam.

Zaraz zajęło całe siedem minut.

– Mówiliśmy o wisiorku i o tym, że Weronika napisała do Joanny w tej sprawie – zagałam, kiedy wrócili.

– No właśnie. Bo on się zgubił. Wera nosiła go ciągle, prawie nie zdejmowała. To był prezent od tego jej ukochanego, traktowała ten wisiorek jak talizman. Niestety, tuż przed wyjazdem Wery literka gdzieś się zapodziała. Przeszukałyśmy całe mieszkanie, nic. W efekcie Weronika wróciła do Polski bez niego i dopiero kilka dni później Aśka znalazła literkę między poduszkami kanapy. Chciała ją odesłać pocztą, ale Weronika zabroniła. Bała się chyba, że po drodze może się stłuc. Umówiły się, że jak Asia będzie wracać, to weźmie wisiorek ze sobą i przekaże Weronice osobiście. – Sylwia odsunęła jednemu z chłopców grzywkę z oczu. – Aśka czytała mi nawet fragment tego listu od Wery. Wera zachwycała się tym swoim facetem, jak on ją kocha i jacy będą szczęśliwi, kiedy się pobiorą. Ale potem przestała się odzywać. Byłyśmy pewne, że nie pisze, bo jest za bardzo zajęta przygotowaniem do ślubu czy coś takiego.

Ta cała historia trochę mnie przerastała. Czułam się jak na rollercoasterze, w którym puściły zabezpieczenia.

– Ten mężczyzna. Kim on był?

Sylwia zmarszczyła brwi.

– Akurat na jego temat nie wiem zbyt wiele. My z Weroniką nie byliśmy blisko, ona się raczej trzymała z Joanną. Na pewno pamiętam, że poznała tego mężczyznę w pracy.

– Przepraszam, chyba się pogubiłam. W pracy w Anglii?

– Nie, w Polsce. Przed wyjazdem do Londynu. Ale nie mam pojęcia, gdzie pracowała.

No tak, oczywiście. Przecież od tego się zaczęło. Weronika miała tak dosyć proszenia ojca o pieniądze, że postanowiła zacząć zarabiać. Znalazła jakieś zajęcie w Warszawie, w restauracji czy kawiarni. I nagle mnie zmroziło, bo przypomniałam sobie jedną naszą rozmowę pod koniec roku szkolnego. Wera zaprosiła mnie na lody do Komorowa. Pojechałyśmy kolejką, całą drogę się śmiałyśmy. W cukierni poprosiłam o jedną kulkę, a Weronika mnie ofuknęła.

– Cztery dla tej pani! – zarządziła, otwierając portmonetkę.

Jak na nasze standardy finansowe, cztery kulki lodów to była rozrzutność.

– Nie patrz tak! – wydeła wargi Wera. – Pracuję, zarabiam, stać mnie.

– Pracujesz?! – To dopiero była nowina. – Gdzie?!

– W knajpie w Warszawie. Nic szczególnego. Wybieraj smaki – odpowiedziała.

Pamiętam, zarzuciłam ją wtedy pytaniami, ale na żadne nie odpowiedziała. Wtedy pierwszy raz poczułam, że nasze światy się rozjeżdżają. Potem to samo wrażenie wróciło do mnie na festynie. Że nie jesteśmy już tak blisko jak kiedyś i że w życiu Weroniki pojawiły się rzeczy, którymi nie chce się ze mną dzielić. Teraz, siedemnaście lat później zrozumiałam, że przecucie mnie nie myliło.

– Proszę, spróbuj sobie przypomnieć jeszcze coś. Bardzo mi zależy – poprosiłam.

– Zdaje się, że... – zaczęła, i ten właśnie moment wybrał Marek, a może Mirek, żeby energicznie przechylić szklankę z sokiem i oblać się nim dokładnie od stóp do głów.

– O nie, synku! – Sylwia poderwała się z miejsca, chwyciła naręcze serwetek i zaczęła najpierw wycierać nimi dziecko, a potem stół. Przez chwilę wydawało się, że sytuacja jest opanowana, kiedy drugi z chłopców, nie mogąc najwyraźniej przeżyć, że jego brat pozostaje w centrum zainteresowania, wziął swoją szklankę do ręki i najspokojniej w świecie wylał sobie cały sok na brzusek.

Tego dla Sylwii było już za wiele.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała drżącym ze zdenerwowania głosem. – Dłużej z nimi tu nie wytrzymam.

– Ale...

– Jak tylko sobie coś więcej przypomnę, napiszę do ciebie.

Chwyciła synów za nadgarstki i ściągnęła z krzeseł.

– Skontaktuję się, obiecuję.

Patrzyłam, jak otwiera szklane drzwi i wychodzi na zewnątrz, w słoneczne miejskie popołudnie, holując za sobą dwie upaprane sokiem istotki.

Do kawiarni na moment wdarły się odgłosy ulicy, ale kiedy drzwi zamknęły się za Sylwią i jej dziećmi, wszystko znowu ucichło. Zaczęłam bezmyślnie wycierać stół wyjętą z pojemnika serwetką.

Weronika była w ciąży.

Weronika była w ciąży.

Weronika była w ciąży.

Zaczęłam płakać. Nie wiedziałam tylko, czy z bólu, czy z poczucia ulgi.

Nigdy nie dopuszczałam do siebie myśli, że Weronice mogło stać się coś złego. Wierzyłam, wbrew upływowi czasu i logice, że Wera nie umarła, tylko – uciekła. Że odcięła się od świata, w którym żyła, a który przytłaczał ją coraz bardziej. Że wybrała wolność, życie z daleka od apodyktycznego ojca, którego szczerze nienawidziła, i uległej, rozedrganej emocjonalnie matki. I teraz nagle dowiedziałam się czegoś, co moje przekonanie potwierdzało. Bo ojciec Wery, prawicowy katolik, nie zniósłby, że jego ukochana córeczka zaszła w ciążę bez ślubu. Co z tego, że była dorosła i powoli stawała się coraz bardziej niezależna, skoro pan Dąbrowski wierzył głęboko, że seks przedmałżeński to droga do piekła. I nawet gdyby natychmiast wzięła ślub z ojcem

dziecka, nie uchroniłoby jej to przed napiętnowaniem i ostracyzmem. W tej sytuacji zniknięcie i spalenie za sobą mostów tym bardziej do Weroniki pasowały. Mogła wyjechać ze swoim chłopakiem do innego miasta lub za granicę, tam urodzić dziecko, zamieszkać, zapuścić na nowo korzenie. Przy odrobinie sprytu zatarcie za sobą śladów w tamtych czasach nie było trudne.

ROZDZIAŁ 32

Najgorsze, że zupełnie nie mogłam przestać płakać. Płakałam, wychodząc ze Starbucksa i całą drogę do stacji kolejki. Płakałam, wsiadając do wagonu i z nosem przyklejonym do szyby, czekając na odjazd. Dopiero na wysokości Pruszkowa trochę się uspokoiliśmy, choć jeśli chodzi o mój wygląd, to i tak nic nie dało – wysiadłam w Podkowie zapuchnięta i z zaczerwienionymi oczami, ale tym razem kompletnie mnie nie obchodziło, czy ktoś mnie zobaczy. Idąc w kierunku domu i ciągle jeszcze trochę pociągając nosem, próbowałam zrozumieć, co się stało. Dlaczego tak gwałtownie zareagowałam na coś, co wydarzyło się pół mojego życia temu? Ja sprzed siedemnastu lat już nie istniałam, a jednak wszystko, co dotyczyło tamtego okresu, bolało jak świeża, posypywana solą rana. Na czym polegał ten mechanizm? Co leżało u jego podstaw? Tęsknota? Zawód? Zawsze zadawałam sobie to pytanie, ale dzisiaj byłam najbliżej odpowiedzi. Zaczęłam sobie uświadamiać, że tym, co trawi mnie od środka i z czym do tej pory nie potrafiłam się uporać, jest poczucie winy. Jak mogłam nie zauważyć wtedy, co się dzieje? Jak mogłam nie zorientować się, że coś jest nie tak? Jak mogłam dopuścić, by Weronika na tyle straciła do mnie zaufanie, że nie powiedziała mi o ciąży? To tak bolało, tak bardzo bolało. I nic nie mogłam z tym zrobić.

Nie, przepraszam. Mogłam. Mogłam odnaleźć Weronikę.

A żeby to zrobić, musiałam się dowiedzieć, kto był ojcem jej dziecka.

W domu panowała cisza, nie było jeszcze ani dzieci, ani Tomasza. Postanowiłam więc wykorzystać chwilę spokoju i zadzwonić do Sikory. Nie odebrał, co nawet mnie nie zdziwiło, wybrałam więc numer Elki.

– Słuchaj, właśnie miałam do ciebie dzwonić! – usłyszałam w słuchawce wesoły głos mojej przyjaciółki. – Jakie kwiaty twoja mama najbardziej lubi?

Pytanie pochodziło z tak kompletnie odmiennego kosmosu, że przez chwilę w ogóle nie wiedziałam, na jaki temat rozmawiamy.

– Jakie kwiaty? O czym ty mówisz?

Ela знаła mnie dobrze, dlatego ani się nie zdenerwowała, ani nie załamała, tylko wyjaśniła cierpliwie:

– Kotku, w sobotę w bibliotece odbędzie się wieczór autorski pisarki Zofii Sarneckiej. Może ci się obilo to nazwisko o uszy.

– Fuck! – jęknęłam. – To nie za tydzień miało być?

– Nie. Dlatego wracam do pytania: jakie kwiaty twoja mama lubi?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– Bo znasz ją od urodzenia?

Zastanowiłam się.

– Róże. Róże będą OK.

– Trochę mało oryginalnie.

– Mówisz o moim guście czy mojej mamy?

– Dobrze, już dobrze. Wybierzcie się, mam nadzieję?

– Spróbowałibyśmy się nie wybrać.

Ela parsknęła śmiechem.

– Czyli widzimy się pojutrze. Pa!

I wyłączyła się, zostawiając mnie samą z moim kłębowiskiem emocji.

Zastanawiałam się przez chwilę, co zrobić, wreszcie podjęłam decyzję i znowu sięgnęłam po komórkę. Tego numeru nie miałam zapisanego w telefonie, miałam go zapisany w sercu.

– Słucham?

Przełknęłam ślinę, a potem odezwałam się najbardziej zrównoważonym głosem, na jaki było mnie stać:

– Dzień dobry pani. Tu Magda Borowska.

Kobieta westchnęła przejmująco.

– Magdziu. To ty? Naprawdę?

Zadrzałam, choć w domu nie było przecież zimno.

– Oczywiście, że ja – odpowiedziałam, starając się nadać mojemu głosowi lekki ton. – Kiedy się ostatnio widzieliśmy, obiecałam, że wpadnę do państwa na herbatę.

– Tak, tak, bardzo by nam było miło cię zobaczyć. Kiedy możemy się ciebie spodziewać?

– Może być jutro? Jakoś tak po południu?

– Oczywiście! – pani Dąbrowska naprawdę szczerze się ucieszyła. – Upiękę twój ulubiony pleśniak! Z czarną porzeczką, pamiętasz?

Jak mogłabym zapomnieć najlepsze ciasto świata.

– Proszę sobie nie robić kłopotu.

– Jaki tam kłopot! Czekamy jutro, kochana.

I wyłączyła się. A ja pomyślałam, że jutrzejsze spotkanie może być jeszcze trudniejsze niż to, które odbyłam dzisiaj.

Jacek nie oddzwonił ani nie napisał, ale prawdę mówiąc nie czułam już takiej jak wcześniej potrzeby podzielenia się z nim całą historią. Wiedziałam, że ma do poszukiwań Weroniki bardzo sceptyczne podejście. Być może byłoby ono inne, gdyby nie toczące się właśnie śledztwo i nerwówka, przez jaką przechodził. Ale ponieważ nie miałam na to wpływu, postanowiłam się nie przejmować, tylko robić swoje.

W pewnym momencie uświadomiłam sobie nawet, że powinnam być z siebie dumna. Tylko dzięki mojej intuicji, którą Sikora nazwałaby zapewne wścibstwem, znalazłam Sylwię i dowiedziałam się dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze – skąd Joanna miała wisiołek, a po drugie – że Weronika była w ciąży. Ta druga informacja o mało mnie nie zabiła, ale dzięki niej obraz wydarzeń sprzed siedemnastu lat nabrał ostrości i zmienił się nie do poznania. Coś się zbliżało. Wielkimi krokami. Czułam to.

Ojciec odwiózł dzieci po siódmej, usmarowane lodami i przeszczęśliwe. W pierwszym odruchu chciałam na nich wszystkich nakrzyczeć, bo przecież lekcje,

nauka, higiena i tak dalej, ale nagle zdałam sobie sprawę, że te sztywne zasady nie są tak do końca moje i pokrzykując na mojego tatę za to, że zajął się dziećmi i sprawił, że spędziły fantastyczne popołudnie, zachowałam się dokładnie jak Tomasz. To on tępił wszelkie odstępstwa od reguł, które zresztą sam ustalał, a ja zawsze stawałam po jego stronie, nawet jeżeli nie do końca się z nim zgadzałam.

– Umyjcie się i włóżcie piżamy. Te ciuchy do brudów proszę – powiedziałam tylko. – Zostaniesz na kolacji? – zwróciłam się do ojca.

– Nie mów mi o jedzeniu – jęknął, rozsiadając się za stołem w kuchni. – Po kinie poszliśmy do Mc Donaldsa. Ale herbaty chętnie się napiję.

Chwilę później podałam mu kubek zielonej, sobie zrobiłam Earl Greya, i poszliśmy na kanapę.

– Dziękuję, że się nimi zająłeś – powiedziałam miękko. – I przepraszam, że tak w ostatniej chwili.

Ojciec machnął nieuważnie ręką.

– No co ty. Przecież ja nie jestem matka. To do niej trzeba się zgłaszać z dwutygodniowym wyprzedzeniem i jeszcze po drodze nasłuchać, jakie to dla niej poświęcenie tu przyjechać.

Miał całkowitą rację, niestety.

– No wiesz, ty masz bliżej – próbowałam stanąć w jej obronie.

– To w ogóle nie chodzi o odległość. Chodzi o giętkość. Twoja matka zawsze była strasznie sztywna. Nie wiem, jak to się stało, że tyle lat z nią wytrzymałem.

Oho, zaczynaliśmy się pakować na grząski gruncik. Temat rozwodu moich rodziców nie należał do najpopularniejszych pod tym dachem.

– Tato, daj spokój.

– No ale widzisz, jednak wytrzymałem. – Ojciec zamyślił się. – To znaczy, że chyba ją musiałem kochać.

O mało się nie zakrztusiłam herbatą.

– Co ty mówisz? Przecież ją zdradzałeś! Na prawo i lewo!

– Bez przesady. Owszem, zdarzały mi się skoki w bok, ale nie czułem się z tym dobrze.

– A mama? Pomyślałeś, jak ona się z tym czuła?

– Staralem się, żeby nic nie wiedziała.

Rozmowa zaczynała się robić ciekawa.

– Naprawdę? A całe miasto jakoś wiedziało.

– Och, nie mówię, że jestem bez winy. Po prostu teraz, z perspektywy lat i różnych, hm, sytuacji widzę wyraźnie, że rozstanie z twoją matką było najgorszą rzeczą, jaka mi się zdarzyła w życiu.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Nie, nie żartował. A przecież nigdy nie dał po sobie poznać, że rozwód tak nim wstrząsnął. Wydawał się wyjątkowo zadowolony ze swojego nowego życia. Uprawiał sporty, zmieniał narzeczone, jeździł po świecie.

– Rozwód to trauma, moje dziecko – ciągnął. – Mam nadzieję, że tobie nic takiego się nie przydarzy.

Zanim zdążyłam zareagować, do pokoju wszedł Tomasz. W lekko wymiętym garniturze, rozpiętej pod szyją koszuli i przekrzywionym krawacie wyglądał na zmęczonego i poirytowanego. Nie byłam tylko pewna czy pracą, czy obecnością teścia.

– Cześć, tato – powiedział z przekąsem. – Zastawiłeś mi bramę.

– A tak było miło – westchnął ojciec i podniósł się z kanapy. – Gdyby znowu coś ci wypadło, jestem do dyspozycji – puścił do mnie oko. – Zabiorę ich na basen.

– Tylko nie na basen! Nie upilnujesz ich!

– Hello, ja tu czekam – przypomniał się Tomek, zły jak osa.

Ojciec cmoknął mnie w policzek, minął mojego męża bez słowa i wyszedł, pozostawiając za sobą zapach dobrej, staroświeckiej wody kolońskiej. Zapach mojego dzieciństwa.

ROZDZIAŁ 33

Pani Magdo, muszę wyjechać na kilka godzin – tak przywitał mnie w piątek Rudnicki. – Walczak będzie dopiero koło południa, więc na razie musi pani radzić sobie sama.

Ponieważ po ostatniej, niefortunnej dla mnie wycieczce do Szeligów starałam się omijać Walczaka szerokim łukiem, ta informacja raczej mnie ucieszyła niż zmartwiła. Sto razy wolałam wyzwanie pod tytułem „samodzielna diagnoza” niż milczącą i nieprzychylną obecność tego gbura.

Pierwszy pacjent pojawił się punktualnie o wpół do dziesiątej. Na jego widok aż westchnęłam z zachwytem, bo był to pięciomiesięczny buldożek francuski, a małe buldożki to chodząca słodycz. Niestety akurat ta słodycz zamiast chodzić – kulą. Nie zdziwiło mnie to. Buldożki mają krępa budowę ciała, a przy tym są zwrotne i szybkie, dlatego często zrywają sobie wiązania w stawie kolanowym. Tak też było i tym razem. Podałam środki przeciwbólowe i przeciwzapalne, jednak ponieważ jedyną skuteczną metodą leczenia jest w tym wypadku zabieg chirurgiczny, umówiłam kolejną wizytę na poniedziałek rano. Obecność Rudnickiego i jego doświadczenie były w tym wypadku niezbędne.

Potem pojawiła się kotka na zdjęcie szwów po sterylizacji, pies zarażony babeszjozą na kolejną kroplówkę i chora na zapalenie płuc świnka morska. Właśnie kiedy byłam zajęta wypełnianiem jej karty w komputerze, z zewnątrz dobiegł charakterystyczny huk motoru i po chwili w drzwiach pojawił się Walczak.

Swoją drogą ciekawe, że nigdy nie myślałam o nim: Damian. To imię wydawało mi się zbyt subtelne jak dla niego. Za to Walczak brzmiało w sam raz – ordynarnie i prostacko.

– Dzień dobry pani – rzucił pod adresem właścicielki świnki, mnie nie zaszczycając nawet spojrzeniem, i poszedł na zaplecze zamienić czarną skórzaną

zbroję na zielony fartuch. Ciekawe, czy ma tatuaże, pomyślałam, i natychmiast ostro się za to skarciłam. Jeszcze tylko tego brakowało, żebym zaczęła się zastanawiać gdzie.

Świnka została zapakowana do pojemnika i razem ze swoją właścicielką opuściła gabinet. Zdążyłam pomyśleć o kawie i zrobić krok w kierunku czajnika, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i stanął w nich niski, szczupły mężczyzna, trzymający na rękach psa. Czy raczej coś, co kiedyś było psem, a teraz jedynie strzępkiem zakrwawionego ciała.

– Pomocy! – wydusił z siebie.

– Tutaj! – wskazałam stół zabiegowy.

Mężczyzna dramatycznym gestem położył bezwładne ciało na metalowym blacie.

– Niech ją pani ratuje! Błagam! – głos mu się załamał, z po policzkach zaczęły płynąć łzy.

Pies był mały i stary. Cały pysk, szyję i kark pokrywały głębokie, okrutne rany od ugryzień. Gdyby to był zwykły konflikt między zwierzętami, wtedy ofiara miałaby rany tylko w okolicy gardła, to tam gryzie się przeciwnika, żeby okazać mu swoją przewagę lub by go unieszkodliwić. Pies, którego miałam na stole, wyglądał tak, jakby miał zostać zjedzony żywcem.

– Damian! – krzyknęłam, pierwszy raz czując ulgę, że Walczak jest obok.

Musiał wyczuć napięcie w moim głosie, bo pojawił się natychmiast. Zatrzymał się w drzwiach i na widok zmasakrowanego zwierzęcia aż westchnął. A potem zaczął działać.

– Ile ma lat? Ile waży?

– Dwanaście lat. Waży osiem kilo. Może dziewięć, nie więcej.

– Jakież choroby? Cukrzyca? Serce? – pytał dalej, przygotowując zastrzyk.

– Nie, wszystko z nią w porządku. Tylko trochę niedowidzi.

– Skąd te obrażenia?

– Ulicą przebiegało stado psów. Taka bezpańska banda. Pusia była w ogrodzie, za bramą, nic nie powinno jej się stać. Ale między skrzydłem bramy a ziemią jest przerwa. Nieduża, kilka centymetrów. Któryś z tych bandytów chwycił Pusię od dołu

za łapę. Pusia upadła, i one ją zaczęły wyciągać z posesji. Na szczęście zaklinowała się barkami i nie dały rady jej zabrać. Ale tyle, ile jej spod tej bramy wystawało, tyle pogryzły. Pusieńka moja – jęknął znowu. – Panie doktorze, przeżyje?

– Nie wiem. Ale zrobię wszystko, co się da. Proszę się odsunąć. Zresztą najlepiej, żeby pan wyszedł. Zawołamy, gdy będzie po wszystkim.

Walczak zabrał się do pracy. Działał metodycznie i był idealnie opanowany, wszystkie ruchy wykonywał szybko i precyzyjnie.

– Znieczulałam miejscowo – oznajmił, biorąc do ręki strzykawkę ze środkiem przeciwbólowym. Nie przeżyłaby ogólnego. A ty przygotuj pole operacyjne.

Ogoliłam sierść i zdezynfekowałam rany. A potem zabraliśmy się oboje do szycia.

Walczak pierwszy raz, odkąd go poznałam, nie popisывał się ani nie wyzłośliwiał. Obserwowałam z rosnącym podziwem jego precyzyjne ruchy i nagle sobie uświadomiłam, że jest świetnym chirurgiem i zamiast unikać pracy z nim, powinnam raczej jak najwięcej się od niego uczyć.

Kiedy skończyliśmy, Walczak, myjąc ręce, powiedział mimochodem:

– Dobrze ci poszło. Gratuluję.

W tym momencie pierwszy raz poczułam, że jestem na swoim miejscu.

Nie mam zbyt dobrej pamięci. Czasami zdarza mi się pomylić daty urodzin dzieci, a żeby odpowiedzieć, w jakim są wieku, muszę poświęcić sekundę na niezbędne obliczenia. Identyczny problem dotyczy wieku mojego męża i moich rodziców, a nawet, wstyd się przyznać, również mojego wieku, choć akurat tutaj w grę może wchodzić mechanizm wyparcia. Natomiast to, ile lat, a nawet ile miesięcy minęło od zniknięcia Weroniki, wiem zawsze. Teraz, stojąc przed furką jej domu, patrzyłam na znajomą klamkę, porysowaną farbą na metalowym słupku, od tamtego czasu nieodmalowywanym, i na biały plastikowy przycisk dzwonka. Wszystko to mogłabym narysować ze szczegółami, nawet gdyby mi ktoś zawiązał oczy. Ktoś nieźle sobie ze mnie zakpił, dając mi pamięć tak wybiórczą.

Ostatni raz byłam tutaj siedemnaście lat i dwa miesiące temu, odprowadzając

Weronikę po wspólnym spacerze z moim psem. Spędziłyśmy wtedy w lesie prawie dwie godziny, snując się po piaszczystych ścieżkach i rozmawiając o wszystkich istotnych sprawach, które nas dotyczyły.

Choć, jak się teraz okazało, nie o wszystkich. Tę najistotniejszą Wera przede mną ukrywała, a ja, psychologiczny matolek, niczego dziwnego w jej zachowaniu nie zauważyłam. No, może tylko to, że była nawet jak na siebie przesadnie podekscytowana, ale składałam to na karb jej zbliżającego się wyjazdu do Wielkiej Brytanii. Dwa dni później ojciec odwiózł ją z samego rana na autokar, który ruszał spod Dworca Centralnego. Miałam nawet w planach zabrać się z nimi i pomachać jej na pożegnanie, ale wstyd się przyznać, zasnęłam. Nie wiedziałam, zresztą skąd mogłabym wiedzieć, że już się więcej nie zobaczymy. Bo kiedy Wera przyjechała z Londynu, ja wyruszyłam na trzytygodniowy obóz żeglarski na Mazurach. A gdy wróciłam, Weroniki już nie było.

Nacisnęłam dzwonek. Rozległ się ten sam, co zawsze, gong. Chwilę później otworzyły się drzwi i wyobraźnia podsunęła mi obraz stojącej w nich, roześmianej Weroniki, dokładnie takiej, jaką zapamiętałam. Jednak to nie była ona, tylko jej matka, boleśnie podobna. Z całej siły wbiłam paznokcie w dłonie, żeby powstrzymać łzy. W tym momencie nawet mi się udało.

Mama Weroniki nacisnęła brzęczyk i pod naporem mojego ramienia furtka stanęła otworem. Weszłam do środka, przekraczając niewidzialną linię, dzielącą mnie od wspomnień. Wbijanie paznokci w dłonie przestało pomagać. Ukradkiem wytarłam łzy.

Oczy chyba naprawdę są lustrem duszy, bo spojrzenie mamy Weroniki było najsmutniejszym spojrzeniem, jakie widziałam w życiu. Kobieta normalnie ze mną rozmawiała, opowiadała coś, nawet kilka razy się uśmiechnęła, ale rozpacz nie opuszczała jej oczu ani na chwilę. Może dlatego, że codziennie musiała się mierzyć z nadzieją, że Weronika wróci? I codziennie na nowo cierpiała.

Czasami zapomnienie bywa najlepszym, co może się zdarzyć, ale Dąbrowscy nie chcieli zapomnieć. Wszystko w tym domu wyglądało dokładnie tak samo, jak przed zaginięciem Wery. Ani jeden mebel nie został przestawiony lub zastąpiony innym,

nawet najmniejszy drobiazg nie zmienił swojego położenia, tylko na regale i komodach pojawiło się więcej zdjęć Weroniki, a kwiaty doniczkowe rozrosły się jak w palmiarni.

Pani Dąbrowska podała herbatę w tych samych filiżankach, co kiedyś, kawałki ciasta leżały na znajomej, szklanej paterze. Poczułam straszliwe przygnębienie.

– Mąż wraca z Warszawy od kardiologa – zaczęła kobieta, nakładając mi ciasto na talerzyk. – Powinien być za niedługo.

Za niedługo – kiedyś też używała tego dziwnego wyrażenia, które brzmiało odrobinę archaicznie, a było po prostu niepoprawne językowo. Weronika też tak czasami mówiła, pan Dąbrowski również, choć akurat on przywiązywał wyjątkową wagę do czystości języka i jego polszczyzna była bez zarzutu. Przywiązywał też wagę do wielu innych rzeczy. Prawdę mówiąc bardzo mnie cieszyło, że go nie ma. Był sztywny i zasadniczy, nigdy za nim nie przepadałam. Weronika też nie.

– Jak mój pleśniaczek? Nie smakuje ci? – pani Dąbrowska zorientowała się, że jeszcze go nie tknęłam.

Wzięłam do ręki srebrny widelczyk i wbiłam w kruszonkę. Zapieczone na ciemnym cieście białko układało się w pasma przypominające pleśń. Włożyłam kęs do ust.

– Jedz, Magduniu, jedz, specjalnie dla ciebie upiekłam.

Kochałam to ciasto, ale znajomy smak sprawił, że urosło mi w gardle. Poczułam, że muszę jak najszybciej uciekać z tegodomu, ale najpierw powinnam zadać pytanie, choć nie wiedziałam zupełnie, jak je sformułować. Czy pani wiedziała, że Weronika była w ciąży? Aż się wzdrygnęłam na samą myśl o tym, że takie słowa mogłyby paść z moich ust. Czy przed zaginięciem miała chłopaka? To odrobinę mniej okrutne, ale Weronika z całą pewnością nie zwierzyłaby się z tego mamie. Ojcu tym bardziej. W końcu przyszło mi coś do głowy.

– Pani Mario, tamtego lata – zdążyłam powiedzieć cztery słowa, a już chciało mi się płakać – Weronika zanim wyjechała do Londynu, pracowała w Warszawie w restauracji. Czy pamięta pani, w której?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Nie, kochanie – powiedziała w końcu. – Może Weronika mi mówiła, ale... To nie było dla mnie istotne. W Warszawie jest tyle restauracji. Nazwa i tak nic by mi nie powiedziała. Ważne, że miała przemiłego szefa. Ciągle o nim opowiadała. Ale też nie pamiętam nazwiska, przepraszam.

– A nie kojarzy pani, gdzie się to miejsce znajdowało? Spróbowałabym znaleźć w internecie.

Mama Weroniki spojrzała na mnie uważnie. Myślałam, że zaraz zacznie dopytywać, dlaczego tak mi zależy na tej informacji, ale nie zrobiła tego.

– Poczekaj chwilkę – powiedziała, wstając od stołu.

Wyszła. Po chwili usłyszałam jej kroki na schodach. Musiała iść na górę, do pokoju Weroniki. Na samą myśl o tej niewielkiej przestrzeni ze skośnym dachem, gdzie siedząc na wąskim, niewygodnym tapczanie, godzinami gadałyśmy, słuchałyśmy muzyki i gdzie zapaliłam pierwszego w życiu papierosa, poczułam dreszcze.

Pani Maria zeszła po kilku minutach i położyła przede mną na stole niewielki kartonik. Była to stara, wyblakła wizytówka z wydrukowanym na niej zielonym egipskim kotem. Pod sylwetką zwierzęcia dużymi literami, dość toporną czcionką napisano: *RESTAURACJA ZIELONY KOT. Ul. Mokotowska 24.* A niżej numer telefonu. Stacjonarnego.

Nazwa wydała mi się znajoma. Byłam prawie pewna, że gdzieś już ją kiedyś słyszałam. Ale gdzie i w jakim kontekście? Nie mogłam sobie przypomnieć.

– U Weroniki w pokoju stoi takie metalowe pudełko po herbacie, Wera trzymała w nim różne drobiazgi – spinki do włosów, wizytówki, zdjęcia. No i widzisz, to też tam było. Zielony Kot, tam pracowała.

Wzięłam wizytówkę delikatnie w palce.

– Dziękuję – powiedziałam cicho. – Bardzo mi pani pomogła.

I znowu naturalnym pytaniem w tym momencie byłoby: w czym, ale Dąbrowska zamiast pytać, dołała mi tylko herbaty i próbowała dołożyć ciasta.

– Zrobię zdjęcie, dobrze?

Zapytałam dla formalności, a potem sfotografowałam wizytówkę i odłożyłam na

stół.

– Przepraszam, pani Mario, ale niestety muszę już iść.

– Ale jak to? – w głosie kobiety zabrzmiał prawdziwy żal. – Tak szybko?

Natychmiast poczułam wyrzuty sumienia, ale nie mogłam czekać.

– Przepraszam, muszę odebrać dzieci ze szkoły. Zapomniałam, że już tak późno.

Oczywiście nie musiałam nikogo znikąd odbierać, bo zrobiłam to przed wizytą w tym smutnym domu, ba, zdążyłam Kubę i Kaję nawet nakarmić, poinstruować, że mają robić lekcje i umówić się z Kają, że masę z soli, mąki i wody, z której miała ulepić jakąś figurkę na plastykę, zrobimy razem, kiedy wrócę. Tak więc wszystko teoretycznie znajdowało się pod kontrolą, ale jakiegoś pretekstu musiałam użyć.

– Oczywiście, oczywiście. Tylko szkoda, że nie udało nam się powspominać.

Ja akurat z tego powodu czułam ulgę. Pozwoliłam się przytulić na pożegnanie, kazałam pozdrowić męża i tłumacząc się po raz kolejny, że jestem już spóźniona, pobiegłam do furtki. Musiałam jak najszybciej znaleźć się w samochodzie, sam na sam z internetem.

ROZDZIAŁ 34

Schronienie, którego udzielił mi Chrupek, nie było zbyt komfortowe. Zostawiłam auto na słońcu i choć dzień nie należał do upalnych, we wnętrzu samochodu powitała mnie stęchła duchota. Otworzyłam szeroko okna, chwyciłam telefon, otworzyłam przeglądarkę i wpisałam: „Zielony Kot restauracja”. Niestety, wyniki wyszukiwania bardzo mnie zawiodły. Dowiedziałam się tylko, że strona nie jest aktualizowana od dwa tysiące dwunastego roku, znalazłam jedną recenzję kulinarną i dwa ogłoszenia „wynajmę salę na bankiety”. Wszystko wskazywało na to, że restauracja już od jakiegoś czasu była nieczynna i sprawdzenie, kto w niej pracował przed siedemnastu laty, mogło się okazać zadaniem niewykonalnym. Przynajmniej dla mnie. Ale znałam kogoś, kto miał odrobinę więcej możliwości niż wyszukiwarka w telefonie. Włączyłam silnik. Na zegarze na tablicy rozdzielczej zamigotały cyfry: 16:25. Sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Sikory. Zrzucił mnie automatycznym: „Nie mogę teraz rozmawiać, oddzwonię później”. A po chwili pojawił się kolejny esemes: „Kończę odprawę. Odezwę się po”. Akurat, pomyślałam, już ci wierzę. I zadzwoniłam do Kuby.

– No co tam? – przywitał mnie synek niewinnym głosem.

– Kontrolnie dzwonię. Co robisz?

Sekunda namysłu.

– Matkę.

Aha, ciekawe, który level.

– A twoja siostra?

– Nie wiem. Zadzwoń do niej.

I rozłączył się.

Ponieważ Kaja nie odbierała, ponownie wybrałam numer Kuby.

– Gdybyś mógł na chwilkę oderwać się od... matmy, zejść na dół i wyłączyć Kai

telewizor, byłabym wdzięczna. Powiedz jej, że wracam za godzinę i jeżeli do tego momentu zrobi wszystkie lekcje, pójdziemy na rowery.

Czułam, że się waha. Z jednej strony za nic nie chciało mu się odchodzić od komputera, z drugiej nie często miewał okazję, żeby w tak konkretny sposób okazać siostrze przewagę swojego starszeństwa.

– Dobra – zgodził się. – To idę.

– Ja muszę załatwić jeszcze jedną sprawę. Gdyby tata się pokazał, to powiedz mu, że będę w domu najdalej o szóstej. Kocham cię. Pa! – cmoknęłam w słuchawkę, ale Kuba zdążył się już wyłączyć.

Uznałam, że dzieci zostały zagospodarowane, stłumiłam w zarodku rodzące się wyrzuty sumienia, przekręciłam kluczyk w stacyjce i ruszyłam w kierunku Grodziska. Pęd powietrza, wpadający do auta przez otwarte okno wywiewał upał, a ja zastanawiałam się, dokąd prowadzi ta dziwna i skomplikowana droga, za której każdym zakrętem kryło się coraz więcej mroku.

– Dzień dobry, ja do pana Jacka Sikory – uśmiechnęłam się jak mogłam najmilej do siedzącego za szklaną szybą dyżurki policjanta.

– Zaraz – burknął, tak jakby mój uśmiech go wkurzał.

Gdybym znała się na stopniach w policji, mogłabym zwrócić się do niego na przykład „panie sierżancie” albo „starszy sierżancie”, ale patrząc na poziomą belkę na pagonie tak kompletnie nie miałam żadnych skojarzeń, że użycie jakiegokolwiek rangi groziło potężną wpadką.

Zamiast się podlizywać, postanowiłam spokojnie poczekać. Co okazało się słuszną strategią, bo jakieś pięć minut później cerber kiwnął na mnie, żebym podeszła do okienka.

– Zaraz ktoś po panią przyjdzie – powiedział, podsuwając mi identyfikator.

Przypięłam plastikową tabliczkę z napisem „gość” do bluzki i stanęłam przed szklanymi drzwiami, zamykanymi elektronicznie. Chwilę później drzwi otworzyły się i stanęła w nich ładna blondynka w mundurowej spódnicy i białej bluzce.

– Bożena Woźniak, rzecznik prasowy. Proszę za mną.

Przez chwilę myślałam, że z kimś mnie pomylili, bo nie czułam się aż taką personą, żeby przysyłać do mnie rzecznika, ale obecność kobiety okazała się przypadkowa.

– Komisarz poprosił, żebym pani zaczekała w jego pokoju. Już kończy odprawę.

Pomyślałam, że kończy ją tak od dwudziestu minut, ale nie powiedziałam tego głośno.

Wpuściła mnie do niewielkiego pomieszczenia i znikła. Ponieważ nigdy tu jeszcze nie byłam, rozejrzałam się z ciekawością. Pierwsza i najważniejsza refleksja – to wnętrze w niczym nieprzypominało garażu Jacka. Na biurku piętrzył się stos papierów, jakieś tekturowe teczki, plastikowe kubki i kubki ceramiczne z zaschniętymi śladami po herbacie i kawie, stos papierów zalegał też na krześle dla interesantów, pod kaloryferem stały sportowe buty, a na parapecie – talerzyk z kawałkiem tortu. Tort wyglądał na świeży. I okazało się, że jest świeży, o czym się przekonałam, zjadając go. Jak znam Sikorę i tak nie zauważy.

Przyszedł po pięciu minutach, zmordowany i zły.

– Tobie chyba odwaliło – powiedział od drzwi. – Naprawdę sądzisz, że mam teraz czas na towarzyskie wizyty?

Najwyraźniej nie mogłam oderwać się od myślenia o mnie jako o upierdliwej i wścibskiej babie ani docenić tego, że choć nieproszona, ciągle przynosiłam mu nowe informacje, bez których jego śledztwo tkwiłoby nadal w najbardziej martwym i grząskim punkcie, jaki można sobie wyobrazić.

– Nawet mi to przez głowę nie przeszło – zapewniłam go. – Moja wizyta w żadnym stopniu nie jest towarzyska. Jest służbowa.

– Aha. A jaką ty pełnisz służbę, przypomnij mi?

– Och, przestań. Od wczoraj się nie odzywasz, nie oddzwoniasz, a ja mam wiadomość, która cię zwali z nóg. Plus jedną małą prośbę. Nie jesteś ciekawy?

Cisza.

– Jacek!

W całym swoim podekscytowaniu nie zauważyłam, że Sikora w ogóle mnie nie

słucha. Usiadł za biurkiem, otworzył laptopa i coś w nim sprawdzał. Przez sekundę miałam ochotę zatrzaskać mu ekran na palcach.

– Mówię do ciebie!

Z westchnieniem oderwał wzrok od komputera i popatrzył na mnie.

– Jedyna wiadomość, jaka mnie interesuje, to kto zabił Joannę Maj. Bo że nie narzeczony, to pewne.

Osunęłam się powoli na siedzenie, czy raczej na leżące na siedzeniu dokumenty. W tym momencie było mi kompletnie obojętne, jak to wpłynie na ich stan.

– A więc jednak.

– Narzędzie zbrodni zostało wyczyszczone. Całe, z wyjątkiem rączki. Co sugeruje, że ktoś specjalnie użył tego szpikulca, żeby zrobić Cieślaka. Zaczęliśmy sprawdzać jego alibi, czyli basen. Przesłuchaliśmy gości, którzy poszli pływać, ale nic się nie dało ustalić. Dopiero na filmie.

– Tym od Szeligi? – przypomniała mi się rozmowa, którą Szeliga odbył przy mnie w boksie Nepala.

– No nie. Wyobraź sobie, że ten jeszcze do nas nie dotarł. Podobno fotograf wyjechał za granicę, zresztą nieważne. Zebraliśmy zdjęcia i filmiki z komórek od wszystkich gości. Swoją drogą nikt nie przebije tej twojej Zuzy. Że też jej się chciało tyle pstrykać. Nieważne. Grunt, że trafiliśmy na taki fragment.

Kliknął kilka razy podłączoną do laptopa myszką, a potem odwrócił komputer w moją stronę.

Ekran był prawie zupełnie czarny, dopiero po chwili pojawiły się jakieś przebłyski i migotanie. Jednocześnie w tle słychać było chichoty, pokrzykiwania, głośny śmiech i plusk. Zorientowałam się, że oglądam nagranie zrobione na basenie u Szeligi. Kilka osób pływało, kilka chlapało się w płytszej części, a dwóch mężczyzn i kobieta siedziało wygodnie w jacuzzi, rozmawiając i pijąc wino.

– Ten po prawej to Cieślak. Widzisz godzinę?

W dolnym prawym rogu obrazu świeciły na pomarańczowo cztery cyfry: 23:49. Czyli dokładnie w momencie, kiedy morderca zabijał Joannę, jej narzeczony moczył się w gorącej wodzie dwa kilometry od miejsca tragedii.

– Cholera – wyrwało mi się. – Czyli znowu zaczynasz od początku?

– Nawet mi nie mów. – Sikora założył ręce za głowę i przymknął oczy. – Teraz czeka nas to, czego chcieliśmy uniknąć, czyli bardzo szczegółowe przesłuchanie wszystkich gości. Muszę znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia. Najlepiej motyw. Bez motywu nie ruszymy z miejsca, nie ma szans.

Wyglądał na zmęczonego. I załamane. W takim stanie pewnie na niewiele mi się przyda, ale nie po tojechałam aż tutaj, żeby wracać z niczym.

– Dobrze, skoro ustaliliśmy, że jesteś ze śledztwem w głębokiej czarnej dupie, to może mógłbyś się zainteresować tym, z czym przysłam? Taka odskocznia, rozumiesz.

– Nawet nie próbuj.

– Weronika była w ciąży.

Jacek wyprostował się gwałtownie.

– Weronika? Jak to? Co ty mówisz?

– Spodziewała się dziecka. To pewna informacja.

– Ale skąd ją wzięłaś, na Boga?

Więc opowiedziałam mu o spotkaniu z Sylwią i przekazałam wszystko, czego się od niej dowiedziałam. Słuchał z uwagą i nie odzywał się, dopóki nie skończyłam.

– O kurwa, ale numer – powiedział w końcu. – Wiadomo, kto był ojcem?

– Nie. Sylwia obiecała, że jeżeli coś sobie przypomni, to mi napisze. Na razie wiem tylko tyle, że Weronika poznała go w pracy.

– W jakiej znowu pracy?

– Och, dorabiała sobie jako kelnerka w knajpie w Warszawie. I właśnie to jest ta moja prośba. Gdyby udało nam się dotrzeć do właściciela tej knajpy i wydobyć od niego listę personelu, to by było coś. Bo jeżeli poznała tego faceta w pracy, to może w ten sposób go znajdziemy. Wiem, że to było dawno, ale może gdzieś w księgowości byłby jakiś ślad.

– Nazwa tej knajpy?

– Zielony Kot.

– Zielony Kot. Coś mi to mówi. – Sikora otworzył wyszukiwarkę. – Zamknęli się

w dwa tysiące dwunastym. Za dużo to tu nie ma.

– Wiem. Potrafię używać internetu. Ale ty masz też chyba inne narzędzia, prawda? Sikora posłał mi znad laptopa zirytowane spojrzenie.

Obeszłam biurko, żeby lepiej widzieć, co robi. Na ekranie otworzyła się właśnie witryna Krajowego Rejestru Sądowego. Sikora kliknął kilka razy i nagle znaleźliśmy się na stronie firmy Zielony Kot, z rozpisaną procentowo strukturą właścicielską. Nie była ona skomplikowana. Od założenia restauracji aż do jej zamknięcia 51 procent akcji należało do niejakej Haliny Kostrzewy, a 49 procent – do Janusza Czerwińskiego.

Wpatrywaliśmy się oboje w ekran jak zahipnotyzowani.

– No proszę. – Tylko na taki błyskotliwy komentarz był w stanie się zdobyć szef dochodzeniówki komendy powiatowej.

Czyli to Czerwiński był tym przemiłym właścicielem restauracji, o którym wspominała mama Weroniki. Zrozumiałam też natychmiast, dlaczego nazwa wydała mi się znajoma. Zielony Kot był jego pierwszą knajpą. Interes szedł mu na tyle dobrze, że postanowił otworzyć w Podkowie restaurację i hotel. Kupił działkę, czy właściwie jego żona kupiła działkę, i przystąpiono do prac przy budowie Esmeraldy, której uroczyste otwarcie nastąpiło we wrześniu, już po tym, jak Weronika zniknęła.

Wróciłam na swoje miejsce. Tym razem, zanim usiadłam, przełożyłam papiery z krzesła na biurko.

– Ciekawy zbieg okoliczności – odezwałam się w końcu.

– Bez przesady. Czerwiński mieszkał w Podkowie, wiadomo było, że prowadzi knajpę. Jeżeli Wera chciała zarobić, to naturalne, że zgłosiła się do niego.

– No dobrze, przesadziłam. Ale tak myślę. Nie porozmawiałbyś z nim? Tak niezobowiązująco. Może byłby w stanie odnaleźć albo odtworzyć listę osób zatrudnionych w tym samym czasie, co Weronika? Albo pamięta, z kim z personelu Wera była, no wiesz, bliżej.

Sikora podrapał się po brodzie.

– Bym porozmawiał. Ale na pewno nie dzisiaj. A teraz bardzo cię przepraszam.

– Jasne. Znikam.

Posłusznie podeszłam do drzwi i otworzyłam je, robiąc przeciąg. Mocny podmuch przemknął przez pokój, a przelatując nad biurkiem porwał papiery, które wcześniej odłożyłam, i zrzucił je na podłogę.

– Tylko tego mi brakowało – westchnął zniechęcony Sikora i ruszył zbierać kartki, a ja zawróciłam, żeby mu pomóc. Pierwszą podniosłam zwykłą, białą kopertę z pismem z prokuratury. Popatrzyłam na nią nieuważnie i już ją miałam odłożyć na biurko, kiedy nagle coś mi się przypomniało.

– Jacek, posłuchaj, mam pomysł!

– Nie krzycz! – syknął, zabierając mi list. – Co znowu?

– Sylwia mówiła, że po powrocie do Polski Weronika napisała do Joanny!

– No i co z tego?

– One się przyjaźniły, były blisko, może tam było więcej szczegółów o tym jej facecie? Może napisała coś takiego, po czym moglibyśmy go znaleźć? Może po prostu pisała o nim po imieniu?

– Dobrze, ale co z tego? Masz ten list?

– Nie mam! Ale możemy spróbować go znaleźć! W Lublinie, w starym pokoju Joanny, widziałam pudełko z korespondencją. Stare wyblakłe koperty, wypłowiwały atrament. Te listy wyglądały tak, jakby były z czasów jej młodości. Jeżeli nie wyrzucała listów, tylko je zostawiała na pamiątkę, może tego od Weroniki też nie wyrzuciła? Może on tam jest, ze wszystkimi?

Sikora patrzył na mnie tak, jakbym oszalała.

– Chcesz szukać listu sprzed siedemnastu lat? To najbardziej szalony pomysł, jaki słyszałem. A kilka niezłych ostatnio wyprodukowałaś.

– Pojedź tam! Do Lublina! Proszę! – nie dawałam za wygraną. – To nie jest daleko. Nie zajmie ci to więcej niż sześć godzin.

Sikora bez słowa otworzył szufladę, wyjął z niej papierosy, zapalniczkę i obskurny słoik pełen petów.

– Jeśli się zaraz nie uspokoisz, zapalę – powiedział, wyciągając papierosa z paczki.

– Ty podły szantażysto! – jęknęłam, próbując jednocześnie znaleźć jakieś satysfakcjonujące rozwiązanie. – Dobrze, nie musisz tam jechać. Ale może mógłbyś

poprosić rodziców Joanny, żeby spakowali to pudełko i przesłali pocztą? To byłoby dla ciebie naprawdę drobiazg. Jeden telefon. Jeden malutki telefonik.

Sikora niechętnie schował papierosy z powrotem do szuflady.

– Zostawię twoje nazwisko na dyżurce, żeby cię tu już nigdy więcej nie wpuszczali – powiedział ponuro i sięgnął po komórkę.

ROZDZIAŁ 35

Chrupek czekał cierpliwie na parkingu przed komendą. Przez chwilę szarpałam się z drzwiami, bo się zacięły, a gdy wsiadłam, okazało się, że kluczyk nie chce się przekręcić w stacyjce. Kiedy w końcu udało mi się ruszyć, dwóch przechodzących obok mundurowych obejrzało się za mną. Myślę, że mogło to mieć coś wspólnego z odgłosem, który wydawał tłumik.

Odniosłam nieprzyjemne wrażenie, że Chrupek niedługo się rozsypie. Chyba powinnam porozmawiać z Tomaszem na temat kupna nowego auta, pomyślałam, skręcając na światłach w lewo, w Królewską. Nie będzie zachwycony, to jasne, ale nie powinnam tego dłużej odkładać. Nasz małżeński krajobraz po cudownym liftingu powoli wracał w utarte koleiny obojętności. Gdzieś podświadomie czułam, że niedługo znajdziemy się znowu w punkcie, w którym byliśmy przed romantyczną kolacją w Esmeraldzie – dwoje prawie obcych sobie ludzi, którzy mieszkają razem, wychowują wspólnie dzieci, ale tak naprawdę oprócz podjętego przed laty zobowiązania niewiele ich już łączy. Kiedyś nie widziałam tego tak wyraźnie, myślę, że nie widziałam w ogóle, zajęta stawaniem na rzęsach, żeby wszyscy dookoła mnie byli zadowoleni. Jednak wydarzenia ostatnich dni coś zmieniły. Dotarło do mnie, że nic nie jest stałe. A już na pewno nie moje małżeństwo. Zrozumiałam też, jak ważne jest poczucie bezpieczeństwa i że nikt nie może mi go zapewnić poza mną samą.

Muszę się nauczyć opierać na sobie, pomyślałam. Co prawda w moim wypadku stopień trudności tego przedsięwzięcia był porównywalny do zimowego wejścia na Everest, ale każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku. A tym pierwszym krokiem powinien być nowy, bezpieczny samochód. Kupiony na mnie, nie na Tomka.

Kiedy w końcu, przy trzeciej zmianie świateł, udało mi się skręcić w lewo, była osiemnasta pięć. Okazało się, że Grodzisk postanowił pożegnać mnie korkiem, a to oznaczało, że będę w domu najwcześniej za pół godziny. Dzieciaki raczej się tym nie przejmą, za to Tomasz – owszem, w związku z czym natychmiast poczułam

narastający skurcz żołądka. Żeby go w jakiś sposób zniwelować, sięgnęłam po telefon i właśnie miałam zadzwonić do Tomka i się usprawiedliwić, kiedy przyszedł od niego esemes: *Jadę. Korki. Będę koło siódmej.*

Ból brzucha minął jak nożem uciął. Za to pojawiło się pytanie: czy aby na pewno jestem już gotowa do poważnej rozmowy z Tomkiem na temat nowego auta. Oraz na temat tego, co robię codziennie między dziewiątą a trzynastą.

Całą drogę powrotną próbowałam sobie przypomnieć wszystko, co wiedziałam na temat kręcących się wokół Weroniki mężczyzn. W szkole miała zawsze szalone powodzenie, ale ponieważ chłopcy w jej wieku albo ją nudzili, albo irytowali, wybierała tych najprzystojniejszych ze starszych klas. Lubiła ich, ale nigdy się nie zakochiwała. Faceci są jak autobusy, jeden odjeżdża, drugi przyjeżdża, mawiała. Trzeba tylko umieć wybrać odpowiedni przystanek, żeby się przesiąść.

Kiedy poszła na studia, nic się właściwie nie zmieniło, poza tym, że na jej orbicie pojawili się studenci i młodzi pracownicy naukowcy. Z cudowną lekkością zmieniała partnerów, przechodząc płynnie od jednego do drugiego, tak jakby nic zupełnie ją to nie kosztowało. Szukam ideału, Meduzko, mówiła. A przy okazji zamierzam się dobrze bawić.

Dla mnie, dziewczyny nijakiej i bardzo niepewnej siebie, która przez okres liceum chodziła raz z jednym chłopakiem przez miesiąc, a po rozstaniu z nim przepłakała tydzień, obserwowanie tego zjawiska było fascynującym doświadczeniem.

Ale późną wiosną tego roku, gdy zaginęła, coś się zmieniło. Przestała przywozić do Podkowy kolejnych facetów, przestała też o nich opowiadać. Chyba ją nawet wtedy o to zapytałam, bo pamiętam odpowiedź: „Mam za dużo rzeczy na głowie. Facet na dokładkę nie jest mi kompletnie potrzebny”, ucięła temat.

Jeżeli znalazła wreszcie swój ideał, kogoś, w kim według słów Sylwii była szaleńczo zakochana i z kim chciała mieć dziecko, dlaczego nie podzieliła się tym ze mną? Dlaczego nie podzieliła się tym z nikim? Po jej zniknięciu policja przepytывała przecież wszystkich jej bliskich, rodzinę, przyjaciół, znajomych. Ze mną zresztą też

rozmawiali. Gdyby ktokolwiek coś wiedział, powiedziałby. To absolutnie pewne.

Dlaczego ukrywała akurat ten związek? Wszystkimi poprzednimi mężczyznami chwaliła się na prawo i lewo, obnosiła z nimi jak z nową, drogą torebką. Ale nie z tym.

W tym momencie przyszła mi do głowy dziwna myśl. A jeżeli Weronika ukrywała tego faceta, bo się go wstydziała?

Tylko z jakiego powodu?

Odpowiedź najprostsza: był bez kasy. Dzisiaj rzadko się mówi: biedny, ale przecież mogło chodzić właśnie o to. W końcu poznała go w pracy, w restauracji. Mógł być kucharzem, kelnerem, ale równie dobrze mógł pracować na zmywaku. W końcu miłość nie wybiera, choć dla Weroniki musiało to być nie lada wyzwanie. Uczucie uczuciem, ale pokazać się z kimś, kogo nie stać na markowe džinsy i modny T-shirt? To nie wchodziło w grę.

Czego jeszcze mogłaby się wstydzić w partnerze, zastanawiałam się, zjeżdżając z szosy na Podkowę. A może, olśniło mnie nagle, miał po prostu inny kolor skóry?

Tak, to by się mogło zgadzać. Mógł być emigrantem, dla którego praca na zmywaku w knajpie to szczyt marzeń. Do kogoś takiego Weronice z pewnością byłoby się trudno przyznać nie tylko przed znajomymi, ale przede wszystkim przed ojcem. Bo pan Dąbrowski nie tolerował ciemnoskórych.

Dwie stacje za Podkową, w Otrębusach, do kolejki WKD wsiadali czasami mieszkańcy pobliskiego ośrodka dla uchodźców. Śniadzi, nerwowi mężczyźni, kobiety z maleńkimi dziećmi na rękach, chudzi nastolatki, patrzący spode łba. Uchodźcy wyróżniali się nie tylko kolorem skóry, ale też ubraniem, nosząc za duże lub zbyt małe rzeczy, otrzymane z darów. W oczach ich wszystkich czaiły się smutek, lęk i niepewność.

Ludzie w kolejce reagowali na nich różnie. Niektórzy z życzliwością, inni z nieufnością i dystansem, ale nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek potraktował ich niegodnie. Poza panem Dąbrowskim, który kiedyś przy mnie zwymyślał czeczeńską rodzinę za to, że odważyli się usiąść obok niego na wolnych miejscach. Panoszą się w naszym kraju, ciapata hołota, kto was tu wpuścił, śmierdziecie, wypierdalać mi stąd,

mówił bez skrępowania. Słowa, które wypływały z jego ust brudną falą, były raniące i obraźliwe, do tego wypowiedziane tak zaczepnym tonem, że choć uchodźcy nie znali polskiego, natychmiast zebrali swoje rzeczy i przenieśli się do drugiego wagonu. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek przeżyła taki wstyd.

Reasumując: ojciec Weroniki ze swoimi poglądami nie bardzo się nadawał na teścia emigranta. Może to był powód, dla którego Wera nie przedstawiła narzeczonego rodzinie?

Ale kiedy dojechałam do domu, wszystkie moje przemyślenia wydały mi się nagle kompletnie idiotyczne, a wizja Weroniki zakochanej w Czeceńcu czy Etiopczyku – abstrakcyjna. Czułam, że zaczynam się kręcić w kółko za własnym ogonem i potrzebuję świeżego spojrzenia z zewnątrz, choć czyje miałyby to być spojrzenie, nie potrafiłam zdecydować. Sikora siedział w temacie tak samo głęboko jak ja, więc na dystans z jego strony nie było co liczyć, zresztą zadzwonienie do niego w tym momencie byłoby misją samobójczą. Tomasza w ogóle nie brałam pod uwagę. Moja matka, pisarka kryminałów, być może całkiem nieźle by się nadawała, ale w piątkowe popołudnia była nieuchwytna, ponieważ miała zwyczaj spędzać je w kinie. Pozostawała jeszcze Elka, do której mogłam się zgłosić zawsze i ze wszystkim, ale gdyby Sikora dowiedział się, że zdradzam jej szczegóły śledztwa, chryja byłaby kosmiczna.

Chodź właściwie... moment, jakiego śledztwa? Przecież on się zajmował morderstwem Joanny Maj, nie zaginięciem Weroniki, więc czemu miałabym się tym w ogóle przejmować? Z mocnym postanowieniem, że za chwilę zadzwonię do Elki, weszłam do domu.

– Co to jest?!

W moim głosie tylko dlatego nie było furii, że po prostu nie miałam na nią siły. Były za to zwątpienie, zmęczenie i rezygnacja. Stałam w drzwiach, patrząc na kuchnię, czy raczej na pomieszczenie, którego przeznaczenie bardzo trudno było w tym momencie odgadnąć, ponieważ wszystkie meble i podłogę pokrywała gruba

biała warstwa czegoś, co po chwili zidentyfikowałam jako mąkę. Nie wiedziałam swoją drogą, że mamy jej w domu aż tyle.

Pierwsza myśl, jaka mi przysłała do głowy, to nigdy więcej nie robić zapasów.

Druga: cofnąć się w czasie o dwanaście lat i jeszcze raz przemyśleć kwestię posiadania dzieci. Właśnie tych, które tłukły się teraz po głowach torebkami mąki pszennej Szymanowskiej, w zacierzowaniu sięjąc dookoła biały pył oraz niecenzuralne wyrazy.

Były tak zaangażowane w to, co robią, że nawet moje pojawienie się nie przerwało bójki. Dopiero kiedy chwyciłam je za ramiona i odciągnęłam od siebie, przestały się szarpać. Stały teraz naprzeciwko siebie, kompletnie białe, dysząc nienawiścią i mierząc się wściekłym wzrokiem, który obiecywał zemstę.

– Co tu się stało?! Kuba?

– Należało jej się – warknął. – Zabrała mi myszkę!

– A on mi zabrał pilota!

– Mama zabroniła ci oglądać telewizję, gówniaro!

– A tobie grać na komputerze!

– Nie grałem, głupia małpo!

– Cisza! – Dla podkreślenia wagi swojej wypowiedzi tupnęłam nogą, a spod mojego buta uniósł się biały tuman. – Co wam przyszło do głowy, żeby się sypać mąką?

Ani jedno, ani drugie nie śpieszyło się z odpowiedzią.

– Słucham!

– Przecież kazałaś nam być cicho – sprytnie zauważył Kuba.

Są takie momenty w życiu każdej kobiety posiadającej dzieci, kiedy instynkty macierzyńskie zostają zastąpione przez instynkty mordercze, i ja właśnie tego doświadczyłam. Nie wiem, co mnie powstrzymało przed uduszeniem bachora gołymi rękoma. Być może wizja komplikacji przy pozbywaniu się zwłok.

– Ja chciałam zrobić masę solną, a on mi wszystko rozwalił! – jęknęła Kaja. – Zabierz mu komputer! Na zawsze!

– Prosiłam, żebyś z masą solną poczekała na mnie.

– Ale ja chciałam być samodzielna!

Słuchałam jej coraz mniej uważnie, bo moją głowę dużo bardziej niż aspekty wychowawcze zaczął zajmować fakt, że niepokojąco zbliżał się moment powrotu Tomasza z pracy. Rodzeństwo musi czasami powalczyć ze sobą o przywództwo w stadzie, ale najważniejszym pytaniem w tym momencie było, czy jeżeli wciągnę odkurzaczem dwa kilo mąki, to mu to zaszkodzi czy nie.

Chwyciłam ścierkę do naczyń i przetrzepałam dzieciakom włosy i ubrania, tak że częściowo odzyskali kolory.

– A teraz na górę! – warknęłam. – Żadnych komputerów, żadnych tabletów. Pogadamy później.

Wybiegli z kuchni, przepychając się w drzwiach i ciągnąc za sobą lekką białą mgiełkę. Podziękowałam kosmosowi, że Alf jest na dworze, bo usuwanie mąki z jego owłosienia zajęłoby pewnie z tydzień, po czym przyciągnęłam ze schowka odkurzacza i właśnie zdążyłam go podłączyć do kontaktu, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe i do domu wszedł mój mąż. I może udałoby mi się go jakoś zagadać, wyprowadzić na taras i tam podać obiad, gdyby nie to, że razem z nim pojawił się Alf. Pies, nie wiedząc jeszcze, jakie szczęście go czeka, wpadł do kuchni i zamarł.

– Nie! – krzyknęłam, licząc na cud, który oczywiście nie nastąpił, i pies zanurkował do środka, wzbijając chmurę pyłu i w oka mgnieniu zamieniając się w bielutką lamę. Tomasz patrzył na to z rosnącym obrzydzeniem w oczach, a kiedy się w końcu odezwał, jego głos nie brzmiał zachęcająco.

– Co tu się stało?

Poczułam się jak uczennica przyłapana przez nauczyciela na paleniu.

– Dzieci – bąknęłam.

– Dzieci – powtórzył Tomasz. – A ty gdzie wtedy byłaś?

Sprzątanie kuchni zajęło mi cały wieczór. Samo odkurzenie niewiele dało, bo biały pył przylepił się na amen do wszystkich tłustych powierzchni, a było ich trochę. Za to kiedy skończyłam, całe pomieszczenie lśniło jak nowe, co okazało się w tej sytuacji

przyzwoitym bonusem.

Idealnie czyste otoczenie zawsze działa kojąco na mojego męża, tak też było i tym razem. Zajrzał do mnie koło dwudziestej pierwszej, żeby skontrolować stan robót, i bardzo pozytywnie się zdziwił. Dzięki temu minęło mu trochę nabzdycznie, z którym obnosił się od powrotu, i zdobył się nawet na jakiś komplement pod moim adresem. Oczywiście nie było to: jak pięknie wyglądasz, tylko raczej coś w stylu: no, nareszcie czysto, brawo. Ale ponieważ przez lata małżeństwa nauczyłam się doceniać każdy miły gest, na jaki stać było Tomka, poczułam się usatysfakcjonowana.

On chyba też, choć ciągle nie na tyle, żeby poruszać z nim temat zastąpienia Chrupka jakimś lepszym pojazdem.

Przed dziesiątą zadzwoniła matka z informacją, że jutro ma spotkanie autorskie w bibliotece w Podkowie i liczy na naszą obecność. Tak jakbym nie wiedziała.

– Tylko ubierz, proszę, dzieci porządnie, żeby mi nie narobiły wstydu – uprzedziła.

Zabrzmiało to tak, jakby Kaja i Kuba na co dzień chodzili w dziurawych spodniach i poplamionych koszulkach.

– Oczywiście. – Byłam zbyt zmęczona na kłótnię. – Wpadniesz do nas przed spotkaniem?

– Nie. Będę na styk. Przywiezie mnie mój pan wydawca. Za to potem chętnie zostanę na noc.

– Sama?

To było idiotyczne pytanie i natychmiast poniosłam jego konsekwencje.

– Ty coś insynuujesz? – syknęła moja matka.

– Ależ skąd.

– Bardzo proszę przy Władysławie nie robić żadnych tego typu głupich aluzji. A na kolację chciałabym szparagi. Pa.

Lekko otumaniona rozmową, a tak naprawdę – całym dniem, ruszyłam na górę w poczuciu, że coś jeszcze powinnam zrobić przed snem, ale kompletnie nie pamiętałam, co. Dopiero kiedy weszłam do łazienki i zobaczyłam mokrą szczoteczkę mojego syna leżącą na środku podłogi, jak zaproszenie dla Alfa: zjedz mnie, drogą

daleko idących skojarzeń przypomniałam sobie, że muszę sprawdzić Facebooka, na którym Sylwia obiecała napisać wszystko, co wie o ojcu dziecka Weroniki. Nie liczyłam co prawda na informacje typu nazwisko, adres i aktualne miejsce zamieszkania, ale każdy, nawet najdrobniejszy szczegół mógł okazać się ważny.

Kiedy weszłam do Kuby do pokoju, nagle przypomniało mi się, że nie przeprowadziłam ani z nim, ani z jego siostrą rozmowy na temat ich popołudniowego zachowania. Oczywisty błąd wychowawczy, ale powrót Tomasza wytrącił mnie z równowagi tak bardzo, że o pogadaniu z młodymi zupełnie zapomniałam.

No ale teraz już i tak było za późno. Mój syn spał, choć normalnie o tej porze ciężko go było zapędzić do łóżka. Wieczór bez grania, pomyślałam. Może trzeba tak częściej? I z tą ambitną myślą otworzyłam komputer.

Zero wiadomości.

Napisałam więc na czacie: „Przypominam się w kwestii chłopaka Weroniki” i wyłączyłam Facebooka. Poczułam, że muszę się jak najszybciej położyć. Za dużo napięcia, za dużo emocji. A jutrzejszy dzień nie zapowiadał się lepiej.

ROZDZIAŁ 36

Ponieważ moja mama zażyczyła sobie na kolację szparagi, nie pozostawało mi nic innego jak je kupić. Niestety, złośliwość losu objawiła się tym, że w całej Podkowie o godzinie dziesiątej rano w sobotę udało mi się upolować zaledwie jeden pęczek, co stanowiło jakieś dwadzieścia pięć procent tego, co potrzebowałam. Zniosłam więc pozostałe zakupy do domu, z każdym krokiem dziękując, że mieszkamy tak blisko centrum i zastanawiając się jednocześnie po drodze, dokąd się udać w poszukiwaniu zaopatrzenia na dzisiejszą kolację. Wahałam się między Biedronką, Lidlem a targiem w Milanówku, w końcu stwierdziłam, że targ wygląda z tego wszystkiego najlepiej. To chyba jedyne miejsce, gdzie zakupy mogły być przyjemnością. Uwielbiałam rozmowy nad ziemniakami na temat ich odmian, dawnych i współczesnych, uwielbiałam próbowanie białego sera, wybieranie pomidorów. Ale przede wszystkim uwielbiałam kontakt z człowiekiem, a nie z automatyczną elektroniczną wagą. Uprzedziłam więc rodzinę, że jadę, wzięłam samochód i ruszyłam Akacją w kierunku torów.

Kiedy mijałam warzywniak przy stacji, jakaś kolorowa postać zaczęła machać do mnie gwałtownie i po chwili zorientowałam się, że to Elżbieta. Otworzyłam okno.

– Masz pięć minut? – krzyknęłam.

– Mam!

– To chodź – machnęłam w kierunku Jeleniej.

Zaparkowałam na pustym o tej porze postoju taksówek. Elka dotarła po minucie i wsunęła się na miejsce pasażera, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

– No cześć, kochana – cmoknęła mnie w policzek. – Cotam?

– Czy Jacek już ci powiedział?

– O czym?

– Że Weronika przed zaginięciem była w ciąży.

Po zaskoczonych minach Elżbiety wywnioskowałam, że nie rozmawiali o tym z Sikorą.

Elka sprowadziła się do Podkowy dopiero po ślubie, jakieś piętnaście lat temu. Ale chociaż nie poznała Weroniki osobiście, wiedziała wszystko o naszej relacji, o zaginięciu, o mojej rozpaczy. I rozumiała to jak nikt inny.

– Skąd wiesz? – zapytała zmienionym głosem.

Zaczęłam dosyć chaotycznie opowiadać o Sylwii, Londynie i moich podejrzeniach co do tego, kto mógł być ojcem dziecka. Słuchała, zamyślona, a kiedy skończyłam, spytała:

– Powiedziałaś jej rodzicom?

Tym pytaniem wbiła mnie w fotel.

– Eeee, no nie. Sama widzisz, że to cholernie skomplikowane. Właściwie do końca nie wiem, czy to na pewno prawda.

– Rozumiem – odpowiedziała Elka i zamyśliła się na moment. – Ale kiedy się upewnisz, muszą się dowiedzieć.

Na myśl o rozmowie z Dąbrowskimi zadrżałam.

– Nie wiem, czy to w ogóle da się sprawdzić – zaczęłam, i w tym momencie zadzwonił telefon Elżbiety.

Niechętnie sięgnęła po aparat.

– Tak, Jacuś? Jestem na mieście, spotkałam Magdę. Gdzie jedziesz? Do Esmeraldy? Beze mnie? No dobrze, rozumiem. Pa!

Schowała telefon.

– Przepraszam, mów dalej.

Ale ja nie byłam już w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, że Sikora jedzie do Esmeraldy. Powód tej wizyty mógł być tylko jeden.

– Eluś, przepraszam, ja strasznie zakręcona jestem – zamachałam rękami. – Coś mi się przypomniało. Muszę pędzić.

Elka przyjrzała mi się podejrzliwie, ale ponieważ z tym, że jestem zakręcona, trudno było polemizować, po prostu wysiadła z samochodu.

– Pamiętaj, szesnasta, biblioteka – przypomniała mi. – Mam zamówiony

najpiękniejszy bukiet świata. Twoja mama padnie.

– Och, cudownie! – Entuzjazm w moim głosie był równie autentyczny jak nowe cycki Zuzy. – Do zobaczenia!

I ruszyłam z piskiem wynędzniałych opon w stronę szosy. Liczyła się każda minuta.

Kiedy zajechałam pod Esmeraldę, Sikory jeszcze nie było. Wskoczyłam więc z auta i zaczęłam nerwowo kombinować, gdzie i jak powinnam się ukryć, żeby podsłuchać rozmowę Sikory z Czerwińskim. Niestety miejsc, w których mogli ją odbyć, było zbyt dużo: biuro, restauracja, restauracyjny ogródek, recepcja. I kiedy tak stałam przed wejściem, łamiąc sobie głowę, na parking przed hotelem zajechał Sikora.

Nie miałam żadnej szansy ucieczki, poczekałam więc, aż wysiądzie z auta, i podeszłam, udając zdziwienie.

– Jacuś?! Co za zbieg okoliczności. Też wpadłeś sobie na kawkę?

Nie bardzo wierzyłam, że da się nabrać, i miałam rację.

– Podsłuchiwałaś, jak gadałem z Elką?

– Nie podsłuchiwałam. Ona głośno mówiła.

– Znikaj stąd.

Nie zamierzałam się poddawać.

– To miejsce publiczne. Nie możesz mnie tak po prostu wyrzucić.

– W takim razie ja znikam.

Próbował mnie ominąć i wejść do hotelu, ale chwyciłam go za ramię.

– Jacuś – powiedziałam najdelikatniejszym, najśłodszym z możliwych tonów. – Jesteś taki mądry, taki kochany.

O mało nie parsknął śmiechem.

– Ty mnie podrywasz?

– Nie. Ja cię tylko proszę, usiądźcie na zewnątrz.

– Teraz to przegięłaś – stwierdził. – Serio.

– Jacek, błagam! Wiesz, jakie to dla mnie ważne. Przecież ci nie każę brać mnie

tam ze sobą.

– Jeszcze by tego brakowało.

– Ale gdybym coś przez przypadek usłyszała, nic by się nie stało przecież.

– *Curiosity killed the cat.*

– To nie jest ciekawość. To wewnętrzny przymus.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. A potem puściłam jego rękaw i Sikora bez słowa wszedł do środka.

Wzięłam kilka głębokich wdechów, poprawiłam włosy i ruszyłam za nim.

– Dzień dobry – młodziutka kelnerka w jasnej, letniej sukience podała mi kartę.

Kiedy tak stała w słońcu, mrużąc oczy i poprawiając co chwila włosy, rozwiewane przez wiatr, wyglądała raczej jak turystka, nie pracownica.

– Poproszę tylko kawę. Cappuccino.

– Oczywiście.

Dziewczyna znikła, a ja zaczęłam nerwowo szarpać brzeg bordowego obrusa i zastanawiać się, czy Sikora posłucha mojej prośby i wyciągnie Czerwińskiego na taras.

Kelnerka przyniosła kawę. Zapłaciłam. Na białym spodeczku obok filiżanki leżała mała czekoladka, zapakowana w złoty papierek. Odwinęłam ją powoli i włożyłam do ust, coraz bardziej pogodzona z myślą, że pomysł z przyjazdem tutaj był nie tyle szalony, co po prostu głupi.

– Przepraszam, że musiał pan tyle czekać – usłyszałam minutę później i na tarasie pojawił się Czerwiński, ubrany dość ekstrawagancko w kolorową orientalną koszulę, jasne luźne spodnie i sandały na gołe nogi, a tuż za nim – Sikora.

– Może tutaj? – właściciel hotelu wskazał dość odległy stół.

– Wolałbym w cieniu. – Mój przyjaciel opadł na fotel najwyżej trzy, może cztery metry od miejsca, w którym siedziałam. Usiadł tyłem do mnie i Czerwiński musiał zająć miejsce naprzeciwko, więc mogłam go nie tylko słyszeć, ale też widzieć. Miałam ochotę uściskać Sikorę.

– Pani Wiolu, dwie kawusie. Jaka dla pana komisarza?

– Wszystko jedno. Biała.

– To dwie latte poprosimy szybciutko.

Czerwiński rozparł się wygodnie w rattanowym fotelu. Sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie.

– Bruno uprzedzał, że przyjdzie policja. Podobno przesłuchujecie wszystkich, którzy byli na tym całym garden party. – Przeciągnął się. – Prawdę mówiąc nie sądzę, żebyście się czegoś dowiedzieli sensownego. Ciemno, głośno, za dużo ludzi, bodźców, sam pan wie. Trudno coś zauważyć, jeszcze trudniej zapamiętać.

Zabrzmiało to tak, jakby Czerwiński asekurował się, jeszcze zanim padną jakiegokolwiek pytania.

Pojawiła się kelnerka z dwiema filiżankami na tacy. Postawiła je przed mężczyznami i znikła.

– No cóż, musimy próbować. – Sikora przysunął sobie kawę. – To jak sklejanie rozbitej chińskiej wazy – tysiąc kawałków, ale jeżeli się je dobrze dopasuje, można w niej znowu trzymać wodę.

– Albo wino – roześmiał się Czerwiński.

– Albo wino. – Sikora wyjął z kieszeni swojej złachanej, płóciennej kurtki dyktafon, włączył go i położył na stole. – Proszę mi opisać dokładnie tamten wieczór. O której pan przyszedł, o której wyszedł, co pan mniej więcej robił?

Czerwiński przecesał palcami przydługie, siwiejące włosy, opadające na kark. Jak to dobrze, że przestał nosić kucyk, pomyślałam. Wyglądałby z nim teraz jak kretyn.

– No więc tak. Przyszedłem po dwudziestej, myślę, że mniej więcej dwudziesta piętnaście, dwadzieścia, dokładnie nie potrafię powiedzieć.

– Był pan sam?

– Tak. Żona poleciała na kilka dni do Londynu, mamy tam interesy.

– Przyszedł pan i co dalej?

– Jak to na przyjęciu. Rozmawiałem ze znajomymi, piłem, jadłem, Bruno ma zawsze fantastyczny catering.

– Czy piekł pan może kielbaski na ognisku?

– Nie, bez przesady, idiotyczny pomysł. Ociekająca tłuszczem kielbasa plus

garnitur za osiem tysięcy to nie jest dobre połączenie. Prawie nikt z tego nie korzystał.

– O której pan wyszedł?

– Koło pierwszej. Prawdę mówiąc nie przepadam za garden party. Wieje nudą.

Sikora sięgnął do kieszeni po portfel, wyjął z niego zdjęcie i położył na stole przed Czerwińskim.

– Przypomina pan sobie tę kobietę?

– Niestety nie. – Według mnie powiedział to stanowczo za szybko. – To ofiara, prawda?

– Tak. Na przyjęciu wyglądała trochę inaczej niż tutaj. Miała rozpuszczone włosy, czerwoną sukienkę, bardzo atrakcyjna osoba.

– Jeżeli atrakcyjna, to na pewno zwróciłbym uwagę – Czerwiński uśmiechnął się porozumiewawczo do Sikory. – No, Niestety. Wie pan, tam było naprawdę ponad sto osób, trudno wszystkich spamiętać.

– Jasne. – Sikora upił łyk kawy i z grzechotem odstawił filiżankę na spodek. – A może zauważył pan coś dziwnego? Niecodziennego? Co pana zdziwiło?

Gospodarz poprawił się nerwowo w fotelu.

– Wie pan, musielibyśmy najpierw ustalić, co dla pana znaczy dziwne i niecodzienne – znowu się zaśmiał.

Nie podobał mi się ten jego śmiech. Był nieszczerzy. Sikora nie dał się wciągnąć w rozmowę. Czekał.

– Według mnie nic ciekawego tam nie zaszło. To znaczy nic ciekawego z punktu widzenia policji. Oczywiście parę osób się upiło, kilka się pokłóciło, ktoś wyszedł nie z tym, z kim przyszedł. Nic bulwersującego nie przychodzi mi do głowy. Przykro mi.

Czułam, że pytania Sikory są zbyt ogólnikowe, ale zdawałam też sobie sprawę, że ciągle nie ma żadnego punktu zaczepienia poza ofiarą. To musiało na tym etapie być naprawdę frustrujące.

– Jeszcze coś, panie komisarzu?

– Jeśli chodzi o przyjęcie, to wszystko.

– Czyli kończymy? – Czerwiński położył dłonie na oparciach fotela, jakby chciał wstać.

– Niezupełnie. Pamięta pan Weronikę Dąbrowską?

Nawet z odległości, w jakiej siedziałam, widać było wyraźnie, jak jego twarz się zmienia. W jednej chwili zniknął z niej uśmiech, a zamiast niego pojawił się pełen napięcia grymas. Czerwiński wyglądał tak, jakby zobaczył ducha.

– Przepraszam, jak nazwisko?

– Dąbrowska, Weronika. Kojarzy pan?

Czerwiński znowu przecesał palcami włosy, jednak tym razem tak gwałtownie, jakby chciał je sobie wyrwać z głowy.

– Chodzi o tę dziewczynę, która zaginęła?

– Tak, właśnie o nią.

– Ale przecież to było dwadzieścia lat temu?

– Siedemnaście – poprawił go Sikora.

– Dlaczego pan o nią pyta?

– Znalście się. Pracowała u pana w Zielonym Kocie, prawda?

Nie spuszczałam wzroku z Czerwińskiego. Gapiłam się na niego jak sroka w gnat i musiałabym się gęsto tłumaczyć, gdyby to zauważył. Na szczęście nie w głowie mu było rozglądanie się po sąsiednich stolikach.

– Wie pan, to było tak dawno – powiedział chrapliwym głosem. – Rzeczywiście pracowała w mojej restauracji, ale wybaczy pan, nic z tej naszej współpracy nie pamiętam.

– Jak do pana trafiła?

– Chyba normalnie, z ogłoszenia. Wie pan, takiego papierowego, na słupie. Wtedy jeszcze nie było internetu.

– Czy z kimś się w pracy bliżej zaprzyjaźniła? Z jakimś mężczyzną?

Na twarzy Czerwińskiego pojawiły się krople potu. Wytarł je szybko serwetką, którą potem zmiął i rzucił na ziemię.

– Pan wymaga ode mnie niemożliwego. To było tak dawno. Poza tym ja naprawdę nie zajmuję się życiem uczuciowym pracowników niższego szczebla. Weronikę akurat pamiętam, bo wiadomo, ta cała afera z jej zaginięciem. Ale kto poza nią tam wtedy pracował nie mam pojęcia.

– Oczywiście. – Sikora sięgnął po kawę i wypił duszkiem do końca. – Czy podpisywał pan ze swoimi pracownikami umowy o pracę?

Czerwiński zrobił się czerwony jak burak.

– Pan jest z policji czy państwowej inspekcji pracy? Co pan insynuuje? Że zatrudniałem na czarno, tak?

Sikora rozłożył bezradnie ręce.

– Nie zamierzam pana ścigać w tej sprawie. Po prostu szukam sposobu, jak odnaleźć tych, którzy pracowali u pana w tym samym czasie co Weronika. Umowy byłyby pomocne. To wszystko.

Czerwiński gwałtownie wstał od stołu.

– Sprawdzę to – powiedział oschle. – A teraz muszę pana przeprosić, za pół godziny powinienem być w Warszawie. Żegnam.

ROZDZIAŁ 37

No i co myślisz?

Siedzieliśmy w zaparkowanym na poboczu drogi Chrupku, auto Sikory stało kilka metrów za nami. Gdyby ktoś ze znajomych nas zobaczył, plotki o romansie rozeszłyby się po okolicy z prędkością światła.

Pokręciłam w zamyśleniu głową.

– Według mnie nie zachowywał się normalnie. Wyglądał na zdenerwowanego. Zwłaszcza kiedy rozmawialiście o Weronice.

– Też odniosłem takie wrażenie. – Sikora się zamyślił.

– Nie sądzę, żeby znalazł jakiegokolwiek dokumenty z tamtego okresu.

– No ja też nie sądzę – odchrząknęłam. – Jedyna szansa, że nazwisko tego chłopca było w liście Weroniki do Joanny. Czy może...?

– Tak. Zadzwoń. Poproszę, żeby zanieśli na najbliższą komendę. Przyjdzie naszymi kanałami.

Zaskoczył mnie. Naprawdę. Gdyby nie mijające nas wciąż samochody, rzuciłabym mu się na szyję i ucałowała. Zamiast tego chwyciłam go tylko za ramię.

– Kiedy? Kiedy? Kiedy?

– Wariatka. Pewnie w poniedziałek.

Otworzył drzwiczki.

– Mogłabyś coś dla mnie zrobić?

– Wszystko!

– Jak ci się coś przypomni, nie dzwoń do mnie, OK?

I wysiadł.

Nie kupiłam szparagów, to chyba jasne. Gdybym miała jeszcze jechać na targ, nie

zdążyłabym z niczym.

Kiedy zaparkowałam przed domem, była dwunasta. Do czwartej musiałam jeszcze ogarnąć dom, przygotować obiad, przygotować dzieci na imprezę autorską babci oraz do tej samej imprezy przygotować siebie, co w tym momencie wydawało mi się niewykonalne.

W furtce zderzyłam się z Kubą, który właśnie przepychał przez nią swój rower.

– Dokąd to?

– Idziemy z tatą pojeździć. Tylko we dwóch. Taka męska wyprawa, no wiesz.

Liczba i rodzaj informacji, jakich mi udzielił, świadczyła wyraźnie, że Kaja chciała wybrać się z nimi, ale jej nie pozwolili.

– Proszę wrócić najpóźniej na drugą. Zjemy obiad, a potem w bibliotece jest spotkanie z babcią.

Kuba aż jęknął.

– Rany. Ja też muszę?

Wzruszyłam ramionami.

Na ścieżce pojawił się Tomek ze swoim rowerem. Mój mąż uwielbiał sport, a jeszcze bardziej – wszystkie gadżety ze sportem związane. Do każdej aktywności miał inny strój i inny zestaw obowiązkowy. Teraz był ubrany w błyszczące czarne spodenki z poduszką na tyłku, czarną, matową koszulkę, na dłoniach miał rękawiczki, a na nogach – buty ze specjalnymi nakładkami, które wpasowywały się w pedały. Gadżetami oblepiony był również jego rower: przy kierownicy licznik kilometrów i uchwyt na komórkę, przy ramie bidon, a z przodu lampa o takiej mocy, że mogłaby jej używać straż graniczna do łapania przemytników w Bieszczadach.

– Trochę ci zeszło na tym targu. Tylko coś zakupów mało – zauważył kąśliwie.

Powiało chłodem. Poczułam lekki niepokój.

– W sumie nie było tego, co chciałam.

– A Sikora? Czego on chciał?

Cholera, cholera, cholera. Czyli jednak ktoś nas widział! I doniósł uprzejmie

Tomkowi. Grunt to dobre sąsiedztwo.

– Gadaliśmy o Weronice. Przesłuchał jednego człowieka i tam wyszły pewne rzeczy... w sumie bardzo poważne – tłumaczyłam się chaotycznie.

Tomasz minął mnie, jakbym była powietrzem, i zaczął ustawiać w telefonie aplikację endomodo.

– A skąd wiesz, że rozmawialiśmy?

– Zuza was widziała. Następnym razem umawiaj się z nim w jakimś bardziej ustronnym miejscu. – Tomek, wciąż na mnie nie patrząc, wsiadł na rower. – Kuba, gotowy?

– Gotowy!

Odjechali. A ja patrzyłam za nimi, zastanawiając się, czy Tomasz był faktycznie o mnie zazdrosny, czy raczej chodziło mu o opinię na mieście. Oczywiście nie moja, tylko jego.

Zapiekanka z szynką, serem i brokułami miała same plusy: przygotowywało się ją błyskawicznie i równie błyskawicznie znikiała z talerzy – jeden z niewielu posiłków, który wszyscy akceptowali bez marudzenia. Podsmażając cebulę i gotując wodę na brokoły, dziękowałam sobie w duchu, że intuicja kazała mi na dzisiaj zaplanować to właśnie danie. Nie minął kwadrans, a miałam naczynie ogniotrwałe pełne pomieszanego z brokułami makaronu. Jednocześnie przez cały czas myślałam o Czerwińskim. Przerazenie na jego twarzy, kiedy Sikora zapytał go o Weronikę, było bardzo wyraźne, ale przypomniałam sobie, że na początku przesłuchania również zrobił coś, co mnie zaskoczyło. Kiedy Sikora pokazał mu zdjęcie Joanny, Czerwiński natychmiast odpowiedział: „Nie znam jej”. Nie przyglądał się zdjęciu, nie starał się odnaleźć w pamięci jakiegokolwiek skojarzenia z tą osobą. Rzucił okiem na fotografię i odpowiedział: nie. Za szybko. Za bardzo kategorycznie.

Ciekawe.

Zegar w kuchni wskazywał wpół do pierwszej. Wstawiłam zapiekankę do pieca na małej ognie, wytarłam ręce i pobiegłam na górę. Czasu na to, co zamierzałam

zrobić, nie było zbyt wiele.

Plik ze zdjęciami od Zuzy zawierał dwieście czterdzieści osiem elementów. Licząc, że spędzili na przyjęciu u Szeligi cztery godziny, wychodzi jedno zdjęcie na minutę. Niezły wynik.

Miałam cholerne szczęście, bo już na dwudziestej siódmej fotografii znalazłam to, czego szukałam – Czerwińskiego i Joannę, stojących bardzo blisko siebie. Czerwińskiego rozpoznałam od razu. Główny element jego stroju stanowiła biała koszula z żabotem, przez co przypominał trochę osiemnastowiecznego francuskiego zawadiakę. Pochylał się nad Joanną, której twarzy nie widziałam, ale którą rozpoznałam natychmiast po czerwonej sukni. Nie wyglądali na obcych sobie, raczej na spoufalonych. Niemożliwe, żeby Czerwiński jej nie zapamiętał.

Odruchowo sięgnęłam po telefon i już chciałam wybrać numer Sikory, kiedy przypomniałam sobie, o co mnie prosił. Gdybym teraz zadzwoniła, zabiłby mnie. To pewne. Zamiast tego zrobiłam komórką zdjęcie ekranu komputera, na którym Czerwiński nachylał się do Joanny, i wysłałam je ememesem na numer Jacka. Potem napisałam jeszcze wiadomość: „Kłamał. Musi ją pamiętać”. I zabrałam się za dalsze przeglądanie zdjęć.

Zajęło mi to kwadrans. Jeszcze na dwóch fotografiach znalazłam Czerwińskiego i Joannę blisko siebie. Te zdjęcia też sfotografowałam i wysłałam Jackowi. A potem w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zamknęłam folder i postanowiłam na odchodnym sprawdzić fejsa. Nie nastawiając się na nic, wpisałam hasło. Na chmurce czatu świeciła się czerwona jedyńka. Otworzyłam konwersację z Sylwią.

„Witam. Ten mężczyzna, z którym Weronika miała mieć dziecko, był żonaty. Słyszałam, jak Weronika mówi o nim: żonaty i bogaty. Ale obiecywał jej, że rozwiedzie się z żoną”.

Sens tego, co przeczytałam, docierał do mnie bardzo powoli.

Żonaty i bogaty. Żonaty i bogaty.

A ja, idiotka, myślałam, że się go wstydziła, bo był biedny! Tak jakbym zupełnie

nie znała Weroniki. Nie chwaliła się nim nie dlatego, że nie chciała, ale dlatego, że nie mogła. Nie mogła, bo miał żonę.

I nagle zrozumiałam.

Poznała go w pracy. Miała przemiłego szefa. Ten wisiołek to był prezent od jej ukochanego. Wszystkie elementy miałam przed nosem, i nie potrafiłam ich połączyć. Weronika była w ciąży z Czerwińskim!

ROZDZIAŁ 38

Halo! Mamo! Poproszę keczup!

Popatrzyłam w prawo, skąd dochodził znajomy głos. Kuba wyciągał się nad stołem, próbując dosięgnąć Heinza, który stał przy moim talerzu.

Zanim uniosłam ciężką jak z ołowiu rękę, Tomek sięgnął po butelkę i podał dziecku.

– Co się z tobą dzieje? – syknął pod moim adresem.

– Coś się ze mną dzieje? – powtórzyłam zdziwiona.

– No masz – zachnął się. – Dobrze wiesz, o czym mówię.

Nie wiedziałam. Wszystko docierało do mnie jakby z opóźnieniem. Kształty były nieostre, głosy niewyraźne. Czułam się jak w szklanej bańce, dziwne, że w ogóle jakoś funkcjonowałam. Że nie przypaliłam zapiekanki, nie stłukłam talerzy, nakrywając do stołu, a najbardziej dziwne, że nie płakałam. Bo przecież zawsze i na wszystko reagowałam płaczem. Teraz nie. Nie wiem dlaczego. Przez głowę przebiegła mi myśl, że w ten sposób się asekurowałam. Bo gdybym zaczęła płakać, rozsypałabym się na tysiąc okruchów. Nie do posklejania.

A jeszcze godzinę temu wszystko było w porządku. Oczywiście na pewnym ogólnym, mało wymagającym poziomie. Jednak uświadomienie sobie, że to Czerwiński był ojcem dziecka Weroniki, zmieniło wszystko.

Wcześniej myślałam, że kiedy odkryję, kto nim jest, przybliży mnie to do odnalezienia Weroniki. Okazało się jednak, że ta wiedza nie tyle mnie od tego oddaliła, co uświadomiła mi, że ono nigdy nie nastąpi. Bo wizja mojej przyjaciółki, romantycznie zakochanej, która ucieka ze swoim chłopakiem, żeby rozpocząć nowy rozdział, znikła, zastąpiona obrazem zadowolonego z siebie biznesmena, w którego życiu nie było żadnych widocznych zawirowań i w którym na pewno nie było miejsca na młodą kochankę z dzieckiem. Nie wiedziałam, co się stało, ale intuicja

podpowiadała mi, że Weronika nigdzie nie uciekła. Weronika nie żyła. Pierwszy raz od siedemnastu lat to do mnie dotarło.

Drżącymi rękoma sięgnęłam po telefon i napisałam esemes do Sikory: „To Czerwiński”.

W tym momencie, dziwnie definitywnym, poczułam się tak, jakby w moim sercu eksplodował ładunek wybuchowy, pełen kawałków metalu i gwoździ. To całe żelastwo wbiło się we mnie od środka i bolało tak bardzo, że miałam ochotę wyć.

Ale nie płakałam. Jakimś cudem udało mi się zejść na dół, wstawić zapiekankę i przygotować stół do obiadu. Tylko z jedzeniem nie mogłam sobie poradzić, bo każdy kęs stawał mi w gardle.

– Na którą jest to spotkanie z twoją matką? – zapytał Tomasz, wycierając usta serwetką po skończonym posiłku.

Spotkanie z moją matką. Przez chwilę szukałam w głowie odpowiedzi na to pytanie.

– O czwartej – przypomniałam sobie.

– To niedługo powinniśmy wychodzić.

Spojrzałam na zegar. Trzecia dziesiąta. Nagle poczułam mobilizację całego organizmu.

– Szykujemy się, bardzo proszę. Kaja, koralowa sukienka. Kuba, džinsy i jakiś T-shirt. Tylko czysty! Za dziesięć minut jesteście gotowi na dole!

Miałam nadzieję, że zdążymy. Spóźnienie oznaczałoby katastrofę.

Udało się. Pod furtką biblioteki, lekko zdyszani, stanęliśmy za dziesiątą czwartą. My, czyli ja, Kuba i Kaja, bo Tomasza zatrzymał jakiś pilny służbowy telefon. Co prawda komórki mają to do siebie, że można prowadzić przez nie rozmowy i jednocześnie iść, a nawet jechać na rowerze, ale kiedy próbowałam na migi zasugerować Tomkowi, żeby wyszedł razem z nami, machnął zdecydowanie ręką i odwrócił się tyłem, co odczytałam: idźcie sobie, dogonię was.

Im bliżej Błońskiej, tym więcej spotykaliśmy osób spieszących na spotkanie

z „popularną pisarką kryminałów Zofią Sarnecką”. W jednym z mężczyzn rozpoznałam właściciela teriera, którego szczepiłam kilka dni temu. Mężczyzna też mnie zauważył. Przyglądał mi się przez chwilę, próbując skojarzyć, skąd mnie zna.

– Dzień dobry, pani doktor! – przypomniał sobie w końcu, a ja podziękowałam opatrznosci, że nie ma z nami Tomasza.

– Dzień dobry – odpowiedziałam i gwałtownie zwolniłam, pozwalając, żeby nas wyprzedził.

Niestety, mleko już się rozlało.

– Co to za pan? – zapytała Kaja, oglądając się na niego z zaciekawieniem.

– Znajomy.

– A jak się nazywa?

– Nie pamiętam.

– A gdzie mieszka?

– Nie wiem.

Przez chwilę wydawało mi się, że to koniec inwigilacji, ale nie.

– A dlaczego powiedział do ciebie „pani doktor”?

To dziecko swoją upierdliwością mogło doprowadzić człowieka do szału.

– Musiał mnie z kimś pomylić. Chcesz gumę?

– Chcę.

Podalam dziecku listek miętowej Wriggley’s. Na razie chyba udało się uklepać sprawę, ale znając Kaję, dałabym głowę, że wróci do tematu w najmniej odpowiednim momencie.

Rozmowa z Tomkiem naprawdę była nieunikniona.

Weszliśmy do ogrodu otaczającego bibliotekę. Na idealnie przystrzyżonym trawniku ustawiono dwa namioty – mniejszy, przeznaczony dla autorki i większy – dla publiczności. Część ustawionych w równych rzędach składanych krzesełek była już zajęta. Zapowiadała się niezła frekwencja.

Tuż obok mnie jak kolorowy pocisk przeleciała Elżbieta, trzymając przed sobą

tacę z filiżankami podzwaniającymi na spodkach i czajnikiem. Była tak zaaferowana, że nas nie zauważyła.

– Halo, Elka, jesteście! – krzyknęłam za nią.

Odstawiła tacę na ławkę i odwróciła się do mnie gwałtownie.

– No nareszcie! Mama jest u mnie w biurze, idźcie do niej.

– Fantastycznie to wszystko przygotowałaś – pochwaliłam ją. – Ale po co te namioty?

– Bo będzie padać – odpowiedziała, zdziwiona, że pytam o coś tak oczywistego.

Spojrzałam w idealnie błękitne i bezchmurne niebo, ale nie skomentowałam.

Przez ten czas Elka z powrotem złapała tacę, okręciła się na pięcie i pobiegła dalej.

– Chodźcie – pociągnęłam dzieci w kierunku biblioteki. W tym momencie na parking wjechał ford mondeo Sikory.

– Albo lepiej idźcie sami – dodałam szybko. – Wiecie, gdzie jest pokój cioci?

– Ja wiem – zgłosiła się Kaja.

– To zaprowadź brata i powiedz babci, że ja tutaj muszę trzymać miejsca.

Sikora wysiadł z auta. Po jego dość nerwowych ruchach poznałam, że musi być niezłe wkurzony. Mimo to ruszyłam w jego stronę.

– Dlaczego nie odbierasz? – zaatakował na wstępie.

– Bo nie dzwonisz.

Wyjął komórkę i pokazał mi historię połączeń. Osiem razy w ciągu godziny. Odnalazłam w torbie swój telefon. Faktycznie, osiem nieodebranych połączeń oraz włączona funkcja: nie przeszkadzać. Nie mam pojęcia, kiedy to się stało.

– Coś ty mi poprzysyłała? Co to za zdjęcia?

– Zdjęcia są Zuzy. Zresztą masz ten plik. Przejrzałam je pod kątem Czerwińskiego. Na jednym widać, jak rozmawia z Joanną. A tobie powiedział, że jej nie kojarzy.

– Mógł nie pamiętać.

– Mógł. Ale mógł też skłamać. Pytanie, dlaczego.

– Przyjrę się temu. No i druga sprawa. Co znaczy tekst: „To Czerwiński”?

Nabrałam głęboko powietrza.

– Że to on był ojcem dziecka Weroniki – powiedziałam. A potem zaczęłam płakać.

Sikora westchnął, zrezygnowany. Zrobił krok w moim kierunku, żeby mnie przytulić, ale odsunęłam się i pokręciłam przecząco głową. Za dużo ludzi. Stał więc i patrzył na mnie bezradnie, czekając, aż sama się uspokoję.

A kiedy w końcu przestałam, wyjął z auta plik serwetek z McDonalda i podał mi, żebym osuszyła sobie twarz.

– Skąd te emocje, moja droga? – zapytał, chyba naprawdę zaniepokojony. – Kiedy znalazłaś zwłoki, tak bardzo nie histeryzowałaś.

– Bo to były obce zwłoki – odpowiedziałam z przekonaniem.

– Nie rozumiem, ale może nie muszę. Czy w myśl tej teorii Czerwiński nie jest obcy?

– Nie chodzi o niego. Chodzi o Weronikę.

– Ale...

– Pierwszy raz zdałam sobie sprawę, że ona chyba rzeczywiście nie żyje. Słyszysz? Nawet nie potrafię tego wymówić bez zastrzeżenia „chyba”. I że Czerwiński musi wiedzieć, co się z nią stało.

Sikora pokręcił głową.

– Uważaj, żebyś się nie zagalopowała – ostrzegł. – Skąd w ogóle ten pomysł, że to z nim była w ciąży?

Otworzyłam usta, żeby mu opowiedzieć o wszystkim, kiedy nagle głośniki zatrzeszczały głosem Elżbiety:

– Szanowni państwo, witam na wieczorze autorskim pani Zofii Sarneckiej, znanej autorki książek kryminalnych, a prywatnie – byłej mieszkanki naszego miasta.

Od strony namiotów dobiegły brawa.

– O fuck! – jęknęłam. – Muszę tam iść.

– Pójdę z tobą – zdecydował. – Pogadamy po.

Nigdy nie przepadałam za spotkaniami autorskimi. Pisanie to praca samotna

i śmiertelnie nudna, mało kto potrafi o niej ciekawie opowiadać. Moja matka niestety nie potrafiła. Może dlatego, że nie miała kompletnie poczucia humoru ani dystansu do siebie. Każde pytanie traktowała śmiertelnie serio i starała się na nie odpowiedzieć jak najkonkretniej, co dawało zabójczy efekt. Stąd dotąd. Od linijki do linijki. Ani pół anegdoty, którymi niektórzy pisarze potrafili rozbroić publiczność.

– Skąd czerpie pani inspiracje do swojej twórczości?

– Z tego, co mnie otacza.

– Czy postaci w pani książkach są odbiciem konkretnych osób?

– Niektóre tak, niektóre nie.

– Jak wygląda pani dzień pracy?

– Wstaję rano, jem śniadanie, siadam do pisania, kończę około szesnastej.

I tak dalej. Po pół godzinie wszystkie tematy bywały już wyczerpane, chyba że prowadzący wykazywał się jakąś wyjątkową kreatywnością. Nie mam pojęcia jak to się działo, że mimo to na spotkania z Zofią Sarnecką przychodziło całkiem sporo ludzi. A dzisiaj frekwencja przekroczyła moje najśmielsze oczekiwania.

Kiedy przyszliśmy z Sikorą, wszystkie siedzące miejsca były już zajęte, stanęliśmy więc z boku, pod rosnącą na skraju trawnika sosną. Ze zdziwieniem odnotowałam, że słońce zaszło a na niebie pojawiły się chmury. Przedziwna sprawa.

Spotkanie prowadziła oczywiście Elżbieta. Oczywiście, ponieważ była fanką twórczości mojej mamy, co mnie nieodmiennie fascynowało. Nie miałam zbyt wysokiego mniemania o pisarstwie Zofii Sarneckiej i kompletnie nie mogłam rozumieć, jak można się w jej książkach rozczytywać i czekać na pojawienie się każdej następnej jak na kulturalne wydarzenie roku. No ale ja się chyba nie znałam, bo miejsce na topliście Empiku nie wzięło się znikąd.

Ponieważ Elka doskonale wiedziała, że na wylewność mojej matki nie ma co liczyć, przygotowała całe mnóstwo szczegółowych pytań dotyczących ostatnio wydanych tytułów. Samo ich słuchanie było ciekawe, a to, że autorka odpowiadała na nie zdawkowo, zupełnie nikomu nie przeszkadzało.

Kap. Na mój policzek spadła kropla deszczu. Kap. Następna. Spojrzałam w górę. Niebo było czarne. Kap, kap, kap. Dosłownie w moment z chmury, która zaparkowała

centralnie nad nami, lunął rześisty deszcz. Drzewo, pod którym staliśmy, przestało dawać schronienie, przenieśliśmy się więc z Sikorą pod namiot, choć nie było tam zbyt wiele miejsca. Stanęliśmy za ostatnim rzędem krzeseł, po chwili poczułam na plecach nieprzyjemną, przenikliwą wilgoć. Pogoda w jakimś sensie dostosowała się do mojego nastroju.

Dzieci siedziały w pierwszym rzędzie i nawet z tej odległości widziałam wyraźnie, że się nudzą. Zupełnie jak ja. Nigdzie za to nie widać było Tomasza, choć akurat to mnie nie dziwiło zupełnie. Służbowy telefon tuż przed wyjściem był wyjątkowo wygodnym zbiegiem okoliczności. Tomasz nie był fanem twórczości mojej matki, właściwie nie był również fanem mojej matki jako takiej. Przez pierwsze lata naszego małżeństwa jeszcze jakoś ją znosił, ale kiedy rozstała się z ojcem, jego stosunek do niej stał się lodowaty. Nie mógł zrozumieć, jak mogła wyrzucić ojca z domu. To był dla niego tak gigantyczny wstrząs, że ich relacje po tym incydencie nigdy nie wróciły do normy. Po prostu Tomasz uważał, że matka powinna położyć uszy po sobie i udawać, że nic się nie stało. Dla dobra rodziny. A tak co? Wstyd na całe miasto.

Ulewa nie odpuszczała. Deszcz szumiał w gałęziach drzew i bębnił denerwująco o dach namiotu. Jaka ta Elka przewidująca, pomyślałam z uznaniem. Gdyby nie przygotowała tych namiotów i nagłośnienia, ze spotkania byłyby nici.

– Na jakim etapie jest najnowsza pani powieść? – zadała pytanie Elka.

– Właśnie kończę.

– Jaki będzie miała tytuł?

– *Jad węża*.

– Kiedy pojawi się na rynku?

– W październiku.

Tak to właśnie wyglądało. Pytanie – odpowiedź. Zwięźle. Konkretnie. Zwariować można.

– A planuje już pani następną?

Tutaj, o dziwo, moja matka udzieliła odpowiedzi, która nie zamykała się w jednym zdaniu.

– Tak. Postanowiłam stworzyć historię opartą na tragicznych wydarzeniach sprzed

dwóch tygodni, które miały miejsce w Podkowie.

Przez zgromadzonych przeszedł szmer poruszenia.

– To będzie oczywiście fikcja, ale zbudowana na faktach. Pan komisarz Sikora obiecał mi pomoc w tej sprawie.

Zaskoczona spojrzałam na Jacka.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – szepnęłam z wyrzutem.

Rozłożył ramiona w geście bezradności. Elka najwyraźniej też była zaskoczona.

– Czekamy w takim razie z niecierpliwością – skomentowała. – I pozdrawiamy pana komisarza, któremu, jak widzę, pomimo nawału pracy, udało się znaleźć czas i zaszczyił nas dzisiaj swoją obecnością.

W jej tonie wyczułam nutę sarkazmu. Od dwóch tygodni prawie nie oglądała męża, więc jego obecność na imprezie kulturalnej wątpliwej wagi musiała ją lekko zirytować.

Moja matka zaczęła się natychmiast rozglądać w poszukiwaniu Sikory. Kiedy w końcu odnalazła go wzrokiem, na jej twarzy pojawił się uśmiech słodki jak Oreo.

– Jak miło widzieć, panie komisarzu – zaczęła do mikrofonu. – Po spotkaniu proszę nie uciekać, muszę z panem koniecznie zamienić kilka słów!

Tak, pomyślałam, jeszcze mi tylko tego brakowało do kompletu. Mojej matki w tym wszystkim. Rewelacja.

Spotkanie ewidentnie dobiegało końca. Elka bardzo elegancko podziękowała matce za to, że zgodziła się przyjąć zaproszenie i poświęciła swój cenny czas dla wiernych czytelników i dawnych sąsiadów. Dyskretnie nie dodała, że to poświęcenie kosztowało bibliotekę pięćset złotych. Deszcz przestał padać, chmury się rozstały. Wyszło słońce.

– Jeżeli ktoś z państwa chciałby uzyskać autograf pani Zofii, zapraszam! – Elka odsunęła swoje krzesło, robiąc miejsce dla czytelników z przygotowanymi do podpisu książkami.

Jacek wyjął komórkę i sprawdził coś na ekranie.

– Słuchaj, muszę wrócić na komendę – powiedział. – Myślę, że gdzieś za godzinę będę wolny. Wpadłabyś do nas?

– Mam Zofię Sarnecką na nocowanie – westchnęłam. – Wiesz, tę sławną pisarkę kryminałów. Nie wyrwę się. Ty przyjdź do nas.

– Twoja matka się na mnie ostrzy.

– Wymiksujemy się bez problemu.

– Skoro tak twierdzisz.

ROZDZIAŁ 39

Sikora dotarł na Akacjową dwie godziny później, kiedy właśnie kończyliśmy kolację. Zrobiło się małe zamieszanie, Tomek rzucił coś w stylu: mam dużo pracy i zniknął, dzieciaki sprzątały ze stołu, moja matka rozmawiała z kimś przez telefon, a my z Jackiem postanowiliśmy ukryć się gdzieś i pogadać. Sikora zabrał ze sobą gruby plik dokumentów, który przywiózł z Grodziska, i jak gdyby nigdy nic ruszyliśmy w kierunku drzwi tarasowych.

– A wy dokąd? – rozległo się nagle za naszymi plecami.

Zamarliśmy z Sikorą w pół kroku.

– Brawo – szepnął do mnie, po czym oboje się odwróciliśmy, przywołując na twarze grzeczne uśmiechy.

– Idziemy na taras, mamó. Pogadać.

– I zostawiacie mnie samą? Ładnie to tak?

– Gadałaś przez telefon.

– Mogliście poczekać – powiedziała z wyrzutem, a potem nagle zmieniła ton na przesłodzony i poufały: – To, że moja córka tak się zachowuje w stosunku do starej matki, mogę jeszcze zrozumieć. Ale że pan, panie komisarzu, tak mnie zostawił. – Dałabym głowę, że zatrzepotała rzęsami.

– Jacku – podlizał się natychmiast Sikora. – Kiedyś mówiła mi pani po imieniu.

– Ale kiedyś nie byłeś komisarzem policji. To takie zaskakujące. Jeszcze niedawno jeździliście z Madzią na rowerach i opatrywałam wam stłuczone kolana.

O ile sobie przypominam, osobą, która nalepiała nam plastry, był ojciec, ale nie zamierzałam wdawać się w dyskusje na temat prawdy historycznej mojego dzieciństwa. Chciałam tylko jak najszybciej pozbyć się matki.

– Mamó, nie zostawiamy cię samej. Jest Tomasz, są dzieciaki.

– Kochanie, twój mąż, jak zapewne zauważyłaś, zamknął się w gabinecie.

Zastanawiam się swoją drogą, skąd taka ostentacja.

W tym temacie akurat miałam jasność. Był wściekły z powodu wizyty Sikory. Ale nie zamierzałam dzielić się z matką tą wiedzą.

– Mogłabyś zagrać z Kają i Kubą w jakąś grę – podpowiedziałam za to. – Może w chińczyka?

– W chińczyka – prychnęła, jakbym proponowała jej rzut podkową. – Nie macie czegoś mniej archaicznego?

– Mamy – zaczynałam czuć narastającą irytację. – Ale zawsze protestujesz, że to zbyt skomplikowane i...

– Wiesz co, kotku, ta dyskusja chyba nie ma sensu – przerwała mi matka. – Nie zamierzam siedzieć tutaj z dziećmi, podczas gdy wy z panem Jackiem będziecie rozmawiać o różnych ciekawych rzeczach. A widząc zdziwioną minę Sikory, dodała: – Dzieci, panie Jacku, to ja mam na co dzień.

Zabrzmiało to zupełnie tak, jakby z nami mieszkała i opiekowała się Kają i Kubą od rana do wieczora, siedem dni w tygodniu, dwanaście miesięcy w roku.

– Może herbatki? – dodała z uśmiechem. – Bo widzę, że Magdusia nie zaproponowała.

Sikora popatrzył na mnie, szukając wsparcia, a w jego oczach zobaczyłam panikę. Och, doskonale wiedziałam, o co chodzi. Jedną z niewielu osób, których bał się ten dorosły, silny mężczyzna, komisarz policji, który nieraz stawał oko w oko z najgorszymi bandytami w okolicy, no więc jedną z niewielu osób, których się bał, była moja mama. Przez rok uczyła naszą klasę matematyki, i to wystarczyło. Kiedyś Sikora przyznał mi się, że miewa nocne koszmary. Śnią mu się tak straszne rzeczy, że czasami budzi się z krzykiem. Ale nie są to trupy ani mordercy, ani gangsterzy, nic z tych rzeczy. W śnie, który przeraża go najbardziej, stoi przy tablicy i próbuje rozwiązać zadanie z matematyki, i co chwila robi błędy, a za każdym razem, kiedy się pomyli, moja matka uderza linijką o stół. To wszystko.

– Herbatę chętnie – wybąkał.

Rozumiecie, że z takim bagażem trochę trudno było mu się jej sprzeciwić.

Matka z uśmiechem wzięła go pod ramię.

– Madziu, ja też poproszę – oświadczyła i pociągnęła biednego Sikorę na zewnątrz. – Tylko czarną, nie zieloną. Zielona smakuje jak zaparzone siano.

Kiedy wróciłam z trzema kubkami herbaty i zobaczyłam moją mamę, która streszczała właśnie Sikorze intrygę swojej najnowszej książki, natychmiast zrozumiałam, że na rozmowę z Jackiem w cztery oczy nie mam co liczyć.

Kiedy postawiłam na stole herbatę, matka wyrwana z transu podskoczyła, jakby ujrzała przed sobą uciętą głowę węża. Albo Alfredo Garcii.

– Och, przepraszam – westchnęła. – Rozgadałam się. A to przecież nie ja mam mówić, tylko Jacuś.

Sikora zaczął się wiercić na krześle, jakby nagle zaczęło uwierać go w tyłek.

– Magda, wprowadzisz swoją mamę?

– Nie. To jest zadanie dla profesjonalisty – odparłam i siorbnęłam łyk herbaty. – Mów, nie krępuj się.

– Pani Zofio – odchrząknął. – Nie wiem, od czego zacząć.

– Od morderstwa – podpowiedziała usłużnie matka.

– Od morderstwa – powtórzył Jacek. – Dobrze. Dwa tygodnie temu w parku pani córka znalazła zwłoki niezidentyfikowanej kobiety, która została zamordowana metalowym ostrym narzędziem. Cios prosto w serce. W pobliżu był widziany bezdomny mężczyzna, a kobiecie ukradziono torebkę i biżuterię, przyjęliśmy więc na początku koncepcję zbrodni na tle rabunkowym.

– Ciekawe – westchnęła matka, która słuchała Jacka z taką uwagą, że określenie „spijała mu słowa z ust” byłoby najbliższe prawdzie. Co, jak zauważyłam, całkiem mu się zresztą podobało. Za to mnie nie podobało się wprowadzanie mojej matki w szczegóły śledztwa. Po pierwsze dlatego, że moja duma z bycia jedynym cywilem, który dostępował tego zaszczytu, została brutalnie zdruzgotana. Po drugie doskonale wiedziałam, że za kilka miesięcy Zofia Sarnecka opíše wszystko w kolejnej książce, prawdopodobnie nie zostawiając na policji suchej nitki, w końcu etatowym bohaterem powieści mojej matki był prywatny detektyw, który żerował na błędach w śledztwie.

Nie sędzę jednak, żeby Jacek miał świadomość tego, że go wystawia.

– Później okazało się jednak, że człowiek, którego podejrzewamy, nie żyje, a sekcja zwłok wykazała, że nie mógł popełnić tego zabójstwa.

– Przecież to nie musiał być ten konkretny mężczyzna – matka nie wytrzymała i zaczęła się wymądrzać. – Takich, którzy są w stanie zabić za dwadzieścia złotych, znalazłoby się pewnie kilku w okolicy.

– Teoretycznie ma pani rację – przyznał Sikora. – Jednak koncepcja przypadkowej zbrodni upadła definitywnie, kiedy się okazało, że rozen, którym zamordowano kobietę, pochodzi z posiadłości Szeligi. Co oznacza, że morderca był razem z ofiarą na przyjęciu.

– Zupełnie jak u Agaty Christie – znowu przerwała matka. – Mamy zamknięty krąg podejrzanych.

– Oczywiście – tym razem to ja nie wytrzymałam. – Tylko że u Christie w przyjęciach brało udział maksimum dziesięć osób. Tutaj mamy ponad setkę.

Matka popatrzyła na mnie z wyraźną niechęcią w oku.

– W zeznaniu jednego z przesłuchiwanym – ciągnął Sikora.

– Czerwińskiego – wtrąciłam.

– ...pojawiała się nieścisłość. Przesłuchiwany stwierdził, że nie kojarzy Joanny Maj, ale odnaleziono zdjęcie z przyjęcia, na którym ze sobą rozmawiają.

Odnaleziono! Jak forma bezosobowa potrafi czasem człowieka wkurzyć!

– A to oznacza, że albo ma bardzo słabą pamięć, albo rozmyślnie wprowadził nas w błąd – ciągnął Sikora.

– Obawiam się jednak, że nie będziesz w stanie mu nic udowodnić – oświadczyła moja matka, specjalistka od roboty śledczej. – Zdjęcie nic nie znaczy. Zawsze może powiedzieć, że owszem, rozmawiał, ale nic nie pamięta.

– Oczywiście – zgodził się Sikora. – Dlatego szukamy innych powiązań. Pastuszko przejrzał pod tym kątem elektronikę ofiary. Na pewno nie miała numeru telefonu Czerwińskiego ani adresu mejlowego, co sugeruje, że jednak się wcześniej nie znali. Ale pytanie, co stało się na przyjęciu.

Przesunął na środek stołu plik papierów, z którym przyszedł.

– Chciałem prosić o pomoc Magdę, ale gdyby miała pani ochotę...

Matce zaświeciły się oczy.

– Ależ oczywiście! Co mam robić?

Sikora sięgnął po pierwszy z wierzchu zbindowany plik kartek.

– Mamy tu protokoły przesłuchań – wyjaśnił. – Kiedy się okazało, że narzeczony nie mógł być sprawcą, zaczęliśmy żmudną robotę przepytывania wszystkich osób, które uczestniczyły w przyjęciu. Gości, kelnerów, kucharzy. Na liście mamy sto dziewięćdziesiąt trzy osoby.

– Gigantyczna robota – stwierdziła matka, kiwając w zamyśleniu głową.

– Tak. Zwłaszcza że mam do pomocy właściwie tylko dwie osoby. Idzie to bardzo powoli, ale chcę stworzyć coś w rodzaju mapy przyjęcia. Z zeznań postaramy się wyłuskać wszystkie te fragmenty, które dotyczą ofiary, a potem na ich podstawie określić, co Joanna robiła od przyjścia do wyjścia. Przynajmniej tak planowałem, kiedy okazało się, że narzeczony nie zabił, a my nie mieliśmy nowego punktu zaczepienia. Ale teraz pojawił się Czerwiński. Pomyślałem więc, że można by przejrzeć te zeznania, które już mamy, pod kątem jego i Joanny. Mamy już sporo materiału. Moi podwładni dzisiaj są nieuchwytni, ale pomyślałem, że gdyby panie mi pomogły i usiedlibyśmy w trójkę...

Miałam ochotę go udusić. Za tę trójkę.

– To oczywiście nieoficjalna prośba i wolałbym się tym nie chwalić, że mi pomagacie, ale...

– Cudownie! Jestem taka podekscytowana! – weszła mu w słowo moja matka. – Bierzmy się do pracy! Natychmiast!

Sikora zdjął z kupki pierwszy dokument i wręczył mojej mamie.

– Bardzo proszę. Szczegółowe zeznania jednej z uczestniczek. Tej twojej Zuzy – zwrócił się do mnie.

– Przesłuchaliście ją? – zdziwiłam się. – Że też nie przyleciała do nas z nowiną.

– Może przyleciała, tylko nie do ciebie – rzucił dwuznacznie Sikora.

– Coś sugerujesz? – popatrzyłam zdziwiona.

Jacek wzruszył ramionami i następną teczkę podsunął mi.

– Dla ciebie Marcin Lewandowski.

Nazwisko wydało mi się znajome.

– Kto to? – spytałam.

– Asystent Szeligi. Poznałaś go, zdaje się.

Oczywiście. To ten stylowy chłopak, który za pierwszym razem zaprowadził mnie do psa.

– Ja przejrzę zeznania żony Szeligi.

– A jego już przepytaliście?

– Tylko wstępnie, ale to słyszałaś. Na dniach spisujemy pełne zeznanie.

Odgiął się do tyłu na krześle i przeciągnął, jakby przygotowywał się do jakiegoś większego wysiłku fizycznego.

– No dobrze, to w takim razie bierzemy się do roboty.

Praca, która na początku wydawała się banalna, okazała się żmudną i nudną robotą. Po przejrzaniu pierwszych kilku stron wiedziałam już, dlaczego nie zostałam policjantem. Siedzieliśmy w ciszy, kartkując dokumenty i starając się nie przeoczyć niczego ważnego. Matka na początku próbowała nawet komentować niektóre wypowiedzi żony Szeligi z przesłuchania, ale ponieważ ani ja, ani Jacek nie zwracaliśmy na nią specjalnej uwagi, dała sobie spokój.

Zeznania, które przeglądałam, były konkretne i szczegółowe, widać było, że osoba, która je składa, stara się pomóc. Na pierwszych stronach Lewandowski opisywał, kim jest, od jak dawna pracuje dla Szeligi i na czym jego praca polega, potem wyjaśniał, jak przygotowywał się do przyjęcia i co miało należeć do jego obowiązków, wreszcie następował szczegółowy opis samej imprezy: z kim rozmawiał, w którym miejscu i mniej więcej o której godzinie. Musiał mieć świetną pamięć, bo podawał dużo szczegółów: dokładnie opisywał osoby, z którymi się zetknął, ich zachowanie, ubiór, czasami nawet cytował fragmenty rozmów. A ponieważ był na przyjęciu służbowo i większość czasu spędzał z Szeligą, miał wiele okazji do obserwacji i dużo do powiedzenia.

Materiał został ułożony chronologicznie, ale do godziny dwudziestej pierwszej nie udało mi się znaleźć nic istotnego. Przebrnęłam przez zbyt szczegółowy jak dla mnie opis wystąpienia Szeligi i kilka linijek dalej wreszcie natknęłam się na fragment, który, jak się okazało, popchnął naszą historię gwałtownie do przodu.

– Posłuchajcie! – uniosłam rękę w górę, żeby przyciągnąć ich uwagę. – Coś mam! – zaczęłam przebiegać wzrokiem tekst. – Godzina mniej więcej dwudziesta pierwsza dwadzieścia. Szeliga kończy przemówienie i wraca do gości. Wszyscy mu gratulują. Rozmowy na tematy polityczne, z każdym po kilka słów. I teraz uwaga, cytuję: „Przemieszczałam się z panem Szeligą i jego żoną wzdłuż tarasu. Zatrzymaliśmy się przy panu Czerwińskim. To przyjaciel szefa, znają się od dawna, robią razem interesy, spotykają na gruncie prywatnym. Rozmawiali przez chwilę, ale nie słyszałam o czym, bo podszedł do mnie szef cateringu z pytaniem o kolejność podawania dań na ciepło, którą z jakiegoś powodu chciał zmienić. W pewnym momencie od strony ogrodu podeszła do nas ta kobieta ze zdjęcia”.

– Przed przesłuchaniem każdemu pokazywaliśmy fotografię Maj – przerwał mi Sikora. – Chcieliśmy, żeby to na niej się skupili.

– „I przywitała się z nami, zdaje się, że żony pana Szeligi już z nami wtedy nie było, ale nie potrafię powiedzieć na sto procent – czytałam dalej. – Potem powiedziała coś w stylu: mamy wspólną znajomą, tylko dawno nie miałam z nią kontaktu. Tu padło jakieś imię, ale niestety nie mogę sobie przypomnieć, jakie. Zaczęła opowiadać, że od lat ma jakąś rzecz, która należy do tej znajomej i którą chciałaby jej zwrócić. Była bardzo rozbawiona, wyglądała na lekko wstawioną, ale może po prostu taki miała styl bycia. Szef musiał iść dalej, goście czekali, ta kobieta została z Czerwińskim. Odszedłem razem z panem Szeligą, nie pamiętam, żebym jeszcze potem widział tę osobę”.

Podniosłam głowę i popatrzyłam na Sikorę. Przez chwilę siedzieliśmy cicho, próbując ułożyć sobie w głowach to, co właśnie usłyszeliśmy.

– Czy myślisz o tym samym, co ja? – spytałam w końcu.

– Tak – odpowiedział.

Moja matka nie wytrzymała.

– Możecie mi wytłumaczyć, o co chodzi? Nie czuję się komfortowo, kiedy wymieniacie między sobą hermetyczne uwagi, a ja nie mam o niczym pojęcia.

– Za chwilę. – Sikora sięgnął po komórkę. – Najpierw muszę się upewnić co do jednej rzeczy.

Wybrał numer.

– Mam prośbę. Możesz mi znaleźć namiar na tego sekretarza Szeligi? Lewandowski. Dzięki.

Wyłączył się, a chwilę potem przyszedł esemes. Sikora zadzwonił po raz drugi, ale tym razem dał na głośnomówiący.

– Komisarz Jacek Sikora, komenda powiatowa – przedstawił się. – Przepraszam, że o tej porze, ale mam ważne pytanie.

– Ja już byłem przesłuchiwany – w głosie asystenta Szeligi było słychać zdziwienie.

– Wiem. Właśnie dlatego dzwonię. Przeanalizowaliśmy informacje uzyskane od pana i chciałbym coś uściślić. Chodzi mi o ten moment przyjęcia, kiedy do Szeligi i Czerwińskiego podeszła Joanna Maj. Opisał pan to bardzo dokładnie, ale zależałoby mi na jednym szczególe.

Nie mogłam już słuchać tej eleganckiej gadki naokoło.

– No, zapytaj go w końcu! – syknęłam.

– Powiedział pan, że Maj wymieniła imię jakiejś wspólnej znajomej. Czy to mogło być imię Weronika?

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza. A potem usłyszeliśmy odpowiedź.

– Tak, rzeczywiście. Weronika. Zgadza się.

Sikora podziękował i odłożył słuchawkę. Znowu na chwilę zapadła cisza, ale tym razem to ja ją przerwałam.

– Muszę się napić jakiegoś alkoholu – oświadczyłam. – Ktoś dołączy?

Wino było ohydne. Jedyna butelka, jaką znalazłam w kredensie, nie dość, że zawierała białe półsłodkie, to jego temperatura niebezpiecznie zbliżała się do temperatury

herbaty, która ciągle smętnie stygła w kubkach na stole. Być może sprawę uratowałyby parę kostek lodu, ale w zamrażalniku znalazłam tylko paczkę małych marchewek i stare frytki, więc musieliśmy się męczyć z tą lurą.

– Ja czekam! – przypomniała o sobie moja matka.

Sikora odstawił kieliszek i zaczął mówić:

– To, co opisałem wcześniej, to jeden fragment układanki. Drugi rozegrał się jakby w innej przestrzeni czasowej. Magda?

Upiłam łyk wina. Alkohol zaczynał działać, czułam się mniej spięta, a cała ta rozmowa, moja matka przy jednym stole z Sikorą i jego elokwentny, elegancki sposób mówienia zaczynały mnie prawie bawić.

– Ta inna przestrzeń czasowa, mamó, to rok zaginięcia Weroniki – zaczęłam. – Historie łączy wisiołek, który w dniu swojej śmierci miała na sobie Joanna Maj. Ten wisiołek należał kiedyś do Weroniki. Joanna przysłała w nim na przyjęcie, choć zupełnie nie pasował do jej sukienki. Okazało się, że Joanna i Weronika się znały, mieszkały razem w Londynie. Właśnie wtedy, podczas pobytu w Anglii, Weronika zorientowała się, że jest w ciąży.

– Że też mnie to nie dziwi – skomentowała matka półgłosem.

– Mamó, jak możesz? – zdenerwowałam się.

– Co jak mogę? Przecież nie mówię, że była latawicą. Po prostu wszyscy widzieli, że dziewczyna chce się wyrwać z domu. A ciąża to najlepszy sposób. Choć może zbyt radykalny jak na mój gust. Kim był ojciec dziecka? Bo to chyba ważne.

Popiłam złość na matkę winem, pomogło.

– Od trzeciej dziewczyny, która z nimi mieszkała, dowiedziałam się, że facet był zamożny, miał żonę, ale dla Weroniki obiecał się rozwieść. Aha, i najważniejsze – Wera dla niego pracowała. A ponieważ jeszcze przed wyjazdem do Londynu dorabiała sobie jako kelnerka w restauracji Zielony Kot, która należała do...

– Do Czerwińskiego oczywiście. Pamiętam, to była jego pierwsza knajpa. Chyba nawet kiedyś byliśmy tam z twoim ojcem.

– Tak, mamó, która należała do Czerwińskiego. Wywnioskowaliśmy, że ojcem dziecka Weroniki musiał być właśnie Czerwiński. A więc Joanna wkłada na szyję

wisiorek należący do Weroniki, przychodzi na przyjęcie, na którym spotyka Czerwińskiego, i chwilę później nie żyje.

Zakręciłam kieliszkiem i patrzyłam, jak wino spływa po ściankach.

– Doszliśmy do wniosku, że te dwie sprawy muszą się jakoś łączyć – odezwał się Sikora. – Ja mam oczywiście swoją koncepcję, ale jestem ciekawy, co pani o tym myśli.

– Ależ tu nie ma co myśleć! Wszystko widać idealnie, jak na dłoni. – Na twarzy mojej matki pojawił się uśmiech samozadowolenia. – Gdybyś, moje dziecko – zwróciła się do mnie – czasami czytała książki, które piszę, bez problemu znalazłabyś analogię. Bo żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, kto jest mordercą, trzeba przede wszystkim poznać motyw. A tutaj motyw jest bardzo wyraźny. Ja bardzo często używam takiego zabiegu. Zbrodnia, która dzieje się współcześnie, ma swoje korzenie w tym, co stało się przed laty.

– Rzeczywiście, wszystko na to wskazuje – przyznał Sikora. – Co w takim razie według pani się stało?

Moja matka poprawiła się na krześle i przystąpiła do wykładu. Była absolutnie w siódmym niebie.

– Siedemnaście lat temu Weronika miała romans z Czerwińskim. Zaszła z nim w ciążę. Była zakochana, chciała, żeby się rozwiodł i z nią ożenił. Niestety, nie przewidziała jednego: że Czerwiński się nie rozwiedzie, bo nie może. Przecież on dokładnie w tym czasie budował swoją nową restaurację, pamiętam doskonale, jakie wtedy krążyły o nim plotki. Wszyscy twierdzili, że bez pieniędzy swojej żony nie doszedłby do niczego. A już na pewno nie zbudowałby Esmeraldy. Stawka była zbyt wysoka. Może dał jej pieniądze na nowe życie i kazał zniknąć, może miała skrobankę i coś poszło nie tak, i umarła, a może... no cóż, może ją zamordował, trudno powiedzieć. Nie wiemy, co się wtedy stało, ale on wie na pewno. Ma za uszami romans, a być może coś gorszego. I ewidentnie nie może sobie pozwolić, żeby to się wydało.

Matka chwyciła kieliszek i wypła go prawie do dna.

– A tutaj nagle na imprezie pojawia się kobieta, która ma na szyi wisiorek

Weroniki i gada jakieś bzdury na jej temat. To nie tylko obciachowe, ale też potencjalnie niebezpieczne. Jacku, kim była ta Joanna z zawodu?

– Fryzjerką.

– No proszę! Czyli prawdopodobnie mówiła, co jej ślina na język przyniesie. Asystent Szeligi twierdził, że sprawiała wrażenie pijanej, ale ja myślę, że była raczej podekscytowana. Naprawdę mogła palnąć coś głupiego przy ludziach. Albo na przyjęciu, albo później. Poza tym Czerwiński mógł się bać, że zacznie go szantażować. Więc rozważa wszystkie za i przeciw, i postanawia wypompować to szambo, zanim się porządnie rozleje i narobi smrodu. Umawia się z nią na stacji i tam ją zabija.

– Mało tego – włączyłam się. – Próbuje w morderstwo wrobić jej chłopaka. Często bywa u Szeligi w domu, na pewno wie o kluczu uniwersalnym, korzysta więc z niego, zabierając z szafki Cieślaka na basenie jego komórkę i dzwoniąc z niej do Joanny.

– No proszę, o tym mi nie powiedzieliście – zauważyła matka. Po czym nachyliła się do Sikory i spytała: – I co, Jacku, o tym wszystkim myślisz?

Na twarzy Sikory zdziwienie mieszało się z niezadowoleniem. Zdaje się, że prosząc moją matkę, żeby powiedziała, co myśli, nie zakładał, że tak dobrze jej pójdzie.

– Tak, dokładnie tak to widzę – przyznał. A potem dodał niechętnie: – Muszę przyznać, że całkiem nieźle poradziła sobie pani z tematem. Bardzo logiczny wywód.

Ja miałam jednak kilka wątpliwości.

– No dobrze, a jak wytłumaczysz – zwróciłam się do matki – że Joanna, idąc na przyjęcie, specjalnie założyła wisiołek? Skąd mogła wiedzieć, że Czerwiński będzie wśród zaproszonych gości?

Prawdę mówiąc zadając to pytanie, miałam nadzieję, że matka na nim polegnie. Bo sytuacja, kiedy kobieta po sześćdziesiątce rozpracowuje w pięć minut zbrodnię, nad którą policja łamie sobie głowę od dwóch tygodni, wydała mi się niesmaczna.

Matka wydeła leciutko wargi.

– Możesz mi, kochanie, przynieść z kuchni mój telefon? – zwróciła się do mnie miłym głosem. – Powinien leżeć gdzieś na blacie.

Wszyscy znani mi seniorzy używali albo archaicznych, sprawdzonych i niezniszczalnych Nokii, albo nowoczesnych aparatów z dużymi przyciskami, w które można było bez problemu trafić palcem. Moja mama miała najnowszego iPhone'a i jak zauważyłam, bardzo lubiła nim szpanować. Nigdy nie rozumiałam tych jej prób nadążania za modą, a kupowanie kolejnych gadżetów po naradach z moim synem odrobieć mnie irytowało, ale jedno musiałam przyznać – matka nauczyła się korzystać z sieci w telefonie z taką wprawą, że kiedy tylko w naszej rozmowie pojawiła się jakaś wątpliwa kwestia, rozstrzygała ją w kilka sekund, natychmiast wynajdując odpowiedź w internecie.

Dodam, że kiedy ja próbowałam robić to samo, słyszałam oburzone:

– A co to za grzebanie w telefonie? Takie rzeczy powinnaś pamiętać. Masz jeszcze młodą głowę.

Kiedy przyniosłam jej komórkę, natychmiast włączyła wujka Google'a i oczywiście po chwili znalazła to, czego szukała.

– Gdybym była stosunkowo młodą osobą, która ma prawdopodobnie na co dzień do czynienia z social mediami, to przed taką dużą imprezą u kogoś, kto jest na liście najbogatszych Polaków „Wprost”, pewnie bym trochę pomyszkowała po sieci, żeby zobaczyć, co mnie czeka. Prawda, panie komisarzu?

– Prawda – niechętnie przyznał Sikora.

– Więc wpisałam nazwisko Szeliga w Google grafikę, i proszę, co wyskakuje pierwsze.

Matka triumfalnie podsunęła Sikorze pod nos telefon. Przewiesiłam mu się przez ramię, żeby lepiej widzieć. Na ekranie zobaczyłam Szeligę, który razem z panem burmistrzem otwierał najnowszą podkowieńską atrakcję, czyli siłownię pod chmurką. Tuż obok Szeligi stał Czerwiński, a podpis pod zdjęciem brzmiał następująco: „Brunon Szeliga i Witold Czerwiński, partnerzy w biznesie, prywatnie przyjaciele i sąsiedzi, podejmują wspólne działania na rzecz lokalnej społeczności”.

– Myślisz, że na podstawie tego jednego zdjęcia mogła założyć, że będzie on gościem.

– Nie, na podstawie jednego nie. Ale wspólnych fotografii Szeligi i Czerwińskiego jest... – zaczęła przewijać strony – bardzo dużo. Nie chce mi się liczyć, ale pewnie kilkadziesiąt. Musiała pamiętać jego nazwisko. I pewnie to, że Weronika mieszkała w Podkowie. Skojarzyła te fakty. Była pewna, że Czerwiński pojawi się na przyjęciu i postanowiła zahaczyć go w kwestii Weroniki. Dlatego założyła wisiołek. Myślę – dodała – że najmądrzejsza to ona nie była. Coś jeszcze ci, kochanie, nie pasuje?

Przecząco pokręciłam głową. Powoli docierał do mnie sens tego, co usłyszałam. Cały ten wywód brzmiał błyskotliwie i wiarygodnie, ale na mnie i na Sikorze również największe wrażenie zrobiło to, że moja matka bez żadnego skrupowania oskarżyła Czerwińskiego nie tylko o śmierć Joanny, ale przede wszystkim – o śmierć Weroniki.

Siedzieliśmy w bezruchu, oboje głęboko poruszeni. Czułam się tak, jakbyśmy się w połowie zabawy zorientowali, że zamiast domku dla lalek układamy z klocków grobowiec.

– I co teraz? – spytałam. – Aresztujesz go?

Sikora pokręcił przecząco głową.

– To nie takie proste. Nie mam dowodów. W ogóle nic na niego nie mamy. To zdjęcie z Joanną nic zupełnie nie znaczy. Gdybym poszedł z tym do prokuratora i poprosił o nakaz aresztowania, wyśmiałyby mnie. Jedyne, co mogę, to znowu go przesłuchać, choć on oczywiście wszystkiemu zaprzeczy.

– Nie masz jakiegoś sposobu?

– Najlepiej by było wsadzić go do aresztu za cokolwiek – rozmarzył się Sikora. – Na przykład za picie alkoholu w miejscu publicznym. Albo za niepłacenie mandatów.

– Nie mów mi, że nic nie możesz zrobić. Przecież to paranoja.

– Trochę – przyznał.

Dopił wino i wstał od stołu.

– Usiądę w domu i przygotuję na jutro plan przesłuchania – oświadczył, zbierając dokumenty. – Może jak go porządnie przycisnę, to się rozsypie? Ale trzeba będzie to dobrze rozegrać. Żegnam panią.

Pocałował moją mamę w rękę, co sprawiło jej widoczną przyjemność.

– Odprowadzę cię – powiedziałam.

Ruszyliśmy przez ogród w kierunku furtki. Alf uznał, że po całym wieczorze wylegiwania się powinien też mieć coś z życia i asystował nam, obskakując to Jacka, to mnie. Po jego zachowaniu wyraźnie było widać, że ma ochotę na spacer, więc wróciłam do domu po smycz. Wyszliśmy we trójkę na ulicę i ruszyliśmy Akacją. Alf szalał, my wlekliśmy się w milczeniu noga za nogą. Mniej więcej w połowie drogi zatrzymałam się.

– Wracam – powiedziałam. – Muszę przygotować pokój dla matki.

– Dasz radę? – spytał Sikora, kładąc mi rękę na ramieniu i zaglądając głęboko w oczy.

Jasne było, że nie ma na myśli powlekania pościeli.

– Może.

Nie byłam zbyt optymistką w tej kwestii.

ROZDZIAŁ 40

Obudziłam się z bólem głowy. Czy może raczej – to ból głowy mnie obudził. Nieprzytomna spojrzałam na zegarek i widok cyfr, bezlitośnie układających się w godzinę dziewięć dwadzieścia trzy, natychmiast mnie otrzeźwił.

Nigdy nie usypiałam, nie nastawiając budzika. Lubiłam wstawać na tyle rano, żeby mieć chwilę czasu tylko dla siebie, zanim z łóżek wygrzebią się pozostali domownicy. A było to istotne zwłaszcza w weekendy, kiedy intensywność życia rodzinnego wydawała się wprost nieznośna. Jednak dzisiaj zasnęłam. Zasnęłam pierwszy raz od lat, więc, co oczywiste, poczułam się z tym fatalnie. Obejrzałam telefon, szukając odpowiedzi, co zaszło, a ponieważ po jakimkolwiek alarmie nie znalazłam śladu, musiałam po prostu zapomnieć wieczorem nastawić budzik. To dużo mówiło o stanie, w jakim się wczoraj kładłam. Bardzo dużo.

Połowa łóżka Tomka była zaścielona jak zwykle w sposób perfekcyjny aż do bólu. W dni powszednie, kiedy mojego męża nie było w domu, starałam się zawsze wygospodarować odpowiednią ilość czasu, by uzyskać po swojej stronie stan pościeli zbliżony do jego ostentacyjnego ideału. Niestety, ta pozornie prosta czynność była moją piętą Achillesową – na kołdrze zawsze zostawały zagniecenia, poduszka za nic nie pozwalała się uklepać na naleśnik, że o pomarszczonym prześcieradle nie wspomnę. W dodatku w weekendy, chcąc nie chcąc, musiałam ścielić łóżko natychmiast po wstaniu, bo gdyby Tomek wszedł do sypialni w ciągu dnia i zobaczył rozbebeszoną pościel, skomentowałby to później z pretensją i naganą w głosie. A pretensja i nagana w głosie mojego męża to jedyne dwie rzeczy, których nienawidziłam bardziej niż ścielenia łóżka.

Widziałam kiedyś w internecie durny filmik. Autobusem jadą dwie młode kobiety. Jedna z nich na oko raczej normalna, druga – ubrana pod linijkę, zapięta pod szyję, generalnie wyglądająca tak, jakby ktoś ją przed chwilą wyprasował. Do tego jest uczesana w kok i co chwila podnosi rękę, żeby poprawić idealnie ułożone włosy.

Przygląda je, przylizuje, choć ani jeden nie odstaje, za bardzo się boją. W pewnym momencie siedząca obok dziewczyna nie wytrzymuje. Zrywa się ze swojego miejsca, podbiega do wyprasowanej i kilkoma energicznymi ruchami rozwała jej fryzurę. Po czym z ulgą wraca na swoje miejsce.

Dokładnie do tego samego stanu doszłam po dziesięciu minutach wygładzania kołdry. Miałam ochotę wskoczyć na łóżko i skakać, skakać nie tylko po swojej połowie, ale też po połowie Tomka i burzyć, rozwalać, niszczyć.

Jak się jednak domyślacie, nie zrobiłam tego i zostawiając łóżko w stanie najbardziej zbliżonym do perfekcji, jak to było możliwe, zeszłam na dół.

Dom sprawiał wrażenie wymarłego. To, że moja matka oraz dzieci jeszcze nie wstali, specjalnie mnie nie zdziwiło, a nieobecność Tomka wyjaśniła się, kiedy weszłam do kuchni. Na stole leżała kartka w kratkę, wyrwana z jakiegoś zeszytu. „Awaryjna sytuacja. Musiałem jechać do pracy. Nie czekaj z obiadem”.

Poczułam to samo, co zwykle w takich „nagłych” sytuacjach, które zdarzały się Tomaszowi ostatnio dość często – jednocześnie złość i poczucie ulgi. Złość, że nie spędzimy razem niedzieli. I ulgę, bo nieobecność Tomka oznaczała luz i brak napięcia. Przez chwilę zdążyłam się nawet ucieszyć myślą, że to może być naprawdę fajny dzień, kiedy przypomniałam sobie, co się wczoraj stało przy naszym tarasowym stole. Natychmiast wrócił ten dziwny, smutny i pełen napięcia nastrój, który towarzyszył mi przez cały wieczór, a w nocy przyciągnął męczące sny.

Z zamyślenia wyrwał mnie odgłos drapania do drzwi. Widocznie Tomek wychodząc rano, wypuścił Alfa, i teraz pies chciał znowu znaleźć się w domu. Na myśl o rysach, które mogły zostawić wielkie pazury, struchlałam i w dwie sekundy znalazłam się w sionce. Wpuściłam psa i wyjrzałam, żeby ocenić zakres zniszczeń, które na szczęście okazały się śladowe. Już miałam zamknąć drzwi, kiedy coś niecodziennego przykuło moją uwagę. Po lewej stronie podjazdu, wyłożonego bordową kostką Bauma, stało spore, tekturowe pudło. A ponieważ nie mamy w zwyczaju umieszczać pudeł tego typu na podjeździe, podeszłam bliżej, żeby mu się przyjrzeć. Nie podejrzewałam ataku terrorystycznego, ale mimo to zajrzałam do środka z dużą ostrożnością.

Pudło było wypełnione czarnymi skoroszytami, na których znajdowały się naklejki z opisem znajdujących się w środku dokumentów. „Umowy 2015”, „Rachunki grudzień 2016”, dalej już nie zaglądałam. Wyglądało na to, że Tomasz, jadąc do pracy, przygotował sobie ten karton do zabrania, postawił przy samochodzie, a potem wsiadł i odjechał.

Cholera, pomyślałam, to na pewno ważne.

– O, tutaj jesteś! – Z domu wyszła moja matka, otulona czarną podomką w intensywnie żółty, kwiatowy wzór. Nie znoszę żółtego.

– Piękna pogoda – westchnęła, przeciągając się. – Chyba się dzisiaj u was trochę poopalam. A co na śniadanie przewidujesz? Bo ja bym chętnie zjadła jajka na pomidorach. Bardzo dobrze je robisz, muszę przyznać. Prawie tak dobrze jak twój ojciec. Ale te róże to masz marne. Czym ty je nawozisz? – zainteresowała się. – Właściwie nie wiem, po co pytam, bo jak cię znam, to w ogóle ich nie nawozisz.

Popatrzyłam na karton. W mojej głowie pojawiła się myśl, najpierw nieśmiała, ale z każdym kolejnym słowem mojej matki coraz bardziej wyrazista i pociągająca.

– Mamo, Tomek pojechał do biura i zapomniał dokumentów. Muszę mu je podzucić.

Matka podniosła na mnie wzrok znad krzaku róży, który rzeczywiście nie prezentował się tego roku zbyt okazale.

– Jak to musisz mu podzucić? Do Warszawy?

– Tak.

– I zostawisz mnie tutaj samą?

– Nie samą, mamo. Z dziećmi.

Zanim moja matka zdążyła otrząsnąć się z szoku, wyminęłam ją, weszłam do domu i przeskakując po dwa stopnie, pobiegłam na górę do łazienki. Jeżeli naprawdę chciałam wprowadzić swój plan w życie, musiałam się pospieszyć.

Jazda autem do Warszawy w niedzielne przedpołudnie to czysta przyjemność. Było tak pusto, że droga spod naszego domu do biura Tomasza przy Polnej zajęła mi

trzydzieści pięć minut. Z dziką satysfakcją zatrzymałam Chrupka tuż przed wejściem. W dzień powszedni o tej porze kręciłabym się po okolicznych uliczkach przez pół godziny, próbując zaparkować, i w końcu wylądowałabym kilometr dalej, tracąc dodatkowy kwadrans na próby wciśnięcia się na miejsce, na którym dobrze czułby się jedynie smart.

Wyłączyłam silnik i sięgnęłam po komórkę, żeby zadzwonić do Tomka. Tak, dopiero teraz, bo gdybym zrobiła to wcześniej, mógł stwierdzić, że te papiery to nic pilnego i nie ma sensu, żebym się fatygowała. Zniknąłby fantastyczny pretekst i musiałabym spędzić całą niedzielę z moją matką i dziećmi, co akurat tego dnia przekraczało moje możliwości.

Na ekranie zauważyłam symbol esemesa. Wiadomość była od Sikory. „Przesłuchanie o drugiej”. Poczułam niepokój.

Wybrałam numer Tomka. Jego komórka była wyłączona, więc wzięłam pudło z siedzenia pasażera i wysiadłam z auta. Trudno, zaanonsuję się na portierni.

Nowoczesny biurowiec prezentował się gustownie i elegancko. Czyszcze mieli tutaj zabójcze, ale Tomasz twierdził, że lokalizacja jest tego warta. Chodziło nie tylko o to, że biuro znajdowało się w samym centrum miasta, ale również o sąsiedztwo innych, prestiżowych firm. Bo prestiż to słowo bardzo ważne w słowniku mojego męża.

Z pewnym trudem pokonałam szklane kręczone drzwi i poprawiając co chwila karton kolanem, żeby mi się nie wysunął z rąk, podeszłam do recepcji.

– Dzień dobry – uśmiechnęłam się do niskiego, grubego sześćdziesięciolatka, popijającego herbatę i oglądającego mecz koszykówki w maleńkim przenośnym telewizorku.

Niechętnie przeniósł na mnie wzrok.

– Pani do kogo?

– Na trzecie piętro. Do firmy Lexpo.

– Zdaje się, tam ktoś jest – zauważył.

Uśmiechnęłam się jeszcze milej, o ile to w ogóle było możliwe.

– No właśnie, mój mąż! Zapomniał z domu papierów, przywiozłam mu.

Portier obrzucił mnie taksującym spojrzeniem.

– Jakiś dokumencik proszę – westchnął, zerkając dyskretnie na ekran.

Odstawiłam pudło i wygrzebałam z torebki portfel, a z portfela – dowód osobisty. Portier zaczął pracowicie wypełniać swoje rubryki i po chwili położył na marmurowym blacie dowód razem z plastikową przywieszką z napisem „gość”.

– Jeszcze moment, muszę uprzedzić telefonicznie – zastrzegł.

Sięgnął po słuchawkę, a ja objuczona pudłem podeszłam do windy i nacisnęłam strzałkę w górę.

– Witam – usłyszałam za sobą głos mężczyzny. – Lokal trzysta dwanaście? Jest tutaj u mnie pani... – spojrzał w swoje zapiski – Magdalena Borowska.

Dzyń – rozległ się delikatny elektroniczny dźwięk zwalniającej windy.

– Ma jakieś dokumenty dla pana.

Drzwi windy rozsunęły się, weszłam do środka. Kiedy zaczęły się zamykać, zobaczyłam, że portier macha zamasyście w moim kierunku, ale nie miałam już siły wychodzić i pytać, czego chce. Sprawdzę, wracając, postanowiłam i nacisnęłam przycisk trzeci na listwie windy.

Na trzecim piętrze dywan miał kolor przeterminowanej gorzkiej czekolady – ciemny brąz pokryty z wierzchu białym nalotem. Firma Tomka znajdowała się na samym końcu korytarza. Uważam, że wybrał lokal tak daleko od windy, żeby klienci idący na spotkanie mogli podziwiać wszystkie jego dyplomy i certyfikaty, wiszące po obu stronach na kremowych ścianach. A i tak nie wiem, czy udało mu się zmieścić wszystkie.

Kiedy byłam na wysokości dyplomu MBA z 2010 roku, drzwi do biura otworzyły się i stanęła w nich jakaś kobieta. Była szczupła, wysoka i zgrabna, czyli zupełne przeciwieństwo mnie. Zwróciłam uwagę na jej cudowną ołówkową spódnice oraz bluzkę z seksownym dekoltem. Nowa sekretarka? – przeleciało mi przez głowę i poczułam natychmiast charakterystyczne uczucie zazdrości. Ciekawe, dlaczego mi nie powiedział, pomyślałam.

Zatrzymałam się i odetchnęłam głęboko, żeby moje ciało oswoiło się z emocjami, które zaczęły we mnie szaleć na widok tej zjawiskowej laski. A potem zjawisko zrobiło krok w moją stronę i znajomym głosem spytało:

– Może pomóc?

Gdybym miała wolne ręce, musiałabym przetrzeć oczy. Ale nie miałam, więc tylko rozdziawiłam usta w idiotycznym wyrazie zdziwienia i niedowierzania.

– Betty? – wydusiłam z siebie w końcu. – To ty?

Beata, sekretarka mojego męża, zarumieniła się, zakłopotana.

– Dawno się nie widziałyśmy, pani Magdo – powiedziała tonem usprawiedliwienia.

– Niesamowite. Wyglądasz fenomenalnie!

– Dziękuję – uśmiechnęła się skromnie. – Proszę mi to dać.

Podeszła do mnie i wyciągnęła ręce po pudło. Teraz gdy stała bliżej, zauważyłam też, że jest umalowana. W makijażu jej oczy nabrały głębi, rysy wyrazistości, a usta – objętości. Była śliczna.

– Jak ty to zrobiłaś? – westchnęłam z zazdrością.

– Wzięłam się trochę za siebie, no i są efekty. Minus czternaście kilo w trzy miesiące. I ciągle chudnę.

– Z czego?

Beatka roześmiała się.

– Proszę, pani Magdo – przepuściła mnie pierwszą i weszliśmy do biura.

– Myślałam, że się ucieszysz – łągałam jak najęta. – Te dokumenty wyglądały na ważne.

– Rachunki i umowy sprzed pięciu lat? Serio? Przywiozłem je do domu, żeby spalić w kominku!

Działo się dokładnie to, czego się spodziewałam. Moja samowolka nie tylko nie znalazła zrozumienia w oczach Tomka, o wdzięczności nie wspominając, ale stała się powodem dość nieprzyjemnej awantury. Całe szczęście, że drzwi do gabinetu były

zamknięte i miałam nadzieję, że Betty nie słyszy tego, jak mąż mnie obtańcowuje.

– Przecież się umawialiśmy! – powiedział ze złością. – Nie możesz tak po prostu przyjeżdżać tutaj bez uprzedzenia. A gdybym miał klientów?

– No właśnie – zastanowiłam się. – Co by było? Co takiego straszego by się stało, gdyby twoja żona weszła do biura, a ty miałbyś klientów?

Popatrzył na mnie czujnie.

– O co ci chodzi? – spytał ostrożnie.

– O to, że chyba przesadzasz – starałam się, żeby zabrzmiało to mocno i zdecydowanie, choć użycie „chyba” stanowiło furtkę, z której mogłam skorzystać podczas ucieczki. – Nie stało się nic złego. Przywiozłam coś, co wydawało mi się ważne. Zajęłam ci pięć minut. O co ta cała afera? Tak jakbyś się bał, że na czymś cię nakryję.

Nie wiem, skąd mi się wzięło to ostatnie zdanie. Zorientowałam się, co mówię, dopiero kiedy już wyszło z moich ust i zawisło między nami jak osa.

Myślałam, że Tomek się zdenerwuje, oburzy, będzie mnie dalej pouczał, ale nie. Siedział, nabzdyczony i bawił się długopisem, obracając go w palcach.

Wstałam więc z fotela dla gości i ruszyłam do wyjścia. Nie czułam się winna. Natomiast zaczęło do mnie docierać, że Tomasz zajmuje tyle miejsca, ile ja mu pozwolę. Teraz pierwszy raz od bardzo dawna postawiłam granicę i nie przeskoczył jej. Może powinnam zacząć stawiać je częściej?

Na mój widok siedząca w sekretariacie Betty poderwała się z miejsca. Jeszcze raz jej się przyjrzałam. Wyglądała olśniewająco.

– Kochana, gratuluję! – powiedziałam szczerze. – Kim jest ten szczęśliwiec?

Dziewczyna zamrugała pięknymi, długimi rzęsami, które prawdopodobnie nie były do końca prawdziwe.

– Przepraszam, nie rozumiem – zająknęła się.

– Z całym szacunkiem, ale na dziesięć dziewczyn, które zrzucają wagę, dziewięć z nich robi to dla chłopaka. Więc kto to?

Betty odrzuciła do tyłu włosy. Kiedyś były krótkie i mysiego koloru, teraz sięgały do ramion i lśniły cudownym blondem.

– Właściwie nie wiem, co powiedzieć. Jest przystojny, zamożny, myślimy o ślubie.

– Tylko proszę, nie wyjeżdżaj w podróż poślubną – uśmiechnęłam się. – Wiesz, że Tomasz bez ciebie nie daje sobie tutaj rady.

Portier na dole dalej oglądał mecz z takim zaangażowaniem, że dopiero kiedy położyłam na blacie przed nim plakietkę z napisem „Gość”, podniósł na chwilę wzrok.

– A, to pani – skwitował i wrócił do oglądania.

– Miał pan coś do mnie? – przypomniałam sobie, jak machał za mną, kiedy wsiadałam do windy.

– Ja? W życiu – wzruszył ramionami i wrócił do meczu.

Spojrzałam na zegarek. Była dopiero jedenasta piętnaście. Idealna pora na to, co zamierzałam zrobić.

ROZDZIAŁ 41

Kościół pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Polski w Otwocku miał prostą, dość nowoczesną bryłę, charakterystyczną dla budynków sakralnych z lat dziewięćdziesiątych. Może nie urzekał pięknem, ale też nie raził brzydotą. Był skromny i kameralny, co według mnie stanowiło wartość dodaną. Kiedy tam dojechałam, właśnie skończyła się msza na jedenastą i fala wiernych wylała się na niewielki dziedziniec przed świątynią, potem na chodniki przy drodze, wreszcie na jezdnię. Poczekałam, aż ci, którzy przyjechali autami, wsiądą w nie i odjadą, i zaparkowałam na opustoszałym placyku po drugiej stronie ulicy.

Kiedy wysiadłam, prawie wszyscy parafianie już zniknęli. Odetchnęłam głęboko, szukając w powietrzu charakterystycznego dla Otwocka aromatu sosen, ale poczułam tylko spaliny.

Szeroka, wybetonowana alejka zaprowadziła mnie na tyły kościoła, gdzie mieściło się wyjście z zakrystii. Przez uchylone drzwi widziałam, że kilka osób ciągle się tam krząta. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko i wyszło przez nie dwóch kilkunastoletnich chłopaków z plastikowymi siatkami, z których wystawały niedokładnie upchnięte komże.

– Szukam księdza Dąbrowskiego – zagadnęłam. – Wiecie, gdzie go mogę znaleźć?

Spojrzeli po sobie.

– Ksiądz Bartek jest w zakrystii – odpowiedział jeden z chłopaków.

– Z proboszczem – dodał drugi.

Odeszli, machając torbami.

Nie chciałam wchodzić do środka, więc oparłam się o biały ogrodowy murek i wystawiłam twarz do słońca. Nie wiem, jak udało mi się wytrzymać w tej pozycji aż pięć minut, tak bardzo byłam zdenerwowana, ale mniej więcej tyle trwało, zanim pojawił się Bartek. Obrzucił mnie ciekawym spojrzeniem, zastanawiając się pewnie,

czego może chcieć od niego ta obca kobieta. Bo na początku mnie nie rozpoznał. Ale kiedy uniosłam rękę i pomachałam, na jego przystojnej twarzy pojawiło się najpierw zdziwienie, potem radość. Podszedł do mnie zamaszystym krokiem, a czarne skrzydła sutanny fruwały wokół jego długich, chudych nóg.

– Magda! No nie! Wieki całe!

Objął mnie mocno, serdecznie. Pachniał jakąś dobrą wodą kolońską i kadzidłem.

– Ale niespodzianka! Co ty robisz w Otwocku?

Wcale nie zamierzałam mu mówić, że przyjechałam do niego, żeby porozmawiać z kimś, kto tak jak ja kochał Weronikę, ale zbyt świeże było to wszystko, zbyt trudne, i sama nie wiem jak to się stało, ale po prostu zaczęłam płakać. Jak zwykle ja.

Bartek patrzył na mnie kompletnie zdezorientowany, zwłaszcza że nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, więc nie miał bladego pojęcia, o co mi chodzi.

A ponieważ się nie uspokajałam, objął mnie mocno ramieniem i pociągnął ze sobą, w kierunku plebanii.

– Napij się, to powinno pomóc.

Podał mi duży, biały kubek z naparem, który pachniał łąką.

Siedzieliśmy w niewielkim pokoju, urządzonym zniszczonymi meblami sprzed dwudziestu, może trzydziestu lat.

– Przepraszam – szepnęłam w herbatę. – Nie wiem, co się stało.

– Masz jakieś problemy?

Wersalka, na której siedziałam, była meblem nie dość, że brzydkim, to jeszcze wyjątkowo niewygodnym, co teraz potraktowałam jako pretekst i zamiast odpowiedzieć, zaczęłam się na niej wiercić i udawać, że jeśli chodzi o problemy, to moim jedynym jest uwierające w plecy oparcie.

Bartek czekał cierpliwie, a kiedy się zorientował, że do zwierzania mi się nie spieszy, sam zaczął mówić.

– Podobno byłaś u mojej mamy?

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Dzwoniła do mnie, opowiadała. Bardzo to przeżyła.

– Ja też – szepnęłam.

– Opowiesz mi?

Zaczęłam najpierw ostrożnie, sucho, krótkimi obojętnymi zdaniami. Ale Bartek był dobrym słuchaczem. Miał w sobie akceptację, której potrzebowałam, i tę samą ranę, dzięki której rozumiał. Powoli zaczęłam do moich słów dopuszczać emocje i nawet nie wiem kiedy opowiedziałam mu nie tylko o herbatce u jego matki, ale też o tym, jak znalazłam zwłoki Joanny Maj oraz, czego już zupełnie nie mogę zrozumieć, o problemach w moim małżeństwie. Jedyne, co nie mogło mi przejść przez gardło, to Weronika. Choć przecież właśnie z tym do niego przyszłam. I chyba musiałam mieć to wypisane na czole, bo kiedy już skończyłam się żalić na Tomka, jednocześnie zapewniając, że tak naprawdę te wszystkie problemy to moja wina, Bartek zapytał:

– Dlaczego odwiedziłaś moją mamę akurat teraz? Pierwszy raz od tamtej pory?

Na jego twarzy pojawił się smutek. Choć nie mógł się niczego domyślać, to jednak zmierzał prostą drogą do miejsca, w którym zaczynał się ból.

– Musiałam o coś zapytać. O coś dotyczącego Weroniki.

– Mów – powiedział Bartek spokojnie.

A ponieważ nie zaczynałam, powtórzył twardo:

– Mów!

Opowiedziałam wszystko. Kiedy skończyłam, myślałam, że teraz on będzie płakał, ale nie. Potarł tylko kilka razy twarz dłońmi, jakby chciał pobudzić krążenie krwi w policzkach, i powiedział.

– Dziękuję ci.

– Za co?

– Że wypuściłaś tego dzina z butelki. Narobi pewnie trochę szkód i zmartwień, ale w końcu go oswoimy. Nie można przez siedemnaście lat tłumić w sobie takich przeżyć. To nam niszczy życie.

I nagle zrozumiałam, dlaczego siedzimy tutaj, w tym nieprzytulnym miejscu, w cieniu krzyża.

– Zaginięcie Weroniki zniszczyło ci życie, prawda?

– Wyrzuty sumienia zniszczyły mi życie. I niszczą nadal.

Nie wiedziałam, o czym mówi.

– Przecież to nie była twoja wina.

Popatrzył mi w oczy.

– Tamtego dnia zostaliśmy sami w domu. Robiłem coś w garażu przy rowerze, kiedy przyszła się pożegnać. Była taka radosna, podekscytowana. Pamiętam każdy szczegół jej ubrania, buty, spinki we włosach, wszystko. Miała ze sobą ten plecak wygrany na loterii. Oświadczyła, że wyjeżdża na weekend, a może na dłużej. Spytałem, czy rodzice wiedzą. Powiedziała, że nie, bo ojciec nie puściliby jej, a ona musi jechać. I jeszcze że ten weekend zmieni jej życie. Powinienem był jej zabronić. Powinienem był ją zatrzymać. Ale byłem tylko młodszym bratem. Rzuciłem coś w stylu: „Lepiej zostań, sioroka, bo starzy się wściekną”. Czy coś takiego. Ale ona wzruszyła ramionami, pocałowała mnie, o tutaj – przesunął czule dłonią po prawym policzku – i pobiegła. A ja głupi jeszcze jej zazdrościłem. Że jest starsza i taka odważna, że się stawia rodzicom. Gdybym jej wtedy nie pozwolił jechać... Żyję z tym od siedemnastu lat i nie ma dnia, żebym o tym nie myślał. Nie ma dnia.

Poczułam, że znowu chce mi się płakać. Byliśmy w tych naszych doświadczeniach tacy podobni. Oboje nie mogliśmy się pogodzić z myślą, że coś zawalił. On, że jej nie zatrzymał. Ja, że nie byłem z nią dość blisko, żeby mi zaufała.

– To dlatego poszedłeś do seminarium? – zrozumiałam nagle.

– Tak. Odkupienie, pokuta, przebaczenie. Nic z tego nie wyszło.

Ciszę, która zapadła, przerwało energiczne pukanie. Zanim Bartek zdążył powiedzieć „proszę”, do pokoju zaglądał już otyły i czerwony na twarzy sześćdziesięciolatek.

– Bartek, obiad! Czekamy na ciebie.

W tym momencie mnie zauważył.

– O, przepraszam, nie wiedziałem, że masz gościa. To nie przeszkadzaj sobie, nie przeszkadzaj. Najwyżej pani Marysia odgrzeje.

Wycofał się, z przesadną delikatnością zamykając za sobą drzwi.

Podniosłam się i wzięłam torebkę.

– Idź, Bartek. Ja i tak już muszę wracać. Dziękuję.

– Ja też dziękuję.

Uściskaliśmy się na pożegnanie.

Chrupek czekał na nasłonecznionym parkingu, rozgrzany do czerwoności. Wsiadłam, otworzyłam wszystkie okna i przekręciłam kluczyk w stacyjce. Na samochodowym zegarze wyświetliła się czternasta dwanaście.

Czyli już się zaczęło, pomyślałam.

ROZDZIAŁ 42

Kiedy wróciłam do domu, dzieci były już po obiedzie, przygotowanym przez babcię, i lodach, na które udało im się ją naciągnąć. Co prawda moja matka ostentacyjnie okazywała, że jest na mnie obrażona, ale się tym specjalnie nie przejęłam. Jedyne, o czym potrafiłam teraz myśleć, to przesłuchanie Czerwińskiego.

Nie miałam pojęcia, ile może trwać, więc co chwila sprawdzałam telefon, bojąc się, że mogę nie usłyszeć sygnału przychodzącej wiadomości.

Najpierw napisał mój mąż z informacją, że wróci koło siódmej.

Potem długo, długo nic.

Dopiero o szesnastej dwadzieścia pojawił się esemes od Sikory. Brzmiał następująco: „PRZYJEŹDŹAJ”.

Załatwienie z matką, żeby została z dziećmi jeszcze godzinę, nie było trudne, bo leżała na tarasie wysmarowana olejkiem do opalania i wyglądało na to, że nie ruszy się stamtąd do zmroku. Albo przynajmniej do powrotu Tomasza.

Parking przed komendą świecił pustkami. Siedzący na portierni funkcjonariusz musiał zostać uprzedzony o moim przyjeździe, bo na mój widok sięgnął po słuchawkę i zameldował półgłosem:

– Już jest.

Sikora pojawił się na dole minutę później. Jego mina nie wróżyła nic dobrego. Bez słowa zaprowadził mnie do swojego pokoju i posadził przy biurku.

– Powiesz coś? – odważyłam się zapytać.

– Nie bardzo mam co. Poza tym, że ciebie tu nie ma. Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że to oglądałaś, wyleciałbym na zbity, kurwa, pysk.

Pochylił się nade mną, otworzył laptop i podłączył do niego pendrive. Na ekranie pojawił się obraz niewielkiego, pustego pokoju o błękitnych ścianach. Na środku, przy kwadratowym stole siedział twarzą do kamery Czerwiński. Miał na sobie luźną, lnianą

koszulę w kolorze khaki i czarne dżinsy. Przed nim na stole leżały kluczyki do samochodu, którymi się bawił, przesuając palcem po blacie stołu. W pewnym momencie spojrzał prosto w obiektyw kamery, a w jego oczach zobaczyłam strach.

Drzwi do pokoju, znajdujące się gdzieś z tyłu, trzasnęły i po chwili w kadrze pojawiły się plecy Sikory.

– Witam, panie Januszu – powiedział serdecznie, odsuwając krzesło. – Przepraszam, że fatygowaliśmy pana w niedzielę, ale zaszły nowe okoliczności.

– Nie znalazłem tych umów o pracę – przerwał mu Czerwiński. – Uprzedzałem.

– A, to... nie, zapomnijmy o umowach.

– W takim razie dlaczego mnie pan wezwał? – I po chwili dodał: – Czy jestem o coś oskarżony?

Sikora pokręcił głową.

– Proszę się uspokoić. Przesłuchujemy pana w charakterze świadka.

Wcisnęłam pauzę.

– Zaraz, moment. Dlaczego w charakterze świadka? Przecież podejrzewamy go o morderstwo!

– Magdusia, ja cię tak proszę, przestań mówić o mnie w liczbie mnogiej, dobrze? Bo się peszę. Rozmawiałem z prokuratorem i tak jak myślałem, odprawił mnie z kwitkiem. Nie można nadać statusu podejrzanego komuś, na kogo mamy jedno zdjęcie, na którym widać, że rozmawia z ofiarą. To jest po prostu niemożliwe. Wezwałem go jako świadka, żeby mu zmiękła dupa. Liczyłem, że może mu puszczać nerwy, zagalopuje się, powie coś, co da nam punkt zaczepienia.

– Widzisz, sam powiedziałaś „nam”!

– „Nam” w sensie policji, nie kumpli z podwórka.

– I co?

– Zobaczysz. Oglądaj dalej.

Włączyłam ponownie odtwarzanie.

– Ale już raz mnie pan w takim charakterze przesłuchiwał.

– Powiedziałem, że zaszły nowe okoliczności. Poproszę imię i nazwisko.

– Janusz Czerwiński.

– Wiek?

– Pięćdziesiąt siedem lat.

– Stan cywilny?

– Żonaty.

Wszystkie odpowiedzi Sikora zapisywał powoli i metodycznie w specjalnym formularzu. Na czole Czerwińskiego pojawiły się krople potu.

– Chciałbym, żeby opisał pan dokładnie to, co robił na przyjęciu u Brunona Szeligi.

– Już opisywałem. Dokładnie. Ile razy można?!

Sikora odwrócił się do kamery, żeby zobaczyć, czy nagrywa.

– Proszę się nie unosić – pouczył. – To nic nie da, tylko przedłuży nasze spotkanie. Przyszedł pan na przyjęcie o godzinie...

Czerwiński wzniósł oczy ku niebu.

– Kwadrans po ósmej. Byłem sam. Piłem, jadłem, wyszedłem. Czyli robiłem dokładnie to samo, co powiedziałem panu ostatnio.

– Jasne.

Sikora wyjął spośród kartek zdjęcie Joanny Maj.

– Pytałem pana o tę kobietę. Powiedział pan, że jej nie kojarzy. Czy na pewno?

Czerwiński, tak jak poprzednio, rzucił pobieżnie okiem i odpowiedział natychmiast.

– Na pewno.

– Może spróbuję pomóc.

Obok zdjęcia Joanny położył powiększoną i wydrukowaną fotografię, na której widać było Czerwińskiego nachylającego się nad kobietą w czerwonej sukni.

Czerwiński wzruszył ramionami.

– No i co?

– Na tym zdjęciu rozmawia pan z tą kobietą. Może jednak potrafi pan sobie przypomnieć, o czym?

– Mówiłem już, że jej nie kojarzę, to jak mogę pamiętać, o czym z nią gadałem?

Tam była setka ludzi. No, bez jaj.

Sikora tego nie skomentował. Czekał.

– Macie tu wodę może? Napiłbym się – w głosie Czerwińskiego słychać było irytację.

Sikora podniósł się ze swojego miejsca i zniknął na chwilę z kadru. Po chwili wrócił z butelką i szklanką. Patrzył, jak Czerwiński nalewa sobie wody i pije łąpczywie.

– Przypomniało się panu? – zapytał spokojnie.

– Nic mi się nie przypomniało! – Czerwiński zaczynał tracić panowanie nad sobą.

– Nie znam tej kobiety! Nie wrobiecie mnie!

– W co?

– W morderstwo! – odpowiedział odruchowo Czerwiński i dopiero po chwili zorientował się, że przesadził.

Sikora nachylił się w jego kierunku.

– A skąd to panu przyszło do głowy?

– Wzywacie mnie drugi raz, zadajecie te same pytania, próbujecie udowodnić, że kłamałem.

– A kłamał pan?

Czerwiński zaczerwienił się jak burak.

– Nie pamiętam tej kobiety! Zejdź pan ze mnie!

– No dobrze. – Sikora wziął do ręki długopis i zaczął obracać go między palcami.

– A może pamięta pan wisiołek, który miała na szyi?

Czerwiński wyglądał tak, jakby miał się na Sikorę rzucić z pięściami.

– Nie pamiętam! Jedyne biżuteria, na którą zwracam uwagę, to ta, którą kupuję mojej żonie!

– To ciekawy trop, kupowanie biżuterii. Ale nie dla żony.

Czerwiński zamarł. Cała agresja, która przed chwilą w nim wezbrała, nagle zamieniła się w strach.

– Co pan insynuuje? – zapytał ostrożnie.

To był ten moment, na który przez całe przesłuchanie czekał Sikora.

– Czy siedemnaście lat temu na festynie w Otrębusach kupił pan swojej ówczesnej kochance ceramiczny wisiołek, ten sam, który dwa tygodnie temu miała na szyi Joanna Maj? – zapytał.

Czerwiński drżącą dłonią nalał sobie wodę do szklanki i wypił do dna. Kilka kropel spłynęło mu po brodzie na koszulę, zostawiając ciemny zaciek.

– To niemożliwe. – Był naprawdę w szoku. – Przecież nikt o tym nie wie!

Poczułam coś dziwnego. Nie, to nie była satysfakcja, raczej coś w rodzaju wzruszenia, że ta cała droga, którą z Sikorą przeszliśmy, miała sens. Że być może niedługo się dowiem, co się stało z Weroniką. Napięcie sprawiło, że prawie przestałam oddychać.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Czerwiński nagle stracił całą swoją butę i pewność siebie. Teraz wyglądał tak, jakby miał się za chwilę popłakać.

– Tak. Kupiłem wtedy wisiołek. Dałem dziewczynie, z którą sypiałem. Wie pan, błędy młodości.

A po chwili dodał, znowu lekko zaczepnym tonem.

– Tylko po co to teraz rozdrapujecie? Było, minęło. Ona od początku wiedziała, że to szybka piłka jest. Trochę bajeru, dużo seksu. Żadna krzywda jej się nie stała.

– Jest pan pewien?

– No raczej.

– To jak pan wytłumaczy to, że od siedemnastu lat nie ma z nią kontaktu?

Czerwiński wybałuszył oczy.

– O czym pan mówi? Przepraszam, bo nie rozumiem.

– O tym, że pana kochanka, Weronika Dąbrowska, siedemnaście lat temu wyszła z domu i do dzisiaj nie wróciła. I jestem bardzo ciekawy, co pan ma do powiedzenia na ten temat.

Zapadła cisza.

Gdybym mogła, weszłabym w ekran laptopa.

– No to chyba się jednak trochę nie dogadaliśmy – odezwał się w końcu

Czerwiński. – Nie sypiałem z Weroniką, tylko z Iwoną. Iwoną Woźniak. Wszyscy mówili na nią Pusia.

Nie wiem, jak to się stało, że wylądowaliśmy na stawach Goliana. Lubię wodę, bo uspokaja, ale akurat to miejsce budzi we mnie dziwną niechęć. Za płasko, za sztucznie, no i przede wszystkim – za dużo ludzi. Młode kobiety z wózkami, małe dzieci na drewnianych rowerkach bez pedałów, trzymające się za ręce pary i starsi, samotni ludzie, popołudniowa niedzielna mieszanka, na którą zdecydowanie nie miałam teraz ochoty. Ale ponieważ za późno zdałam sobie sprawę, dokąd prowadzi mnie Sikora, musiałam to teraz jakoś przeżyć.

Zatrzymaliśmy się na drewnianym mostku. Woda pod nami była zmętniała od glonów i pokryta nalotem wodnej rzęsy. Nie zachęcała, żeby się do niej rzucić.

– Wierzysz mu? – odważyłam się wreszcie zapytać.

Sikora wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Cały romans opisał bardzo szczegółowo i wiarygodnie. Brzmiał dość szczerze, ale gdyby po każdym przesłuchiwanym było widać, że kłamie, wykrywalność przestępstw mielibyśmy na poziomie stuprocentowym.

– A wiesz, że ja pamiętam ten jej wisiołek? – przypominałam sobie. – I faktycznie, to było P. Nie miałam pojęcia, że ona...

– Że się puszczała? Dziewczyno, ty o niczym nigdy nie miałaś pojęcia. Cud, że dwoje dzieci urodziłaś – roześmiał się.

– Cham. Ale wierzysz mu czy nie?

– Przecież powiedziałem, że nie wiem. Zadzwoiłem już do Puśki, umówiłem ją na jutro. Popatrz, jak dobrze, że się wymieniliśmy telefonami wtedy w Werandzie.

– A jeżeli ona to potwierdzi?

– Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że kręcił z dwiema pannami naraz. I z Iwonką, i z Weroniką.

– Aha, i kupił dwa wisiołki, po jednym dla każdej? Bez przesady.

– No co? Historia odnotowuje takie przypadki.

– Jednego nie rozumiem, jeżeli jest niewinny, dlaczego tak się strasznie denerwował?

– Zawsze tak jest, jeżeli ktoś ma coś na sumieniu i nagle znajduje się w samym środku śledztwa. Bał się, że przy okazji jakieś jego ciemne sprawy wyjdą na światło dzienne.

– I wyszły.

Za naszymi plecami przejechał kilkuletni chłopczyk na hulajnodze. Mostek zatrzęsł się i zadudnił.

– Muszę iść – ocknęłam się. – Dziękuję, że mi to pokazałeś.

– Nic ci nie pokazałem, dziewczyno. Pamiętaj. Nic kompletnie.

ROZDZIAŁ 43

Rozpoczyłam właśnie kolejny, trzeci tydzień mojej pracy. I kolejny, trzeci tydzień przymierzania się do tego, żeby powiedzieć o tym mężowi. Byłam wykończona utrzymywaniem w tajemnicy faktu, że codziennie od dziewiątej do pierwszej lecę zwierzęta w przychodni kilka ulic od naszego domu, ale nie miałam siły nic z tym zrobić. Moje relacje z Tomkiem wróciły w te same nieciekawe rejony co zwykle, swoją drogą zadziwiające, jak szybko udało nam się przejść od chwilowej euforii do regularnej obojętności. Niestety znając siebie, wiedziałam, że skoro nie porozmawiałam z Tomaszem wtedy, kiedy było między nami dobrze, teraz tym bardziej się na odwagę nie zdobędę. Jedyne, na co mogłam liczyć, to pewien psychologiczny mechanizm, którego nazwy nie znam, a który polega na tym, że kiedy człowiek nie wytrzymuje na dłuższą metę ukrywania czegoś, zaczyna podświadomie iść na zderzenie czołowe i robić rzeczy, które go demaskują. Najczęściej zdarza się tak w sytuacji zdrady, ale istniała pewna szansa, że w moim przypadku też to może zadziała.

Nastroju nie podnosiło mi też to wszystko, co było związane z Weroniką, morderstwem i śledztwem, a niedzielne spotkanie z Bartkiem rozbiło w pył resztki moich wewnętrznych barier, którymi próbowałam się od tej historii dla własnego bezpieczeństwa odgradzić.

Cały ten opis zmierza do tego, że zupełnie jak w reklamie, nie byłam sobą. A nie miałam pod ręką snickersa.

Rudnicki akurat tego dnia wyjechał na jakieś sympozjum do Płocka. Pojęcia nie mam, dlaczego właśnie tam dyskutowano na temat dysplazji stawów biodrowych u owczarków niemieckich, ale nieważne. Ważne, że przez cały dzień szefa miało nie być, więc podzieliliśmy się z kolegą Walczakiem pracą w ten sposób, że ja miałam siedzieć w przychodni od dziewiątej do pierwszej, a on – od dwunastej do dwudziestej. Godzina na zakładkę. Uznałam, że tyle jestem w stanie go znieść.

Mniej więcej koło wpół do dwunastej do gabinetu zajrzała zdenerwowana kobieta koło sześćdziesiątki.

– Mogę, pani doktor?

Wstałam od komputera i przytrzymałam drzwi, kiedy wносиła do środka plastikowy transporter dla zwierząt.

– Nie wiem, co mu się stało – powiedziała – ale to bardzo źle wygląda.

Zdjęła kratkę zabezpieczającą przód transportera i wyjęła ze środka wielkiego, burego kota o zmętniałym, pełnym bólu spojrzeniu.

– Proszę popatrzeć.

Na szyi zwierzęcia ziała rana mniej więcej wielkości mojej pięści. Patrzyłam na nią, a przez moją głowę przelatywały strzępki informacji, z których próbowałam stworzyć obraz tego, z czym miałam właśnie do czynienia.

– Pani doktor, on jest niekastrowany. – Kobieta miała prawie łzy w oczach. – Nie było go w domu przez kilka dni, od zmysłów odchodziłam. Dzisiaj wrócił. Taka radość, taka ulga. Ale widzę, że coś mu jest. Biorę na ręce, a tutaj... Co mu się stało, pani doktor?

Włożyłam rękawiczki i zaczęłam przemywać ranę.

– To był czyrak – powiedziałam. – Olbrzymi. Albo pękł sam, albo podczas jakiejś kociej bójki. I bardzo dobrze, bo sądząc po wielkości, ropy było w nim tyle, że mogło dojść do zakażenia całego organizmu. Normalnie w takich przypadkach wystarczy zdezynfekować ranę i podać antybiotyk, ale tutaj powierzchnia jest zbyt duża. Zszyjemy to.

Kiedy kończyłam zabieg, usłyszałam dochodzący z zewnątrz hałas silnika i po chwili do gabinetu wszedł Walczak. Przywitał się elegancko z właścicielką kota i ruszył na zaplecze, żeby się przebrać. Mijając stół zabiegowy, rzucił szybkie spojrzenie na to, co robię, zatrzymał się i nachylił w moją stronę, tak jakby chciał mnie pocałować w policzek. Zamarłam w pół ruchu, nieprzygotowana na takie czułości, ale nie, nie pocałował mnie, tylko wyszeptał do ucha:

– Sączek.

I zniknął na zapleczu.

Zrobiło mi się słabo.

Sączek! Jak mogłam zapomnieć! Gdybym go nie założyła, w zamkniętej ranie zaczęłaby się z powrotem zbierać ropa, tylko tym razem skutki mogłyby być o wiele poważniejsze. I dla kota, i dla mnie. Wolałam nie myśleć, co by było, gdyby Walczak się nie pojawił, ale niewątpliwie otarłam się o katastrofę.

Jak mogłam zapomnieć o sączku?!

Nie wiem, co on tam robił na zapleczu, ale wyszedł dopiero, kiedy kot i jego właścicielka zniknęli z gabinetu. Właśnie przecierałam stół, rozmazując na blacie kapiące mi z oczu łzy.

– Dziękuję – powiedziałam, spuszcżając głowę najniżej, jak się dało.

Wersja zaryczanej histeryczki to nic, czym chciałabym się chwalić.

– Nie ma za co.

– Jest. Dobrze wiesz, że jest. Nie wiem jak to się mogło stać.

– A ja wiem. Przepraszam za szczerość, ale musisz się nauczyć oddzielać życie prywatne od pracy, inaczej daleko nie zajedziesz.

Wyprostowałam się, zapominając o swoim wyglądzie.

– Słucham?

– Jeśli masz jakieś problemy osobiste, to je zostawiaj na zewnątrz. Tutaj są tylko pacjenci. Żadnych chorych dzieci czy zdradzających mężów.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Aha. Czyli trafiłem.

– Nie trafiłeś! – zaprotestowałam gwałtownie. – On mnie nie zdradza! Tylko po prostu nie możemy się dogadać. I tyle. Tak się czasami zdarza w małżeństwie, wiesz?

Walczak bez przekonania pokiwał głową.

– Jasne, jasne. Ty już lepiej idź do domu. Ogarnij się czy coś. Ja sobie poradzę.

Bez słowa zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Walczak miał rację. Powinnam się pozbierać do kupy, zanim dzieci wrócą ze szkoły.

– Tak w ogóle to trochę mu się dziwię – usłyszałam za plecami.

Dziwny komentarz.

– Nie rozumiem.

– Z tymi krótkimi włosami wyglądasz zajebiście. Gdyby dla mnie żona się tak wylaszczyła, przemyślałbym to i owo.

Kompletnie nie wiedziałam, co powiedzieć, więc zadałam najgłupsze z możliwych pytanie:

– To ty masz żonę?

Walczak parsknął śmiechem.

– Coś ty? Czy ja wyglądam na żonatego?

Chwyciłam torebkę, telefon i wybiegłam z przychodni.

– Cześć, mamó! – krzyknęła Kaja, wskakując na tylne siedzenie Chrupka. – Będę grała główną rolę! Będę grała główną rolę!

– Cudownie!

Starłam się nie odwracać do mojego młodszego, bardziej spostrzegawczego dziecka, bo ślady po łzach jeszcze nie do końca zniknęły z mojej twarzy. Ruszyłam powoli.

– Musisz mi uszyć sukienkę! Różową! Z falbankami! Sukienkę! – pokrzykiwała.

Jeszcze mi tego brakowało. Szycia sukienki. Różowej. Z falbankami. Sukienki.

– Na kiedy? – spytałam odruchowo.

– Na jutro! Na jutro! – powiadomiła mnie ochoczo.

Zahamowałam gwałtownie i odwróciłam się do Kai, zapominając o ostrożności.

– To niemożliwe – powiedziałam dobitnie. – Nie uszyję ci sukienki w jeden dzień.

– Aha – przyjęło do wiadomości dziecko. – Płakałaś?

– Nie, nie, mam alergię!

Natychmiast pochyliłam się nad kierownicą i skupiłam na prowadzeniu auta, ale mleko już się rozlało.

– A kiedyś mówiłaś, że całe szczęście, że nie masz alergii, bo byśmy nie mogli

mieć Alfa.

Ciekawe, że do takich dupereli miała pamięć jak słoń, a tabliczki mnożenia nie była w stanie się nauczyć przez rok.

– Nie mam alergii na zwierzęta! Ale może na jakieś pyłki mam.

– Nie masz na pyłki, bo Nina z mojej klasy ma na pyłki i ciągle płacze, a ty nie ciągle.

Zgrzytnęłam zębami.

– Może mamy na różne pyłki. Albo to jest zwykły katar.

Dziecko na chwilę zamilkło, a potem przewiesiło się przez przednie siedzenie i zapytało słodkim głosem:

– A co ty jesteś tak dziwnie ubrana?

Nigdy jeszcze nie pokonałam dystansu od furtki do sypialni w tak krótkim czasie. Biegając po schodach, próbowałam jednocześnie rozpinać guziki góry od fartucha i rozwiązywać troczki od spodni, cud, że sobie przy okazji nie wybiłam zębów.

Nie wiem, jak to się stało, że zapomniałam się przebrać, wychodząc z pracy. To znaczy wiem. Walczak mnie zagadał. Ale że się nie zorientowałam, siedząc w samochodzie i czekając na Kaję? Teoria zderzenia czołowego, która przypomniła mi się rano, już koło południa postanowiła sama z siebie wejść w moje życie. Bo jasne, że gdyby przypadkiem Tomasz był w tym czasie w domu, byłoby pozamiatane. Jemu nie udałoby się wmówić, że ten zielony mundurek, który mam na sobie, to najnowszy krzyk mody z H&M i właśnie go przymierzałam, kiedy przypomniło mi się, że muszę pędzić po Kaję do szkoły. O ile oczywiście istnieje coś takiego jak krzyk mody z H&M.

– Tylko proszę, nic nie mów tacie. Mógłby być zły, bo to trochę drogie – poprosiłam pięć minut później, już przebrana w normalne ciuchy.

– Nie powiem, obiecuję, obiecuję! A mogę sobie pooglądać telewizorek?

Już chciałam odruchowo odmówić, kiedy uświadomiłam sobie, że mam właśnie cudowną okazję do przekupstwa i grzechem byłoby ją zmarnować. Wręczyłam więc

dziecku pilota i poszłam montować obiad.

Sikora zadzwonił w momencie, kiedy myłam pory na surówkę. W pośpiechu wytarłam ręce i odebrałam.

– Iwona wszystko potwierdza – zaczął bez wstępu. – Sypiała z nim. Kupił jej wisiołek. Ale, uważaj, podobno zanim się za nią zabrał, podrywał Weronikę.

– Czyli?

– Jesteśmy w punkcie wyjścia. Mógł w tym samym czasie kręcić z dwiema pannami. Nie wiem, jak to ugryźć, szlag.

– Ja też nie wiem – pocieszyłam go.

Zaśmiał się odrobinę złośliwie.

– Tylko że ty nie jesteś u nas na pensji. Wracam na komendę. Obejrzę jeszcze raz przesłuchanie. Może coś chwyć.

I rozłączył się.

Kiedy kończyłam nakładać obiad na talerze, zadzwonił drugi raz. Jego głos brzmiał odrobinę inaczej niż poprzednio.

– Co robisz?

– Właśnie siadamy do stołu. A co?

– To jak zjesz, podjedź do mnie na chwilę.

Spojrzałam na kuchenny zegar.

– Niedługo wróci Tomasz. Muszę mu podać obiad, to trochę potrwa.

– Przyszła ta paczka z Lublina.

– Jaka paczka? – nie zorientowałam się od razu.

– Te stare listy Joanny, o które miałem poprosić jej rodziców.

Poczułam się tak, jakby ktoś szturchnął mnie w plecy rozżarzonymi widłami.

– Już jadę.

Wyłączyłam się i krzyknęłam do dzieci:

– Kaja, Kuba, do mnie! Raz dwa!

Musiało być w moim głosie coś naprawdę elektryzującego oprócz decybeli, bo natychmiast oboje zjawili się w kuchni.

– Siadać! Jeść! – rozkazałam. – Ja muszę wyjść. To coś bardzo ważnego. Gdyby czasem wasz ojciec wrócił, powiedzcie mu, żeby sobie odgrzał obiad, dobrze?

Kaja popatrzyła na Kubę, Kuba na Kaję. Coś takiego jak ojciec odgrzewający sobie obiad nie bardzo mieściło się im w łebkach.

– Dobra – westchnął Kuba, przewracając oczami. – Ale lepiej wróć przed nim. Wiesz, jak jest.

ROZDZIAŁ 44

Pudełko owinięte przezroczystą folią stało na środku zagraconego biurka Sikory i wyglądało tak, jakby trafiło tutaj z zupełnie innej bajki.

– Nie otworzyłeś jeszcze? – zdziwiłam się.

– Nie miałem kiedy. Zresztą to twój cyrk, twoje mały. Baw się.

Przesunął pudełko w moim kierunku.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu nożyczek, ale ponieważ w tym bałaganie ciężko było znaleźć cokolwiek, przebiłam po prostu folię paznokciem i zaczęłam ją ściągać. Szło mi to dość opornie, ponieważ osoba, która pakowała przesyłkę, włożyła w tę czynność naprawdę dużo serca. Oraz warstw.

Kiedy w końcu wydobyłam pudełko z przezroczystego kokonu, poczułam, że nie mam siły go otworzyć.

– Pomożesz mi? – poprosiłam.

Sikora, który siedział przy laptopie i pisał coś z prędkością pięciu znaków na minutę, pokręcił przecząco głową, nawet na mnie nie patrząc.

Musiałam więc sama zdjąć pokrywkę, która w moim subiektywnym odczuciu ważyła tonę. Jednak jakoś mi się to udało i miałam teraz przed sobą sto, a może dwieście kopert, z których jedna mogła zawierać tę najważniejszą informację. Odetchnęłam głęboko i wyjęłam pierwszą z brzegu.

Okazało się, że Joanna nie była osobą zbyt uporządkowaną. Pierwszy list był z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, drugi z dwa tysiące trzeciego, kolejny z dwa tysiące drugiego. Sprawdzanie dat na stemplach pocztowych było wyjątkowo trudne, bo tusz wyblakł prawie zupełnie. Zaczęłam więc sprawdzać nadawców. Alina Chrobak, Wojtek S., M i T Maj. To też nie miało sensu. Dopiero po

chwili uświadomiłam sobie, czego muszę szukać: londyńskiego adresu. Teraz poszło zdecydowanie szybciej, a mimo to przy pięćdziesiątej kopercie zaczęły mnie boleć oczy, przy sześćdziesiątej zwątpiłam, a koło setnej uświadomiłam sobie, że naprawdę list od Weroniki wcale nie musi być tutaj. Przyszedł przecież do Londynu, Joanna wcale nie musiała przywozić go potem ze sobą do Polski.

Koperta, której szukałam, czekała na mnie prawie na samym końcu. Kiedyś biała, teraz pożółkła, miała na tylnym skrzydełku napis: Nad. Weronika Dąbrowska, Słowicza 18, 05-807 Podkowa Leśna.

– Jacek – powiedziałam cicho. – Mam.

Wychylił się zza laptopa. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w napięciu.

– Ty czytasz czy ja? – spytał cicho.

Wyjęłam cienką, złożoną na pół kartkę w kratkę, pokrytą regularnym, lekko pochyłym pismem, które tak dobrze znałam, i rozłożyłam ją ze wzruszeniem.

„Podkowa Leśna, 23 lipca 2001 roku.

Asiu! Bardzo ci dziękuję za informację o moim wisiorze. Kochana jesteś, że mi napisałaś, bo się denerwowałam, że zginął. Ale proszę, nie wysyłaj go pocztą. On jest taki delikatny, że mógłby się stłuc. Schowaj go dobrze, a kiedy wrócisz, jakoś go od ciebie odbiorę. Ja czuję się bardzo dobrze. Te okropne mdłości minęły, na całe szczęście, bo coraz mi było trudniej ukrywać przed mamą, że rano biegam do łazienki wymiotować. Ona jeszcze nic nie wie. Ojciec tym bardziej. Chyba by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że jestem w ciąży. To by przecież oznaczało, że uprawiałam seks bez ślubu. Grzech, okropny grzech. I wstyd przed ludźmi. I w dodatku kto jest ojcem dziecka? Najbardziej znienawidzony przez ojca człowiek, który z naszego miasta, jak twierdzi tata, zrobił sobie prywatny folwark. Brunon Szeliga!”

– O kurwa – powiedział Jacek.

Dojście do siebie zajęło mi kilka minut. Dostałam jakiegoś ataku, zakręciło mi się w głowie i nie mogłam głębiej odetchnąć, więc zaczęłam łapać powietrze szybkimi, płytkimi haustami, wydając przy tym dziwne dźwięki, coś między świstem

a charczeniem. Przerażony Sikora poderwał się z krzesła i otworzył na oścież okno, zrzucając przy okazji z parapetu plastikowy czajnik. Czajnik pękł, wypływająca z niego woda zaczęła wsiąkać w wykładzinę dywanową, Sikora wyrzucił z siebie szczerą wiązaną przekleństw, a mnie od świeżego powietrza natychmiast zrobiło się lepiej. Sięgnęłam po rulon papierowego ręcznika, rozwinęłam na oko z połowę i rzuciłam na podłogę, żeby osuszyć wykładzinę, a Sikora zaczął papier przydeptywać butem, żeby przyspieszyć proces nasiąkania. W ten sposób, wykonując jakieś nieistotne czynności, daliśmy sobie czas na oswojenie się z informacją, że Weronika była w ciąży z Szeligą.

Kiedy usiedliśmy z powrotem na swoich miejscach, pokój wydał mi się mniejszy i bardziej zagracony niż poprzednio, jakbym nagle dostrzegła jego prawdziwą naturę. Prawda was wyzwoli, przebiegł mi przez głowę cytat z Biblii. Tylko że ja na wyzwalanie wcale nie czułam się gotowa.

- Szok – odezwałam się.
- Szok – przyznał Sikora.
- Nie wpadłabym na to.
- No i nie wpadłaś. Myślałaś, że to Czerwiński.
- Myliłam się.
- Bardzo przekonująco się myliłaś.

Powiedział to z lekkim wyrzutem, więc postanowiłam mu przypomnieć to i owo.

- A kto wpadł na pomysł, żeby sprawdzić stare listy?
- Ty – przyznał Sikora.

Znowu zapadła cisza.

- Nie rozumiem kilku rzeczy.
- To nieważne – przerwał mi Jacek. – Szeliga. Mamy czarno na białym.
- I co teraz? Co z tym zrobisz?
- Nie wiem. – Potarł brodę w zamyśleniu. – Czytaj dalej.

„Mam w nosie moich starych. Z Brunonem niczego się nie boję. Oszalał na punkcie dzidziusia. Jest kochany i troskliwy. Zajmuje się mną, dba o mnie. Oczywiście wszystko na razie w tajemnicy. Zwłaszcza przed jego żoną, bo jeżeli nie

będziemy uważać, oskubie go z pieniędzy. Dlatego się na razie kryjemy, ale już niedługo. On teraz wszystko przygotowuje i potem się rozwiedzie i weźmiemy ślub.

To wszystko jest takie romantyczne. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Przyszedł do restauracji. Sam. Obserwował mnie przez cały wieczór, a potem zamówił dwa kieliszki wina i poprosił, żebym się z nim napiła. A kiedy się dowiedział, że studiuje anglistykę i robię tłumaczenia, wymyślił, że mogłabym robić tłumaczenia dla jego firmy. Kiedy to sobie przypominam, tak się wzruszam. ale na razie muszę kończyć, bo właśnie jadę do Brunona na dwa dni. Jego żony nie będzie, prowadzi jakąś konferencję w Krakowie i będziemy mieli wolną chatę. Ale się cieszę!

Napiszę więcej po weekendzie. Całuję. Twoja Wera”.

Złożyłam kartkę i schowałam z powrotem do koperty. W tym samym momencie poczułam w kieszeni spodni wibrowanie telefonu. Tomasz. W jego głosie tłumiona irytacja mieszała się z jawną złością.

– Znowu wracam do domu, a ciebie nie ma! – zaatakował. – Co się z tobą ostatnio dzieje?

Wzruszyłam ramionami. Niestety, nie mógł tego widzieć.

– Jestem na komendzie w Grodzisku. Przesłuchują mnie – oznajmiłam, ewidentnie rozmijając się z prawdą.

– Akurat. Gdyby cię przesłuchiwali, nie odebrałabyś – wytknął, dumny ze swojej przenikliwości. – Siedzicie z tym całym Sikorą i ucinacie sobie ploty, a dzieci w domu same.

Drogę do moich słabych punktów Tomasz znał na pamięć. Teraz też trafił bez pudła, wyrzuty sumienia zalały mnie duszącą falą.

– Przecież są już duże – zaczęłam się bronić, choć argument nawet dla mnie samej nie brzmiał przekonująco.

– Duże, nie duże – zachnął się. – To kwestia priorytetów, moja droga. O której możemy się ciebie łaskawie spodziewać?

Popatrzyłam spłoszona na Sikorę.

– Eeee, niedługo będę – wydukałam.

Jacek miał minę absolutnie zde gustowaną.

– Dlaczego mu pozwalasz, żeby cię tak traktował? – spytał, kiedy się rozłączyłam.

– Akurat miał rację. Zostawiłam dzieciaki same.

– Przestań! – Sikora uderzył otwartą dłonią w stół. – Nie mogę tego słuchać. Elka też nie, tylko że ona się z tobą cacka jak ze zgniłym jajkiem, więc ci tego nie powie. Ale ja owszem. On tobą manipuluje. Cały czas wykorzystuje to, że sama uważasz, że jesteś beznadziejna, i koncertowo pogrywa twoim poczuciem winy. Zaczynj mu się wreszcie stawiać, bo żal patrzeć.

W ten sposób płynnie przeszliśmy od sprawy morderstwa do mojego małżeństwa. Tylko że mi to nie odpowiadało.

– Zejdź ze mnie – poprosiłam grzecznie. – Nie mam dzisiaj siły na analizę mojego związku. Wystarczy mi Szeliga.

Znowu oboje zamilkliśmy.

– Wszystko się zgadza – odezwał się Jacek po chwili. – Nawet to, że dla niego pracowała. Bo robiła dla niego tłumaczenia. Tylko że to nazwisko w liście nie jest żadnym dowodem. Mogę o tym opowiedzieć kolegom przy piwie, ale z punktu widzenia prawa nic nie znaczy.

– Przecież ona pisze wyraźnie, że była z nim w ciąży. I że on wiedział o dziecku i planował ślub.

– I co z tego? Wynurzenia mitomanki, których nie ma jak zweryfikować. Przecież mogła to sobie wszystko wymyślić, mogła do tej swojej koleżanki wypisywać bzdury, żeby jej zaimponować.

– Może mógłbyś go tutaj wezwać i trochę go postraszyć? Może dałby się wyprowadzić z równowagi? Z Czerwińskim ci się udało – przypomniałam mu. – Przyznał się.

Sikora pokręcił przecząco głową.

– Przyznać się do romansu sprzed siedemnastu lat to trochę inna skala niż przyznać się do morderstwa.

A po chwili dodał:

– Albo do dwóch morderstw.

Kiedy to powiedział, po raz kolejny i ostateczny dotarło do mnie, że Weronika nie

żyje. Bo gdyby żyła, Joanna żyłaby również.

– I to jest nasz podstawowy problem – ciągnął. – Bo dowodów na to, że zamordował Joannę, nie mamy żadnych, a jeśli chodzi o Weronikę, zwyczajnie nie mamy o co go oskarżyć. Możemy się domyślać, że ta ciąża nie była mu na rękę, że dziewczyna zaczęła się za bardzo panoszyć i musiał ją uciszyć, ale, przepraszam, że to powiem, żeby wnieść oskarżenie o morderstwo, trzeba mieć ciało. Ciało – powtórzył. – Poczekaj.

Zamknął oczy. Pewnie wyobrażał sobie, że jest w swoim garażu i czyści gaźnik vespy. To bardzo mu pomagało w koncentracji.

– Musisz coś wymyślić – podpowiedziała. – Coś spektakularnego. No wiesz, czasami w dobrych sensacyjnych filmach bohater stawia wszystko na jedną kartę, ryzykuje życiem.

Sikora zmarszczył brwi.

– Jakbyś się mogła na chwilę zamknąć – poprosił.

Minęła może minuta, może dziesięć minut, nie wiem, bo zupełnie straciłam poczucie czasu. Nagle Sikora wyprostował się i popatrzył na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Czy ten pies Szeligi ciągle jest chory?

– O co ci chodzi?

– Proste pytanie zadałem.

– Teoretycznie powinien być już zdrowy. Chyba jeszcze jedna wizyta kontrolna mnie czeka.

– Kiedy?

– Jutro albo pojutrze, muszę sprawdzić w grafiku.

– To sprawdź. Chyba mam pomysł. Trochę po bandzie, ale...

Potem mi go wyłuszczył.

Okazało się, że nie jest trochę po bandzie, tylko totalnie po bandzie.

A na koniec zapytał:

– Wchodzisz w to czy nie?

ROZDZIAŁ 45

Wróciłam do domu tak oderwana od rzeczywistości, że naburmuszona mina Tomasza zupełnie nie zrobiła na mnie wrażenia. Jedyne, co się w tym momencie dla mnie liczyło, to plan Sikory, który natychmiast powinnam zacząć wprowadzać w życie.

A ponieważ nie mogłam tak po prostu wejść do domu i od razu znowu z niego wyjść, zaczęłam od przygotowania sobie alibi.

Na pierwszy ogień poszedł Kuba. Kiedy zajrzałam do niego do pokoju, chyba odrabiał lekcje, bo siedział przy biurku, przed czarnym ekranem wyłączzonego komputera i wyglądało na to, że pisze, używając długopisu, nie klawiatury.

– Idziesz ze mną na rower? – zapytałam, czując się najgorszą, najbardziej beznadziejną matką świata, bo która matka odrywa dziecko od lekcji w imię swoich partykularnych interesów?

– Nie. – Dziecko wykazało się zaskakującą asertywnością.

– A może jednak?

Kuba odwrócił się i popatrzył na mnie dziwnie.

– Robię lekcje – powiedział. – Halo! Normalna matka zostawiłaby mnie w spokoju.

Kolejną próbę podjęłam u Kai. Z nią poszło dużo łatwiej. Na pytanie, czy pójdzie się ze mną przejechać, zareagowała entuzjastycznie i już pięć minut później wyprowadzałyśmy rowery z garażu.

Tak jak myślałam, Tomasz obserwował nas z okna swojego gabinetu. Co widział? Troskliwą matkę, która zabiera swoją kochaną córeczkę na rowerową przejażdżkę. Nie dość, że zacieśniają w ten sposób więzi, to jeszcze polepszają kondycję fizyczną. Naprawdę, nie było się do czego przyczepić.

Kiedy tylko odjechałyśmy na tyle daleko, że na pewno nie było nas widać z domu,

kazałam dziecku zwolnić i wyłuszczyłam sprawę:

– Kochanie, mama musi podjechać w jedno miejsce i coś załatwić. To będzie trwało moment. A potem możemy skoczyć na lody. Co ty na to?

Wiadomo było, że lody załatwią sprawę.

Dziesięć minut później zatrzymałyśmy się przed zapuszczonym ogrodem na ulicy Sosnowej, w którego głębi krył się dom obłożony błękitnymi kaflami. Nienaoliwione zawiasy furtki zaskrzypiały, tak jak poprzednio, kiedy tu wchodziłam.

Kaja rozglądała się ciekawie, ale, o dziwo, o nic nie pytała.

– Poczekasz tu na mnie? – spytałam, a kiedy dziecko potwierdziło skinieniem głowy, oparłam rower o balustradę tarasu i poszłam dalej sama betonową ścieżką, prosto do pomalowanych na turkusowo drzwi.

Zapukałam.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Tym razem Dominika Wróblewska, właścicielka domu, miała na sobie poplamionedżinsy ogrodniczki, a na włosach czarny turban. Mój widok jej nie zaskoczył.

– O, to pani! – uśmiechnęła się. – Tylko ostrzyżona. Bardzo dobra długość – oceniła szybko. – O ile pamiętam, ostatnio była pani u mnie z dziwnym pytaniem. A z czym przychodzi pani dzisiaj?

– Z dziwną prośbą – odpowiedziałam.

Chciała zaprosić mnie do środka, ale naprawdę nie miałam czasu. Wyjaśniłam jej więc w drzwiach, o co mi chodzi, i poprosiłam o numer telefonu, żeby wysłać zdjęcie. Kiedy rozmawiałyśmy, z parapetu okna obserwował nas jej gigantyczny kot. Oblizywał się co chwila z miną kota z Cheshire, więc niewykluczone, że przed chwilą skończył konsumować kolejnego skradzionego kurczaka.

Kiedy skończyłam, pani Dominika wepchnęła pod zwinięty na głowie materiał kosmyk włosów, któremu udało się wydostać na wolność, i po chwili zastanowienia powiedziała:

– Dobrze. To nie jest ani trudne, ani pracochłonne. Mogę to pani zrobić nawet na jutro.

– Dziękuję! – pod wpływem impulsu nachyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

– To dla mnie bardzo ważne.

– O, nie wątpię – kobieta uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

A kiedy odchodziłam, krzyknęła za mną:

– Rano! Będzie gotowe rano! Do zobaczenia!

Wsiadłyśmy z Kają z powrotem na rowery i pojechałyśmy prosto do Olala. Kupiłam córce trzy kulki, sobie jedną, ale miałam tak ściśnięte gardło, że nawet tej jednej nie byłam w stanie zjeść i kiedy lody zaczęły się topić, wyrzuciłam rożek do kosza. A kiedy wycierałam lepkie dłonie w resztki serwetki, którą owinięty był wafelek, moje kochane dziecko nachyliło się do mnie i zapytało:

– To co będzie, mamusiu, z moją różową sukienką? Uszyjesz mi na jutro czy nie?

Mniej więcej połowę wieczoru poświęciłam na telefony do moich koleżanek i do matek koleżanek Kai, a nawet do pani wychowawczynie, próbując coś ustalić. Pierwsza wersja, ta najbardziej przerażająca, czyli przygotowanie kostiumu na następny dzień, padła koło dziewiętnastej. W trochę już mniejszym stresie weryfikowałam następne, i po kolejnych kwadransach konsultacji dowiedziałam się, że Kaja sukienkę może przynieść na czwartek, w ostateczności nawet na piątek, bo dopiero wtedy mają występ. Nic nie da się porównać z ulgą, jaką poczułam. A potem, tknięta przecuciem, wykonałam jeszcze jeden telefon – do znajomej, która miała córkę starszą o dwa lata od Kai, i widmo ślęczenia nad maszyną do szycia rozwiało się ostatecznie. Różowa sukienka księżniczki, dawno za mała, wisiała u tejże znajomej w szafie i mogłam ją pożyczyć kiedy i na jak długo miałam ochotę.

W euforii, która mnie w związku z tym ogarnęła, usmażyłam całą górę panekjków i dopiero kiedy sprzątałam po kolacji, przypomniało mi się, co mnie czeka następnego dnia rano.

Poszłam więc prosto do lodówki, wyciągnęłam z niej butelkę białego wina i nalałam sobie pełniuteńki kieliszek. Wiedziałam, że bez tego nie zasnę.

Obudziłam się rano z bólem głowy i przekonaniem, że to, o co poprosił mnie Sikora, absolutnie i zdecydowanie mnie przerasta. Mimo to nie zadzwoniłam i nie odwołałam wszystkiego, bo zdawałam sobie sprawę, że inaczej nie uda się Szelidze nic udowodnić.

Z minuty na minutę coraz bardziej przerażona, obudziłam dzieci i zesłam na dół, uruchamiając zwykłą codzienną rutynę, która ma niestety to do siebie, że żadna z wykonywanych czynności nie wymaga ode mnie myślenia, więc mogę zająć głowę wszystkim, czym chcę. Albo czym nie chcę.

Wychodząc z domu, niechcący rzuciłam okiem na swoje odbicie w lustrze i zorientowałam się, że mam na sobie dresową bluzę. Aż jęknęłam.

– Do samochodu! – zarządziłam. – Mama zaraz przyjdzie.

I pobiegłam na górę się przebrać. Zdecydowanie potrzebowałam bluzki z dekoltem, której znalezienie w mojej szafie wcale nie było takie łatwe. A czas płynął. W końcu, zdesperowana, chwyciłam bawełnianą koszulkę w kolorze fuksji z dekoltem do pępka, którą dostałam od Elki kilka lat temu w ramach próby zmiany mojego wizerunku, a którą nosiłam wyłącznie pod golfy i grube swetry, żeby mnie nie gryzły. Wciągnęłam ją przez głowę i gdyby nie to, że była już za siedem ósma, natychmiast zdjęłabym ją z powrotem, bo osoba, która patrzyła teraz na mnie z lustra, była jakąś obcą, bardzo kobiecą kobietą. W rozpaczliwej próbie ratowania wizerunku chwyciłam jakiś cienki, rozpinany sweterek i zbiegłam na dół, gdzie przy samochodzie czekały zdziwione i zdeorientowane dzieci.

– Co ty się tak wystroiłaś? – spytał sceptycznym tonem Kuba.

A Kaja dodała:

– Jaka ładna bluzeczka! Jaka ładna! Kupiłaś ją wczoraj razem z tym zielonym?

Pani Dominika, w tych samych co wczoraj poplamionych ogrodniczkach, ale tym razem bez turbanu, czekała na mnie na tarasie, pijąc kawę i przeglądając „Zwierciadło”. Na mój widok wstała z ławeczki, przeszła przez dom i otworzyła mi drzwi, zanim zdążyłam zapukać.

– Wszedł identyczny – powiedziała, podając mi niewielkie, tekturowe pudełko.

Otworzyłam je. W środku, na grubej warstwie waty leżał błękitny, ceramiczny wisiorek w kształcie litery W. Przesunęłam po nim delikatnie palcem. Był gładki i chłodny. Wzruszona zamknęłam wieczko.

– Ile płacę? – spytałam, mrugając szybko powiekami, żeby powstrzymać łzy.

Kobieta popatrzyła na mnie uważnie. Nie uśmiechała się.

– To była co prawda ekspresowa robota – powiedziała w końcu. – Ale lubię panią i widzę, jakie to dla pani ważne. Proszę to przyjąć w prezencie.

Próbowałam zaprotestować, ale nie dopuściła mnie do głosu.

– Nie ma mowy, żadnych pieniędzy – zamknęła temat. – Przypomniała mi pani cudowne czasy. Powodzenia.

– Dziękuję.

Kiedy chowałam pudełko do torby, czułam, że uważnie mi się przygląda.

– Pięknie dziś pani wygląda – zauważyła. – Ta bluzka. To ewidentnie pani kolor. Fuksja, ciemny róż, myślę, że również błękitny i brązy. Powinna pani zacząć nosić zdecydowane barwy.

Uśmiechnęłam się. Zmiana wizerunku to ostatnie, do czego miałam teraz głowę.

– I dekolty – dodała. – Mężczyźni lubią ładne dekolty. A pani ma śliczny.

Poczułam, jak na policzki wypełza mi rumieniec.

– Dziękuję! – bąknęłam, i równie dobrze mogło to dotyczyć przygotowania wisiorka, jak komplementu. – Muszę lecieć.

Co ona opowiada, myślałam, wsiadając do samochodu. Ja i dekolty, dobre sobie. I te idiotyczne teksty o facetach.

A jednak okazało się, że pani Dominika miała rację. Na mój widok Walczak wydał z siebie ordynarny gwizd, za co został natychmiast skarcony przez Rudnickiego.

– Pani Magdaleno – odezwał się. – Przepraszam za prymitywne zachowanie doktora Walczaka, ale byłoby lepiej, gdyby założyła pani fartuch. Inaczej ja również nie będę umiał skupić się na pracy.

Ponownie poczułam, że się czerwienię, więc szybko schowałam się na zapleczu. Z torby, którą przyniosłam ze sobą, wyjęłam fartuch, ten sam, w którym poprzedniego

dnia nieopatrznie wybiegłam z pracy, i włożyłam go, zmniejszając w ten sposób znacząco zakres rażenia dekoltu fuksjowej bluzki.

Kiedy ponownie weszłam do gabinetu, moi koledzy z pracy rechotali, jakby któryś z nich opowiedział właśnie świetny dowcip. Postanowiłam ich zignorować. Podeszłam do biurka, usiadłam przy komputerze, odnalazłam wśród pacjentów Nepala i weszłam na jego stronę. Tak jak myślałam, na dzisiaj była wyznaczona wizyta kontrolna.

Wpisałam sobie do komórki podany w komputerze telefon kontaktowy i wróciłam na zaplecze, żeby przeprowadzić rozmowę. Nie chciałam, żeby mnie słyszeli.

To, czy moje dzisiejsze poświęcenie wizerunkowe do czegoś się przyda, zależało od kilku czynników, z których najważniejszym była dostępność Szeligi. Liczyłam się z tym, że jeżeli nie zastanę go w Podkowie albo nie znajdzie dla mnie czasu, całą akcję trzeba będzie przełożyć.

– Marcin Lewandowski, w czym mogę pomóc?

Głos asystenta Szeligi był równie wystudiowany jak jego powierzchowność.

– Magdalena Borowska, weterynarz. Poznaliśmy się niedawno. Dzwonię w sprawie psa. Mam na dzisiaj wpisaną wizytę kontrolną. Ale zależałoby mi, żeby był przy niej obecny właściciel.

– Moment.

Słyszałam, jak klika myszką. Czasy papierowych terminarzy ewidentnie odeszły w zapomnienie. Odezwał się po chwili:

– Pan Szeliga będzie dzisiaj w domu do godziny dwunastej trzydzieści. Gdyby udało się pani zdążyć na dziesiątą, byłoby idealnie.

Spojrzałam na zegarek. Dziewięta dwadzieścia.

– Świetnie. Jesteśmy umówieni w takim razie.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam się zbierać. Sprawdziłam zawartość torby lekarskiej, a potem przełożyłam do niej pudełko od pani Dominiki i wróciłam do gabinetu, ponieważ ostatnia rzecz, której potrzebowałam, znajdowała się właśnie tam, w przeszklonej szafce obok biurka z komputerem. Dostanie się do niej bez zwracania na siebie uwagi Walczaka i Rudnickiego stanowiło pewne wyzwanie.

Właśnie łamałam sobie głowę nad tym, jak to zrobić, kiedy rozległo się pukanie do

drzwi.

– Proszę! – powiedział Rudnicki, i do gabinetu zajrzała szczupła, opalona dziewczyna z nosem pokrytym piegami.

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie. – Można?

– Zapraszam szanowną panią.

Dziewczyna z pewnym trudem wniosła do środka transporter pełen wielkiego i wściekłego main coona, który rzucał się w środku i syczał niczym uderzona patykiem kobra. Rudnicki, który stał bliżej, podszedł, żeby pomóc, Walczak również odwrócił się w tamtym kierunku, więc wykorzystałam moment i ukradkiem wyjęłam z szafki niewielki, żółto-czarny brelok w kształcie łyżki, które następnie wrzuciłam do torby, gdzie wylądował obok pudełka od pani Dominiki.

– No proszę, jaki piękny tygrys – zachwycił się kotem Rudnicki. – Pani Magdo, może pani się nim zajmie?

– Niestety, nie mogę. Właśnie jadę do Szeligi na wizytę kontrolną. Była na dzisiaj wpisana w kartę – usprawiedliwiłam się.

– Brawo, pani doktor. – Rudnicki wyglądał na pozytywnie zaskoczonego. – Ja na przykład zupełnie zapomniałem.

– Och, to był mój pacjent, dlatego pamiętałam. Załatwię to szybko i wracam – pomachałam trzymaną w ręku torbą lekarską.

– Jasne.

– Na pewno dasz radę? – zainteresował się Walczak, zapewne bez żadnych złych intencji.

– Oczywiście – wzruszyłam ramionami, jakbyśmy rozmawiali o obcięciu pazurków kociakowi.

– Może jednak z tobą pojechać?

Ciekawe, czy byłby taki pomocny, gdybym była inaczej ubrana, pomyślałam, a na głos powiedziałam:

– Nie, dziękuję! Poradzę sobie.

– No cóż, ostatnio sobie nie poradziłaś – przypomniał mi kwaśnym tonem.

Zdaje się, że nie przywykł do tego, żeby mu odmawiano.

– Zdarza się – zbagatelizowałam sprawę. – Tym bardziej muszę teraz stawić temu czoło. Znasz zasadę, że jak się spadnie z konia, to trzeba na niego z powrotem wsiąść? Inaczej będzie cię potem zawsze zrzucał.

Myślałam, że teraz sobie odpuści, ale się przeliczyłam.

– A wsiadaj sobie na konia, proszę bardzo – zaśmiał się złośliwie. – Teraz już przynajmniej wiem, dlaczego tak się wystroiłaś.

Zatkało mnie. To była najbardziej chamska odzywka, jaką słyszałam w życiu. Poczułam się tak, jakby dał mi w twarz. Ale zamiast go zmiażdżyć słownie lub fizycznie, a najchętniej i to, i to, oczywiście stchórzyłam i po prostu wyszłam z gabinetu. Tego, że z wysoko uniesioną głową, nikt raczej nie zauważył.

ROZDZIAŁ 46

Sikora czekał na mnie na rogu Sienkiewicza i Ejsmonta. Korciło mnie, żeby zrobić to tak jak w filmach szpiegowskich, czyli ustawić auta bokiem do siebie i przekazać to, co mieliśmy sobie do przekazania przez otwarte okna, ale wydało mi się to jednak zanadto ostentacyjne, więc zatrzymałam Chrupka za jego ffordem i wysiadłam z samochodu. Sikora otworzył drzwiczki od strony pasażera. Wślizgnęłam się na siedzenie.

– Posłuchaj – zaczął. – Myślałem o tym całą noc. I doszedłem do wniosku, że to jednak idiotyczny pomysł.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Żartujesz?

– Nie. Mówię serio. Zostawmy to.

– W życiu! Za daleko już zaszliśmy.

– Co masz na myśli? – uśmiechnął się ironicznie Jacek. – Co takiego się stało, że nie możemy się teraz z tego wycofać?

– Och, no – zaczęłam się plątać. – Ja się na przykład nastawiłam. Psychicznie. Ale nie tylko. No i zdobyłam obie te rzeczy.

– Jestem pod wrażeniem. Aczkolwiek ja też coś skołowałem w pracy.

Sikora sięgnął nad moimi kolanami i wyjął ze schowka czarną kostkę wielkości pudełka papierosów.

– GPS – powiedział z dumą.

– Strasznie to duże – zauważyłam.

– No wiem. Nie znalazłem nic mniejszego

– A ja owszem.

Podaliśmy mu żółto-czarny brelok, który gwizdnęłam z gabinetu.

– Fiu, fiu, wygląda profesjonalnie – przyznał. – Jaki zasięg?

– Dwieście metrów. Do tego jest aplikacja, pobierz sobie na telefon.

Sikora po chwili wahania wyjął komórkę i wprowadził nazwę lokalizatora do wyszukiwarki Google. Po chwili miał już wgraną aplikację. Wpisał do niej jeszcze numer seryjny breloka i oddał mi go.

– No dobrze – westchnął. – Działamy. Choć uważam, że szansa, że to się uda, jest niewielka.

Nie podobał mi się jego sceptycyzm. Ja, no cóż, ja sobie mogłam pozwolić na wątpliwości i wahania, ale on, doświadczony policjant, autor pomysłu?

– Jacek, nie mamy nic do stracenia – przekonywałam go. – Nic. Jeżeli nie wyjdzie, trudno. Ale przynajmniej oboje będziemy wiedzieli, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.

Sama się sobie dziwiłam, że tak to wiarygodnie zabrzmiało. Spojrzałam na zegarek. Była dziewiąta czterdzieści dziewięć.

– No dobra, muszę się zbierać. O której dzwonisz?

– Za dwadzieścia minut?

– Mogę nie zdążyć. Lepiej za pół godziny.

Teraz Sikora sprawdził czas.

– Dobra. W takim razie dziesiąta dwadzieścia.

– Jeszcze tylko jedno.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam z niej pudełko od pani Dominiki. Wisiorek w kształcie litery W połyskiwał błękitem na miękkiej podściółce z waty. Wzięłam ostrożnie w dwa palce rzemyk, na którym był zawieszony, i podałam Jackowi.

– Zawiążesz mi?

Kiedy wróciłam do Chrupka, znowu musiałam otworzyć okna, tak się w nim przez te kilka minut zrobiło gorąco. Przez chwilę siedziałam bez ruchu, dochodząc do siebie po spotkaniu z Sikorą, a potem przekręciłam wsteczne lusterko, żeby móc się w nim przejrzeć. Niebieska literka W kołysała się dyskretnie w rozchyleniu mojego fartucha.

Zbyt dyskretnie.

Zdecydowanym ruchem zdjęłam więc fartuch i rzuciłam na przednie siedzenie. Może fuksjowa wydekoltowana bluzka nie była standardowym strojem weterynarza, ale za to wisiorka nie można było przeoczyć.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Była za pięć dziesiąta. Najwyższy czas stanąć oko w oko z mordercą mojej przyjaciółki.

Szeliga czekał na mnie w boksie, bawiąc się z psem. Siłował się z nim, próbując wyrwać mu z pyska grubą linę, a zachwycony Nepal szarpał głową i zapierał się tylnymi łapami, przeciągając swojego pana to w jedną, to w drugą stronę. Mężczyzna, zajęty zabawą, nie zauważył, że podeszłam, więc odchrząknęłam dyskretnie.

– Już, moment! – rzucił, nie oglądając się.

Jeszcze raz pociągnął za linę, a potem ją puścił. Zachwycony pies, kiedy tylko się zorientował, że zabawka należy do niego, zaczął gwałtownie rzucać łbem, tak że końce liny uderzały go po bokach.

Szeliga odwrócił się w moją stronę i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy zauważył wisiorek na mojej szyi.

Zamarł w bezruchu, a na jego twarzy pojawiło się bezbrzeżne zdziwienie.

Nie jestem dobrą aktorką. Właściwie nie jestem żadną aktorką. Ale wszystko zależało od tego, czy uda mi się wiarygodnie odegrać swoją rolę. Uśmiechnęłam się promiennie i bez troski.

– Dzień dobry! Mam wejść do środka czy wyprowadzi go pan na zewnątrz?

Szeliga nie mógł oderwać wzroku od wisiorka.

– Przepraszam, o co pani pytała?

– Gdzie mam go zbadać? W boksie czy na zewnątrz? – powtórzyłam.

Szeliga po chwili namysłu otworzył furtkę i wpuścił mnie do środka. Nepal na mój widok wycofał się w kąt boksu. Nie lubił się spoufalać z obcymi.

– Widziałam, jak się rusza. Ucho już go raczej nie boli, ale oczywiście powinnam go zbadać. Przytrzyma go pan?

Szeliga zawołał psa, a kiedy Nepal podbiegł, kazał mu usiąść i chwycił za obrozę.

Patrzyłam, jak jego palce zaciskają się na skórzanym pasku i nagle, zamknięta na niewielkiej przestrzeni z groźnym zwierzęciem i bezwzględny człowiekiem poczułam paniczny strach.

Ale nie mogłam się już wycofać. Odetchnęłam więc kilka razy głęboko, żeby się uspokoić, a potem niby od niechcienia dotknęłam wisiorka.

– Widzę, że mu się pan przygląda. Ładny, prawda?

Szeliga ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Nie znam się na biżuterii – powiedział chłodno.

Po pierwszej, emocjonalnej reakcji nie zostało śladu, za to znowu pojawiło się opanowanie i dystans. W tym momencie dotarło do mnie, jak naiwne było założenie, że mnie, głupiutkiej kurze domowej uda się wyprowadzić z równowagi starego wygę. W tej rozgrywce nie miałam z nim szans.

– Ja w sumie też nie – uśmiechnęłam się nerwowo. – Ale do tego wisiorka mam sentyment. Wiąże się z nim pewna historia. Dość dramatyczna. I bardzo dla mnie osobista. Pewnie pan słyszał, że siedemnaście lat temu w Podkowie zaginęła dziewczyna.

Zauważyłam, że na czole Szeligi pojawiły się kropelki potu. A więc jednak nie był tak odporny, jakby się wydawało. Uniósł rękę, jakby chciał mi przerwać, ale mówiłam dalej.

– Weronika była moją najlepszą przyjaciółką. Ten wisiorek – znowu dotknęłam go dłonią – należał właśnie do niej. Dostała go od kogoś, kogo bardzo kochała. Podobno miała go na sobie, kiedy zniknęła.

Oczywiście było to wierutne kłamstwo, ponieważ kiedy Weronika zaginęła, wisiorek leżał w kosmetyczce Joanny w Londynie. Ale tutaj w ogóle nie chodziło o fakty. Ani nawet o to, czy Szeliga mi wierzy. Chodziło o stworzenie atmosfery. Atmosfery horroru.

Szeliga zmrużył oczy. Był racjonalistą. Był też na liście stu najbogatszych Polaków i takie historyjki naprawdę nie powinny robić na nim wrażenia. A jednak widziałam, że jest coraz bardziej zdenerwowany.

– To rzeczywiście ciekawe – wycedził. – Jak pani w takim razie wytłumaczy, że

ma go teraz na szyi?

– Znalazłam go. Tak po prostu. Byłam na spacerze w lesie, a on leżał na ścieżce. Zupełnie jakby pojawił się spod ziemi. Niesamowite, prawda?

Miałam nadzieję, że nie będzie wypytywał o szczegóły, bo musiałabym improwizować, a tego bałam się najbardziej. Choć tak naprawdę bałam się jeszcze czegoś. Przecież wisiołek w kształcie litery W miała na szyi podczas przyjęcia Joanna. I potem zginęła. A jeżeli Szeliga przestanie myśleć racjonalnie i mnie również postanowi uciszyć?

Przełknęłam ślinę. Zwiewaj stąd, podpowiedziały mi resztki mojego instynktu samozachowawczego. No tak, ale żeby ta cała naciągana historia zadziałała, musiałam do niej dorzucić bombę z opóźnionym zapłonem. Coś jeszcze bardziej abstrakcyjnego. Coś naiwnego aż do bólu. Uwaga.

– Wie pan, na przykład moja matka uważa, że Weronika nie żyje. Że została zamordowana. I że to ona mi ten wisiołek podrzuciła – ciągnęłam beztroskim tonem, choć gardło miałam ściśnięte z nerwów. – Bo podobno umarli, których ciała nie zostały pochowane w poświęconej ziemi, powstają z grobów i przypominają o sobie. Proszą o pomoc w przeprowadzeniu się na drugą stronę, żeby ich dusze wreszcie mogły zaznać spokoju.

W ten sposób osiągnęłam dno. Ale ustaliliśmy z Sikorą, że muszę użyć kilku słów, które powinny uruchomić w Szelidze niepokój. Zobaczymy, czy zadziała.

– Bada go pani w końcu czy nie? – Nie wydawał się poruszony, raczej zirytowany.

Otworzyłam torbę lekarską i wyjęłam otoskop. Przy okazji spojrzałam na zegarek. Była dziesiąta dziewiętnaście. Jaka ulga.

Kilka sekund później w kieszeni Szeligi rozległ się dźwięk telefonu, na który tak czekałam.

– Przepraszam – wyciągnął komórkę i spojrzął na wyświetlacz. – Muszę odebrać.

I odszedł na bok, żeby porozmawiać, dokładnie tak, jak przy naszym pierwszym spotkaniu.

Oczywiście dzwonił Sikora. Miał zadać Szelidze kilka pytań, na tyle ogólnych, żeby go nie spłoszyć, i na tyle szczegółowych, żeby podbić niepokój, który, miejmy

nadzieję, zakiełkował w nim dzięki moim idiotycznym tekstom. Reszta albo się wydarzy, albo nie.

Nie wiedziałam, jak długo Sikorze uda się go zagadać, ale od początku zakładałam, że nie będę miała zbyt dużo czasu. Ukradkiem wyjęłam z torby żółto-czarny brelok, ukryłam go w dłoni i udając, że sprawdzam psu uszy, umieściłam urządzenie pod obrożą. Skórzany pasek był szeroki i gruby, a specjalny zaczep nadajnika pasował do niego idealnie. Potem przesunęłam obrożę tak, żeby lokalizator znajdował się na samym dole i wzburzyłam sierść dookoła. Na pierwszy rzut oka nic nie było widać.

Chwilę później Szeliga rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

– I jak ucho? – zapytał.

– Idealnie. – Wzięłam torbę do ręki. – Ale radziłabym go na spacerach nie spuszczać ze smyczy. Żeby znowu nie zjadł czegoś, co go uczuli. Ludzie wyrzucają takie dziwne rzeczy.

ROZDZIAŁ 47

Kiedy tylko brama posiadłości się za mną zamknęła, poczułam ulgę wprost niewyobrażalną. Skręciłam na najbliższym skrzyżowaniu w prawo, zatrzymałam samochód pod czyjąś bramą i ukryłam twarz w dłoniach. To nie była zabawa odpowiednia dla osób o mojej konstrukcji psychicznej. Tego byłam pewna.

Przeżywałabym zapewne jeszcze długo spotkanie z Szeligą, gdyby nie to, że przyszedł esemes od Sikory: „Czekam na Zarybiu”.

Z Młochowskiej skręciłam w Leśną, a z Leśnej w Zarybie. Auto Sikory stało kilka metrów od skrzyżowania, przy posesji otoczonej starym, drewnianym płotem. Zaparkowałam tuż obok. W ogóle mnie nie zauważył, zapatrzony w komórkę.

– I co? – spytałam, wsiadając do forda.

– I nic. Nigdzie nie idzie.

Zajrzałam Jackowi przez ramię. Na ekranie widać było mapę najbliższej okolicy: ulice Młochowską, Leśną, Zarybie, a w centrum – nieruchomy czerwony punkt.

– Wyszłam stamtąd pięć minut temu. Dajmy mu trochę czasu.

– Dajmy – zgodził się Szeliga. – Ale nie mam zamiaru siedzieć tu do jutra.

– Nie martw się – pocieszyłam go. – Nie sądzę, żeby chodził po lesie w nocy.

– Dzięki. Od razu mi lepiej.

Sarkazm w jego głosie nie bardzo mi się podobał, ale kiedy się nad tym zastanowiłam, zrozumiałam go. Był policjantem, nie autorem kryminałów jak moja matka, ani nie kurą domową jak jeszcze do niedawna ja. Powinien myśleć skutecznie i odpowiedzialnie, i stosować metody, które stosuje się w policji, a nie bawić w podchody z przyjaciółką z dzieciństwa. Myślę, że im bardziej sobie to uświadamiał, tym bardziej był zły – na siebie, na mnie, na tę idiotyczną sytuację, w którą sam się wpakował.

A że przy okazji wpakował w nią również mnie, to już zupełnie inna para kaloszy.

Mijały minuta za minutą. Czerwony punkt w centrum ekranu w dalszym ciągu nie zmieniał położenia, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy na pewno pozostajemy w zasięgu nadajnika, kiedy usłyszałam, że dzwoni pozostawiony w Chrupku telefon. Niestety, zanim zdążyłam do niego dobiec, komórka ucichła. Sprawdziłam, kto próbował się ze mną skontaktować.

Rudnicki.

Oddzwoniłam natychmiast.

– Pani Magdaleno, czy z tym psem Szeligi wszystko w porządku? – zapytał z lekką troską w głosie.

– Taaaak.

– Hm. To dobrze, bo już się zacząłem niepokoić. Wraca już pani do nas?

– Taaak.

– No to bardzo się cieszę, bo kolega Walczak wychodzi, a za kwadrans mam umówioną sterylizację, byłoby dobrze, gdyby w tym czasie ktoś przyjmował normalnie w gabinecie.

– Będę za dziesięć minut.

Wróciłam do Sikory. Czułam ogromne rozczarowanie.

– Muszę wracać do pracy – powiedziałam ze złością. – Daj mi znać, jeśli coś się zacznie dziać.

– Dam. Chociaż intuicja mi mówi, że nic z tego nie będzie. – Widziałam, że jest coraz bardziej rozgoryczony. – Nie wiem, co mi odbiło, że zamiast pracować, bawię się w jakieś akcje na poziomie harcerstwa. Lepiej już idź.

No to sobie poszłam.

A pół godziny później dostałam esemesa: „ruszył”.

Kiedy poprzedniego dnia Sikora wpadł na pomysł czegoś, co umownie nazwał „amatorską prowokacją”, na początku wcale nie byłam pewna, czy chcę w to wejść.

– Chyba mam pomysł – zaczął. – Trochę po bandzie, ale... Jeśli chodzi o zamordowanie Joanny, to nie mam na Szeligę żadnych dowodów. Poza motywem.

Myślę, że chciał ją uciszyć, bo przypomniała mu o Weronice. Może bał się, że będzie go szantażować albo że z głupoty zacznie opowiadać o tym na prawo i lewo, nie wiem. Ale pojawiło się zagrożenie, więc postanowił je wyeliminować. Niestety, tego mu nie udowodnię.

– Ona nie żyje, prawda? – przerwałam mu.

Sikora popatrzył na mnie współczująco.

– Raczej nie. Gdyby żyła, nie zginęłaby Joanna. Bo wyciągnięty na światło dzienne romans sprzed siedemnastu lat nie jest czymś, co może komuś zrujnować karierę. Natomiast morderstwo owszem. Weronika napisała do Joanny, że jedzie do niego na weekend, i zakładam, że to się stało wtedy. W jego domu. Potem musiał gdzieś ukryć zwłoki. Oczywiście są różne sposoby pozbycia się ciała, ale pamiętajmy, że Szeliga nie był zawodowym gangsterem. Dlatego obstawiam, że zrobił coś najbardziej oczywistego – zakopał ciało Weroniki w lesie. Żebym mógł go oskarżyć o to zabójstwo, musimy odnaleźć to miejsce.

– To było tak dawno. Nawet on sam mógł zapomnieć.

– No widzisz, a mnie się wydaje, że on pamięta. Bardzo dobrze pamięta. Gdybym był na jego miejscu, przez ostatnie siedemnaście lat bałbym się, że ktoś odnajdzie ciało. No wiesz, przez przypadek. Dzikie zwierzęta rozkopią, osunie się ziemia. takie rzeczy się zdarzają. Dlatego co jakiś czas chodziłbym tam i sprawdzał, czy wszystko w porządku.

Aż się wzdrygnęłam.

– No dobrze. On wie, gdzie to jest. Ale jak my się mamy dowiedzieć?

Sikora zrobił przebiegłą minę.

– Podejście psychologicznie – powiedział tajemniczo.

– Czyli?

– Trzeba go wyprowadzić z równowagi – wyjaśnił. – Sprowokować. Sprawić, żeby przestał działać racjonalnie. Bo kiedy się naprawdę przestraszy, natychmiast poleci sprawdzić, czy wszystko w porządku. Najlepiej by było znowu mu pomachać przed oczami tym wisiorkiem, który kupił Weronice na festynie. Oryginału co prawda nie mamy – zamyślił się. – Ale może ta kobieta z Sosnowej, która je wtedy robiła,

mogłaby przygotować podobny?

– To nie ma sensu – zwróciłam mu uwagę. – Przecież jeżeli to on zabił Joannę, to zabrał jej też wisiołek. Identyczny nie zrobi na nim wrażenia, bo będzie wiedział, że to nie ten sam.

– Zdziwiłabyś się, jak ludzie czasami irracjonalnie reagują – uśmiechnął się Sikora. – A gdyby mu jeszcze wcześniej podrzucić kilka haseł typu: trup, grób, zjawa, duch. No i las, las by się przydał.

– To co wtedy?

– Pobiegliby sprawdzić, czy Weronika przypadkiem nie wstała z grobu.

– Horror klasy C – skomentowałam. – W ogóle cały ten pomysł jest klasy C.

– A masz coś klasy A? Cokolwiek?

Nie miałam.

– Dobrze. Załóżmy, że chociaż facet nie wierzy w duchy, zjawy i upiory, bo kto dzisiaj, przepraszam cię, wierzy w takie rzeczy, no więc nawet zakładając, że się tym przejmie i pójdzie obejrzeć miejsce ukrycia zwłok, to jak ty to sprawdzisz? W sensie jak sprawdzisz, gdzie to jest? Nie możesz pchać się za nim przez las, bo natychmiast się zorientuje, że ktoś za nim idzie.

– Nikt nie będzie za nim szedł.

– Aha. Czyli puścisz za nim drona?

Sikora pokręcił w zamyśleniu głową.

– Mówiłaś mi kiedyś, że gość nigdzie się nie rusza bez swojego psa.

– Serio? Chcesz się przebrać za psa?

– Przestań. Chcę psu zamontować nadajnik GPS i w ten sposób mieć dokładny obraz trasy, którą przejdzie Szeliga.

Coś mi się tutaj nie zgadzało.

– A jak niby mu zamierzasz ten nadajnik zamontować?

Sikora wzruszył ramionami.

– Och, bardzo prosto. Ty to zrobisz.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, o co mnie prosi. Czy właściwie czego ode

mnie wymaga.

– Ja? Żartujesz sobie! Przecież... – jego pomysł wydał mi się tak abstrakcyjny, że przez chwilę nie potrafiłam znaleźć żadnych racjonalnych argumentów przeciw. –

Przecież zawsze mnie pędzisz, żebym nie wtykała nosa w nie swoje sprawy, wyzywasz od cywilów, zabraniasz mi się mieszać, a teraz oficjalnie każesz mi wykonywać tę, no, robotę operacyjną?

– Po pierwsze nie każę. Po drugie – nie oficjalnie, bo żadna oficjalna droga w tym momencie nie istnieje. Mam związane ręce. Wchodzisz w to czy nie?

Wysłałam, a właściwie wybiegłam z lecznicy pięć po pierwszej. Na szczęście Kaja kończyła lekcje dopiero za pół godziny, więc powinno mi wystarczyć czasu, żeby znaleźć Sikorę i sprawdzić, co się dzieje.

Bo po pierwszym, lakonicznym esemesie Jacek przysłał mi jeszcze screen ekranu swojej komórki, na którym widać było mapę, a na niej czerwony punkt pośrodku zielonego pola, które zapewne oznaczało teren leśny, a później napisał: „Chyba go mamy. Wzywam ekipę”.

Jechałam powoli Młochowską, bo jeżeli mieli wejść w las, to gdzieś tutaj powinni zostawić samochody. Rzeczywiście, jakieś dwieście metrów za skrzyżowaniem z Leśną zobaczyłam dwa cywilne auta, w tym jedno Sikory, jeden radiowóz i białą furgonetkę, z której jakiś człowiek wyjmował coś, co wyglądało jak kosiarka do trawy. Chciałam zaparkować obok, ale nagle przed maskę wyskoczył mi funkcjonariusz w mundurze i zamachał gwałtownie rękami.

– Nie ma przejazdu! Zawracać! Zawracać!

Zatrzymałam Chrupka i opuściłam szybę, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, policjant podszedł do mnie i stanowczym tonem oznajmił:

– Tu nie wolno przebywać! Proszę odjechać!

– Przepraszam – zaczęłam po swojemu, czyli grzecznie i ugodowo. – Ja do komisarza Sikory. Może jednak mógłby mnie pan przepuścić?

– Komisarz jest zajęty. A pani nie może tutaj stać.

- To co mam zrobić?
- Odjechać.
- Ale...
- Tutaj nie można stać – powtórzył z uporem.

Nie miałam siły klócić się dłużej. Zawróciłam i odjechałam, odprowadzana jego czujnym spojrzeniem.

Kilkanaście metrów dalej zatrzymałam samochód i sięgnęłam po telefon, przy okazji sprawdzając godzinę. Trzynasta dwadzieścia. Zaraz niestety będę musiała jechać po dziecko.

Wybrałam numer Sikory i nagle gdzieś bardzo blisko rozległ się dźwięk jego komórki. Sikora nadchodził od strony lasu. Widziałam, jak wyjmuje telefon, żeby zobaczyć, kto dzwoni, i zrzuca mnie. Zatrzymał się przy Chrupku. Myślałam, że mi pogratuluje, ale wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

- Co ty tu robisz? – warknął.
- Chciałam zobaczyć.
- Co zobaczyć? Jak szukamy szczątków twojej przyjaciółki? Zwariowałaś zupełnie?

Kompletnie nie rozumiałam, co się dzieje.

- Zrobiłam wszystko, o co prosiłeś – przypomniałam mu płaczącym tonem. – Chyba coś mi się za to należy, nie?
 - Co ci się należy? Trauma na całe życie?
- Ze zdenerwowania zaczęła drzeć mi broda i Jacek zorientował się, że przesadził.
- Po prostu nie możesz przy tym być i tyle – powiedział ugodowym tonem. – Jedź do domu. Jak będę znał konkrety, dam ci znać.
 - Ile to wam może zająć? – zapytałam słabo.
 - Nie wiem. Dopiero przywieźli georadar, a do przeszukania jest spory kawałek terenu.
 - Pokażesz na mapie?
 - A obiecasz, że się nie zakradniesz podglądać?

– Obiecuję.

Wyjął telefon, odnalazł aplikację i pokazał mi ostatnią zapisaną wersję – na zielonym kwadracie trasa Szeligi była zaznaczona na czerwono. Na końcu ostatniej prostej znajdował się pogrubiony czerwony punkt.

– Doszedł do tego miejsca i stał tu ponad pięć minut – wyjaśnił. – Jeżeli to nic nie znaczy, to rzucam zawód.

Dalsza część popołudnia upłynęła mi na szeregu automatycznych czynności, takich jak przygotowywanie obiadu, zmywanie po nim, wstawianie prania, prasowanie poprzedniego i rozmowa z moją matką przez telefon, kompletnie nie pamiętam, na jaki temat, bo jedyne, co mnie interesowało, to żeby ją jak najszybciej skończyć. Przecież mógł zadzwonić Sikora.

No, ale Sikora nie dzwonił.

Dotrwałam jakoś do powrotu Tomasza z Warszawy, ale dłużej czekać nie byłam w stanie, zatem pod pretekstem oddania Elżbiecie jakiegoś starego filmu na DVD, który leżał u nas od pół roku, wymknęłam się na Lotniczą.

Tak jak myślałam, Jacka jeszcze nie było. Za to Elka, widząc, w jak kiepskim jestem stanie, zajęła się mną troskliwie, czyli naląła mi kieliszek domowej roboty nalewki z czarnego bzu, nektaru bogów, przechowywanego na tak depresyjne chwile jak ta. Upiłam łyk, potem drugi, a potem zaczęłam opowiadać, bo tak wszystko we mnie buzowało, że nie mogłam dłużej milczeć. Ela słuchała uważnie, akceptując bez zastrzeżeń chaos i nieskładność mojej wypowiedzi.

Kiedy przed dziewiątą wrócił Sikora, byłam już dużo bardziej spokojna i trochę senna. I zapewne grubsza o jakieś dwa kilo, bo do nalewki dołączyły lody czekoladowe polane ajerkoniakiem. Alkohol wiele ma twarzy.

– Cześć, dobrze, że jesteś – Jacek na mój widok zareagował zaskakująco pozytywnie. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Znaleźliście?

– Tak.

Byłam pewna, że kiedy się o tym dowiem, znowu wybuchnę płaczem. Ale nie. Zamiast łez zalała mnie fala ulgi. Zrozumiałam, że teraz będziemy ją mogli pochować i wszyscy wreszcie przeżyć żałobę. A potem zacząć żyć.

– Badania DNA będą za jakiś czas, ale to na sto procent ona – ciągnął Sikora. – W ziemi obok ciała leżał jej plecak. Właściwie aluminiowy stelaż plecaka.

– Czy on już wie? Czy Szeliga już wie? – spytałam.

– Nie. Od razu po spacerze pojechał do Warszawy i jeszcze nie wrócił.

– Kiedy go przesłuchasz?

– Jutro.

Nagle wzrok Sikory padł na moją szyję i wisiorek, którego do tej pory nie zdjęłam.

– Daj mi to. Przyda się.

Bez słowa zdjęłam wisiorek i podałam mu. Potem przełknęłam ślinę i zapytałam:

– A kiedy porozmawiasz z jej rodzicami?

ROZDZIAŁ 48

Coraz cięższa atmosfera w domu powinna mnie mobilizować do stawania na rżęsach i przygotowywania wysublimowanych posiłków bez względu na zmęczenie czy niewyspanie, ale działała dokładnie odwrotnie. Im bardziej Tomasz był na mnie obrażony za zaniechanie domowych obowiązków, tym mniej chciało mi się starać i tym bardziej ostentacyjnie zawałam obiad za obiadem, dzień za dniem. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia, bo bycie idealną panią domu nie tylko dawało mi satysfakcję, ale też ratowało moje małżeństwo przed kompletną ruiną. Teraz, odkąd pojawiły się w moim życiu inne tematy, kwestia tego, czy Tomasz, odsuwając pusty talerz po zupie, ma minę zadowoloną, czy zaciętą, zeszła na drugi plan.

Myślę, że musiał to czuć, bo jego zachowanie, podobnie jak moje, zaczęło niebezpiecznie dryfować w kierunku konfrontacji. Widziałam to, a jednak zamiast wstawać codziennie rano godzinę wcześniej i pichcić zupę z dyni, gołąbki z kapusty włoskiej czy risotto, wylegiwałam się do siódmej, cały obiadowy wysiłek odkładając na później. Kończyło się to zazwyczaj tragicznie i w żołądkach mojej rodziny lądowały okropne, gotowe dania, na które nikt już nie mógł patrzeć. A na pewno nie mógł na nie patrzeć Tomasz.

Dzisiaj posunęłam się jeszcze dalej. Bo nie dość, że nie przygotowałam obiadu rano, to jeszcze czas między odwiezieniem dzieci do szkoły a rozpoczęciem pracy w przychodni, który zazwyczaj poświęcałam na zakupy, tym razem przeznaczyłam na modlitwę.

Brzmi szokująco? Takie też było.

Zaparkowałam na Modrzewiowej tylko dlatego, że przed Werandą jak zwykle nie znalazłam miejsca i musiałam wykonać dwa kółka, zanim ktoś zwolnił fragment chodnika odpowiedni dla Chrupka. Chciałam wpaść do delikatesów po jakieś

warzywa na patelnię czy inne frytki, ale przechodząc obok kościoła, odkryłam, że mam ogromną potrzebę tam wejść.

Kiedyś uwielbiałam to wnętrze – dyskretne i oszczędne, z prostym drewnianym krzyżem w prezbiterium i pustymi białymi ścianami. Teraz, odkąd zmienił się proboszcz, można tu było dostać oczopląsu. Wyglądało to jak sen szalonego architekta wnętrz, który postawił sobie za punkt honoru zapchanie ozdobami każdego centymetra kwadratowego przestrzeni. A jednak to wciąż był mój kościół, więc nauczyłam się nie rozglądać. Usiadłam w ostatniej ławce i pochyliłam głowę. Miałam ogromną potrzebę rozmowy z Bogiem. I z Weroniką.

Myślałam, że zajmie mi to chwilę, ale kiedy skończyłam i odruchowo spojrzałam na zegarek, okazało się, że w oderwaniu od rzeczywistości spędziłam czterdzieści minut.

Wstając, zauważyłam kobietę klęczącą kilka ławek przede mną. Choć była do mnie tyłem, poznałam ją natychmiast. Mama Weroniki.

Powstrzymałam impuls, żeby do niej podejść, przytulić. Jeszcze nie teraz, pomyślałam, jeszcze nie.

Na robienie zakupów nie było już czasu, wróciłam więc do Chrupka i pojechałam prosto pod lecznicę. Zdążyłam przywitać się z Rudnickim, kiedy poczułam wibrowanie komórki w torebce.

– Przepraszam, panie doktorze. Muszę odebrać.

Tak jak się domyślałam, dzwonił Sikora.

– Właśnie dostałem informację, że tu jedzie. Chcesz być przy tym?

Zatkało mnie.

– Ale jak to? Przy przesłuchaniu? – wydusiłam z siebie.

– Tak.

Przełknęłam ślinę.

– Pewnie, że chcę.

– To dawaj. Zorganizuję ci lożę.

Najpierw musiałam zwolnić się z pracy. Na szczęście kiedy powiedziałam Rudnickiemu, dość ogólnikowo, o co chodzi, nie robił żadnych problemów.

– Jeżeli to dla pani takie ważne, proszę iść. Jakoś tu sobie na razie poradzę, a od dwunastej będzie Walczak. Powodzenia.

Drogi do Grodziska nienawidzę, bo składa się wyłącznie ze świateł i korków, ale dzisiaj wyjątkowo udało mi się ją pokonać nie w pół godziny, tylko w piętnaście minut, być może moja poranna modlitwa poskutkowała. Na komendzie też nie musiałam czekać, bo okazało się, że to na mnie czekają. Konkretnie czekał Pastuszko, który wydał mi się jeszcze wyższy i chudszy niż poprzednio.

Byłam pewna, że zabierze mnie na piętro, do pokoju Jacka, ale kiedy dotarliśmy do klatki schodowej, zamiast w górę poprowadził mnie w dół.

Zeszliśmy kondygnację niżej. Przestrzeń, w której się znaleźliśmy, nie przypominała klasycznej piwnicy. Pomieszczenia były wysokie, urządzone jak dobre nowoczesne biuro. Przeszliśmy przez niewielką *open space* z kilkoma biurkami i zatrzymaliśmy się przed niepozornymi drzwiami bez żadnej tabliczki. Kryło się za nimi niewielkie pomieszczenie, wypełnione monitorami, na których widać było różne części budynku. Przed ścianą złożoną z ekranów, na zwykłym biurowym krześle na kółkach siedział młody, dwudziestoparoletni chłopak i jadł kanapkę. Na nasz widok odłożył ją na blat i wytarł usta wierzchem dłoni.

– Cześć, Gutek – przywitał się z nim Pastuszko. – Sikora prosi, żebyś pani pokazał przesłuchanie z jedyńki.

– Jasne.

Chłopak podjechał na krześle do stojącego z boku biurka, energicznie otworzył najwyższą szufladę i wyjął z niej słuchawki.

– Pani ze śledztwa? – zapytał, podłączając kabel do jednego z monitorów.

Nie miałam pojęcia, o co pyta.

– Tak – odpowiedział za mnie Pastuszko. A potem dodał: – Wrócę po przesłuchaniu.

I wyszedł.

Gutek podał mi słuchawki i dopiero wtedy się zorientował, że nie mam na czym siedzieć.

– Proszę – powiedział, oddając mi swój fotel.

Sam wyciągnął sobie spod biurka drewniany zydelek na trzech nogach, na oko wyjątkowo niewygodny, i przysiadł na nim. Jego poświęcenie było ogromne.

– Tutaj – puknął palcem w monitor. – Obraz rejestrowany w pokoju przesłuchań numer jeden.

Podał mi słuchawki, a widząc, że mrużę oczy, sięgnął do przełączników pod monitorem.

– Powiększę pani.

Przesłuchanie wyglądało bardzo podobnie do tego, z którego nagranie kilka dni temu puścił mi Sikora, tyle tylko, że na miejscu Czerwińskiego siedział Szeliga.

Szeliga wyglądał, jakby właśnie wyszedł od swojego stylisty: świetnie skrojony garnitur, śnieżnobiała koszula, idealnie ułożone włosy. Myślę, że gdyby przyjrzeć się bliżej jego dłoniom, okazałoby się, że ma dyskretny manicure. Ale dobra, co mu tam będę żałować. Niech korzysta z życia póki może.

Bo moja przyjaciółka na przykład nie mogła.

Założyłam słuchawki i od razu usłyszałam w nich Szeligę.

– Pyta mnie pan, panie komisarzu, co dokładnie robiłem podczas przyjęcia sprzed dwóch tygodni. Chyba musi mieć pan problemy z pamięcią, bo już to panu opisywałem, i zdaje się rejestrował pan tamtą rozmowę. Może wystarczy to sobie po prostu jeszcze raz przesłuchać, zamiast wzywać mnie, osobę dość zajętą, żebym jeszcze raz powtórzył to samo?

Sikora odchrząknął.

– Wydaje mi się, że to raczej pan ma kłopoty z pamięcią. Poprzednia nasza rozmowa odbyła się na poziomie bardzo ogólnym, a ja nie miałem jeszcze wtedy wystarczającej wiedzy, żeby zadać bardziej szczegółowe pytania.

Szeliga poprawił się na krześle.

– No cóż, słucham w takim razie.

Sikora zaczął szukać czegoś w grubej, tekturowej teczce, którą przyniósł ze sobą na przesłuchanie.

– Zaczniemy może od tego, że podczas naszej poprzedniej rozmowy pokazałem panu zdjęcie ofiary, Joanny Maj, i zapytałem, czy kojarzy pan tę kobietę. Pan stwierdził, że nie. Chciałbym, żeby jeszcze raz się pan zastanowił, ponieważ według zeznań jednej z osób Joanna Maj podeszła do pana podczas przyjęcia, przedstawiła się i chwilę rozmawialiście. Proszę się przyjrzeć jeszcze raz.

Sikora podsunął Szelidze zdjęcie Joanny. Mężczyzna wziął je na chwilę do ręki, a potem odłożył.

– Nie, zdecydowanie jej nie pamiętam. Tam było sto pięćdziesiąt osób. Oczywiście, że mogłem się z nią przywitać, ale w dalszym ciągu twierdzę, że jej nie pamiętam.

– Rozumiem.

Sikora ponownie sięgnął do teczki i wyjął stamtąd zwykłą białą kopertę, a z koperty – wisiołek w kształcie litery W.

– A to może pan pamięta?

Szeliga zmrużył oczy i zaczął nerwowo pocierać kciukiem lewej dłoni wierzch prawej. Ciekawe, co z jego gestów potrafiłby wyczytać specjalista od mowy ciała.

– Dlaczego miałbym pamiętać jakąś jarmarczną tandetę? – odpowiedział w końcu ostro.

– Bo podczas przyjęcia Joanna Maj miała to na szyi. – Sikora odczekał chwilę, a potem dorzucił niby to obojętnie: – A wcześniej ten wisiołek należał do Weroniki Dąbrowskiej. Może chociaż ją pan pamięta?

Szeliga zbladł.

– Chciałbym się napić wody – powiedział – Niegazowanej. Zimnej. Czy to jest do zrobienia?

Sikora wyjrzał przez drzwi i poprosił kogoś o wodę. Po chwili przed Szeligą pojawiła się plastikowa butelka. Sikora odczekał, aż mężczyzna się napije.

– Możemy wrócić do rozmowy?

Szeliga odstawił butelkę.

– Weronikę Dąbrowską owszem, pamiętam. Kilkanaście lat temu pracowała u mnie w firmie, robiła dla nas tłumaczenia. Zdolna dziewczyna. Niestety, potem przydarzyło się to nieszczęście. To wszystko, co mam do powiedzenia na jej temat.

– Na pewno wszystko?

Sikora po raz trzeci sięgnął do teczki. Tym razem wyjął z niej list Weroniki do Joanny. Otworzył go i zaczął czytać fragmenty:

– „Czuję się bardzo dobrze. Te okropne mdłości minęły. Mama jeszcze nic nie wie. Ojciec tym bardziej. Chyba by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że jestem w ciąży. Wstyd na całe miasto. I w dodatku kto jest ojcem dziecka? Brunon Szeliga”.

Szeliga zacisnął dłonie na brzegu stołu tak mocno, że aż mu zbieleły kłykcie, i nachylił się w stronę Sikory.

– Co to za bzdury? – warknął.

– „Mam w nosie moich starych – czytał dalej Sikora. – Z Brunonem niczego się nie boję. Oszalał na punkcie dzidziusia”.

– Niech pan przestanie! Natychmiast!

– „Jest kochany i troskliwy. Zajmuje się mną, dba o mnie. Oczywiście wszystko na razie w tajemnicy. Zwłaszcza przed jego żoną, bo jeżeli nie będziemy uważać, oskubie go z pieniędzy”.

Myślałam, że Szeliga rzuci się na Jacka. Jego twarz z trupio bladej stała się purpurowa.

– To nieprawda! – krzyknął. – To wszystko nieprawda! Skąd pan wziął te bzdury?

– Z listu Weroniki Dąbrowskiej do przyjaciółki. A teraz najlepsze. Moment. O, mam. „Muszę kończyć, bo właśnie jadę do Bruna na dwa dni. Będziemy mieli wolną chatę”. Chce pan znać datę? Już mówię: dwudziesty trzeci lipca dwa tysiące pierwszego roku. Na dzień przed zgłoszeniem zaginięcia dziewczyny. Może chciałby pan jednak uzupełnić swoje zeznanie?

Szeliga uspokoił się. Siedział bez ruchu, wpatrując się w Sikorę, jakby ten był karaluchem, którego trzeba zdeptać.

– Niczego mi pan nie udowodni – wycedził. – To są jakieś mitomańskie bzdury,

urojenia nieszczęśliwie zakochanej dziewczyny, która fantazjuje tylko po to, żeby zaimponować koleżankom. Żadne zbliżenie między nami nie miało miejsca. Byłem i jestem szczęśliwie żonaty. Jeżeli to element nagonkipolitycznej, to na żenującym poziomie. W nic mnie nie wrobiecie! Niczego mi nie udowodnicie! Mam przyjaciół na najwyższych szczeblach!

– Czyli twierdzi pan, że nie zamordował Joanny Maj z obawy przed tym, że ujawni pana związek z zaginięciem Weroniki?

– To bzdura!

– Twierdzi pan również, że siedemnaście lat temu nie zabił pan Weroniki Dąbrowskiej i nie zakopał jej ciała w lesie, w pobliżu uroczyska Paprocie?

Sikora gwałtownym ruchem otworzył teczkę i wysypał z niej na stół zdjęcia. Nie widziałam dokładnie fotografii, ale mogłam się domyślać, że były na nich odnalezione w lesie szczątki Weroniki.

Szeliga jęknął.

– Ja to widzę tak – powiedział lodowatym tonem Sikora. – Podrywa pan młodą, atrakcyjną laskę, fajny seks, te rzeczy, tylko tak się pechowo składa, że dziewczyna zachodzi w ciążę. Oczywiście chce, żeby się pan z nią ożenił, ale w pana sytuacji rozwód nie wchodzi w grę. Zaczyna się robić nerwowo, bo dziewczyna naciska. Boi się pan, że sprawa wyjdzie na jaw. Więc postanawia pan rozwiązać problem w inny sposób. Zwabia ją pan do siebie do domu i zabija. Potem zakopuje pan zwłoki w lesie i koniec tematu. Nagle, po siedemnastu latach, w dniu, w którym ogłasza pan rozpoczęcie kariery politycznej, pojawia się jakaś obca kobieta i zaczyna wypytywać o Weronikę. Wie o tym, że miał pan z nią romans i był ojcem jej dziecka. Wybiera najgorszy moment z możliwych. Jeżeli będzie za dużo gadać, zaszarga panu opinię. Dlatego najpierw udaje pan, że nie wie, o czym ta kobieta mówi, a potem wymyka się za nią z przyjęcia i zabija ją, nieudolnie próbując wrobić w to jej narzeczonego. Podoba się panu ta historia?

Myślałam, że Szeliga zaprotestuje, wyprze się wszystkiego, zażąda adwokata, że będzie się ciskał i miotał, ale nie. Zamiast tego oparł łokcie o stół, ukrył twarz w dłoniach, a jego ramiona zaczęły się trząść. Zorientowałam się, że płacze.

Chwilę trwało, zanim doszedł do siebie. I choć w końcu usiadł prosto i podniósł głowę, widziałam w nim teraz tego, kim był naprawdę – starego, zmęczonego, przerażonego człowieka.

– Pierwszy raz zobaczyłem Weronikę w Zielonym Kocie, restauracji mojego przyjaciela, Jarka Czerwińskiego – zaczął cicho. – Była kelnerką. Obsługiwała mnie. Obok tak ślicznej i pełnej temperamentu dziewczyny trudno przejść obojętnie. Zaproponowałem jej pracę w mojej firmie i oszukiwałem sam siebie, że chodzi tylko o tłumaczenia. Nigdy wcześniej i nigdy później nie zdradziłem swojej żony, ale Weronika... Oszalałem na jej punkcie. Weronice zależało, żebyśmy się z naszym związkiem nie afiszowali. Ten wisiołek był jedynym prezentem, na jaki mi pozwoliła. Pamiętam, podeszła do mnie na festynie i powiedziała, że Czerwiński kupił taką literkę dla jakiejś dziewczyny i że ona też chciałaby taką mieć. Potem ciągle ją nosiła, śmiała się, że ten wisiołek jest jak obrączka.

Było jej coraz trudniej dogadać się z rodzicami, dlatego postanowiła wyjechać do Anglii do pracy, zarobić konkretne pieniądze i wyprowadzić się od nich. Zaproponowałem, że wynajmę jej mieszkanie w Warszawie, ale odmówiła. Chciała być samodzielną.

Dwa, może trzy tygodnie po wyjeździe zadzwoniła z Londynu i powiedziała mi, że jest w ciąży. Nie była pewna, jak to przyjmę, a ja ucieszyłem się jak wariat. To miało być mojepierwsze dziecko, bo moja żona, no cóż, była bezpłodna. Bardzo pragnąłem tego dziecka. Wszystko inne przestało się liczyć. Postanowiłem, że rozwiodę się najszybciej, jak to możliwe, i natychmiast ożenię się z Weroniką. Ale Weronika nie chciała skandalu. Powiedziała, że wszystko trzeba przeprowadzić spokojnie, rozważnie. Zwróciła mi też uwagę na kwestie finansowe i uświadomiłem sobie, ile będzie mnie ten rozwód kosztował. Zrozumiałem, że pośpiech naprawdę nie jest wskazany, że muszę się do tego przygotować, zabezpieczyć, żeby nie zostać z niczym.

Wstępnie skonsultowałem się z prawnikiem, ustaliliśmy strategię. Na szczęście moja żona niczego się nie domyślała. Wydawało się, że wszystko przebiegnie

idealnie. Byłem szczęśliwy, zakochany, podekscytowany ciążą. Weronika również. Aż nadszedł tamten weekend. Justyna, to znaczy moja żona, zaplanowała wyjazd do Krakowa na sobotę i niedzielę. Namawiała mnie, żebym się wybrał razem z nią, ale jakoś się wykręciłem. Wsadziłem ją w pociąg o dziewiątej rano i już o dziesiątej zgarnąłem Weronikę z bocznej uliczki koło poczty, bo po drodze chciała jeszcze wysłać jakiś list. Teraz już wiem, jaki. Miała ze sobą plecak z rzeczami, była taka szczęśliwa. Mieliśmy się kochać, jeść dobre rzeczy i planować wspólne życie.

Sobota była cudowna, ale w niedzielę rano Wera źle się poczuła. Ja wpadłem w panikę, ale ona podeszła do tego bardzo spokojnie. – Nie krwawię, uspokajała mnie. Po prostu trochę mnie boli brzuch, to wszystko. Potrzebuję nospę i coś przeciwbólowego. Jak na złość nic takiego nie miałem w domu, musiałem pojechać do apteki. Zostawiłem Weronikę na górze w sypialni. Powiedziała: szybko wracaj, bo już za tobą tęsknię.

Pojechałem do Pruszkowa, bo w Podkowie wszystkie apteki były zamknięte. Kiedy wróciłem...

Przerwał na chwilę. Sięgnął po butelkę, wypił kilka łyków wody i dopiero potem mówił dalej.

– No więc kiedy wróciłem, Wera leżała na podłodze u stóp schodów, w kałuży krwi, z rozbitą głową. Próbowałem ją cucić, reanimować. Za późno. Nie żyła.

Nie wiem, jak to się stało. Te schody są marmurowe, bardzo strome. Pewnie chciała zejść na dół, zasłabła i spadła. Nie wiem. Ale to był wypadek. Nie zabiłem jej.

Tego, co się działo później, prawie nie pamiętam. Wpadłem w panikę. Przeraziłem się konsekwencji. Tego, że wyjdzie najaw mój romans, że będę łączony ze śmiercią Weroniki. No cóż... Włożyłem jej ciało do samochodu, wywiozłem jak najdalej w las. Pół dnia kopałem grób. Nie wyobraża pan sobie, jak ciężko jest kopać w lesie, ziemia poprzerastana korzeniami, ogromny wysiłek. Razem z nią pochowałem jej plecak i wszystkie rzeczy. Płakałem i modliłem się, żeby mi wybaczyła. Potem sprzątnąłem dom, wyszorowałem posadzkę. Żona wróciła wieczorem, w ogóle się nie zorientowała. Do dzisiaj nic nie wie. Nikt nic nie wie.

Szeliga przerwał. To wyznanie musiało go bardzo dużo kosztować.

– Panie komisarzu, kochałem ją. Nigdy w życiu bym jej nie zabił. Ani w ogóle nikogo. Oskarżył mnie pan też o zamordowanie tej kobiety z przyjęcia. Nie wiem, może rzeczywiście chciała mnie szantażować, ale wydała mi się tylko głupią dziurdzią. Zwróciłem uwagę na wisiołek, ale ponieważ moja żona stała dość blisko, udawałem, że nie wiem, o czym mówi. Pomyślałem tylko, że później jakoś spróbuję tę kobietę odnaleźć i porozmawiać. Potrafię radzić sobie z takimi osobami, naprawdę nie musiałbym jej zabijać, żeby ją uciszyć. Rozglądałem się później za nią, ale już jej więcej nie spotkałem. Nie wychodziłem z przyjęcia, nie szedłem za nią, nie zamordowałem jej. Możecie przepytąć ludzi, ustalić co do minuty, gdzie byłem o jakiej godzinie. Poza tym jest film. Sprawdźcie go. Kamerzysta był przy mnie prawie cały czas, na potrzeby kampanii nagrywał wszystko, co robię. Ten film to dowód na to, że nie zabiłem tej kobiety, tak samo jak nie zabiłem Weroniki.

W pokoju przesłuchań na chwilę zapadła cisza, a potem Sikora powiedział:

– Zostaje pan zatrzymany w związku z podejrzeniem popełnienia przestępstwa z artykułu 148 kodeksu karnego.

Szeliga z całej siły uderzył pięścią w stół.

– Przecież mówię, że nikogo nie zabiłem! Nie jestem mordercą! Nie może pan!

Sikora pokręcił głową.

– No niestety mogę. Bo nie wierzę w pańską bajeczkę. Za grosz.

Za to ja mu wierzyłam. Cała ta historia, której wysłuchałam, siedząc w dusznym pomieszczeniu bez okien przed przestarzałym monitorem, zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Kiedy Szeliga opowiadał o Weronice, był autentycznie wzruszony, dlatego nie miałam żadnych wątpliwości, że mówi prawdę. Ale kiedy Sikora odprowadzał mnie później do samochodu i podzieliłam się z nim tą myślą, wyśmiał mnie.

– Ciebie jest tak łatwo zrobić w trąbę, że szok – oznajmił.

– Każdy człowiek ocenia innych według siebie. Może dlatego wierzę ludziom, bo sama jestem uczciwa i nigdy nie kłamię – wyjaśniłam.

– Czy to jakaś aluzja? – najeżył się Jacek. – A poza tym właśnie teraz skłamałaś. Bo oszukujesz jak najęta. Na przykład swojego męża.

Poczułam, jak ciało napina mi się w charakterystycznym ataku paniki.

– Czy wyście się na mnie uwzięli? – zdenerwowałam się. – Najpierw Elka, teraz ty! Nie możecie zejść z tematu?

Sikora popatrzył na mnie zdziwiony.

– Sama się na siebie uwzięłaś. Po prostu mu powiedz i tyle. Niedługo będą trzy tygodnie, odkąd tam pracujesz, a on o tym nie ma pojęcia. Uważasz, że to jest uczciwe, co?

Zatrzymaliśmy się przy Chrupku. Oparłam czoło o dach samochodu i policzyłam wolno do pięciu.

– Dlaczego my się kłócimy? – spytałam.

– Bo są napięcia. Bo przed chwilą aresztowałam dupka, który zamordował twoją przyjaciółkę. Bo wcześniej wysłuchaliśmy opowieści o tym, jak umierała. To tak w skrócie. Chcesz się przytulić?

Wsunęłam się w jego ramiona i potarłam policzkiem o jego koszulę. A potem nie wiem, jak to się stało, że zadałam pytanie, którego wcale nie chciałam zadawać:

– A dlaczego ty mu nie wierzysz?

Odsunął mnie od siebie na odległość ramion i zajrzał mi w twarz z taką miną, jakby mnie pierwszy raz w życiu widział na oczy.

– Dlaczego mu nie wierzę? Serio pytasz?

– Lepiej już pojedę do domu.

– Czasami sprawiasz wrażenie, jakbyś miała mentalność ośmiolatki – westchnął. – Ludzie kłamią, wiesz? A niektórzy nawet całkiem dobrze. Ta cała tkliwa historyjka, że się cieszył z dziecka, że byli tacy szczęśliwi i tak dalej, to pic na wodę, fotomontaż. Klasyczne zagranie pod publikę.

– Nie masz dowodów, że kłamię – bąknęłam.

– Ale zdobędę je. I to w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. A potem go przyskrzynię na dwadzieścia pięć lat. Wyjdzie z więzienia o lasce, taki będzie stary.

– Powodzenia – powiedziałam i wsiałam do Chrupka.

- Ty też się trzymaj – pokazał mi kciuk w górę.
- Gdyby coś wyszło, dasz mi znać?
- No pewnie, że dam – odpowiedział. A po chwili dodał: – Dziękuję!

Choć wydawało mi się, że przesłuchanie Szeligi trwało pół dnia, zegar w samochodzie powitał mnie godziną jedenastą dwadzieścia. Poczułam pokusę, żeby nie wracać już do lecznicy, tylko zrobić coś szalonego. na przykład pójść na spacer. Albo na sushi. Jednak moje cholerne poczucie obowiązku obiecało, że jeżeli to zrobię, zepsuje mi całą frajdę, więc machnęłam ręką i pojechałam do lecznicy, zmienić choć na godzinę Rudnickiego. Przy okazji zupełnie zapomniałam, że o dwunastej ma być Walczak, i w efekcie prawie się zderzyliśmy przy bramie – on na swoim błyszczącym, chromowanym, ostentacyjnym Harleyu, a ja – w Chrupku.

Obrzucił mój strój, czyli stary T-shirt i dżinsy, zawiedzionym wzrokiem.

– E, znowu pod szyję. A już myślałem, że się przestałaś bać.

Nie zrozumiałam.

– Czego?

– Swojej seksualności.

Stałam, nieruchoma jak żona Lota, i patrzyłam, jak przetacza motocykl przez furtkę. Jeszcze chwila i wejdzie do lecznicy, a ja znowu, jak ta sirota, zostanę ze świadomością, że pozwalam po sobie bezkarnie skakać.

– Odwal się od mojej seksualności!

Nie wiem, jak to się stało, że te słowa wydostały się z moich ust i dogoniły Walczaka pół metra przed drzwiami.

Teraz to on zamarł. A potem odwrócił się powoli w moją stronę.

– Słucham?

– Odwal się od mojej seksualności! Nie życzę sobie, żebyś mi robił takie uwagi! To nieprofesjonalne! – darłam się na całą ulicę.

Walczak westchnął.

– Może porozmawiamy w środku? – zaproponował ugodowym tonem.

– Nie! – warknęłam, doskonale zdając sobie sprawę, że jeżeli chociaż na chwilę przestanę mówić, żadna żywa siła nie zmusi mnie, żebym się znowu odezwała. – Masz mnie przeprosić! I przestać mnie traktować jak kogoś gorszego! I ciągle mi dosrywać! I masz mi się nie gapić w dekolt!

– Przecież nie masz dekoltu – zauważył.

– Ale jak będę miała!

Wyrzuciłam z siebie chyba wszystkie pretensje, jakie miałam do niego, i przyznaję, że mi ulżyło.

– No dobra, dobra. Przepraszam – powiedział. – Od dzisiaj ani jednej uwagi na temat twojej płci. Ani jednej! Obiecuję! Ale tego, że nie będę się gapił w dekolt, obiecać nie mogę. Bo masz bardzo ładny. Ten dekolt znaczy.

Minęłam go z wysoko uniesioną głową i weszłam do lecznicy.

ROZDZIAŁ 49

Nie wiem, jak to się stało, że to ja przyjąłem zgłoszenie. Zwykle służbowe telefony odbierał Rudnicki, czasami Walczak, ja prawie nigdy. Chyba po prostu musiałam stać najbliżej, bo kiedy zadzwonił, odruchowo podniosłam słuchawkę.

– Lecznica doktora Rudnickiego, w czym mogę pomóc? – odezwał się trochę bezosobowym, a trochę zachęcającym tonem, który podsłuchałam kiedyś u Walczaka.

– Tu Justyna Szeliga – usłyszałam po drugiej stronie słuchawki.

Szok.

– Eee, dzień dobry. W czym mogę pomóc?

– Chciałabym, żeby ktoś przyjechał do psa.

– Do Nepala?

– Tak.

– Znowu coś z uchem?

Zignorowała moje pytanie.

– Kiedy może pani być? Pani albo inny lekarz?

Spojrzałam na zegarek. Dopiero minęła dwunasta. Kaja do odbioru za półtorej godziny.

– Za dziesięć minut?

– Czekałam.

Rozłączyła się.

Przez chwilę stałam oszołomiona, wpatrując się w trzymaną w ręku słuchawkę. Ale czas płynął. Wzięłam z zaplecza torbę lekarską i zameldowałam się Rudnickiemu:

– Jadę do Nepala.

– Znowu? A co tym razem?

– Nie wiem. Nie chciała powiedzieć.

– Ona cię wezwała? Żona Szeligi?

– Tak.

– Dziwne – powiedział.

Coś w jego tonie mi się nie spodobało.

– O czymś nie wiem?

– Nie, nic takiego. Zdziwiłem się, bo ona nie przepada za tym psem. Szczerze mówiąc wydaje mi się, że go nie znosi.

– A, to – machnęłam ręką. – Tak, widziałam ją w akcji. Powinna mieć chyba jakieś inne zwierzę. Na przykład węża boa.

– Albo skorpion – podpowiedział Walczak.

Kiedy byłam już w samochodzie, zorientowałam się, że co prawda wzięłam ze sobą torbę lekarską, ale za to zostawiłam w przychodni torebkę, a w torebce – telefon. Oczywiście powinnam natychmiast po nią wrócić, ale na samą myśl o tym, że znowu będę musiała wysłuchiwać ironicznym komentarzy kolegi Walczaka zemdliło mnie. Machnęłam więc ręką. Trudno, pomyślałam, uruchamiając auto. Przez pół godziny bez komórki raczej nie umrę.

Justyna Szeliga miała na sobie szerokie, granatowe spodnie o marynarskim kroju, białą koszulową bluzkę i delikatny makijaż, i wyglądała tak lekko i beztrąsko, jakby brała udział w sesji zdjęciowej dla jakiegoś kobiecego magazynu, a nie była żoną mężczyzny, który właśnie został zatrzymany za dwa morderstwa.

– To pani – rozpoznała mnie. – Miała pani być w ciągu dziesięciu minut, a już jest prawie piętnaście – wcale nie zamierzała ukrywać irytacji.

– Przepraszam. Co się dzieje z psem?

– Nic się nie dzieje – Szeligowa ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami. – Chcę, żeby go pani uspiła.

Powoli docierał do mnie sens tego, co powiedziała.

– Żeby go uspiła? – powtórzyłam tępo.

– Przecież mówię!

– Przepraszam, bo jednak nie bardzo rozumiem. Czy pies jest na coś chory?

– Jest zdrowy. Powtarzam po raz trzeci: ma go pani uśpić.

Poczułam, że zaczynają mi się pocić ręce. Zajrzałam do boksu. Nepal leżał w kącie, obok budy, i obgryzał kość, która, sądząc po rozmiarach, mogła należeć do dinozaura. Nic go nie interesowało poza nią.

– Proszę pani – zaczęłam. – Nie usypia się psa bez powodu. Stare albo bardzo chore zwierzę, owszem. Ale silnych, zdrowych psów się nie usypia. Tak się po prostu nie robi.

– Ależ oczywiście, że się robi. O, tak – pstryknęła palcami.

– Nawet jeżeli, to nieetyczne.

– Niech mnie pani tutaj nie kłuje w oczy etyką. Proszę się zabierać do roboty.

To była jakaś abstrakcja. Coś niewyobrażalnego.

– Nie mogę tego zrobić ze względów formalnych – oświadczyłam stanowczo. – Pani nie jest właścicielem psa. Nepal należy do pani męża i bez jego zgody nie wolno mi wykonać zabiegu.

Szeligowa zmrużyła oczy.

– Żeby uzyskać zgodę mojego męża, musiałyby pani kilka lat poczekać. Bruno właśnie został oskarżony o zamordowanie dwóch osób. Nie sądzę, żeby tu kiedykolwiek wrócił. Dlatego nie zamierzam męczyć się ani godziny dłużej z tym zwierzęciem. No, dalej – pokazała głową na boks.

– Jak pani może? Pani mąż naprawdę kocha tego psa.

– No właśnie! Kocha go! Zupełnie jakby nie był psem, tylko dzieckiem. I właśnie dlatego zamierzam się go pozbyć.

Odsunęła zabezpieczenie drzwi boksu.

– Pani Justyno.

– Proszę mi się tutaj nie spoufalać – przerwała ostro. – I zabierać się do roboty. A żeby rozwiać pani wątpliwości natury etycznej, podpowiem, że jeżeli go pani teraz nie uśpi, polecę któremuś z pracowników rozwalić mu łeb siekierą. Paniwybór.

To był jakiś horror.

– A jeżeli mąż jednak wróci? – zaczęłam ostrożnie. – Jeżeli okaże się, że jest niewinny? Pomyślała pani, co wtedy? Co mu pani powie?

Szeligowa popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Myśli pani, że ja mu się będę z czegokolwiek tłumaczyć? – prychnęła. – Zresztą co to w ogóle za pomysł? On nie wróci. Zabił tę kobietę w parku, zabił swoją kochankę. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

W jej wypowiedzi pojawiło się coś, co mnie zdziwiło i zaniepokoiło, choć nie umiałam powiedzieć, co to było.

– To pani mąż miał kochankę? – zadałam najgłupsze z możliwych pytanie, za wszelką cenę próbując przeciągnąć tę idiotyczną rozmowę.

– Zaskakujące, prawda? – zaśmiała się sztucznie. – Tak, ten idealny Bruno Szeliga miał kochankę. Tę młodą dziwkę, Weronikę, która zaszła z nim w ciążę.

W tym momencie uświadomiłam sobie, co mi się nie zgadza.

– Skąd pani wie? – spytałam.

– Słucham?!

– Skąd pani wie, że pani mąż miał kochankę?

Szeligowa zamarła. Stałyśmy naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem.

– Pani mąż zeznał, że nie wiedziała pani, że ją zdradzał – ciągnęłam powoli, dając sobie samej czas na ułożenie tego wszystkiego w głowie. – Więc pytam.

– Wchodzi pani do tego psa czy nie?!

Szeligowa jednym szarpnięciem otworzyła boks i wepchnęła mnie do środka. Nie mogłam uwierzyć w to, że ta elegancka, szczupła kobieta ma w sobie tyle zajadłości, tyle furii. Nepal podniósł na chwilę wielki łeb, zawarczał ostrzegawczo i wrócił do gryzienia kości.

– Skąd pani wiedziała o Weronice? – powtórzyłam pytanie.

– A co to panią obchodzi?!

– Bo była moją przyjaciółką!

Nie wiem, dlaczego to z siebie wyrzuciłam. Być może podpowiedziała mi to intuicja, bo na pewno nie rozsądek. Szeligowa zmrużyła oczy i przysunęła się do prętów ogrodzenia.

– Przyjaźniłaś się z tą kurwą? – w jej głosie zabrzmiało obrzydzenie. – Pewnie nie miałyście przed sobą tajemnic, co? Opowiadała ci, jaki Bruno był w łóżku? I o tym, co jej naobiecował? I że się cieszył z dziecka, z tego cholernego bękarta?

– To jakiś obłąd – wyszeptałam. – Skąd pani to wszystko wie? Skąd pani wie, że Weronika była w ciąży?

– Nie domyślasz się? Naprawdę się nie domyślasz?

Poczułam strach. Zrobiłam krok w kierunku uchylonej furtki od boksu, ale kobieta jednym ruchem ją zatrzasnęła i zamknęła na zewnętrzną zasuwę.

– To twoja wina – syknęła. – Trzeba jej było powiedzieć, żeby się nie zadawała z żonatym.

– Boże. Pani zwariowała – jęknęłam. – Proszę mnie wypuścić!

Na twarzy kobiety pojawił się grymas uśmiechu.

– O nie, nie zwariowałam. Tylko od siedemnastu lat żyję w upokorzeniu. W takim strasznym upokorzeniu. Masz dzieci?

– Mam – szepnęłam.

– Cudownie. Szczęściara z ciebie. Ja niestety jestem bezpłodna. To straszne uczucie, nawet nie wiesz, jak poniżające. Zwłaszcza kiedy mąż tak bardzo chce mieć potomka, dziedzica. Ale jakoś sobie radziłam, dopóki nie pojawiła się ona. Bruno myślał, że nie wiem, że ma kochankę. Zabawne. Żony zawsze wiedzą. O ciąży też się dowiedziałam. I o tym, że chce się ze mną rozwieść. Musiałam coś z tym zrobić. Nie mogłam pozwolić, żeby to oni decydowali za mnie. Udałam, że wyjeżdżam na weekend. Chciałam ich nakryć, zrobić awanturę, zagrozić, że wystąpię o rozwód z orzeczeniem o jego winie i zabiorę mu cały majątek. Myślałam, że tak to rozegram, żeby wybrał mnie. Oczywiście to było głupie i naiwne, ale wtedy wydawało mi się jedynym rozwiązaniem. Tylko że kiedy przyjechałam do domu, ona była sama, na górze. Usłyszała, że wchodzę. Myślała, że wrócił Bruno. Zawołała „Kochanie”.

Szeligowa na chwilę zamknęła oczy, tak jakby przypominała sobie tamten moment. Widziałam, jak bardzo to było dla niej bolesne. Po chwili zaczęła mówić dalej.

– Zobaczyłam ją w mojej sypialni, w moim łóżku, to było nie do zniesienia. Takie

straszne upokorzenie. Kazałam jej się wynosić, a ona zbierała swoje rzeczy i śmiała mi się w twarz. A kiedy stanęła u szczytu schodów, powiedziała coś takiego. że Bruno nie może się już doczekać, kiedy się ze mną rozstanie i z nią ożeni. Że ma mnie dosyć. I czeka na dziecko. Nie wytrzymałam. Rzuciłam się na nią i zepchnęłam ze schodów. Patrzyłam, jak spada, jak uderza głową o stopnie, a potem – jak umiera. Tak było sprawiedliwie, nie uważasz?

Wyszłam, zanim Bruno wrócił. I potem przez te wszystkie lata udawałam, że nic nie wiem. Widziałam, jak cierpi. Dużo go kosztowała ta zabawa. A teraz jeszcze pójdzie za to do więzienia. Czy to nie ironia losu?

Szeligowa odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się w szalony, przerażający sposób.

– W dodatku skażą go jeszcze za zamordowanie tej głupiej, bezczelnej dziewczyny, która chciała go szantażować. Nie mogłam na to pozwolić. Przeszłam z nim tyle nie po to, żeby cała jego kariera legła w gruzach z powodu jakiejś pazernej idiotki, która myślała, że coś wie.

Działo się coś tak abstrakcyjnego, że w żaden sposób nie byłam w stanie reagować racjonalnie. Strach, który czułam, nasilał się z każdą minutą i jedyne, o czym teraz myślałam, to wydostać się z tego boksu i uciec jak najdalej od tej wariatki.

Zaczęłam szarpać za pręty furtki.

– Proszę mnie wpuścić! Chcę stąd wyjść!

– Teraz gdy już wszystko wiesz, na pewno stąd nie wyjdiesz. A ja upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

– O czym pani mówi?

– Mastify tybetańskie to wyjątkowo agresywne psy. Czasami rzucają się na ludzi zupełnie bez powodu. A wiesz, co się robi ze zwierzęciem, które kogoś zagryzie, prawda? Więc najpierw on zabije ciebie, a potem zostanie uśpiony. W majestacie prawa.

W oczach kobiety czaił się obłęd.

– Nepal! Do mnie! – krzyknęła.

Pies podniósł się i ruszył w naszym kierunku.

– Ratunku! – zaczęłam krzyczeć i jeszcze mocniej szarpać pręty furtki. – Niech mi

ktoś pomoże!

– Możesz sobie wrzeszczeć, ile chcesz. Dziś tutaj nikogo nie ma.

– Proszę... Błagam...

– Bierz ją!

Pies zjeżył sierść na karku i wyszczerzył kły. Warcząc głucho, ruszył w moim kierunku. Poczułam, że pot spływa mi strumieniami po twarzy, mieszając się ze łzami.

– No, dalej! Bierz ją!

– Nie – szepnęłam, wyciągając do niego rękę. – Nie. Nepal, to ja, przecież mnie znasz.

Pies zatrzymał się o metr ode mnie, lekko zdezorientowany, ale w tym momencie Szeligowa ponownie wydała komendę:

– Bierz ją! – krzyknęła. – No już!

Mastif ruszył do ataku. Wiedziałam, że go nie zatrzymam. Nagle gdy już miał na mnie skoczyć, gdzieś z boku dobiegło mocne, stanowcze:

– Heping, Nepal! Heping!

Pies zamarł w pół ruchu. Od strony domu w naszą stronę biegli Szeliga, Sikora i dwóch funkcjonariuszy w mundurach.

– O Boże – szepnęłam.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i osunęłam się na ziemię.

A potem już nic nie pamiętam, bo zemdlałam.

ROZDZIAŁ 50

Dasz radę sama prowadzić czy cię odwieźć?

Popatrzyłam na Sikorę nieprzytomnym wzrokiem.

– Która godzina?

– Pierwsza dwadzieścia.

– A podwiózłbyś mnie do szkoły po Kaję?

– Jasne.

Wziął ode mnie kluczyki i poszliśmy powoli do Chrupka.

Sikora wsiadł, zapalił silnik i zaklął pod nosem.

– Co to za cholerny stary grat?

– Och, znasz go przecież. Jeżdżę nim od stu lat. I nawet wtedy nie był nowy.

– Słyszysz tylko, jak on chodzi? Jakby miał się za chwilę rozsypać. Co ty masz z tłumikiem, kobieto?

– Nie wymagaj ode mnie zbyt wiele – zgasłam go. – Lepiej mi powiedz, skąd taki idealny timing? Jeszcze dwie minuty i nie byłoby co ze mnie zbierać.

– Coś by tam może zostało. W końcu to pies, nie krokodyl.

– Może nie analizujemy potencjalnego stanu moich zwłok, bo to niesmaczne. Jak się zorientowałeś, że to ona?

– Pamiętasz, podczas przesłuchania Szeliga poprosił, żebym przejrzał materiał filmowy z przyjęcia. A potem ty powiedziałaś, że mu wierzysz. Pomyślałem, że w sumie co mi szkodzi sprawdzić. Jego człowiek przesłał nam ten film dzień czy dwa dni temu, więc go sobie od razu włączyłem. No i się okazało, że dokładnie w czasie, kiedy została zamordowana Joanna, Szeliga nagrywał jakieś krótkie klipy ze swoimi gośćmi. A to oznaczało, że mówił prawdę. Zadzwoniłem, żeby ci to powiedzieć, i odebrał jakiś obcy gość.

– Walczak. Zostawiłam telefon w pracy.

– Tak, Walczak, faktycznie. Powiedział, że wyskoczyłaś do nagłego wezwania i zapomniałaś torebki. I że pojechałaś do Szeligów i że to ona dzwoniła.

– Ciekawe, jakim prawem on w ogóle dotyka mojej komórki.

– Nie wiem, ale myślę, że uratował ci życie. Bo kiedy powiedziałem Szelidze, że jego żona wezwała cię do psa, on natychmiast się zorientował, że coś jest nie tak. Wiedział, że Justyna nienawidzi tego zwierzaka. Bał się, że może chcieć mu zrobić krzywdę. Ale że będzie chciała zrobić krzywdę tobie, na to ani on, ani ja nie wpadliśmy.

Westchnęłam.

– Czyli jechaliście ratować psa?

– Tak jakby.

– I co z nią teraz będzie? Bo przecież nie masz żadnych dowodów, że to ona zabiła.

– Nie mam. Ale coś w niej pękło. Myślę, że teraz złoży wyczerpujące zeznania. Poza tym widzieliśmy, że próbowała poszczuć cię psem, a w najgorszym razie ty zeznasz, co słyszałaś. Na pewno też zostanie skierowana na badana psychiatrycznie pod kątem poczytalności.

Zadzwoił telefon Sikory. Jacek zatrzymał samochód na poboczu i odebrał. Po zakończonej rozmowie przez chwilę pocierał dłonią brodę.

– No proszę. A jednak mamy dowód. W pudełku z biżuterią żony Szeligi znaleziono ceramiczny wisiorek w kształcie litery W. Ten sam, który zdjęła z szyi zamordowanej Joanny Maj – oznajmił.

– Dlaczego się go nie pozbyła? – zdziwiłam się. – Przecież mogła go wyrzucić wszędzie. Albo rozdeptać obcasem i rozsypać po trawniku. Albo...

– Może potraktowała go jak trofeum? Albo chciała go użyć przeciwko Szelidze? Pojęcia nie mam. Ale to w ogóle nieważne. Ważne, że bardzo nam się to elegancko złożyło.

Podjechaliśmy pod szkołę dokładnie w momencie, w którym Kaja pożegnała się

z koleżankami i zaczęła rozglądać za Chrupkiem. Kiedy nas zobaczyła, podbiegła i wskoczyła na tylne siedzenie najszybciej i najdyskretniej jak potrafiła, niezmiennie zawstydzona metryką mojego auta. Widok Jacka za kierownicą trochę ją zdziwił.

– Cześć, wujek – przywitała się. – Co tu robisz?

– Twoja mama trochę źle się poczuła, dlatego jej pomogłem.

– A dlaczego nie jesteś w pracy? – zgłębiało temat moje dziecko.

– Właściwie to jestem. Policjanci tacy jak ja raczej nie siedzą za biurkiem.

– Bo łapią przestępców? – ożywiła się dziewięciolatka.

– Tak.

– A złapałeś dzisiaj jakiegoś?

Zrozumiałam, że jeżeli nie zainterweniuję, to za chwilę mała wyciągnie od Sikory wszystkie operacyjne szczegóły akcji u Szeligi.

– Wujek nie może opowiadać o takich rzeczach – przerwałam. – To się nazywa tajemnica zawodowa.

– Ale jak był u nas w szkole, to opowiadał!

– A kanapkę zjadłaś?

Tak jak myślałam, przestała się mądrzyć, a zaczęła zastanawiać, jak po powrocie do domu w sposób dla mnie niewidoczny wsunąć niezjedzoną kanapkę Alfowi do pyska.

Jacek popatrzył na mnie z uznaniem.

– No co? – wzruszyłam ramionami. – Każdy się zna na swojej robocie.

Podjechaliśmy pod nasz dom. Kaja zaczęła się wygrzebywać z auta, a ja nachyliłam się do Jacka i powiedziałam cicho:

– Dziękuję.

Pocałował mnie delikatnie w skroń.

– Cóż, nie mogłem pozwolić, żeby coś ci się stało. Elka by mi nie wybaczyła do końca życia.

Wysiedliśmy. Sikora sięgnął po telefon, żeby wezwać Pastuszkę, który miał go

odebrać, a ja zaczęłam się rozglądać za kluczami do domu.

– Cholera – jęknęłam. – Gdzie moja torebka?

– No jak to gdzie? – Sikora popatrzył na mnie z niedowierzaniem. – A o czym mówiliśmy po drodze? Zostawiłaś ją w pracy!

Kaja, która czekała znudzona pod furtką i wydawało się, że nic kompletnie jej nie interesuje, odwróciła się na te słowa natychmiast i spytała podekscytowana:

– W pracy? W jakiej pracy? To ty, mamó, pracujesz?

To był niewątpliwie dzień obfitujący w emocje, poczynając od przesłuchania Szeligi, przez zamknięcie w klatce z psem mordercą, po tłumaczenie dziecku, że mama wróciła do zawodu i codziennie od dziewiątej do pierwszej leczy zwierzęta w przychodni doktora Rudnickiego. W trakcie rozmowy wrócił ze szkoły Kuba, więc za jednym zamachem wprowadziłam w temat dwoje dzieci. Właściwie byli zachwyceni, tylko z jednym trochę trudno było im się pogodzić.

– Ale jak to nic nie możemy powiedzieć tacie? – dopytywała Kaja. – Przecież on też powinien wiedzieć.

– Oczywiście – tłumaczyłam cierpliwie. – Ale to ja z nim muszę porozmawiać, nie wy.

– To my mu powiemy, a ty potem z nim porozmawiasz! – zaproponowała natychmiast.

– Nie, kochanie! – niestety musiałam wejść na bardziej kategoryczny poziom. – Obiecacie, że dopóki ja nie wytłumaczę wszystkiego ojcu, trzymacie buzie na kłódki. Dobra?

– Dobra – zgodził się łaskawie Kuba. – Tylko z tym nie czekaj, bo mała się wygada przy kolacji jak nic.

– Sam się wygadasz – burknęła Kaja. – Będę milczeć jak drób.

– Jak grób – poprawiłam odruchowo, choć uświadomiłam sobie, że drób również nie jest specjalnie gadatliwy.

Byłam wykończona. Naprawdę wykończona.

Zbliżała się piąta, kiedy Kaja zeszła na dół i przysiadła obok mnie na kanapie.

– Dostałam dzisiaj D. Dostałam D, mamusiu – pochwaliła się. – Z zeszytu ćwiczeń. Pani mnie pochwaliła, że ładnie piszę. Chcesz zobaczyć?

– Oczywiście.

Dziecko położyło mi zeszyt na kolanach i zaczęło pokazywać strona po stronie swoje osiągnięcia w kaligrafii i matematyce. Przerzucała kartki powoli, żebym mogła spokojnie napawać oczy. Nagle coś zwróciło moją uwagę.

– Możesz cofnąć? – poprosiłam.

Wróciła na poprzednią stronę, gdzie obok obrazka z mamą wyjmującą z piekarnika najpiękniejszą i najmniej realną babę drożdżową, jaką widziałam w życiu, znajdowało się kilka linijek zatytułowanych „Twój ulubiony przepis”, wypełnionych pracowicie przez moje dziecko eleganckimi literkami.

– Co to jest? – spytałam.

– Przepis. Przepis na smalczyk. Smalczyk z fasoli. Ty robisz taki dobry.

– Widzę. Tylko skąd go wzięłaś?

– Z książki. Z twojej książki. Jadło mumii – zachichotała. – Czy jakoś tak.

– Sama to znalazłaś?

– Nie, mamusiu. To tatuś. Tatuś mi znalazł. To on. On wziął twoją książkę, nie ja.

– Kaja wyczuła moje zdenerwowanie, a nie mając pojęcia, skąd się bierze, na wszelki wypadek natychmiast zaczęła się usprawiedliwiać. – I miałam czyste rączki, jak ją przeglądaliśmy.

Zerwałam się z kanapy i popędziłam do kuchni. *Jadłonomia* stała na swoim miejscu, na półce między innymi książkami kucharskimi. Sięgnęłam po nią i położyłam przed sobą na blacie. Gruba, pięknie wydana, pełna wspaniałych przepisów wegetariańskich, które próbowałam co jakiś czas wprowadzać w życie, z różnym niestety skutkiem. Ale nie to było teraz najważniejsze. Nabrałam powietrza i zaczęłam ją przeglądać, kartka po kartce. Powoli i uważnie.

– Czego szukasz, mamciu? – spytała Kaja, która przybiegła za mną do kuchni.

– Niczego specjalnego – rzuciłam nieuważnie, bo właśnie doszłam do ostatniej strony, nic nie znajdując.

Wtedy zaczęłam przeglądać książkę od początku. Tyle tylko, że teraz szło mi trudniej, bo trzęsły mi się ręce.

Im dłużej szukałam, tym bardziej oczywiste stawało się dla mnie, że rachunku za perfumy, który ukryłam przed Tomkiem, w książce nie ma.

– Kochanie, a pamiętasz może, kiedy to było? – zwróciłam się do dziecka, choć nie bardzo liczyłam na konkretną odpowiedź.

Ale Kaja mnie zaskoczyła.

– Pamiętam, mamusiu. To było wtedy, kiedy byłaś taka zmęczona, że usnęłaś na kanapie. A ja miałam zadane napisać przepis. I sama nie znałam żadnego. I poprosiłam tatusia. I on mi znalazł tę książkę i podyktował. I dostałam za to plusa. Nie cieszysz się?

Opadłam na kuchenne krzesło i ukryłam twarz w dłoniach. Nie, nie, żeby płakać, tylko się zastanowić i uchwycić chronologię. Niestety, nie wyglądało to za dobrze. Podniosłam się ciężko, jakby przez ostatnią minutę przybyło mi kilka kilo, i podeszłam do wiszącego na boku lodówki kalendarza z obrazami Klimta.

Kocham Klimta, ale teraz nawet widok *Pocałunku* nie zrobił na mnie wrażenia. Wrażenie za to zrobiło porównanie dni. Tomasz grzebał w *Jadłonomii* we wtorek wieczorem. A w środę zaprosił mnie do restauracji i wręczył mi perfumy. Cholera, cholera, cholera!

Żeby potwierdzić moje podejrzenia, musiałabym pójść do komputera i coś sprawdzić.

Czy dam radę?

Jeszcze dwa tygodnie temu nie dałabym.

A dzisiaj po prostu wyszłam z kuchni i ruszyłam schodami na górę. Na piętrze klasycznie i zniecka zaatakowała mnie Kobyła, ale miałam ją w nosie. Trzasnęłam jej drzwiami tak mocno, że osadzone w nich lustro niebezpiecznie się zatrzęsło, ale za to drugi raz już się nie otworzyły.

Wparowałam do pokoju Kuby i kazałam mu się zabierać od biurka.

– Robię lekcje! – jęknął.

– Zjeżdżaj.

– Co z ciebie za matka! Za nic masz moją edukację! – sarknął, przenosząc się z książkami na łóżko.

Usiadłam do komputera. Tym razem jednak nie po to, żeby sprawdzić Facebooka, tylko elektroniczną stronę naszego banku.

Nie wchodziłam na nią zbyt często, prawdę mówiąc działo się to najwyżej raz, dwa razy w miesiącu. To, że pamiętałam login i hasło zawdzięczam jedynie temu, że login składał się z dat urodzin moich dzieci, a w hasle umieściłam nazwisko mojej pierwszej wielkiej miłości, jeszcze z czasów szkoły podstawowej, co bardzo irytowało Tomasza, ale uznał, że akurat w tej kwestii nie będzie mi robił problemów. Było mu na rękę, żebym przynajmniej część opłat załatwiała internetowo.

Otworzyłam stronę główną i weszłam w zakładkę: bieżące transakcje. Odnalazłam tydzień poprzedzający tamtą sobotę, kiedy znalazłam kwitek. I zwłoki. Transakcja na 375 złotych została przeprowadzona w czwartek. Rozwinęłam ją, sprawdzając szczegóły. „Empik Janki, godzina 18.27. Woda perfumowana *Chanel Allure*”.

Na razie nie było jeszcze powodów do niepokoju.

Zaczęłam klikać myszką, sprawdzając kolejne dni. Piątek, sobota, niedziela... Nic. Poniedziałek i wtorek również nic. Zatrzymałam się na chwilę, zbierając siły. A potem przeszłam do środy. Tej środy, kiedy zabrał mnie na kolację do Esmeraldy.

„375 złotych. Empik Janki, godzina 16.12. Woda perfumowana *Chanel Allure*”.

– Ty skurwysynu – wyszeptałam.

Następnie wstałam i poszłam prosto do naszej sypialni. Z pawlacza ściągnęłam najpierw dużą czarną walizkę, której Tomek używał na dłuższe wyjazdy, ale natychmiast się zreflektowałam i wepchnęłam ją z powrotem, wyjmując zamiast niej kabinówkę. Nie będę mu ułatwiać nowego startu, o nie.

W kabinówce zmieściło się akurat tyle, ile trzeba. Za mało, żeby przeżyć, za dużo, żeby umrzeć, parafrazując coś tam. Zamknęłam ją, chwyciłam za rączkę, zniosłam na dół i postawiłam przy drzwiach. Trochę ostentacji nie zaszkodzi.

Nagle coś mi się przypomniało. Wróciłam biegiem do sypialni, otworzyłam

najniższą szufladę swojej komody i z samego dna wygrzebałam zadrukowaną kartkę formatu A4 w przezroczystej koszulce. Obejrzałam ją z czymś w rodzaju satysfakcji i zabrałam ze sobą na dół.

A potem usiadłam w kuchni i czekałam.

Tomasz wrócił jakieś dwadzieścia minut później. Usłyszałam podjeżdżający samochód, potem szczęknięcie bramy i pisk uchylających się drzwi garażowych. Po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku tygodni pożałowałam, że nie pałę.

Drzwi do domu otworzyły się i zamknęły, i pięć sekund później usłyszałam stukot i stłumione:

– Kurwa mać.

Co oznaczało, że potknął się o kabinówkę. I bardzo dobrze.

Przez kolejnych kilka sekund docierało do niego, że widzi przed sobą spakowaną walizkę.

– Kurwa – powtórzył, ale już innym tonem. – Co jest?

Wstałam i poszłam dokończyć sprawę.

– O co tu chodzi? – zapytał na mój widok. – Wyjeżdżasz? Dokąd? I dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

– Bo nie wyjeżdżam. To są twoje rzeczy. Wyprowadzasz się.

Gdyby nie to, że sprawa była naprawdę poważna, powinnam była go nagrywać, bo mina, jaką zrobił, pobiłaby rekord odsłon na YouTube. Że o Instagramie nie wspomnę.

– Zaraz, moment, jak to się wyprowadzam?

– Jesteś ohydny, kłamliwym kutasem – wyjaśniłam. – Zdradzasz mnie z tą dziwką, swoją sekretarką. To dla niej kupiłeś perfumy. A potem znalazłeś kwitek w mojej książce kucharskiej i się zorientowałeś, że wiem. Więc odstawiłeś ten cały cyrk z kolacją i prezentem dla mnie, żeby mi zamydlić oczy. Co ci się zresztą udało. No ale jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. B jak Betty – roześmiałam się. – Na pewno będzie zachwycona, że się do niej sprowadzisz. Musi cię bardzo kochać,

skoro tyle dla ciebie schudła. Zadzwoń, żeby szykowała powitalną kolację. Pewnie będzie seler naciowy i rzodkiewka. Albo kielki rzodkiewki. Smacznego.

Nie wiem dlaczego, z minuty na minutę robiło mi się coraz weselej.

– Czy ty wiesz, co robisz? – wycedził mój mąż przez zęby.

– Oczywiście – odpowiedziałam beztrosko. – Aha, chciałam ci powiedzieć, że wróciłam do zawodu. Od trzech tygodni pracuję u Rudnickiego w przychodni.

– Słucham?! – dostał wytrzeszczu.

– I jeszcze coś. Pamiętasz, jak przynieśliśmy do domu Alfa?

Tomek patrzył na mnie, coraz bardziej oszołomiony.

– Eeee, pamiętam, a co to ma wspólnego?

– Proszę – podałam mu zafoliowaną kartkę, który wcześniej wyjęłam ze swojej bieliźniarki.

– Co to jest? – spytał nieufnie.

– Jego rodowód – wyjaśniłam. – To rasowy owczarek francuski. Briard. Kolega weterynarz skonfiskował go na lotnisku, ktoś chciał go nielegalnie wywieźć do Rosji. Dostałam go od niego w prezencie.

– Ale jak to? Przecież mówiłaś, że go znaleźliście na ulicy.

– Każdy w tym domu ma swoje tajemnice – rozłożyłam bezradnie ręce. – Idź już. Jedź do Betty, ciesz się wolnością, wycie sobie gniazdko.

– Nie idę do żadnej Betty – warknął. – Tu jest mój dom. A tak w ogóle to ona mieszka u matki.

Znowu zachciało mi się śmiać, ale jakoś się powstrzymałam.

– Nie, kochanie, to już nie jest twój dom – uświadomiłam mu. – I radzę ci, nie rób scen, bo przybiegną dzieci i dopiero będzie nieprzyjemnie. Chyba nie chcesz, żeby widziały, jak mama wyrzuca tatę z domu?

Wyszedł, ciągnąc za sobą walizkę.

Muszę zadzwonić do matki, pomyślałam. I do Elżbiety. Powinny wiedzieć. Ale zamiast tego wróciłam do kuchni, sięgnęłam po *Jadłonomię* i zaczęłam szukać jakiegoś przepisu na kolację.

Bo strasznie zgłodniałam.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



Oficynka